

ZESZYT DZIEWIĘTNASTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1971

ZESZYT DZIEWIĘTNASTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1971

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 200

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

POLSKA W OBCYCH OCZACH

Charles DE GAULLE

BITWA O WISŁĘ

DZIENNIK DZIAŁAŃ WOJENNYCH OFICERA FRANCUSKIEGO

I

1 lipca

Wróciwszy z Francji, ledwie opuściłem dworzec Wiedeński, natychmiast odczułem że ważne wydarzenia tego miesiąca odbiły się na wszystkich twarzach.

Warszawo! Od przeszło roku obserwuję twoje oblicze i z wiosną ubiegłego roku widziałem Warszawę uniesioną entuzjazmem. Do Polski przybywały Wojskowa Misja Francuska generała Henrys'a i francusko-polska armia generała Hallera. Obserwując to społeczeństwo w szale zachwyty, słuchając burzy oklasków, widząc kwiaty, którymi nas obrzucano, rozumiało się, że dla niego nasza obecność była nie tylko symbolem jego wyzwolenia, ale także nareszcie namalnym dowodem stuletniej francuskiej życzliwości.

Ale potem, z upływem miesiący, twarz Warszawy spochmurnała. Nie widziano zupełnie końca wojny; nie była ona zbyt krwawa — to prawda — ale denerwowała do ostateczności naród, przez uczucie, że prowadzi ją sam i że jest tyle rzeczy do zrobienia, których nie robiono. Życie stawało się z dnia na dzień cięższe.

Trzeba było oglądać straszny tłum na przedmieściach Pragi i Woli, aby zgłębić do jakiego stopnia nędza może osiągnąć ludzi. Trzeba było iść wzdłuż niekończących się ogonków kobiet, męczyczn i dzieci o błędnym spojrzeniu, oczekujących godzinami

przed sklepem miejskiego piekarza na kawał czarnego, raz na tydzień wydawanego, chleba, odczuwać ciężące na swoim samochodzie ponure spojrzenia tego wygłodzonego tłumu, aby zrozumieć, że nasza cywilizacja trzyma się na włosku i że wszystkie uroki, wszystkie wygody i wszystkie bogactwa, z których jest dumna, mogą szybko zginąć pod falą ślepego gniewu zdesperowanych mas.

Zresztą, klęska ekonomiczna bardzo słabo odbijała się na klasie uprzywilejowanej. Ubiegłej zimy płacono 12 polskich marek za naszego skromnego franka, zaś 800 za wspaniałego funta sterlinga. Ceny wszystkiego były niewiarygodne. Niestety! nie widziało się już zbytku. Uroczę kobiety, piękni młodzi ludzie, którzy tak niedawno żyli szczęśliwie i nie licząc się z pieniędzmi, zaledwie jeszcze tańczyli. Co prawda teatry były wypełnione, ale publicznością specyficzną żydowską. W eleganckich restauracjach, widziało się mówiących głośno wszystkimi językami, z minami bardzo pewnymi siebie, trzeciorzędnych kupców wiedeńskich, znad Renu, węgierskich i polskich, o których długo pamiętać będą europejskie kraje o słabej walucie...

Na wiosnę ten cały smutek zniknął jak zły sen. Myśli na nowo kierowały się w stronę frontu. Wtedy to miała miejsce ofensywa na Kijów. Opuściłem Warszawę pijaną triumfem. Mogę to tak nazwać — pijaną. Ten dumny z natury naród, którego duma na skutek wiekowego cierpienia stała się jak gdyby chorobliwa, wydawało się, że stracił w jednej chwili poczucie rzeczywistości. Po cóż powtarzać tutaj to, co z całą powagą mówili nam wojskowi i cywile? Po cóż przedrukowywać to, co drukowały gazety? Słuchaliśmy spokojnie — my, obywatele starego narodu, okrytego chwałą dawnych i ostatnich zwycięstw, który wiedział ile należy płacić, aby one trwały...

I oto jestem z powrotem. Jakaż zmiana!

Czyż to nie trwogę czyta się na wszystkich twarzach? Nigdy nie dostrzegałem trwogi u tego spokojnego narodu; ale to jest gorsze: rezygnacja. Dostrzegałem ją często u Słowian: uczucie niebezpieczeństwa nie podnieca ich, ale przybija. Im bliższe jest przesilenie tym słabiej reagują. Dlatego też w różnych epokach historii garstka barbarzyńców mogła w tych rejonach panować nad niezmiernymi obszarami. I to również sprawia, że ludzie, których tutaj na moich oczach rozstrzeliwano, byli pozornie nadzwyczajnie obojętni. Na murach niezliczone afisze, przed którymi tłum zatrzymuje się dłużej. Są tu odezwy szefa Państwa, partii politycznych, nawoływania pod broń i do podpisywania pożyczek. Są także, jeszcze bardziej ponure, jeszcze bardziej długie, ogonki kobiet i dzieci przed sklepami żywnościowymi.

Ale na ulicach zawsze dużo eleganckich oficerów, dumnie noszących swoje szable. A także i kobiety nie przyciemniły i nie przydały ciężkości swoim letnim strojom.

Nikt nie krzyczy, nie ma poruszenia w tłumie.

Co to wszystko znaczy? Spokój społeczeństwa pewnego swojej siły i ufności w swoje przeznaczenie, czy rezygnacja narodu od wieku nieszczęśliwego, który nie miał czasu na odbudowanie swojej wolnej duszy i którego niepowodzenia nie poruszają?

II

4 lipca

Zobaczono znowu w Warszawie generała Hallera. Ostrość politycznych kłótni, gorycz zazdrości, usunęły go w cień od miesięcy. Na chwilę uspokoił je rozmiar niebezpieczeństwa. Generałowi zlecono rekrutację i szkolenie ochotników, którzy powoli zaczynają się zgłaszać.

Asystuję tej lipcowej niedzieli wielkiej uroczystości patriotycznej na cześć tych ochotników. Dzieje się to na Placu Śaskim i, zgodnie ze zwyczajem, zaczyna od mszy wojskowej, odprawionej uroczystość w dawnej rosyjskiej katedrze*. Kilka tysięcy ochotników zebrało się na placu. Potem defilują. Wśród nich wielu studentów, kilku robotników, pewna liczba chłopów. Ci ostatni uważali za swój obowiązek przynieść broń. Widać w ich rękach najprzedziwniejsze strzelby. Niektórzy są uzbrojeni w kosy. W czasie mszy, wszyscy ci młodzi ludzie śpiewają słynny hymn „Rotę”. Śpiew biegnie ku niebu, niektóre głosy nacechowane są tą religijną i smutną egzaltacją, która u Słowian cechuje wszystkie ludowe uroczystości. Tak, tu widzimy duszę Polski; żeby ją odkryć trzeba słyszeć i widzieć te masy prostych ludzi. Tragiczny los tych narodów, gdzie energia i charakter elit nigdy nie były na wysokości cnót i dobrej woli dołów.

III

8 lipca

Wiadomości z frontu są coraz gorsze. Front północny (na północ od Prypeci) nie przedstawia już żadnej wartości: z dwóch armii, wchodzących w jego skład, jedna — która straciła Wilno — jest w odwrocie, bez walki i w jak największym zamieszaniu.

* Dawna prawosławna katedra w Warszawie przemieniona na obrządek katolicki i którą rząd polski projektuje zniszczyć.

Druga, bez przerwy przeskrydlana na skutek odwrotu swej sładki — nie przestaje również się cofać. Białystok i Brześć Litewski są zagrożone; linia Bugu, którą Polacy nazywają z wściekłością „linią Lloyd George'a” za chwilę może być osiągnięta. Front Południowy jest obecnie bardziej zwarty, ponieważ kawaleria Budiennego, wyczerpana znacznym najazdem, nie pokazuje więcej zębów. Kowel i Łuck są ciągle trzymane.

Tym razem walka toczy się na terytorium naprawdę narodowym. Czy ten 20-milionowy naród, któremu grozi 200.000 bandytów, poderwie się w końcu? Czy ten świat polityczny nie przerwie swoich kłótni? Czy ci upadający na duchu generałowie odnajdą energię, a ich wojska porządek? Czy pociągi które przewożą posiłki i amunicję odkryją tajemnicę posuwania się z szybkością większą niż kilometr na godzinę?

My, oficerowie Misji wojskowej, przypatrujemy się decydującym wydarzeniom z pasjonującym zainteresowaniem i ze zgrozotą w sercu, że nie możemy w nich wziąć bezpośredniego udziału. Nasza rola instruktorów jest na razie zakończona — nasi uczniowie walczą. Myślę bez przerwy o dzielnych oficerach, słuchających naszych wykładów w szkole piechoty w Rembertowie, z których, wiem, że wielu już zginęło. Stać bezczynnie, gdy tuż obok wre walka — jakież to przeciwne tradycji francuskiej!

IV

10 lipca

Spotkałem moich trzech przyjaciół Polaków. Najpierw majora Z., młodego oficera Legionów, to jest wojska uformowanego przez Marszałka Piłsudskiego w czasie okupacji niemieckiej i austriackiej. Major Z. był w ubiegłym roku — jako kapitan — jednym z moich uczniów. Powraca z frontu, jest przydzielony do Sztabu Głównego armii i dzieli się ze mną powinami. Uśmiechnięty, wydaje się, jakby ostatnie wypadki zupełnie na niego nie działały. Z flegmą, która mnie wzburza, mówi o obronie na linii Toruń-Kraków. Najwidoczniej ta perspektywa nie wydaje mu się w niczym nadzwyczajna. Ojczyzna najechana, w niebezpieczeństwie: to normalne!

Jeżeli Polska zmuszona będzie pozostać w cieniu, jej synowie — jak niedawno temu — będą w dalszym ciągu jej służyć cierpliwie, aż do następnego, niezawodnego zmartwychwstania. Major Z. jest — jakby to określono we Francji — optymistą. „Dowództwo armij” — doskonałe! Pomoc cudzoziemska? — zbyt cenna, nawet szkodliwa, odbierze wojnie charakter narodowy! Zmiana

metod w taktyce, w organizacji, w szkoleniu, a po cóż to? Wyłącznie Polacy znają charakter wojny jaką prowadzą z Rosjanami. Sami znajdują na wszystko radę”.

Widziałem kapitana P., którego poznałem niedawno w oddziale armii Hallera. Kapitan P. był oficerem w armii rosyjskiej.

Uciekłszy z Odessy na początku 1918, zaciągnął się do armii polskiej tworzonej we Francji. Posiada *croix de guerre*. Mówi o tym co widział i co myśli: „Wystarczyłby jeden dowódca aby zmienić sytuację. Bolszewicy to banda a nie wojsko. Nasi ludzie tylko marzą, aby się odwrócić i zaatakować. Kto ich z sensem zgrupuje?”.

Rozmawiałem z porucznikiem H. z armii poznańskiej; walczył w czasie wojny w szeregach niemieckich. Odnosił trzy rany na naszym froncie i otrzymał Krzyż Żelazny, którego naturalnie nie nosi, ale o którym przy okazji wspomina. Jak wszyscy Polacy podobni mu pochodzeniem, nie wstydzi się go. Nienawidzi Niemców, a specjalnie Prusaków, ale o tym co sam zdziałał, o niewypowiedzianych niebezpieczeństwach, jakie bohatercko przeżył w ich towarzystwie w Szampanii, pod Verdun, nad Sommą, chętnie mówi z Francuzami, swymi niegdyś straszliwymi przeciwnikami. „Ach, panie majorze, gdybyście byli 26 września pchnęli front nad Sainte Marie à Py, 2 sierpnia nad Peronne — co by się z nami stało?” — Jemu, który brał udział w tych gigantycznych spotkaniach, czym mogą zaimponować te dziecinne walki tutaj? „To nie wojna, panie majorze. Nie ma zabitych! Dywizje idą naprzód, albo cofają się! Ale nikt nie wie po co!”.

On, który przyzwyczał się do nieubłaganej metody na froncie Zachodnim, do rozkazów wydawanych punktualnie, ściśle przekazywanych i wykonywanych natychmiast, do sumiennych obserwacji, do wiarygodnych sprawozdań i regularnego zaopatrzenia, nie mógł się przyzwycząć do tej wojny prowadzonej przez bandy, gdzie każdy wydawał się działać na własny rachunek, bez rozkazów i bez łączności. „Pan mnie rozumie, Panie Majorze!” Rozumiem jego myśl, której przyzwoitość nie pozwala mu wypowiedzieć do końca. Mimo odwiecznej nienawiści do prusackiego ciemieńczy trwa w nim nieśmiertelna duma z braterstwa broni.

V

12 lipca

Wszystkie rozmowy przeprowadzane z Polakami: z wojskowymi czy cywilami, z mężczyznami czy kobietami kończą się jednakowo: „Co ma zamiar robić Francja? Czy pozwoli nam zginąć

nie drgnąwszy?”. Tak, jak trwoga to do nas zwracają się ich oczy. Najdziwniejsze plotki powtarzają ludzie: że marszałek Foch przyjedzie, że Francja mobilizuje 15 roczników, itp. Dzisiaj, koło dworca, słyszałem jak pewien młody oficer, otoczony uważnym tłumem, przysięgał że widział na froncie oddziały czarnych...

Francja stała się dla Europy, potężnym i bezinteresownym ramieniem, którego wzywa się w nieszczęściu. Tutaj, z wyjątkiem kilku osób pełnych niezaspojonych ambicji, kilku zranionych w swojej dumie, czy paru zazdrośników — wszyscy pragną pomocy Francji; wszyscy ufają jej sile i sprawiedliwości.

VI

14 lipca

Krażąc ulicami, jestem głęboko wzruszony widokiem tyłu domów przybranych naszymi i japońskimi barwami. Raz jeszcze Polska, z głębi swej niespokojnej duszy, wzywa naszej pomocy.

VII

15 lipca

I oto nadszedł tak długo oczekiwany rozkaz: Rząd francuski upoważnia swoich oficerów do wzięcia bezpośredniego udziału w obronie polskiego terytorium. Gen. Henrys nie kazał sobie tego powtarzać dwa razy. Tej samej nocy wyjechał na front i część z nas poprzydzielał do każdej z dużych jednostek.

Jestem w gronie tych uprzywilejowanych, towarzyszę gen. B., który ma służyć swoją radą na froncie Południowym.

Samochody wiozą nas do Chełma polskimi drogami, które nigdy nie były dobre, ale które dzisiaj, po sześciu latach wojny, są straszne. Jedynie miejscowe podwozy nie przejmują się nimi. Podwoda — chłopski wóz — składa się z deski umocowanej na czterech kołach — i to wszystko. Do deski przywiązuje się ładunek, na którym siada woźnica i całość, ciągniona przez jednego czy dwa małe koniki, wspaniałe odwagą, wytrzymałością i wstrzeźliwością jeśli idzie o odżywianie — jedzie, podskakując na koleinach. Całe zaopatrzenie, wszystkie ewakuacje, a nawet przetrwanie batalionów na duże odległości odbywa się na podwodach. Nie można się bez nich obejść. Wojsko tutaj, to w zasadzie długi rząd tych wozów, na których, i wokół których, grupują się żołnierze, na modłę Normandów, którzy pływali wokół swoich statków.

W miasteczkach wozów tych jest pod dostatkiem. Czasem służą one jednej, czasem drugiej stronie; ale bez względu na to która strona z nich korzysta, chłop-właściciel widząc że mu rekwirują wóz i konie, towarzyszy im prawie zawsze. Jest to jedyny sposób, żeby ich strzec; cichy, zrezygnowany i łagodny — woli raczej sam powozić narażając się na niebezpieczeństwa, niż się ich wyrzec.

W Chełmie znajduje się kwatera główna Frontu Południowego.

Frontem Południowym dowodzi gen. R. S. — Jest to młody, trzydziestodwuletni człowiek, przed wojną zaczął wyrabiać sobie nazwisko jako malarz. Jeden z pierwszych adiutantów Piłsudskiego, zbiera obecnie owoce swojej wierności. Dużo zdrowego rozsądku, zapału i zaufania do siebie. Kiedy rozmawia z gen. B. wydaje mi się, że ich zbliżenie doskonale symbolizuje wzajemny stosunek dwóch armii, które reprezentują: zupełnie młoda armia polska, bardziej pewna siebie niż doświadczona; nasza doświadczona w wojnie, we wszystkich jej aspektach i przyzwyczajona, wskutek długich i ciężkich wysiłków, by działać metodycznie, „nie pozostawiać przypadkowi nic takiego, co można mu wyrwać radą i przewidywaniem”...

Ale z kontaktu tych dwóch dowódców może wyjść tylko coś dobrego. To uczucie opanowało natychmiast wszystkie serca. Dla francuskich oficerów, którzy byli obecni przy świeżym zwycięstwie ich polskich towarzyszy broni, świadomość zaufania, jakie wzbudzają ich mundury wszędzie gdzie się tylko ukazą, będzie najbardziej szlachetnym wynagrodzeniem. A ich mundury widzi się wszędzie.

VIII

30 lipca

Nareszcie świadomość ofensywy odradza się w szeregach naszych aliantów. A z nią autorytet dowódców, dyscyplina żołnierzy. Najwyższy czas! Od sześciu tygodni wojska bez przerwy są w odwrocie: stany liczebne zmniejszone są do ostateczności, przegnębienie miażdży serca i zaciemnia sumienia, zmęczenie i niedostatek ciążą na wyczerpanych ciałach. Ale oto, od góry do dołu, duch rośnie. Dowództwo, na początku jak gdyby oszołomione ze zdumienia, zebrało się w sobie: wola zwycięstwa ukazuje się na nowo i oto jednocześnie zaczynają napływać do wojska posiłki, broń, żywność. Porządek zapanowuje w umysłach i w szeregach, zaufanie na nowo gości w sercu żołnierza, a na usta powraca piosenka.

Czy tę zmianę należy przypisać uczuciu, że ojczyzna ginie, czy naturalnej reakcji przeciwko nadmiernej demoralizacji, czy skutkowi kilku rad? Bez wątplenia wszystkim tym czynnikom jednocześnie. Już nie mówi się o ucieczce przed Budiennym, ale o zaatakowaniu go; jestem wyznaczony, aby śledzić tę ofensywę, która wychodząc z okolic Lublina winna zdobyć Brody, zagrażając prawemu skrzydłu tej odważnej kawalerii i jednocześnie odwracając niebezpieczeństwo od Lwowa. Jedziemy specjalnym pociągiem, major Z. i ja, przez Kowel aż do Michalina. Następnie samochodem wzdłuż drogi, która właśnie znaczy polski front, docieramy do Łucka. Posterunki znajdują się w rowach wzdłuż tej drogi, oddzielone od siebie mniej więcej o kilometr. Nieprzyjaciel jest bardziej na Wschód, ale naprawdę gdzie? Nikt nie wie i nikt nie usiłuje się dowiedzieć. Jeżeli zechce uderzyć — zobaczymy i wtedy... pójdziemy. Nikt nie myśli tutaj o obronie w takim sensie, jak rozumieliśmy ją na froncie francusko-niemieckim. Nie-wielka ilość żołnierzy znajduje się w wyciągniętej nad miarę linii. Nie ma zorganizowanych pozycji, nie ma rezerw. Zresztą u nieprzyjaciela jest tak samo. Przeciwnik, jeżeli prze naprzód, zawsze znajdzie ogromne wyrwy w grupach obrońców, przez które przechodzi. Wówczas rozpoczyna się odwrót dla tej strony, która została przebita — aż do chwili kiedy jej dowódca poweźmie decyzję zgrupowania na nowo swych sił, przygotowania ich do ataku i rzucenia w przód. I wtedy ucieka z kolei niedawny napastnik, i tak w kółko. Tu leży sekret zadziwiających ruchów tam i z powrotem bolszewików, Polaków, Kołczaka, Denikina, Judenicza, Wrangla i Petlury. Odbывают się one na zasadzie rosyjskich powieści, gdzie wydaje się, że już już się kończą, a tymczasem zaczynają się na nowo. Jedynie Niemcy wiedzieli jak utrzymać ten gigantyczny front skromnymi siłami. Okopywali głęboko w ziemi rezerwy, przerzucane szybko tam, gdzie chcieli je mieć, zręcznie manipulowanymi pociągami. Niemcy umieli prowadzić wojnę...

Właśnie nasz samochód przekracza gęste linie okopów i zasieków, które oni wybudowali na tym terenie w latach 1915-1917. Na polach, gdzie po raz szósty z rzędu nie będzie żniw, gniją liczne krzyże, świadkowie zacieklej ofensywy Brusilowa z 1916 roku. A dziś, oto Rosjanie powrócili na te linie. Niemcy przyklasują ich powodzeniu. Ten sam Brusilow dyktował w Moskwie jeszcze i tym razem plan operacji. Jakież siły kierują ludźmi: ślepe czy ironiczne?

Wychodząc z małego miasta Łuck, przejeżdżamy drogą obok posterunku rosyjskiego, znajdującego się w odległości kilkuset metrów. Wita nas pociskami; jedziemy w stronę Boromela, nad Styr, gdzie znajduje się Sztab Główny grupy ataku. Od dwóch

dni pada i droga staje się niemożliwa do przebycia. Szereg razy musimy wyciągać nasz samochód grzęznący w błocie. W końcu wypełniona błotem dziura, głębsza niż poprzednie, unieruchamia go ostatecznie. Dochodzimy pieszo do najbliższego miasteczka i stamtąd podwodą udaje się nam dotrzeć do Boromela.

Jest to rusińskie miasteczko o domach z gliny albo z drzewa, pokrytych strzechą, z ogromnym placem publicznym i studniami, z których wodę ciągnie się żurawiem. Wszystko: studnie, plac i domy są beznadziejnie brudne zarówno wskutek naturalnego zaniedbania mieszkańców jak i bezustannego przemarszu niezdyscyplinowanych wojsk. W niektórych zakątkach, charakterystyczne rojowiska polskich Żydów, zmasowanych tu, tak jak wszędzie, dziesiątkami w straszliwych ruderach, szukających — pomimo szyderstwa i brutalności — możliwości handlowania, żyjących w stałej niepewności i strachu, nienawidzących z głębi serca obydwóch przeciwników: zarówno kozaków Budiennego jak i polskich ułanów.

IX

1 sierpnia

Akcja, którą rozpoczęto wczoraj w południe, została wznowiona tego ranka o godzinie pierwszej. Polacy: dwie dywizje piechoty i dwie kawalerii (ogółem 8.000 żołnierzy), atakują Brody i Radziwiłłów. Kozacy Budiennego i podtrzymująca ich piechota, przybyła z kolei na podwodach, nie stawiają żadnego oporu. Kilku zostaje zabitych przy wylotach miasteczek, gdzie utrzymują bezładną strzelaninę. Inni poddają się, przeważnie odcięci w lasach, w których szybko tracą orientację i odwagę. Piechurzy, biedaki w łachmanach, zbliżają się do granicy lasu, kładą na ziemi, płaczą i proszą o łaskę; kozacy, bardziej godni, na swoich małych konikach, na których jeżdżą na oklep, względnie na jakimś mizernym pledzie, który przywiązują sznurem.

Kawaleria gen. S. dociera bez większych przeszkód do Radziwiłłowa. Po jej prawej stronie Brody wpadają w ręce Polaków. Muszę stwierdzić, że we wszystkich odbitych miasteczkach, ludność wydaje mi się całkowicie obojętna. Chłopi wracają do domów, kiedy zbliża się walka, wychodzą w pole, kiedy się oddala. Widzę kobiety spokojnie pracujące obok trupów dwóch zabitych przed niecałą godziną Rosjan.

Zaczepony przez żołnierza proszącego o wodę albo o wskazanie drogi, Rusin odpowiada bez pośpiechu, z obojętną twarzą. Od Lwowa aż po Wołgę chłop — który zbyt wiele wycierpiał, tracąc rodziny i mienie — zamyka się w sobie, zajęty tylko tym,

aby uniknąć bezlitosnych rekwizycji ostatnich kur, ostatniego prosiaka czy starego konia, które mu jeszcze zostały. W ciągu trzech lat Kijów 18 razy zmieniał władzę. W mrokach duszy rolnika mieszka tylko jedno uczucie: nienawiść do żołnierza, wszystko jedno czy jest on od Lenina, Petlury, Denikina czy Piłsudskiego. Te same miasteczka kolejno powstawały przeciwko każdemu. W głębi tych samych lasów torturowano i masakrowano poszczególnych bolszewików, Polaków, Ukraińców i Rosjan.

W sumie Budienny się wycofał. Jak zawsze, nacierający szli naprzód bez poważnych trudności. Wróg miał przed sobą bezbrzeżną równinę i już się na niej przegrupowywał.

Na skrzydłach naszej grupy, którą niezdecydowanie dowódca zatrzymało na kilka godzin, odzywają się zarozumiałe działa i zuchwał karabiny maszynowe. Za nami na nowo ukazują się patrole kozackie. Nie ma już łączności z tyłami, lękliwe podwoły, których ciągniemy za sobą ogromne sznury, rozsypują się w największym popłochu. Dostajemy rozkaz dowódcy, aby się wycofać — gdyż operacja została uznana za ukończoną. Czyżby myślano, że pokaz siły wystarcza? Oto Budienny przestraszył się na szereg tygodni i można obecnie wycofać z tego terenu wojsko, które będzie bardziej użyteczne gdzie indziej. Wojna tu wcale nie jest skomplikowana...

Ale zaledwie nasza piechota, kawalerzyści i wozy zrobili pół obrotu a już zewsząd beładnie strzelając ukazali się Rosjanie. Polska kawaleria opuściła teren ostatnia, a ja z nią. Stłoczeni w wąskim przejściu — jedynym wśród bagien — posuwaliśmy się jako tako. Noc zapadła gdy zbliżaliśmy się do Styru, poza którym mieliśmy się przegrupować. W tym beładnym odwrocie straciliśmy niemało. Kawalerzyści generała S. nadchodzą jedni za drugimi, grupami, i rozmieszczają się byle gdzie, wzdłuż murów miasteczka. O zaopatrzeniu, a tym samym o kolacji, nie ma w ogóle mowy. Kiedy tylko jeden z ułanów napił ze swojej czapki mego konia, usnąłem na dwie godziny na kulejącym fotelu, a tymczasem paliły się mosty na Styrze i wył chłop, któremu maruderzy usiłowali bez wątpienia ukraść jakiegoś prosiaka.

X

5 sierpnia

Wracam z Warszawy, towarzyszyłem generałowi B., którego tam wezwano; tym razem to szlachetne miasto jest milczące. Pomimo swojej lekkomyślności czuje, że Rosjanie są u jego wrót. Ale obecnie już nie ma rezygnacji: trzeba zwyciężyć. Męczeństwo

ma swoją sławę, ale nie jest ona warta tyle, ile chwała zwycięstwa. Nakreślono plan obrony, przy którym współpracowali nasi oficerowie.

Pod ich kierownictwem wykopano okopy i ustanowiono łączność. Wojsko przegrupowane według nowej organizacji jest obecnie zdolne do utrzymania terenu. Wzmacniają je liczne oddziały ochotników. Cóż to za cud! Ulica jest poważna. W restauracji, w której jemy kolację, można powiedzieć, że jesteśmy sami. Nie wierzę własnym oczom: *maitre d'hotel* popędza służbę, a przecież byłem przyzwyczajony czekać nieraz dwie godziny, żeby móc zjeść dwa dania. A przede wszystkim, przede wszystkim czuję spójżenia na ulicy, które biegają za moim mundurem. Jakaś starsza pani zaczepia mnie, mówiąc:

— Dopóki Francuzi są tutaj możemy nie tracić nadziei. Ale nie wyjeżdżajcie.

— Nie, nie wyjedziemy.

XI

14 sierpnia

Ogólna ofensywa została postanowiona. Po raz pierwszy prosty i jasny plan operacji powstał tam, w Warszawie. W tej samej chwili wydaje się, że wszystko do najdrobniejszego szczegółu jest jasne. Wierne wojska polskie, których wyższe kadry były jednymi z najlepszych w świecie, odczuwają natychmiast, że silna i logiczna wola ma zamiar skoordynować wysiłki. I oto, wskutek klasycznej zmienności charakteru tego społeczeństwa, żołnierze są ufn i zdecydowani. W młodych sztabach generalnych tego frontu tym razem praca oparta jest na solidnej bazie. Jeszcze zanim rozpoczęła się bitwa czuję jak tych żołnierzy znaczy powiew zwycięstwa, który tak dobrze znam. My, Francuzi, wymieniamy wieszczce uśmiechy: dobrze znamy dwóch wielkich dowódców, którzy reprezentują w Warszawie francuskie doświadczenie: znamy głęboki spokój i uważną bystrość Henrysa, dokładną i żywą wyobraźnię Weyganda.

Kilka przedwstępnych ciosów zadano nieprzyjacielowi przed decydującym wysiłkiem. Jestem obecny przy jednej z tych operacji: wzięcie Hrubieszowa nad Bugiem przez 3-cią dywizję polską, dowodzoną przez podpułkownika Z. (obecnie awansował o jeden stopień); przechodzimy przez Zamość i oto jesteśmy na wsi w poszukiwaniu 3-ej dywizji piechoty. Chłopi albo nic nie wiedzą, albo nie chcą nic powiedzieć.

Strzały, a potem na koniec jeden żołnierz! Jest on konno,

galopuje czerwony ze strachu. Jedzie z miasteczka Werkowice, położonego stąd o 500 metrów, szukał tam swego oddziału i został przyjęty strzałami bolszewików, którzy to miasteczko okupują. Dobrze wiedzieć. Kierujemy nasze poszukiwania w inną stronę.

Na koniec znajdujemy 3-cią dywizję piechoty, a w każdym razie pewne jej oddziały. Generał K., który nią dowodzi, jest wśród swoich ludzi. Ach! To nic wielkiego, jedna dywizja, która działa w osamotnieniu. 3.000 walczących, rozrzuconych na 40 kilometrach kwadratowych. Jako łączność: ani telefonu, ani telegrafu bez drutu, ani przyrządów optycznych. Każdy idzie na los szczęścia w kierunku, który mu wskazano, a wieczorem wszyscy szukają się nawzajem; zresztą, wiadomo, na naszej ziemi, w słowiańskim kraju wszystko się w końcu jakoś układa.

Widzę, jeden batalion, który odbija miasteczko Perespa. Sprowadza się to do przerzucenia z każdej strony grupy żołnierzy, podczas gdy karabiny maszynowe strzelają przy wejściu. Można tutaj wejść z trzech stron naraz. Największa część obrońców już dawno uciekła. Najbardziej zaciętrzewieni oddają kilka strzałów karabinowych i padają trupem. Tym razem pomiędzy nimi znajdują się dwie kobiety ubrane jak żołnierze, z wyjątkiem krótkiej spódnicy, którą noszą do butów z cholewami. Widzę trupy tych dwóch nieszczęśliwych — jeśli nie były ładne to w każdym razie młode. Jakież niewytłumaczone uczucie popchnęło te kobiety do wzięcia udziału w brutalnej egzystencji żołnierza w polu.

Gdy na nie patrzę, nieokreślone uczucie niepokoju wzbiera w moim sercu. W tym właśnie czuję się człowiekiem Zachodu. Pewnego dnia, w okolicach Warszawy, widziałem w kurzu i skwarze, z plecakami, i strzelbą na ramieniu batalion kobiet. Polki-żołnierze. Niewątpliwie te silne wiejskie dziewczyny są przyzwyczajone do fizycznego wysiłku. Tym niemniej ten widok wydał mi się odrażający. Spacerowicze przyglądali się ich przemarszowi nie okazując ani cienia ironii, czy zdziwienia.

Opuszczam 3-cią dywizję piechoty w chwili kiedy Hrubieszów zostaje zdobyty, a mój przyjaciel, kapitan P., grupuje i każe odprowadzić na tyły 300 pijanych bolszewików, wziętych do niewoli w jakimś sklepiku z wódką, w którym dziwnym zbiegiem okoliczności jeszcze coś niecoś zostało.

XII

17 sierpnia

Ofensywa rozpoczęła się świetnie. Grupa manewrowa, którą dowodzi szef Państwa, Piłsudski, zgrupowana pomiędzy Iwan-

gorodem a Chełmem, szybko posuwa się na północ. Nieprzyjaciel, całkowicie zaskoczony widokiem na swoim lewym skrzydle Polaków, o których myślał że są w stanie rozkładu, nigdzie nie stawia poważnego oporu, ucieka w rozsypce na wszystkie strony, albo poddaje się całymi oddziałami. Zresztą w tym samym czasie uderzenie Rosjan na Warszawę załamało się na okopach, które nasi sprzymierzeńcy zdecydowali się w końcu przygotować. W tym samym czasie armia operacyjna, wyszkolona przez generała Hallera pod osłoną obrony stolicy, wyszła nagle z północy i podążyła szybko na granicę pruską, aby odciąć nieprzyjacielowi odwrót, który zapędził się aż pod Toruń.

Ach! Cóż to było za piękne posunięcie! Nasi Polacy jak gdyby przypięli skrzydła, aby je wykonać; ci sami żołnierze, przed tygodniem wyczerpani fizycznie i moralnie, biegną naprzód, pokonują dziennie czterdziestokilometrowe etapy. Drogi zawałone są grupami jeńców w opłakanym stanie i rzędami podwód zabranych bolszewikom.

XIII

18 sierpnia

W ślad za zwycięzcami przybyliśmy do Siedlec. Miasto jest wzburzone. Bolszewicy zainstalowali w nim Sowiet przy pomocy miejscowych Żydów (zresztą więcej niż połowa ludności). Obecnie obywatele Siedlec chcą, aby ukarano Żydów, którzy skłaniali się na stronę wroga; odbywają się stałe aresztowania przy akompaniamencie wycia nieprzebranego tłumu. Tego ranka rozstrzelano wielu Żydów, gdyż tutaj z wykonaniem egzekucji nie czeka się. Wokół wozu, na którym znajdowali się skazani na śmierć, szły w pewnej odległości ich rodziny i przyjaciele, wtórując ich lamentom. Następnie gmina żydowska zabrała trupy i, zgodnie z obyczajem żydowskim, szybko je pogrzebano. Mówiono mi, że kiedy Żyd umiera trzeba złożyć jego ciało do ziemi zanim rozlegnie się dzwon kościelny. Jeżeli się tego nie zrobić zły duch będzie torturował nieszczęśnika i przysporzy wielu kłopotów żałobnikom. A przecież ci biedacy mają już ich dosyć w swoim życiu, wiecznie niespokojnym w obawie niepowodzeń i przy swojej pasji do handlu.

XIV

20 sierpnia

Tak, to jest zwycięstwo, zwycięstwo kompletne, triumfujące zwycięstwo. Z innych armii rosyjskich, które groziły Warsza-

wie, niewiele co powróci. Mimo szybkości z jaką uciekały, Polacy je przeganiali i zachodzili od tyłu. Nieprzyjaciel jest rozproszony grupami w lasach, skąd się go wyciąga. Niektóre oddziały bierze się do niewoli na terenach, po których walki przetoczyły się już cztery lub pięć dni temu. Dzisiaj poddał się cały pułk kawalerii: 300-tu żołnierzy dowodzonych przez rosyjskiego kapitana. Rozmawiałem z tym kapitanem, który nosi jeszcze mundur carskiego huzara. Ten młody człowiek, doskonale wytworny i mówiący po francusku, wydał mi się bardzo zażenowany przynależnością do podobnego wojska.

— No cóż, panie majorze, trzeba żyć! Rząd Lenina pozwala żyć nam, oficerom, jeżeli zgadzamy się mu służyć.

Zastanawia się przez chwilę:

— A poza tym jest jeszcze sprawa rosyjska. Czy przypuszcza Pan, że możemy pogodzić się z widokiem Polaków w Kijowie?

I w minutę po tym:

— Panie majorze, czy myśli Pan, że będę mógł dołączyć do Wrangla?

Nie należy szukać stałości przekonań u Słowian.

XV

24 sierpnia

Łomża i Białystok wzięte. Granica pruska jest osiągnięta, wiemy że duża liczba bolszewików, odciętych w odwrocie, przekroczyła terytorium niemieckie. W Kolnie, przy granicy, generał B. spotyka generała X. dowódcę 14-ej dywizji piechoty. Jest to dywizja poznańska. Dowiaduję się z żalem o śmierci porucznika H. Poznaniacy są wściekli widząc, że zdobycz im się wymyka; wyciągają zaciśnięte pięści w stronę tych Prus, tak bliskich, tak najbardziej zniechęconych i których byli poddanymi jeszcze kilka miesięcy temu. X. wskazując wzrokiem lojalne i pocziwe twarze przechodzących żołnierzy, a potem kierunek Północ, mówi:

— A gdybyśmy tak tam weszli, panie generale!

Być może, że wejdziecie tam pewnego dnia, o sprzymierzeńcy polscy, jeżeli wspólny wróg was do tego zmusi i jeżeli do tego czasu będziecie umieli przyjąć Organizację i nauczyć się Metody.

XVI

26 sierpnia

Generał B. powraca do Warszawy, jego zadanie jest ukończo-

ne. Wzdłuż drogi, na której jak okiem sięgnąć leżą połamane podwozy i końskie trupy, chłopci zdejmują przed nami czapki. A oto most na Pragę, którego tym razem nie trzeba wysadzać w powietrze! I oto, na koniec, stolica przez którą właśnie ciągnie niekończący się sznur jeńców. Tłum huczy powstrzymaną radością. W oczach tego tłumu widzi się usprawiedliwioną dumę z pierwszego narodowego zwycięstwa, odniesionego przez odradzającą się Polskę.

Dołączam do grupy francuskich oficerów, przybyłych z najróżniejszych odcinków frontu, którzy wymieniają wrażenia i formułują swoje opinie. Oto Z., który się do nas zbliża. Jest obecnie w stopniu pułkownika i tłumaczy nam swobodnie.

— No cóż, panie majorze, co Pan myśli o tym wszystkim, co Pan widział?

Wyrażam szczerze uznanie, które samo się narzuca:

— Posiadacie zapal wielu dowódców i dobrą wolę wojska, a teraz trzeba nabyć Wiedzę!

Tłum, widząc nasze pokryte kurzem mundury, gromadzi się koło nas. Ze wszystkich piersi wznosi się okrzyk: „Vive la France!”.

Franco! Ach! Nie zapomnieliśmy ciebie. Ale słysząc jak wiwatują na twoją cześć, nagle czujemy, że jesteś obecna. Francja! Ona była tutaj z nami; płomienna; mądra i zdecydowana. Patrzymy na siebie i odczuwamy to samo. I nagle, każdy czuje jak obok jego serca zwykłego śmiertelnika bije nieśmiertelne serce Ojczyzny.

Charles DE GAULLE

La Revue de Paris, listopad 1920

(Przełożyła Zofia Hertz)

„REVUE DE PARIS”

Nie istniejąca już dziś *Revue de Paris* zamieściła w numerze na listopad 1920 r. tekst zatytułowany: „La bataille de la Vistule” — *Carnet de campagne d'un officier français*”. Te fragmenty „dziennika oficera francuskiego” nosiły zamiast podpisu trzy gwiazdki; autor był widocznie oficerem w służbie czynnej. W roku 1967 na łamach dziennika *Le Monde* pisarz z dziedziny wojskowości, Jean Pouget, wskazał, że autorem tego „dziennika” był późniejszy generał de Gaulle. Obecnie rzecz jest stwierdzona i wszyscy biografowie gen. de Gaulle wspominają o tym tekście. Jean Lacouture, autor najpełniejszej dotychczas biografii, wspomina o nim mimochodem i z pewną ironią, pisząc, że jest to tekst „pełen emfazy gdzie bicie w bębny à la Deroulede idzie w zawody z rozważaniami o duszy słowiańskiej, godnymi pana de Norpois”.

Jean Lacouture pisze jednak dalej, że pobyt de Gaulle'a w Polsce

„wywarł na nim silne wrażenie: zetknięcie się z krajem, gdzie Francja była zawsze obecna i przemawiała do serc, zetknięcie się też z kulturą wojskową, która go żywo zainteresuje, (w bibliotece Generała znajdują się w przekładzie pamiętniki Marszałka Piłsudskiego z notatkami robionymi na marginesach). Oto kraj i naród które wycisnęły na nim swe piętno. Przypomni on to bardzo mocno, i z całym wzruszeniem, do jakiego jest zdolny, we wrześniu 1967 roku w Polsce”.

Kapitan de Gaulle wyjechał do Polski jako ochotnik z misją gen. Henrysa'a. W maju 1919 r. wykladał zasady taktyki w szkole oficerskiej w Rembertowie. 15 lipca 1920 wraz z gen. Bernard przydzielony został w randze majora czasu wojny do dowództwa frontu południowego, a następnie towarzyszył dywizji kawalerii, którą dowodził gen. Jan Sawicki. Brał udział w walkach przeciw jeździe Budiennego i w odbiciu Hrubieszowa. Ambasador Kajetan Morawski, który rozmawiał niejednokrotnie z gen. de Gaulle w Algierze, przytacza, że był on dekorowany przed frontem polskich żołnierzy polskim odznaczeniem wojskowym. Do Paryża wrócił w początku października 1920 roku.

W „dzienniku” wydrukowanym w *Revue de Paris*, oficerowie polscy oznaczeni są tylko inicjałami. Tłumaczy się to tym, że w chwili oddawania tekstu do druku, w pierwszej połowie października 1920 roku działania wojenne w Polsce jeszcze trwały. Zawieszenie broni weszło w życie dopiero 19 października. Dziś nie sposób zidentyfikować nazwisk młodszych oficerów. Natomiast jasną jest rzeczą, że gen. R. S., dowódca frontu południowego, to późniejszy marsz. Rydz-Śmigły, dowódca kawalerii na froncie wołyńskim gen. S., to gen. Jan Sawicki, a dowódca dywizji wielkopolskiej gen. X, to gen. Daniel Konarzewski, dowódca 14-ej dywizji.

W notatkach poniższych zarysowuje się wyraźnie sylweta oficera francuskiego, który jest pełen dumy z należenia do szeregów armii zwycięskiej i przekonany o wyższości jej sztuki, i przede wszystkim wiedzy wojskowej, nad innymi armiami świata. Raz tylko mówi o „pięknym manewrze”, ale raczej patrzy pobłażliwie na młodą armię polską. Przede wszystkim jednak towarzyszy mu wszędzie myśl o Francji. Generał de Gaulle wyrazi to później w zdaniu: „*Je me fais de la France une certaine idée. Je veux dire par la qu'à mon sens elle est quelque chose de très grand, de très particulier*”.

REDAKCJA

Jacques WEYGAND

„WEYGAND MÓJ OJCIEC”*

Rozdział IX

BITWA O WARSZAWĘ — 1920

Mimo, że stanowisko naczelnego wodza wojsk alianckich przestało istnieć z chwilą nastania pokoju, marszałek Foch pełnił w dalszym ciągu ważne funkcje, które przypadały mu z tytułu zarówno wieku jak i pozycji jaką zajmował na świecie; jego szef sztabu pozostawał więc w kontakcie ze wszystkimi zagadnieniami wojskowymi i dyplomatycznymi, które stwarzał każdego dnia traktat wersalski. Problemy te były liczne i różnorodne; obok kontroli nad zbrojeniami niemieckimi — co nie było bagatelą — istniała konieczność prostowania granic, tymczasowego okupowania spornych terytoriów, zorganizowania plebiscytów, przy pomocy których starano się nadać odpowiedni kształt dziełu Lloyd George'a i Wilson'a¹. Odmowa parlamentów angielskiego i amerykańskiego ratyfikowania tekstu traktatu wersalskiego zwiększyła niepomniernie ogólny chaos i podważyła nie tylko statut Europy, ale także gwarancje naszego bezpieczeństwa².

Dwie instytucje międzysojusznicze zajmowały się realizacją tego co Poincaré nazywał „nieprzerwaną twórczością”: z jednej strony komitet ambasadorów, któremu przewodniczył Jules Cambon i gdzie zasiadał Foch, z drugiej, Komitet wojskowy w Wer-

* Fragmenty z „Weygand mon père”, Flammarion, Paris, 1970.

1. Oto wykaz kilku zagadnień będących przedmiotem obrad w sierpniu 1919 roku: Górny Śląsk, Cieszyn, Katowice, państwa bałtyckie, Banat i Temesvar, zagłębienie Saary, jeńcy niemieccy, intrygi cesarza niemieckiego itd.

2. Gwarancje te, oparte pierwotnie na zasadzie automatycznej wzajemnej pomocy, nie posiadały większej wartości. Zastąpiono je gwarancjami jeszcze słabszymi, wynikającymi z paktu Ligi Narodów.

salu pod kierownictwem Marszałka, gdzie ojciec mój pełnił funkcje sekretarza generalnego.

Sprawa Polski wyływała często na porządek dzienny tych dwóch instytucji. Sąsiedzi Polski spoglądali z niechęcią na powrót do życia tego narodu-męczennika i w miarę swych możliwości usiłowali stwarzać trudności. Już w styczniu 1919 roku powstała konieczność wysłania do Warszawy broni, by umożliwić stawienie czoła czerwonej armii; w kwietniu trzeba było uciec się do nacisków, by zmusić Erzbergera do udzielenia zezwolenia na przepuszczenie oddziałów armii Hallera³ poprzez terytorium niemieckie; w październiku ojciec mój zajmował się sprawą wysłania do Polski dziewięćdziesięciu pięciu pociągów ze sprzętem wojskowym.

Mimo tej pomocy Polska znalazła się w sytuacji, która zagrażała samemu jej istnieniu i konferencja międzysojusznicza w Spa, w lipcu 1920 roku, przystąpiła do przestudiowania tego problemu.

Spa, 7 lipca 1920. „Los Polski nie wygląda zachęcająco i pewne niepokoje wydają się uzasadnione. Polacy nie chcą nikogo słuchać, postępują według własnego widzimisię, podsycają nienawiść wokół siebie. Czy w tych warunkach uda się ich nielicznym przyjaciółom oświecić i pokierować tymi ślepyimi pegazami, które nie znoszą żadnego wędzidła? Oto pytanie, które stawiam sobie codziennie bez znalezienia na nie odpowiedzi”.

W liście tym mój ojciec poświęcał tyle uwagi Polsce gdyż wiedział do jakiego stopnia była ona bliska sercu mojej matki, której rodzina (ze strony jej matki) prześladowana od wieku na przemian przez Rosjan i Niemców wiązała duże nadzieje z odrodzeniem ojczyzny. Nie wspominał on jednak jeszcze o tym, że noszono się z zamiarem wysłania do Warszawy misji francusko-angielskiej i że w Spa Millerand oraz Lloyd George postanowili — zdając sobie sprawę że sytuacja była zbyt poważna aby narażać na szwank prestiż Focha — powierzyć ją Weygandowi.

Po powrocie do Paryża Weygand zaczął zbierać informacje i studiować mapy, aby przygotować się możliwie najlepiej do ewentualnej akcji; nie był też wcale zaskoczony gdy 22 lipca Premier zatelefonował do niego mówiąc by był gotów do wyjazdu — nie do Bretanii gdzie na niego czekaliśmy i gdzie miał spędzić dłuższy urlop — lecz do Warszawy.



Polska — która składa się z terytoriów jakie podzieliły mię-

3. Polska armia generała Hallera, utworzona podczas wojny we Francji, miała po zawieszeniu broni przybyć do Polski i wejść w skład organizowanej tam armii narodowej. Liczyła ona 120 tysięcy ludzi.

dzy sobą pod koniec XVIII wieku Rosja, Austria i Prusy — posiada smutny przywilej jednoczenia przeciwko sobie swych trzech potężnych sąsiadów. Dlatego też alianci, którzy przywrócili ją ponownie do życia lecz nie mogli i nie chcieli popierać jej zbrojnie, nakłaniali ją do prowadzenia polityki ostrożnej i pojednawczej. Do zaleceń tych stosowano się od stycznia do listopada 1919 roku, to znaczy tak długo jak Ignacy Paderewski był szefem rządu koalicyjnego w Warszawie. Ten wielki artysta, przyzwyczajony do życia za granicą, posiadał dostatecznie szeroką wizję polityki światowej, by zrozumieć, że kraj jego nie był centrum Europy i że należało wobec tego pogodzić się z istnieniem opieki sprawowanej przez aliantów. Sprawa przedstawiała się inaczej gdy chodzi o jego następcę, Józefa Piłsudskiego.

Józef Piłsudski również nie był człowiekiem banalnym. Jako student medycyny przerwał stosunkowo wcześniej swe studia by prowadzić walkę w szeregach nacjonalistów polskich i w 1887 roku, w wieku dwudziestu lat, został aresztowany przez policję rosyjską i skazany na tymczasowe zesłanie na Syberię. Po powrocie zdobył uznanie jako przywódca skrajnej frakcji partii socjalistycznej w prowincji warszawskiej i zaprzysiął sobie, iż oswobodzi kraj spod panowania rosyjskiego. Nie przebierał też w środkach zmierzających do tego celu; w pewnym momencie prowadził akcję podziemną, w obronie sprawy organizował sabotaże kolei, a w 1914 roku bez wahania zaproponował państwu centralnym walkę po ich stronie ze swą nieliczną grupą „ochotników niepodległościowych”. W ten sposób przeszedł na usługi Wiednia, najpierw jako dowódca legionów polskich, które miały walczyć przeciwko Rosji, potem jako naczelnik wojskowy w załączku państwa polskiego, jaki usiłowali stworzyć Niemcy w 1916 roku, po zajęciu Warszawy. Zdyscyplinowani Niemcy odnosili się jednak z rezerwą do tego współpracownika o niespokojnym duchu i gdy wybuchła rewolucja rosyjska — która wywołała najpierw wiele nadziei wśród nacjonalistów polskich — chwilowi protektorzy Piłsudskiego odebrali mu pełnione funkcje i osadzili w twierdzy w Magdeburgu. Piłsudski opuścił ją w listopadzie 1918 roku, po zwycięstwie sojuszników, i wkroczył tryumfalnie do Warszawy. W rok później usunięcie Paderewskiego umożliwiło mu skupienie w swych rękach funkcji szefa państwa, premiera i naczelnego dowódcy sił zbrojnych; po subtelnej polityce wirtuozą, otwierał się okres awanturnicznych przedsięwzięć dyktatora.

Pierwszym celem Piłsudskiego było zajęcie prowincji Ukrainy i Białejrusi, które ongiś należały do Polski, a które znalazły się we władaniu Moskwy na skutek postanowień traktatu wersalskiego. W porozumieniu z pewnymi elementami lokalnymi zaata-

kował niespodzianie Ukrainę. Jego odwaga, która wywołała dreszcz niepokoju w Londynie i w Paryżu, przyniosła sukcesy. Pod koniec maja 1920 roku wkroczył do Kijowa mając przy boku swego tymczasowego sojusznika, hetmana kozackiego Petlurę, ogłosił się Marszałkiem i powrócił do Warszawy okryty chwałą.

Tryumf ten jednak był krótkotrwały.

Rewolucja październikowa nie podważyła stanowiska patriotycznych Rosjan a obecność Polaków na Ukrainie natchnęła ich nową siłą. Pod kierownictwem energicznego komisarza ludowego, Kamieniewa, zebrano armię w liczbie dwustu tysięcy ludzi. Tuchaczewski dowodził na północy oddziałami, które posuwały się w kierunku Warszawy; na południu Budienny, który ze wściekłym zapałem rzucał swą kawalerię do walki, wypchnął z Ukrainy dywizje polskie pozostawione tam przez Piłsudskiego (przebywał on ciągle w Warszawie) bez dowódcy i bez wyraźnych instrukcji.

„Jest to polityka nierozsądna, prowadzona przy pomocy całkowicie niewystarczających środków wojskowych, która nastraja negatywnie sojuszników i prowadzi Polskę do zguby” — pisał Foch, który z Paryża śledził z niepokojem pochód sfanatyzowanych mas rosyjskich w kierunku Niemiec.

Pod koniec czerwca armia polska cofała się na całej przestrzeni frontu; w niektórych punktach cofnęła się o trzysta kilometrów; stolica kraju była zagrożona. 2 lipca Tuchaczewski, jak niedłżyś Lenin, rzucił hasło: „Rewolucja światowa przejdzie po trupie Polski”, po czym, by zachęcić swych żołnierzy, obiecał, że odda im na pastwę Warszawę na przeciąg czterdziestu ośmiu godzin.

Obawy przedstawicieli sojuszników zebranych na początku lipca w Spa były więc zrozumiałe. Nie tylko pokój w Europie był zagrożony, ale Anglicy i Francuzi wiedzieli, iż nie mogą wysłać nawet jednego pułku na pomoc Polsce; pozornie rząd warszawski nie miał innego wyjścia jak rozpocząć rokowania z Sowieciami, a rola aliantów sprowadzała się jedynie do ułatwienia przeprowadzenia ich z jak najmniej niekorzystnej pozycji.

21 lipca Anglia i Francja nakazały swym przedstawicielom ruszyć w drogę; przedstawicielami tymi byli, dla Anglii: lord d'Abernon i generał Radcliffe, dla Francji: ambasador Jusserand i generał Weygand.

Instrukcje jakie otrzymali były mało sprecyzowane. Należało, zanotował mój ojciec, „sądzić, doradzać, informować, popierać”. Przede wszystkim należało jednak spieszyć się gdyż armia czerwona postępowała naprzód. 22 lipca do pociągu specjalnego wsiadło czterech ludzi o nastawieniach bardzo odmiennych: obaj Anglicy

pragnęli dojść do porozumienia z Rosjanami jak najszybciej osiągając możliwie jak najlepsze wyniki, Jusserand pokrywał swe wahania „gadatliwym poliglotyzmem”, a Maxime Weygand myślał jedynie o środkach, które umożliwiłyby zatrzymanie armii czerwonej zanim zajmie stolicę Polski.



W zdezorganizowanej wypadkami wojennymi Europie poruszanie się nie było łatwe i pociąg wiozący misję francusko-angielską dotarł do dworca warszawskiego dopiero po upływie trzydziestu sześciu godzin; Niemcy dołożyli zresztą wszelkich starań aby opóźnić jazdę; zażądali nawet, aby zapłacono gotówką wynajęcie lokomotywy i zaopatrzenie jej w węgiel.

W Warszawie panował największy chaos. Podczas gdy jedni zdawali sobie sprawę z grożącego śmiertelnego niebezpieczeństwa i usiłowali mobilizować żywotne siły narodu, inni dawali wyraz swemu zaniepokojeniu oddając się ze wzmożoną energią intrygom. Świat polityczny dzielił się na klany, które z równą stanowczością domagały się prowadzenia rozmów na temat zawieszenia broni, lub myśl tę odrzucały. Na skutek przeciągającego się wycofywania, armia składająca się z elementów o nierównej wartości i służących niedawno w oddziałach niemieckich, austriackich i rosyjskich, była rozprzężona; Piłsudski pozbawił ją pomocy zahartowanych w boju dywizji generała Hallera, które zostały rozwiązane, aby wysunąć na pierwsze miejsce żołnierzy reżymowych; dowództwo powierzone grupie oficerów wiernych szefowi państwa, a do której nie wchodziłi ludzie tak wartościowi jak Sikorski i Haller, pełniło swe funkcje w warunkach przeczących ustalonym zasadom. Nie wykorzystywano wreszcie w należyty sposób francuskiej misji wojskowej, która składała się z dwustu oficerów znajdujących się pod dowództwem generała Henrys'a i przebywających na terenie Polski od kilku miesięcy⁴.

Na tej pełnej kontrastów sytuacji, ciążyła — co było rzeczą jednocześnie dobrą i złą — potężna postać Józefa Piłsudskiego. Miało to tę dobrą stronę, że był on patriotą, człowiekiem inteligentnym, o zdecydowanej woli, cieszącym się zasłużoną opinią człowieka umiejącego porywać za sobą ludzi. Ale i złą gdyż należał on do indywidualistów zawziętych, dumnych i machiawelicz-

4. Przed wojną generał Henrys był wybitnym współpracownikiem Lyautey'a w Maroku; Foch odnosił się do niego z pewną nieufnością z powodu „iluzji jakie stwarzało jego błyskotliwe gadulstwo i z powodu jego braku autorytetu”. Kapitan de Gaulle należał do grupy owych dwustu oficerów misji; mój ojciec nie znał go osobiście.

nych, sprawował władzę cywilną i wojskową na podobieństwo wschodniego władcy, budził strach, który paraliżował jego współpracowników.

24 lipca wieczorem mój ojciec odbył pierwszą rozmowę z tym sławnym człowiekiem, który — jak stwierdził — był przybity. Wiadomość, że pomoc sojuszników ogranicza się do przysłania dwóch ambasadorów o siwych brodach i dwóch generałów ze sztabu głównego nie napełniła go otuchą i, po pobieżnym przedstawieniu sytuacji, oświadczył kalecząc język francuski:

— Straciłem wszelką odwagę.

Mój ojciec spróbował wówczas nakreślić wielkie linie programu naprawy położenia; wkrótce jednak zadowolnić się musiał — jak to opisuje w liście do Marszałka Focha — rolą słuchacza.

Warszawa, 28 lipca 1920.

„Panie Marszałku,

„... W dzień mego przyjazdu, po złożeniu po południu wizyt miejscowym władzom, zawezwano mnie do Belwederu gdzie odbyłem rozmowę z Marszałkiem Piłsudskim, która przeciągnęła się od dziesiątej wieczór do piętnastej po pierwszej w nocy. Przez trzy godziny Marszałek mówił o sobie, o swych zwycięstwach, o trudnościach wojskowych, o pomocy, którą można by mu przynieść. Nie zrobił na mnie ani na chwilę wrażenia przywódcy, którego ojczyzna jest w niebezpieczeństwie i który zdecydowany jest rozkazywać, narzucać swą wolę, wymagać. Narzeka na sojuszników, na łączność, na tyły; uważa, że jedynie interwencja wojsk alianckich zapewnić może zbawienie. Nie dowodzi on jednak w sensie w jakim nauczył mnie Pan nadawać znaczenie temu słowu; brak tu jest stanowczych rozkazów, kontroli, dyscypliny.

Gdy w końcu udało mi się zabrać głos — nie poprosiłem zresztą wcale bym zaczął mówić — powitałem go w imieniu Pana co przyjął z godnością, i powiedziałem mu to co, myślę, to, co powiedziałyby mu Pan, gdyby był Pan tutaj. Zawsze to samo, to znaczy to o czym mówią wszystkie Pana instrukcje i co wprowadzał Pan zawsze w czyn⁶. Wyraźnie nie wzbudziło to w nim większego zainteresowania. Zamknięty w swym Belwederze, nad którym czuwają liczne straże, obecnie rzadko odwiedza żołnierzy. Jest bardzo przywiązany do swego posłannictwa wojskowego i nigdy nie zgodzi się z misją tej zrezygnować”.

Zadanie, które spełnić miał mój ojciec, nie wyglądało łatwo; tym niemniej ani na chwilę nie dopuszczał możliwości niepowodzenia; w głębi duszy nie tracił nadziei, tak jak na to wskazują listy kreślone pośpiesznie do mojej matki, do Marszałka Focha i do jego zastępcy, generała Desticker'a:

25 lipca — Bez wątpienia sytuacja jest poważna, lecz środki zaradcze są proste; wystarczy je zastosować”.

5. „Zawsze to samo” było formułą używaną przez Focha wówczas, gdy należało utrzymać się na zajmowanych pozycjach. Znaczyła ona: nie cofać się, okopać się, umocnić stanowiska, zaopatrzyć ludzi w żywność, a uda się wam zatrzymać nieprzyjaciela.

28 lipca — Bieg spraw potoczy się w moim przekonaniu pomyślnie”.
5 sierpnia — „Sądzę w dalszym ciągu, że można sytuację naprawić”.

To prawda, że od chwili przyjazdu rola jaką miał odegrać oraz związane z nią możliwości działania zaczęły się precyzować. 27 lipca kilku ministrów polskich, między innym książe Sapieha, który prowadził sprawy zagraniczne, i wicepremier Daszyński, odbyło konferencję z misją francusko-angielską. Wobec nieustannego pogarszania się sytuacji, lord d'Abernon zaproponował aby powierzyć dowództwo nad armią polską generałowi Weygandowi, którego, jak wydawało się, darzył większym zaufaniem niż swego rodaka Radcliffe'a; sugestię tę, tak przeciwną wewnętrznym pragnieniom Piłsudskiego, odrzucili jego przedstawiciele:

„Piłsudski, oświadczył książe Sapieha, otoczony jest aureolą chwały i prestiżu, których nie można podważać, szczególnie obecnie, wysuwając na pierwsze miejsce generała cudzoziemskiego⁶⁾”.

Ambasador angielski bronił swego punktu widzenia w obecności mego ojca, który z tym większą łatwością zachowywał kamienny spokój, że wiedział co kryło się za oświadczeniami Polaków; Ambasadorowi nie udało się przeprowadzić swego projektu, lecz doprowadził do przyjęcia pewnego kompromisu, który ujęty został przez Polaków w sposób następujący:

„Ponieważ wszyscy zdają sobie sprawę z korzyści jakie przyniesie może obecność generała Weyganda — szef państwa i rząd wyrażają zgodę na to by współpracował on, służąc radami, przy spełnianiu zadania jakie wykonywuje szef sztabu generalnego⁷⁾”.

„Zadanie to, mówił mój ojciec gdy wspominał o tej sugestii, nie dawało żadnego autorytetu, natomiast usłane było cierniami⁸⁾”; stwarzało ogromne odpowiedzialności bez dostarczenia środków działania oraz przynosiło pewność, że na wypadek niepowodzenia cała wina spadnie na plecy Weyganda. Mimo to ojciec mój nie zawahał się i przyjął propozycję będąc przekonany, że dokładając wszelkich starań doprowadzi do poprawy sytuacji. Cieszył się też dostatecznym autorytetem, aby narzucić swą wolę generałom polskim, tak jakby był ich dowódcą; jednocześnie unikał w ten sposób mieszania się do ich niebezpiecznych intryg — niektórzy z nich stawiali otwarcie na przegraną Piłsudskiego — lub zranienia narodowej miłości własnej.

W Paryżu Marszałek Foch niepokoił się skomplikowaną sytuacją w jakiej znalazł się jego współpracownik i niebezpieczeństwami na jakie mógł się narazić z powodu swych szlachetnych odruchów. Wychowany na Kartezjuszu, Foch nie mógł pogodzić się

6. Sprawozdanie z zebrania z dnia 27 lipca 1920.

7. Sprawozdanie z zebrania z dnia 27 lipca 1920.

z owym chaosem wywołanym faktem, że władza wojskowa i cywilna skupiała się w stanowczej lecz mało wprawnej ręce szefa państwa polskiego.

28 lipca 1920. — „Mój Drogi, myśli moje towarzyszą Panu. Nie wiem w jakiej znajduje się Pan sytuacji⁸. Ale zna Pan naszą doktrynę:

— rząd jest po to, by rządzić, to znaczy wykorzystywać wolę i zasoby narodowe,

— dowództwo po to, by dowodzić.

Jeżeli chodzi zaś o szefów rządów, którzy dowodzą armią, to niech przypomni Pan sobie Georges Clemenceau, który był w znakomitej zgodzie z Haig'em i Pétain'em, a doprowadziło to w rezultacie do kryzysu w dniach między 21 a 26 marca 1918 roku”.

Tak jak jego dowódca, mój ojciec ceniał przede wszystkim sytuacje jasne i wyraźnie określone odpowiedzialności; od pierwszego dnia jednak zrozumiał, iż było rzeczą trudniejszą wprowadzić jaki taki porządek w nastawieniach umysłowych w Warszawie niż zatrzymać armię czerwoną na Wiśle. Powiadomił o tym Marszałka Focha, co nie wywołało w nim oczywiście zadowolenia:

2 sierpnia. — Otrzymałem wczoraj list Pana z dnia 28. Widzę, że zadania Pana nie są synekurą. Rząd polski winien posiadać wolę uzdrowienia swych dolegliwości, winien oświadczyć to i ogłosić, winien zaryzykować swą skórę w tym przedsięwzięciu. Jeżeli tego nie robi, to dlatego, że chce siebie zaoszczędzić i po prostu zniechęcić Pana, w jego usiłowaniach, o których wie, że będą bezowocne”.

4 sierpnia. — „W Polsce bieg spraw nie ulega zmianie. D'Aberton wyjeżdża, Jusserand nie przestaje mówić, Piłsudski postępuje tak jak przedtem. A dzielnemu Weygandowi grozi, iż działalność jego ograniczy się do bezpłodnych wysiłków”.

Gdyby Marszałek Foch posiadał bardziej dokładne informacje, byłby jeszcze bardziej zaniepokojony. Piłsudski, który 27 lipca polecił tak zdecydowanie bronić jego prerogatyw wojskowych, 29 poprosił mego ojca i zgodził się zresztą na to, by w czasie jego nieobecności Weygand pobierał w jego imieniu najważniejsze decyzje. A w dziesięć dni później posunął się tak daleko, że zaproponował mu objęcie stanowiska szefa sztabu generalnego armii polskiej w zastępstwie generała Rozwadowskiego, albo nawet dowódcy sił zbrojnych. Obok tych odruchów zaufania dawał jednak wyraz złemu humorowi, a nawet był czasami tak niegrzeczny, że tym razem ojciec mój sugestię tę odrzucił:

„Doprowadziłoby to z konieczności do klęski, pisał 11 sierpnia do swego przełożonego. Dowództwo sprawuje się tutaj w warunkach zanadto odmien-

8. Komunikacja pocztowa między Paryżem a Warszawą nie działała sprawnie; z czasem nastąpiła w tym względzie pewna poprawa, lecz listy dochodziły z opóźnieniem.

nych od naszych, konie zaprzęga się zupełnie inaczej; cudzoziemiec nie może więc chwycić za wodze w tym momencie przełomowym”.

Ten rozsądek w postępowaniu i umiar w osądach zachwycił Marszałka Focha:

„Mój Drogi, pisać do Pana nie po to by Panem kierować — jest to Panu zupełnie niepotrzebne — lecz dlatego, że pisanie listów do Pana sprawia mi zawsze przyjemność”.



Szef sztabu generalnego armii polskiej — Rozwadowski — z którym mój ojciec miał współpracować codziennie, był doskonałym oficerem. Mimo, iż wyszedł z twardej austriackiej szkoły wojskowej, zachował, dzięki swemu pochodzeniu, ogromną żywość umysłu, który cechował pewien nadmiar wyobraźni; na podobieństwo wielu ówczesnych generałów polskich żył on w nieustannej obawie przed wybuchami niezadowolenia Piłsudskiego.

Mój ojciec porozumiewał się z nim doskonale na płaszczyźnie czysto ludzkiej, natomiast w pracy napotykał na pewne trudności. „Nie przychodził na czas na spotkania, gdy chodziło o złożenie jakiegoś wyjaśnienia był rozpaczliwie gadatliwy i rozpaczliwie nieprecyzyjny”. Aby upewnić się, że istota sprawy nie zaginęła w potoku słów, mój ojciec wprowadził od samego początku zwyczaj potwierdzania przebiegu rozmowy w formie krótkiej notatki czy szkicu, który pozostawiał na biurku swego rozmówcy. Sprawa przedstawiała się znacznie gorzej gdy domagał się aby wysyłano rozkazy na piśmie do oddziałów, by oddziały te informowały o ich wykonaniu i by wszystkie te dane przedstawiano mu bez zwłoki; cel ten jednak osiągnął dzięki swej uprzejmej stanowczości i dobrej woli generała Rozwadowskiego.

Piłsudski, który ustroił się później w piękne piórka, utrzymywał, że bawił go niepomiernie fakt, iż „generał Weygand, przyzwyczajony do metodycznej pracy sztabów generalnych, wymieniał noty dyplomatyczne z generałem Rozwadowskim⁹⁷”. W rzeczywistości szef państwa polskiego, gdy był w Warszawie, zjawiał się często na raport poranny, w którym brali udział Rozwadowski i mój ojciec; nachmurzony jak zwykle, przysłuchiwał się wymianie zdań notując uważnie w pamięci dyrektywy generała francuskiego i mimo, iż opuszczał zebranie bez słowa, jest rzeczą pewną, że korzystał z tego co usłyszał i z pisemnych notatek, z których tak się naśmiewał później.

Pomimo, że atmosfera współpracy z Polakami stale się popra-

9. Józef Piłsudski, *Rok 1920*.

wiała, mój ojciec czułby się często nieswój w tej zawierusze słów, gdzie informacje i rozkazy zatracaly swe kontury, gdyby nie miał przy boku misji generała Henrys i gdyby nie dysponował jej dwustu oficerami¹⁰. Doprowadził do tego, że wysłano ich na front, gdzie byli jednocześnie jego łącznikami i doradcami technicznymi na niższym szczeblu dowództwa polskiego. Opierając się na tej solidnej sieci działającej na polu bitwy, mógł przystąpić do rozciągnięcia kontroli nad ośrodkami dowodzącymi operacjami.



Tymczasem armie Kamieniewa posuwały się regularnie na całym froncie, który rozciągał się na przestrzeni dwustu pięćdziesięciu kilometrów, idąc mniej więcej z północy na południe; naciskały one szczególnie na północy, gdzie usiłowały oskrzydlić oddziały polskie, i w centrum, to znaczy w kierunku na Warszawę. W konsekwencji, ich skrzydło południowe było osłabione i sztab polski mógł przypuszczać że kontr-atak rzucony z południa na północ wbiłby klin w rosyjskie siły zbrojne i zatrzymał ich posuwanie się naprzód. W Warszawie mówiono z dumą o tej koncepcji, a mój ojciec poparł ją bez wahania, gdyż była słuszna.

Problem jednak polegał nietyle na opracowaniu pewnego planu, ile na wprowadzeniu go w życie. Gdyby nieprzyjacielowi nie udało się oskrzydlić Polaków na północy ani też przebić się w centrum, to kontr-atak — owa długa strzała, która przecinała mapę z Lublina aż do Grodna — doszedłby do skutku bez trudności. Aby cel ten osiągnąć trzeba było jednak utrzymać się w owych dwóch punktach zakotwiczenia całego manewru, utrzymać się opierając się na młodej armii, która z dumą i całkiem słusznie uważała siebie za niezwyciężoną w ofensywie, lecz traktowała defensywę jako etap walk bez większego znaczenia.

Obowiązek obrony w tych punktach był może owym „zadaniem, które nie dawało żadnego autorytetu a usłane było cierniami”; wymagało ona jednak dużo większego wysiłku woli i dużo większej znajomości sztuki wojennej. Mój ojciec poświęcił się w całości tej sprawie, podczas gdy Marszałek Piłsudski skupił uwagę na decydującej przygodzie kontr-ataku, który bardzo był mu potrzebny dla zachowania prestiżu.

Armiami polskimi na północy dowodził człowiek chory, który

10. Rząd francuski postanowił najpierw odwołać generała Henrys'a i mianować mego ojca dowódcą misji. Mój ojciec nalegał, by decyzję tę odłożyć na później gdyż przekonał się na miejscu, że wywołałaby bardzo złe wrażenie. Generał Henrys i oficerowie jego przyszli mu zresztą z całą potrzebną pomocą.

prawie wcale nie opuszczał swego wagonu-salonki i stawiał słaby opór odważnym poczynaniom Tuchaczewskiego. Po odwołaniu go, wyznaczono na jego miejsce świetnego generała Hallera, którego wzmocniono nowostworzoną armią pod dowództwem generała Sikorskiego¹¹. Utworzenie tej armii nie odbyło się bez trudności, gdyż pociągnęło to za sobą uszczuplenie sił nienaruszalnej grupy, przewidzianej przez Piłsudskiego do przeprowadzenia kontr-ataku. Tym niemniej wykonano to zadanie w wyznaczonym czasie.

Mój ojciec, uspokojony co do sytuacji na północy, gdzie dysponował obecnie dobrym dowództwem i odpowiednimi siłami, mógł poświęcić się teraz sprawie obrony obozu warownego Warszawy, który stanowić miał w jego przekonaniu główną oś bitwy. Liczba oraz rozmiary notatek, które przesyłał w tej sprawie generałowi Rozwadowskiemu wskazują, że myśl jego nie opuszczała tego zagadnienia i że nie obawiał się powracać do niego codziennie. Należy utrzymać się na stanowiskach za wszelką cenę, mówi w swej notatce z 30 lipca; proszę ustalić w szczegółach linie pozycji, gdzie toczyć się będą walki, i przystąpić bezwzględnie do ich ufortyfikowania — nakazywał nazajutrz; należy utworzyć rezerwy i rozmieścić je odpowiednio, stwierdzał w notatce z 2 sierpnia; proszę podzielić obszar obrony na odcinki i wyznaczyć odpowiedzialnych dowódców, przypomina w dniu 3 sierpnia. Ale zawsze powraca jak leitmotyw nakaz: proszę wydawać rozkazy na piśmie, proszę żądać by raportowano o ich wykonaniu, proszę kontrolować samemu ich wykonanie.

Od północy do południa — wiele notatek wskazuje, że interesował się on również przygotowaniem kontr-ataku — Maxime Weygand wyciskał swe piętno na akcji wszystkich szczebli dowództwa. Gdy był niezadowolony nie ukrywał tego przed osobami odpowiedzialnymi za dane niedociągnięcie:

„Jeżeli żołnierz nie będzie się bił, nie uda się przeprowadzić żadnego planu” (3 sierpnia 1920).

„Oficerowie łącznikowi utrzymują, że III-a armia podwoiłaby w ciągu dwudziestu czterech godzin swój stan liczebny, gdyby każdy spełniał swój obowiązek” (5 sierpnia 1920).

Nie był to jednak moment by zajmować się głupstwami i rozważaniami akademickimi; decydująca chwila zbliżała się; trzeba było podsycać energię i mobilizować nie wykorzystane dotąd siły.

13 sierpnia odszyfrowano telegram armii czerwonej, który potwierdzał, że atak na Warszawę miał nastąpić lada chwila. Rozpoczął się on na południu, podczas, gdy na północy mnożyły

11. V-ta armia utworzona 5 sierpnia 1920.

się usiłowania oskrzydlenia wojsk polskich. Dzień 14 sierpnia był tak dramatyczny, że korpus dyplomatyczny wraz z misją francusko-angielską wycofał się do Poznania; z osobistości zagranicznych pozostali jedynie w Warszawie nuncjusz Ratti, przyszły Papież Pius XI i oczywiście mój ojciec. 15-go zażarte walki toczyły się na całej rozciągłości frontu i na przedmieściach Pragi, położonej na wschodniej granicy stolicy, słychać było huk armat; mimo, że przywódcy nie przygotowali narodu polskiego do tak nagłego niebezpieczeństwa, nie poddawał się on panice; dzień świąteczny 15 sierpnia uczczono żarliwie podczas gdy ludzie zdolni do pracy zajmowali się umacnianiem bliskiej linii obronnej.

W czasie tych krytycznych dni ojciec mój nie rozstawał się z generałem Rozwadowskim, odbierał w jego biurze sprawozdania przesyłane przez oddziały, pomagał w opracowywaniu rozkazów, udawał się do najbardziej zagrożonych punktów linii frontu. Gdy wieczorem wracał do Warszawy, wyczerpany pracą lecz wzmocniony na duchu widokiem zdecydowanej woli i wiary, jakie malowały się na twarzach, musiał jeszcze wysyłać telegramy do Poznania i Paryża, otrząsać z apatii ministerstwa, które w tym miesiącu wakacji niebardzo rozumiały, że nad Wisłą każda godzina liczyła się podwójnie¹².

Odwaga Polaków i niestrudzona energia mego ojca przyniosły niebawem pozytywne rezultaty. 15 sierpnia wieczorem Weygand przesłał rządowi francuskiemu sprawozdanie, stwierdzające że bitwa rozwijała się pomyślnie i że kontr-atak wyruszy nazajutrz pod kierownictwem Marszałka Piłsudskiego, który od trzech dni znajdował się przy swej grupie oczekującej z bronią u nogi na rozkaz wymarszu. 18-go zwycięstwo nie podlegało najmniejszej wątpliwości; kontr-atak zaskoczył całkowicie przeciwnika i oddziały polskie wdarły się, nie natrafiając prawie na opór, w głąb armii rosyjskiej, która musiała z kolei wycofać się pośpiesznie, by uniknąć otoczenia. Linie polskie ruszyły kolejnymi etapami naprzód; zanim upłynął miesiąc oswobodzono całe terytorium Polski a oddziały należące do grupy kontr-atakującej odcięły tyły rosyjskie biorąc do niewoli prawie pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy.

W ten sposób Polska uniknęła zniszczenia, które zagrażało jej miesiąc temu, a nad Europą przestała ciążyć straszna perspektywa nowej wojny ogólnej. Interwencja mego ojca przekształciła zwycięzcę w zwyciężonego i zakończyła się sukcesem, którego nikt nie śmiał przewidywać. W liście skierowanym do mojej babki Mar-

12. Armii polskiej brakowało obuwia; Francja, która dysponowała w swych składach sześciu milionami butów, obiecała dostarczyć pewną ich ilość; zapomniano jednak dokonać w biurach różnych formalności i wysyłka trzystu tysięcy niezbędnych par obuwia ulegała ciąglemu opóźnieniu.

szalek Foch dał wyraz entuzjazmowi, który budziła w nim rola jaką odegrał jego współpracownik w zwycięstwie pod Warszawą.

30 sierpnia 1920. — „Szanowna Pani,

Może być Pani dumna z roli jaką odegrał generał Weygand. Spełnił on wspaniale swe zadanie. Uratował Polskę, umocnił nasze zwycięstwo nad Niemcami. W ten sposób oddał największą usługę sprawie aliantów. Stwierdzają to wszyscy jednomyślnie.

Jeżeli chodzi zaś o niego samego, to wykazał całą swą wartość, przez skromność i oddanie skrywane dotąd starannie. Wiadomo teraz, że posiada wszystkie dane by prowadzić wielkie armie do zwycięstwa.

Osobiście jestem szczęśliwy, że okoliczności wydołyły na jaw jego wojskowe zalety; o zaletach tych wiedziałem, lecz zwycięstwo odniesione na oczach wszystkich stanowi ich formalne potwierdzenie”.

Mój ojciec natomiast, pisząc do swej żony, ujął sprawę tę w kilku prostych słowach:

„Bitwa zakończyła się porażką nieprzyjaciela; niech Bóg będzie błogosławiony. Z punktu widzenia artystycznego była to piękna bitwa. Z punktu widzenia konsekwencji politycznych znaczenie jej jeszcze wzrośnie”.

I myślał on już tylko o powrocie, o dobrze zasłużonym odpoczynku.

Mimo bardzo dyskretnych przygotowań wiadomość o jego wyjeździe rozeszła się szybko i Warszawa postanowiła zorganizować na jego cześć uroczystość. Nie mógł jej uniknąć, poprosił jednak, by generał Henrys, dowódca francuskich oficerów łącznikowych, którzy byli mu tak pomocni, uczestniczył przy jego boku w tym obchodzie. W salonach pałacu Krasieńskich, gdzie Weygand mieszkał, delegacje różnych stowarzyszeń złożyły mu, w nieprzerwanym pochodzie, wyrazy wdzięczności; Rada Miejska mianowała go obywatelem honorowym miasta, przedstawiciele arystokracji ofiarowali mu szablę Stefana Batorego, zwycięzcy Iwana Groźnego.

Inne ugrupowania wręczyły mu już to dawną zbroję z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, tak drogiej katolikom polskim, już to ikonę, rzeźbę lub jakąś pamiątkę; inne dary, równie cenne ze względu na ich wartość jak i na szlachetność uczuć z jakimi je ofiarowywano, napływały jeszcze w ciągu kilku miesięcy do Paryża.

W chwili gdy uroczystości te odbywały się wewnątrz pałacu, tłum ludzi zebrał się na ulicy domagając się ujrzenia bohatera dnia. Były tam dziesiątki tysięcy osób różnego wieku, różnego pochodzenia społecznego, z bukietami kwiatów, z chorągiewkami stowarzyszeń, z pismami dziękczynnymi. Ponieważ nie można było wpuścić tak licznej rzeszy do pałacu, służba porządkowa poprosiła mego ojca by zajął miejsce na honorowym dziedzińcu;

skanalizowany tłum zaczął defilować przed nim, wznosząc okrzyki na jego cześć, całując mu ręce, ofiarowując kwiaty. O dziesiątej wieczór nic nie zapowiadało jeszcze końca manifestacji; postanowiono więc — może dlatego, żeby nie urazić pewnych drażliwych osób — położyć jej kres zamykając bramy pałacu; kwiaty, które złożono u stóp mego ojca, sięgały mu wyżej kolan. Ludność uznała w nim zwycięzcę bitwy o Warszawę.

Nazajutrz, 25 sierpnia, mój ojciec opuścił Polskę; liczny tłum zgromadził się na dworcu i przyglądał uroczystości, w czasie której wręczono Weygandowi krzyż *Virtuti Militari*; odznaczenia tego nie otrzymał nigdy jeszcze żaden cudzoziemiec. W czasie uroczystości wręczenia wydarzył się drobny incydent; okazało się w ostatniej chwili, że zaginął gdzieś order i dekorowano mego ojca krzyżem generała Hallera, który zachował zresztą na zawsze. Po krótkim postoju w Krakowie gdzie atmosfera była równie entuzjastyczna, mój ojciec przybył 27-go do Paryża. Paryżanie, którzy zbiegli się, by witać go na dworcu wschodnim, wystawili jego wrodzoną skromność raz jeszcze na próbę. Zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa jakie zagrażało Europie i długo wznosili okrzyki na cześć tego, który niebezpieczeństwu temu zapobiegł, a teraz, trzymając w ręku szablę Batorego, schodził ze stopni wagonu. Kilka dni później rząd francuski przyznał mu stopień wysokiego oficera Legii Honorowej oraz czwartą gwiazdę generalską; ze wszystkich stron spadały na niego zaszczyty.



Pewną fałszywą nutę wprowadziło do tej sytuacji zachowanie się Józefa Piłsudskiego. O sprawie tej warto wspomnieć gdyż wywoła przewlekające się konsekwencje i przyćmiła nieco radość mego ojca. Szef państwa polskiego gdy tylko przekonał się o skuteczności z jednej strony oporu pod Warszawą, a z drugiej kontrataku — były to dwa zasadnicze elementy zapowiadające zwycięstwo — opuścił oddziały i powrócił pośpiesznie do stolicy by zakosztować szczęścia jakie przynosiła odmiana losu.

Wiedząc do jakiego stopnia tryumf ten był potrzebny Piłsudskiemu dla umocnienia wokół niego jedności Polski, mój ojciec usunął się w cień powtarzając nieustannie, że „zwycięstwo było sprawą polską, że odnieśli je dowódcy i żołnierze polscy wykonywując polski plan strategiczny”. Piłsudski wykorzystał ową delikatność i posunął się tak daleko, że gdy spotkał się ponownie z moim ojcem zachował się w stosunku do niego po grubiańsku zabierając głos wyłącznie po polsku. Mój ojciec nie tolerował nigdy by odnoszono się do niego bez szacunku, tutaj zaś zarea-

gował tym żywiej, że reprezentował Marszałka Focha. Napisał więc do Piłsudskiego dosyć ostry list domagając się zadośćuczynienia; przewinienie zmazano zapraszając Weyganda na oficjalny obiad, w czasie którego Marszałek podziękował mu za wszystko co zrobił dla Polski i oświadczył, iż w dniu 24-go otrzyma krzyż *Virtuti Militari*.

Ten gest pojednania nie zmienił jednak sytuacji. Kolejne rządy polskie, którym przewodniczył Piłsudski, stosowały do Weyganda pewnego rodzaju ostracyzm. Skreślono nazwisko jego z pism historycznych omawiających rok 1920, a nawet z dzienników jednostek bojowych, które odwiedzał w czasie walk. Wkrótce bramy Ambasady polskiej w Paryżu zamknęły się przed nim, a w 1932 roku gdy przyjęty został do Akademii, wywarło naciski na Jules Cambon, który odpowiedzieć miał na jego mowę, aby nie wspominał o roli jaką odegrał w zwycięstwie pod Warszawą, zwanego obecnie cudem nad Wisłą¹³. Metodyczne fałszowanie historii należy do zwyczajów osób sprawujących władzę personalną.

Prezydent Paderewski był jednym z pierwszych który dowiedział się o stanowisku zajęтым przez jego następcę. Poruszony do głębi, wyraził memu ojcu wdzięczność i nie przestał jej objawiać aż do swej śmierci w 1941 roku. 27 sierpnia 1920 dał jej wyraz w następującym telegramie:

„Cześć i wdzięczność znakomitemu zwycięzcy bitwy pod Warszawą. Poprowadził Pan naszych żołnierzy do zwycięstwa. Uratował Pan całość i niepodległość naszego kraju. Polska nie zapomni nigdy dzieła, którego Pan dokonał. Jest ono ogromne a Pana postawa podyktowana skromnością nie zdoła go pomniejszyć. Do tysięcy okrzyków, które wznoszono na Pana cześć w Polsce, pragnę dorzucić, na podobieństwo odległego echa, te proste słowa: winszuję Panu, pełen entuzjazmu i nieskończonej wdzięczności”.

Główni aktorzy tragedii 1920 roku — Sapięha, Haller, Sikorski itd. — pozostali również wierni memu ojcu. Jedynie generał Rozwadowski nie mógł dłużej dawać wyrazu swym uczuciom: wtrącony do więzienia przez Piłsudskiego w 1926 roku, zmarł tam w dosyć tajemniczych okolicznościach.

O ile ojciec mój starał się zawsze — dla względów, o których wspominałem już — podkreślać zasługi Polaków, to o sprawie bitwy myślał w rzeczywistości nieco inaczej. Gdy w 1935 roku redaktor naczelny miesięcznika wojskowego przesłał mu projekt artykułu poświęconego 1920-mu rokowi, odpisał mu w ten sposób:

13. Ambasador zastosował się, choć w sposób dyskretny, do życzenia rządu polskiego.

„Plan wykonano by fatalnie gdyby nie me doświadczenie, wola działania oraz znajomość bitwy, jaką posiadałem. Artykuł, który mi Pan przesłał, doskonale podkreśla cechy postępowania Piłsudskiego: opóźnienie z jakim rozumiał konieczność uszczuplenia sił na południu na korzyść północy; jego troskę polityczną by być tam gdzie skupia się na sobie uwagę, a nie tam gdzie się dowodzi; jego całkowity brak zrozumienia dla potrzeby stawienia zwycięskiego oporu na froncie warszawskim po to, by umożliwić przeprowadzenie decydującego manewru oskrzydłającego, i w konsekwencji jego sprzeciw przeciwko utworzeniu armii Sikorskiego, którą zorganizowałem mimo wszystko, a która jedna była się naprawdę zapewniając powodzenie planu, dzięki swej wspaniałej postawie obronnej, itd.

A jeżeli chodzi — już nie w płaszczyźnie zagadnień formalnych — o sprawy ducha jaki panował, to stwierdzam, że gdybym nie doprowadził, dzięki temu, że reprezentowałem chwałę Marszałka Focha, do otrząśnięcia się moralnego, plan nie byłby na pewno wykonany na czas. I jestem szczerze przekonany, że gdybym nie był na miejscu, *ja czy ktoś inny posiadający odpowiednią wiedzę i odpowiednią wolę działania*, nie doszłoby może do bitwy pod Warszawą”.

Na zakończenie listu Weygand prosił, by nie ogłaszać artykułu, który mógłby zaszkodzić przyjaźni francusko-polskiej. Do prośby jego zastosowano się.



Gdy los Europy rozstrzygał się nad brzegami Wisły, czekałiśmy na mego ojca w Bretanii, w domu, który nabył niedawno, a który mieliśmy zainaugurować uroczystie tego lata.

Mój dziadek zmarł w 1914 roku; jego brat Hilarion w 1920; zarówno jeden jak i drugi dobrze gospodarowali spadkiem po ich rodzicach i część, która przypadła mojej matce, wystarczała, by stworzyć, dla niej i dla jej męża, pewien brakujący im do tychczas punkt zaczepienia.

Należało więc tylko znaleźć dom do mieszkania. Na początku 1920 roku mój ojciec odkrył to czego szukał u wylotu Morlaix, na drodze prowadzącej do Paryża. Miasteczko było dostatecznie blisko by można było chodzić do niego na piechotę; posiadłość Marszałka Focha znajdowała się w odległości kilku kilometrów; pojazd angielski i koń pozwalały na składanie wizyt krewnym i najbliższym przyjaciółom.

Nowy nabytek, Coatamour, był solidnym pałacykiem, otoczonym dobrze rozplanowanym małym parkiem, z przyjemnym widokiem; dom jednak pozbawiony był wygód, a całość opuszczona. Mój ojciec przystąpił natychmiast do jego urządzania; ani brak środków — trzeba było sprzedać jedno czy dwa gospodarstwa — ani zastrzeżenia, które wysuwała żona, nie ostudziły jego entuzjazmu. Ile razy tylko dysponował chwilą wolnego czasu, wskakiwał do pociągu i przyjeżdżał na miejsce by przyspieszyć bieg prac;

napotymane trudności nie wywoływały w nim innej reakcji jak tylko wysunięcie jakiegoś nowego planu przeprowadzenia odpowiednich zmian.

W sierpniu 1920 roku dom nadawał się już do zamieszkania. Zarówno w Warszawie jak i w Paryżu, gdzie entuzjazm jaki budził przypłacić mógł o zawrót głowy osobę mniej odporną niż on — myślał często o chwili gdy będzie już w Bretanii i cieszyć się będzie tym co wydawało mu się odpowiednimi warunkami egzystencji dla człowieka starszego.

Gdy przebywał w Coatamour wykonywał chętnie różne prace ręczne; był silny i zręczny, pamiętam też, że spędzaliśmy wspólnie całe godziny na struganiu płotów lub ścinaniu młodych drzew. Nic nie sprawiało mu większego zadowolenia jak dobre wykonanie jakiejś roboty wiejskiej, w cieniu klonów bretońskich, w towarzystwie szczygłów, które fruwały wokół niego podczas gdy pracował.

Stary kapelusz o opuszczonych brzegach, koszula z zawiniętymi rękawami i flanelowe dosyć zniszczone spodnie nadawały mu wygląd wiejski, mocno odmienny od tego, który spopularyzowała już prasa. Któregoś dnia miał na sobie taki właśnie strój i pracował nad oczyszczeniem lasku z zarośli gdy zjawił się ktoś z wizytą:

— Dobry człowieku — krzyknął on z daleka do mojego ojca — czy nie wiecie przypadkiem czy generał Weygand jest w domu?

— Generał? — odpowiedział mój ojciec wyprostowując się — nie, nie ma go, wyszedł.

Tamten, nie zbliżając się i nie rozpoznając osoby, z którą rozmawiał, zawołał:

— No to dobrze, powiedzcie mu, że przyjdę za chwilę.

I podał swe nazwisko, które nie wywołało spodziewanego wrażenia gdyż gdy tylko oddalił się mój ojciec wybuchnął śmiechem, szczęśliwy, że udało mu się zachować incognito. Rozgłos, bez względu na to jaką formę przybierał, nie sprawiał mu nigdy przyjemności¹⁴.

Jacques WEYGAND

(Tłumaczył z francuskiego Paweł Zdziechowski)

14. W tym samym mniej więcej okresie zwiedziłem muzeum Grévin w Paryżu i zatrzymałem się przed sceną, która przedstawiała bitwę pod Warszawą. Jakaś starsza kobieta, stojąca za mną, odczytywała z trudem nazwiska; na Piłsudskim potknęła się kilkakrotnie; Weygand przekroczył jednak jej możliwości:

— Pégand — mruzczała — Pégand! Któż to taki? Cóż on takiego zrobił?

Historia ta bardzo spodobała się memu ojcu i gdy wracał późno do siebie, przedstawiał się dozorczydni domu jako Pégand.

S. SZTIEMIENKO
generał armii

NA DRODZE DO ZWYCIĘSTWA

Narada w Kwaterze Głównej 27-29 lipca 1944 roku

Dnie w których odbywała się narada w Kwaterze Głównej, stały pod znakiem skomplikowanej sytuacji wojskowo-politycznej na obszarze Polski.

Pod koniec 25 lipca jednostki armii pancernej C. I. Bogdanowa i 8-ej armii gwardyjskiej W. I. Czujkowa zdobywszy Dęblin i Puławy, wyszły na wschodni brzeg Wisły. W tym samym czasie 2-gi gwardyjski korpus kawalerii W. W. Kriukowa wszczął bitwę o południowe przedmieście Siedlec, skąd, jak nam wszystkim się wówczas wydawało, otwierała się prosta droga na Warszawę. Nie udało się jednak sukcesu zrealizować, albowiem dowództwo hitlerowskie pchnęło tam nowe wojska. Dwa dni wcześniej zaczęło się przeciwnatarcie czołgów i piechoty nieprzyjaciela również i na prawym skrzydle frontu, szczególnie silne w strefie 65-ej armii P. I. Batowa. Kontrataki owe były odparte, ale tempo naszego natarcia wyraźnie zmalało.

27 lipca uderzenia 28-ej armii generała A. A. Łuczyńskiego ze wschodu i 70-ej armii generała W. S. Popowa z zachodu i południowego zachodu przyczyniły się do okrążenia w rejonie Brześcia znacznego ugrupowania nieprzyjaciela, którego likwidacja wymagała dwóch dni czasu.

W wyniku bystrych akcji dotarła do Wisły na południe od Puław również i 69-ta armia W. J. Kołpakczy. Jej oddział wydzielony sforsował rzekę, zdobył niewielki przyczółek i zaczął go natychmiast rozszerzać.

Szczególnie zażarte walki rozgorzały 27 lipca w rejonie Siedlec. Nacieraly tu główne siły 47-ej armii, którą dowodził wówczas generał N. I. Gusiew, oraz 2-ej armii pancernej. Czołgiści otrzy-

mali przy tym zadanie zdobycia wschodniego przedmieścia stolicy Polski — Pragi, przeprawy przez Wisłę i odcięcia dróg wycofania na zachód całemu zgrupowaniu niemiecko-faszystowskich wojsk, znajdującemu się na wschód od Wisły.

Biorąc pod uwagę i dalszy rozwój natarcia w kierunku na Warszawę wzdłuż zachodniego i wschodniego brzegu Wisły, dowództwo frontu wprowadziło I Armię Polską do rzutu pierwszego na odcinku Rycice (10 kilometrów na północ od Dębina), Włostowice (10 kilometrów na południe od Puław).

Wysunięcie I Armii Polskiej do rzutu pierwszego miało olbrzymie znaczenie zarówno bojowe jak i moralno-polityczne. Dowództwo sowieckie oszczędzało ją jednak i dopiero teraz uznało że ma prawo wprowadzenia jej do walki. Towarzyszom polskim dano możliwość wykazania swoich uczuć patriotycznych bezpośrednio pod murami Warszawy. Należy dodać, że w owym czasie przeżywano pierwsze, szczególnie wzruszające chwile powrotu synów Polski do ziemi ojczystej. Armia po przejściu granicy Polską na Zachodnim Bugu wysłała natychmiast do Sowietckiego Dowództwa Naczelnego krótki telegram podpisany przez jej dowódcę Zygmunta Berlinga: „Przeszliśmy Bug. Z całego serca i z całej duszy wszystkich żołnierzy armii — niech żyje Stalin!... Niebywały entuzjazm. Masa ochotników...”. Teraz I Armia Polska była głównym jądrem krzepnącej z dnia na dzień zbrojnej ostoji Polski Ludowej — Wojska Polskiego.

Inne wiadomości nadeszły z obozu „londyńczyków”: tam armii Berlinga nie uznawano za polską, jej wojowników-patriotów nazywano najemnikami. Na terenach Polski „londyńczycy” stawali się narzucić swoją władzę i stare, minione porządki. W jednym ich rozkazie było wręcz powiedziane, że wszystkie zakusy „sformowania lewicowych ośrodków kierowniczych („rządów”) będą surowo stłumione nawet przy użyciu siły”. Premier angielski całkowicie popierał przedstawicieli owego obozu burżuazyjnych polityków. Do czasu narady Kwatery Głównej londyński „rząd” polski wykazał już swoją reakcyjność, a mianowicie, przeciwdziałając wszelkimi sposobami stworzeniu organów demokratycznego kierownictwa.

Kwaterze Głównej było wiadomo, że 27 lipca wybrał się z Londynu do Moskwy premier emigracyjnego „rządu” burżuazyjnego Polski S. Mikołajczyk. Jechał, aby uzyskać zgodę rządu sowieckiego na objęcie władzy w Polsce przez Polaków londyńskich. Przynaglały go liczne okoliczności: stale rosnący autorytet Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego oraz Polskiej Partii Robotniczej, wzmagające się uczucie sympatii do nas ze strony narodu polskiego i nasze sukcesy wojenne. Zaniepokoili Mikołaj-

czyka wreszcie ogłoszone w przeddzień oświadczenie rządu ZSSR, gdzie była mowa o tym, że „... Rząd Sowiecki nie ma zamiaru ustanawiać na obszarze Polski organów swojej administracji, uważając to za sprawę narodu polskiego. Postanowił wobec tego zawrzeć z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego 'Porozumienie o stosunkach między Dowództwem Sowieckim i administracją polską'”. A dalej: „Rząd Sowiecki oświadcza, że nie ma na celu zagarnięcia jakiejkolwiek części terenów polskich albo zmiany ustroju społecznego w Polsce, zaś działania wojenne Armii Czerwonej na terenach Polski podyktowane są wyłącznie koniecznością wojenną i dążeniem okazania zaprzyjaźnionemu narodowi polskiemu pomocy przy wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej*”.

Tak jasno i szczerze wypowiedział się Rząd Sowiecki. Mikołajczyk zaś wiele ukrywał. Ani pisał o planach swego gabinetu i dowództwa Armii Krajowej, które 24 lipca postanowiły wznieść w Warszawie powstanie, przy czym za wszelką cenę przed wejściem wojsk sowieckich do miasta. Ta awanturnicza decyzja miała na celu opanowanie stolicy, aby przeciwstawić Rządowi Tymczasowemu demokratycznej Polski swoje organy władzy, przysporzyć dodatkowych trudności naszym nacierającym w Polsce frontom i Wojsku Polskiemu oraz stworzyć w Warszawie punkt oporu dla reakcji.

Należy dodać, że powstanie według planu znanego pod umowną nazwą „Burza”, dawno już było zamierzone. 25 lipca Komentant Główny Armii Krajowej, generał Tadeusz Bór-Komorowski, złożył meldunek Londynowi: „Gotowi w każdej chwili do bitwy o Warszawę”. A jednak, jak już wspominałem, ani rząd Mikołajczyka, ani kierownictwo Armii Krajowej, ani tak zwana Delegatura w Warszawie nie zawiadomiły o tym Rządu Sowieckiego i dowództwa naszych wojsk. Wszystko było utrzymane w najgłębszej tajemnicy.

W kierunku zachodnim, gdzie przeciwnik nie rozporządzał mocną obroną, spodziewano się poważnych sukcesów już w ciągu najbliższych dni. Rozbicie nieprzyjaciela pod Lwowem, o czym powiadomiono w czasie narady Kwatery Głównej, stwarzało perspektywę działań na południe od Warszawy. W związku z tym niezwyklej ważności nabierał rejon Sandomierza w strefie 1-go Frontu Ukraińskiego I. S. Koniewa: był to klucz do środkowej Polski i obrony przeciwnika za Wisłą.

Wojska 1-go Frontu Białoruskiego w dalszym ciągu działały dwoma skrzydłowymi ugrupowaniami. Przy tym, jak już była

* „Polityka Zewnętrzna Związku Sowieckiego w okresie Wojny Ojczyźnianej”, Gospolitizdat, 1946, tom II, str. 155.

mowa, dwie ogólnowojskowe armie jego lewego skrzydła (8-ma gwardyjska i 69-ta) wyszły już nad Wisłę i 27 lipca zaczęły ją forsować, zdobywając w krótkim czasie niewielkie przyczółki w rejonach Magnuszewa i Puław. Wysuwała się również ku Wiśle I Armia Polska. 2-ga armia pancerna nacierała skutecznie wzdłuż wschodniego brzegu Wisły w stronę przedmieścia Warszawy — Pragi. Dowodził czołgistami szef sztabu armii generał-major A. I. Radziejewski, ponieważ dowódca armii S. I. Bogdanow został ranny i z rozkazu Stalina wywieziono go do Moskwy. Reszta sił lewego skrzydła frontu wysunęła się do rejonu Siedlec. Żadnych niepokojących sygnałów stamtąd nie było.

Gorsza sytuacja powstała na prawym skrzydle frontu — pozostawało ono w tyle o 200-250 kilometrów. Zdobyto tam Białystok i wojska podeszły pod Brześć. W najbliższym czasie miało nastąpić wyzwolenie Brześcia. Uczestnicy narady nie dostrzegali szczególnego zagrożenia w zwolnieniu ogólnego tempa natarcia. Wszyscy byli tego samego zdania, że wojska 1-go Frontu Białoruskiego, po złamaniu oporu nieprzyjaciela w rejonach Brześcia i Siedlec, wyzyskując sukcesy posuwających się na północ czołgistów Bogdanowa potrafią nadrobić straty: będą nacierać na Warszawę i zdobędą leżącą na wschodnim brzegu Wisły Pragę, chociaż siły ich są osłabione, a zaopatrzenie szwankuje po całomiesięcznym natarciu w okresie Operacji Białoruskiej.

Uczestnicy narady doszli do wniosku, że najsukuteczniejsze będzie natarcie na Warszawę prawym skrzydłem 1-go Frontu Białoruskiego. Postanowiono: na owym skrzydle, po zdobyciu rejonów Brześcia i Siedlec, 1-szy Front Białoruski powinien nieprzerwanie rozwijać natarcie w ogólnym kierunku na Warszawę i nie później jak 5-8 sierpnia zdobyć jej przedmieście Pragę jak również przyczółek na rzece Narew w rejonie Pułtusk-Serock, na styku z 2-im Frontem Białoruskim. Lewe skrzydło frontu miało opanować przyczółki na Wiśle w rejonie Dęblin, Zwoleń, Solec.

Zakładano, że przyczółki owe będą służyć dla uderzeń w północno-zachodnim kierunku, aby złamać obronę przeciwnika wzdłuż Narwi i Wisły i ułatwić wojskom sforsowanie tych rzek. A dalej planowano nacierać w ogólnym kierunku na Częstochowę i Kraków.

Płomień Warszawy

Wojska nasze posuwały się w dalszym ciągu, szczególnie wyraźnie na południowy wschód od Warszawy, na lewym skrzy-

dle 1-go Frontu Białoruskiego i na zachód od Lwowa, na 1-szym Froncie Ukraińskim. Zatrzymajmy się na wydarzeniach, które miały miejsce w wojskach K. K. Rokossowskiego. Z powodu błędów naszego rozpoznania na szczeblu taktycznym, przytrafiło się tam coś nieprzewidzianego. Pierwszego dnia narady Kwatery Głównej, 2-ga armia pancerna, rozwijając natarcie, zetknęła się nieoczekiwanie z potężnymi siłami przeciwnika. Jak się później okazało, były to przerzucone z południa: 19-ta dywizja pancerna, dywizje pancerne SS „Trupia Główka” i „Wiking”, dywizja spadochronowo-pancerna „Herman Göring” i szereg związków taktycznych piechoty 2-ej armii niemieckiej.

We wszczętej w dni następne zaciętej walce na linii Siedlce-Mińsk Mazowiecki nie udało się powstrzymać kontratakujących czołgów przeciwnika. Na wąskim odcinku frontu nieprzyjaciel uzyskał znaczną przewagę w siłach, zadał straty czołowemu korpusowi 2-ej armii pancernej, a następnie przetrzebił i jej pozostałe korpusy.

Krwawe i niesłychanie zażarte walki trwały kilka dni. W ich wyniku obrona przeciwnika, opierająca się o rejon umocniony Warszawy, uzyskała na pewien czas względną trwałość. Nasza ofensywa na Pragę okazała się sparaliżowana.

Była to bardzo ważna okoliczność. Niepowodzenie manewru 2-ej armii pancernej, podjętego w celu odcięcia dróg wycofania na zachód znajdującym się na wschód od Wisły wojskom nieprzyjaciela, wywarło ujemny wpływ na całość sytuacji w owym rejonie. Bez pomocy armii pancernej wojska prawego skrzydła 1-go Frontu Białoruskiego, pozostające w tyle i osłabione długotrwałym i nieprzerwanym natarciem przez Białoruś, nie mogły szybko wyjść na Warszawę.

Należy zaznaczyć, że wydarzenia pod Warszawą nie od razu zostały właściwie ocenione. Przedstawiciel Kwatery Głównej G. K. Żukow, dowództwo frontu i Sztab Generalny początkowo nie przywiązywali do nich wielkiej wagi w przekonaniu, że przeciwnik zostanie wkrótce rozbity. Ale dni upływały, a sytuacja się nie poprawiała. Co więcej, otrzymane o przeciwniku wiadomości odsuwały daleko termin forsowania Wisły i stawiały na pierwszym miejscu zadanie utrzymania tak silnie wysuniętych do przodu pozycji. Niemiecko-faszystowskie dowództwo mogło użyć dużego ugrupowania sił, które zatrzymało nasze wojska, aby uderzyć z północy na południe wzdłuż wschodniego brzegu Wisły na wojska lewego skrzydła 1-go Frontu Białoruskiego. Zdaniem dowódcy frontu nieprzyjaciel dysponował tu w przybliżeniu 20 dywizjami, oczekiwaliśmy więc, że z całą pewnością zada takie uderzenie.

A co się tyczy skutków, to jak oświadczył K. K. Rokossowski korespondentowi francuskiej gazety *Le Monde*, Henri Magnanowi, każda próba sforsowania Wisły przez wojska naszego lewego skrzydła mogłaby doprowadzić do porażki. „Groziło nam uderzenie na nasze prawe skrzydło. Oto i cały problem” — tak zakończył w swoim czasie rozmowę na ten temat Konstanty Konstantynowicz z dziennikarzem francuskim.

To wszystko nie oznacza bynajmniej, że dowództwo sowieckie z założonymi rękoma oczekiwało uderzenia na skrzydło. G. K. Żukow i K. K. Rokossowski wraz ze Sztabem Generalnym od początku sierpnia 1944 roku podejmowali energiczne wysiłki, aby zlikwidować ugrupowanie przeciwnika na podejściach do Warszawy. Świadczą o tym odbyte nie jeden raz w Kwaterze Głównej omówienia dalszych działań 1-go Frontu Białoruskiego i bezustanne, długotrwałe walki, które udaremniły aktywne i wielce niebezpieczne przeciwdziałania nieprzyjaciela. Atoli nie doszło do pomyślnego dla nas przełomu pod Warszawą.

Wymieniam te perypetie rzeczywistości wojennej nie tylko dlatego, że są one ciekawe same dla siebie. Są też ważne w związku z powstaniem w okupowanej przez nieprzyjaciela Warszawie. Odrzucają one potwarze i jawne oszczerstwo antagonistów Polski Ludowej i Związku Sowieckiego. Ponieważ część zagadnień o wydarzeniach pod Warszawą i w samej stolicy Polski w czasie powstania nie została jeszcze dostatecznie oświetlona w naszej literaturze, opiszę je nieco obszerniej.

Powstanie warszawskie, zaplanowane w Londynie, należy traktować jako akt mający na celu konsolidację pozycji polskiej bruuzazji, którą reprezentowali Raczkiewicz, Sosnkowski, Mikołajczyk i inni. Ani Rząd Sowiecki, ani dowództwo Armii Czerwonej, ani organy władzy ludowej w Polsce, ani Wojsko Polskie nie były o nim zawiadomione i nie miały danych o jego przygotowaniach. Jeśli dać wiarę dowództwu wojskowemu sprzymierzeńców, to ono również nic o tym nie wiedziało. Dowództwo wojsk sowieckich nie posiadało informacji nie dlatego, że brak było rozpoznania. Na odwrót, wywiad działał. Ale warunki najściślej konspiracji, w których przygotowywano powstanie, nie pozwoliły na uzyskanie nieodzownych informacji.

Podporządkowane „rządowi” londyńskiemu dowództwo Armii Krajowej dążyło za wszelką cenę do izolowania rejonu Warszawy od wojsk sowieckich. Oddziały podziemnej Armii Krajowej, według wytycznych jej Komendanta Głównego, generała Bór-Komorowskiego, odmówiły nawiązania kontaktu z naszymi wojskami i uzgodnienia z nimi swoich działań. Zawiadomił nas o tym K. K. Rokossowski natychmiast po zajęciu Lublina. Szykowane

w tajemnicy powstanie było skierowane nie tylko przeciw niemiecko-faszystowskiemu okupantom, ale i przeciw władzy ludowej w Polsce.

Dowództwo Armii Krajowej, przedstawiciele „rządu” londyńskiego i grupa ich najbliższych współpracowników nawet na swój sposób, ale za to bardzo uważnie śledzili przebieg walk na niemiecko-sowieckim froncie, a przede wszystkim pod Warszawą. Zdawali sobie sprawę, że w bliskiej przyszłości szala zwycięstwa przechyli się na stronę Armii Czerwonej. Tak zwany „rząd” londyński dążył do ustanowienia swojej władzy w Warszawie, panowania burżuazji i obszarników, zanim oddziały sowieckie i Wojsko Polskie wejdą do miasta, ponieważ obawiał się, że w przeciwnym razie zostanie ustanowiona władza ludowa. W obawie przed spóźnieniem, organizatorzy powstania wielokrotnie przerosili dzień i godzinę początku działań w stolicy. W końcu wyznaczono go na 17-tą godzinę w dniu 1 sierpnia 1944 roku.

Był to dla nas bardzo trudny okres. Jak już o tym była mowa, przeciwnik potrafił zatrzymać działania zaczepne wojsk 1-go Frontu Białoruskiego i nie mogły one wejść do Warszawy przed terminem, w którym Armia Krajowa planowała ustanowienie tam swego reżymu. Tak więc spiskowcy mieli nadzieję opanować sytuację w stolicy właśnie przed zbliżeniem się wojsk sowieckich i I Armii Polskiej, która została teraz włączona do tworzącego się Wojska Polskiego.

Przyświecała im być może nadzieja, że sprzymierzeńcy zachodni pomogą im wysadzić desant powietrzny, który służyłby jako pewna ostoja dla „rządu” polskiego w Londynie. Jednakowoż — jak stwierdza Zenon Kliszko w swoim studium „Powstanie warszawskie”, opartym na bogatym materiale dokumentarnym (książka ta w przekładzie z języka polskiego została wydana przez wydawnictwo literatury politycznej w 1969 roku) — dowództwo naczelne Wielkiej Brytanii i USA jeszcze jesienią 1943 dało stanowczo do zrozumienia „rządowi” londyńskiemu, że nie może on liczyć na ich transport powietrzny. Naturalnie, że rozwiąły się również nadzieje na desant.

Jest rzeczą oczywistą, że reakcyoniści angielscy życzyli z całego serca sukcesu prowokacji Bór-Komorowskiego, ale bardziej rozsądni politycy, jak pisze Kliszko, „wpadli w zakłopotanie wskutek postawy swego alianta polskiego”, zrozumieli bowiem, że „powstanie warszawskie skierowane jest przeciwko Związkowi Sowieckiemu”, nie mogli więc podjąć się ryzyka w takiej sprawie. Niezależnie od tego, okazanie pomocy drogą powietrzną związane było dla Anglików z określonym niebezpieczeństwem. Silna niemiecka obrona przeciwlotnicza czyniła niezdolnymi do walki

samoloty angielskie lecące na Warszawę. Anglicy postanowili zrezygnować z lotów.

Organizatorzy spisku nie myśleli o wznieceniu powstania w owe dni kiedy wojska sowieckie były pod Mińskiem i na wschód od Kowla, ale wyczekiwali aż front zbliży się do Warszawy. Pozwalało to im żywić nadzieję, że nasze armie się nie spóźnią i przybędą w sukurs, jeśli powstańcy znajdą się w opresji.

Powodzenie każdej operacji — czy to najmniejszej, czy też największej — zależy od wielu czynników. Wśród nich nieposlednią rolę odgrywa plan działań. Szczególnie ważny jest taki plan dla powstania — wielce skomplikowanej formy walki zbrojnej. Ogólnie wiadomo, że nawet najbardziej doskonały pod względem myśli przewodniej i celu plan skazany jest na niepowodzenie, jeśli nie odpowiada sytuacji i pozbawiony jest nieodzownego zabezpieczenia.

Nie miałem okazji by mieć w rękę plan „Burzy”, w którego ramach dowództwo naczelne Armii Krajowej przedsięwzięło realizację powstania w Warszawie. Ale, jak przekonująco świadczy w swojej książce Zenon Kliszko, wcale nie opracowano ogólnego planu działań zbrojnych dla powstańców. Istniało tylko szkieletowe opracowanie terminów i obiektów napadu, i to bynajmniej nie dla wszystkich oddziałów, zresztą tylko na papierze. Na początku działań wojennych nie wszędzie nawet zorganizowano elementarne kierownictwo siłami powstańców. Na Żoliborzu, na przykład, przedstawiciel dowództwa Armii Krajowej zjawiał się dopiero w czwartym dniu powstania.

W określony dzień, ale z powodu rozmaitych okoliczności o różnej porze, podziemne oddziały Armii Krajowej wszczęły powstanie, i od razu ujawnił się brak jednolitego planu działań. Wielu żołnierzy poszukiwało swoich dowódców, jedni i drudzy nie wiedzieli gdzie znajdują się składy uzbrojenia i oporządzenia. Jak piszą uczestnicy powstania, całe kompanie, sformowane w podziemnym okresie, okazały się odcięte od punktów zbiórki. Ponieważ nie wszystkie oddziały na początku powstania miały swoich dowódców, działania bojowe powstańców cechował brak dostatecznie określonego celu. Zbyt słaby był też nacisk na nieprzyjaciela: przecież we wszystkich oddziałach Armii Krajowej było zaledwie 16 tysięcy ludzi, a ręczną broń palną (inną prawie nie dysponowano) posiadało wśród nich tylko 3,5 tysiąca.

Równocześnie powstanie nabrało nieoczekiwanego dla jego organizatorów charakteru i rozmachu. Nienawiść ludności Warszawy do okupantów hitlerowskich znalazła teraz ujście; przeważająca większość mieszkańców przyłączyła się do powstania: ludzie zaczęli wznosić barykady, zasilili szeregi bojowników, cho-

ciąż nie mieli broni. Byli przekonani, że powstanie uzgodniono z dowództwem sowieckim. Przekonania tego nie zachwiał nawet apel delegatury polskiego „rządu” londyńskiego do warszawiaków, w którym nie było nawet słowa o Armii Czerwonej.

Masowe poparcie powstania przez ludność Warszawy przyczyniło się w pierwszym okresie do względnego sukcesu. Nie udało się jednak Armii Krajowej opanować całego obszaru miasta. Na trzeci dzień wydarzenia zaczęły przybierać obrót zupełnie inny, niż spiskowcy sobie wyobrażali. Przeciwnik nie poniósł dotkliwych strat, utrzymał kluczowe pozycje w mieście, szybko uporął się z sytuacją i zmusił powstańców do przejścia do obrony. A do tego nie byli oni wcale przygotowani. Nie starczyło sił. Na domiar powstańcom oprócz uzbrojenia bardzo brakowało amunicji, środków łączności i medykamentów.

Zaplanowana z zimnym wyrachowaniem politycznym błyskawiczna akcja Armii Krajowej zamieniła się w powstanie mas ludowych Warszawy przeciw zaborcom hitlerowskim. Nie było ono jednak zabezpieczone, więc uderzenia dowództwa niemieckofaszystowskiego doprowadziły je w końcu do klęski.

K. K. Rokossowski wspomina, że 2 sierpnia otrzymał z wywiadu wiadomość, jakoby w Warszawie zaczęło się jakieś powstanie. Próby skonkretyzowania owych danych nie dały rezultatu. Ani Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, ani Krajowa Rada Narodowa, ani dowództwo Wojska Polskiego nic o powstaniu nie wiedziały. Później okazało się, że nawet dowództwo oddziałów Armii Ludowej, znajdujących się w Warszawie, nie było o nim powiadomione. Kiedy jednak szerokie masy warszawiaków porwały się do walki, komuniści i kierowane przez nich oddziały Armii Ludowej* postanowili przyłączyć się do powstania i oddali swoje siły do dyspozycji dowództwa Armii Krajowej. Decyzja ta zażegnała możliwy rozłam sił antyhitlerowskich w Warszawie i wzmocniła je wydatnie. Żołnierze i dowódcy Armii Ludowej dowiedli swoją krwią na barykadach warszawskich, że dochowali wierności sprawie wyzwolenia narodu spod okupacji niemieckofaszystowskiej.

Premier „rządu” polskiego w Londynie, S. Mikołajczyk, który przybył właśnie do Moskwy na pertraktacje, nie zakomunikował nic konkretnego o wydarzeniach w Warszawie. A przecież w drodze z Londynu spotkał się 28 lipca w Kairze z emisariuszami warszawskimi, którzy zapewne nie omieszkali mu zameldować o powstaniu. Na przyjęciu w Ludowym Komisariacie Spraw Za-

* Armia Ludowa — organizacja zbrojna, kierowana przez komunistów, stworzona jako siła narodu w celu wyzwolenia Polski spod zaborców hitlerowskich. Weszła jako część składowa do Wojska Polskiego. (Nota autora. — Red.).

granicznych, 31 lipca, Mikołajczyk oświadczył, że opracowano plan działań i rząd polski skupia obecnie swe siły. Odnośnie Warszawy Mikołajczyk powiedział, że rząd polski „rozważał” plan powstania generalnego i chciałby prosić rząd sowiecki o bombardowanie lotnisk wokół miasta. Tak oto, wszystko było przedstawione bardzo ogólnikowo i jako sprawa dość odległej przyszłości. O pierwszych dniach walk w stolicy Polski premier „rządu” londyńskiego najwidoczniej nie miał zamiaru mówić. Wskutek wysiłków niemiecko-faszystowskich okupantów i starań burżuazyjnego kierownictwa Armii Krajowej, Warszawa została ściśle odizolowana od tych, którzy rzeczywiście mogli pomóc powstańcom w osiągnięciu zwycięstwa.

Dowódca 1-go Frontu Białoruskiego wszelkimi sposobami usiłował nawiązać łączność z powstańcami, jak również z kierownikiem wojskowym powstania. Ale na wysłany do generała Bór-Komorowskiego telegram K. K. Rokossowski nie otrzymał odpowiedzi.

2 sierpnia sytuacja na froncie sowiecko-niemieckim mocno się skomplikowała. Pod Warszawą przeciwnik wykonał bardzo silne kontr-uderzenie na 2-gą pancerną i 47-mą armię, zmuszając je do prowadzenia trudnej obrony w nieprzychylnych warunkach. Jednostki tych armii były wyciągnięte w linię. Dowódca frontu nie dysponował żadnymi odwodami, w każdej zaś chwili można było się spodziewać, że czołgi nieprzyjaciela ruszą na południe wzdłuż Wisły, aby zadać klęskę wojskom lewego skrzydła frontu, zajętemu forsowaniem. A tymczasem Warszawa płonąła. Dym widzieli wysunięci dla kierowania działaniami bojowymi w rejon kontr-uderzenia przeciwnika nasi dowódcy i sam K. K. Rokossowski.

Po upływie kilku dni bohaterskie działania wojsk sowieckich i kunszt dowodzenia położyły kres chwilowym sukcesom przeciwnika na 1-szym Froncie Białoruskim. Nie udało mu się skruszyć lub zmusić poważnie do odwrotu naszych armii. Ale i my nie mogliśmy też przełamać niemiecko-faszystowskiej obrony.

Warszawa broczyła krwią, ale ani dowództwo Armii Krajowej ani polski emigracyjny „rząd” w Londynie ani razu nie zwróciły się do Rządu Sowietckiego albo Dowództwa Sowietckiego z prośbą o pomoc dla powstańców. Nie uważano nawet za wskazane poinformować o powstaniu. Dopiero później zdaliśmy sobie sprawę, że ani informacja, ani prośba nie wchodziły w rachuby polityczne grupy Mikołajczyka i dowództwa Armii Krajowej nawet wtedy, gdy wojska hitlerowskie zaczęły topić powstanie we krwi. Rząd Sowietcki w dalszym ciągu nie był zawiadomiony ani o celu, ani o rozmiarach powstania, ani też o sytuacji w

mieście: odpowiedź na telegram Rokossowskiego nie nadeszła, łączności z miastem nie było, wszystkie wysiłki wywiadu wojskowego zostały udaremnione przeciwdziałaniami przeciwnika na Wiśle.

W owe dni J. W. Stalin otrzymał pokrzepiający list od Churchilla. Była tam pierwsza wzmianka o powstaniu warszawskim. Churchill zawiadamił, że Armia Krajowa prosiła Anglików o szybką pomoc dla powstańców w postaci uzbrojenia i amunicji, która to prośba zostanie spełniona. Przy okazji była mowa o tym, że walki w Warszawie nacechowane są zaciętością. Premier pisał, że powstańcy proszą również Rosjan o pomoc i spodziewają się, że ona wkrótce nadejdzie. Według Churchilla półtora dywizji niemieckiej atakowało powstańców. List kończył się wieloznacznym zdaniem: „To może być pomocne dla Waszych operacji”.

J. W. Stalin przede wszystkim nie uwierzył w prawdziwość informacji, otrzymanej od W. Churchilla. Już nazajutrz odpowiedział premierowi angielskiemu, że wszystkie dane są silnie przesadzone i nie budzą zaufania. Szczególne wątpliwości nastęrcza zamiar opanowania Warszawy przez powstańców. „Armia Krajowa Polaków — pisał J. W. Stalin — składa się z kilku oddziałów, niesłusznie nazwanych dywizjami. Nie mają ani artylerii, ani lotnictwa, ani czołgów. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób podobne oddziały mogą zdobyć Warszawę, dla której obrony Niemcy wystawili cztery dywizje pancerne, a wśród nich dywizję 'Hermann Göring'*”.

Co się tyczy zdania końcowego w liście Churchilla, to ono było po prostu śmieszne: powstanie w Warszawie miało być rzekomo akcją przedsięwziętą w celu pomocy Armii Czerwonej.

Nie zbagatelizowano jednak listu premiera angielskiego. Stalin wydał rozkaz G. K. Żukowowi, K. K. Rokossowskiemu i Sztabowi Generalnemu, aby mu zreferowano koncepcje zdobycia Warszawy.

Przedstawiciel Kwatery Głównej i Rada Wojenna frontu zameldowali 6 sierpnia Moskwie: „1. Silne ugrupowanie przeciwnika działa na odcinku Sokołów Podlaski, Ogródek (10 km na pn. od Kałuszyna), o. Stanisławów, Wołomin, Praga. 2. Dla rozbicia tego ugrupowania mamy zbyt mało sił”. Prosił o pozwolenie na skorzystanie z ostatniej szansy — wprowadzenia do walki wydzielonej niedawno do odwodu 70-ej armii w składzie czterech dywizji i danie im trzech dni na przygotowanie operacji.

* „Korespondencja Przewodniczącego Rady Ministrów ZSSR z prezydentami USA i premierami Wielkiej Brytanii w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej 1941-1945”. Gospolitizdat, 1957, tom I, str. 252-253.

„Wcześniej niż 10 sierpnia przejście do natarcia nie wydaje się możliwe ze względu na to, że do tego czasu nie zdążymy podwieźć nieodzownej ilości amunicji” — głosił meldunek. Sztab Generalny zgadzał się z tym. Kwatera Główna udzieliła pozwolenia i czasu na przygotowania, armię wprowadzono do walki, ale mimo to nie nastąpił przełom w sytuacji.

Niepowodzenie przedarcia się z marszu do Warszawy, niepodobieństwo — z powodu wyczerpania sił nacierających wojsk — osiągnięcia decydującego przełomu w bitwie, której zaplanowany przebieg został zakłócony przez nieprzyjaciela, nieodzowność szybkiego ulepszenia kwatermistrzowskiego zabezpieczenia armii — to wszystko zmuszało Sowieckie Dowództwo Naczelne do zorganizowania nowej operacji ofensywnej w celu wyzwolenia Warszawy. Należy przy tym wziąć pod uwagę, że Kwatera Główna nie dysponowała żadnymi większymi odwodami, ponieważ w krajach bałtyckich, zachodnich obwodach Ukrainy i na Podkarpaciu nasze natarcie stale się rozszerzało, w Mołdawii zaś zbliżał się czas druzgocącego uderzenia pod Jassami i Kiszyniowem. Nie można też było liczyć na stworzenie nowych odwodów. Tak więc 1-szy Front Białoruski musiał się obejść istniejącymi siłami.

G. K. Żukow i K. K. Rokossowski zameldowali J. W. Stalinowi swoje koncepcje dalszych działań, przedstawili też szkice planu operacji warszawskiej. Jej początek był przewidziany, nawet przy najbardziej sprzyjających warunkach, nie wcześniej niż na 25 sierpnia.

S. Mikołajczyk w tym czasie wiódł pertraktacje z J. W. Stalinem i W. M. Mołotowem dotyczące spraw Polski i stosunków sowiecko-polskich. Z ramienia Sztabu Generalnego brał czasami udział w rozmowach A. I. Antonow. Stalin oświadczył kategorycznie, że sprawy polskie powinny być omawiane przez samych Polaków i należy prowadzić pertraktacje z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego. „Londyńczycy” wyrazili zgodę. Z Lublina do Moskwy przybyli Przewodniczący Krajowej Rady Narodowej B. Bierut, Przewodniczący PKWN E. Osóbka-Morawski i inni. Przyjechał również Głównodowodzący Wojskiem Polskim generał M. Rola-Żymierski.

W przeprowadzonych następnie rokowaniach obie strony, jak to się mówi, obstawały przy swoim. Ostatnia rozmowa J. W. Stalina z Mikołajczykiem odbyła się 9 sierpnia. Podczas tej rozmowy Mikołajczyk musiał jednak bardziej szczegółowo poinformować o powstaniu warszawskim i powiedzieć, że powstańcy odczuwają dotkliwy brak uzbrojenia.

Wkrótce dowiedzieliśmy się w Sztabie Generalnym, że Wódz Naczelny telefonował bezpośrednio do K. K. Rokossowskiego i

kazał mu jeszcze raz rozpatrzeć problem operacji warszawskiej, zaś w charakterze pierwszej pomocy zorganizować dostarczenie broni powstańcom, a dla łączności z kierownictwem zrzucić spadochroniarza, zaopatrzonego w radiostację. Ów skoczek, nie znając dyslokacji powstańców, od razu wpadł w łapy Niemców.

Wypada zauważyć, że w Sztapie Generalnym zawsze wiadano, do kogo i w jakiej sprawie telefonował na front Stalin. Zazwyczaj z frontów natychmiast meldowano Sztabowi o otrzymanych od niego wytycznych.

Po powrocie do Londynu Mikołajczyk nie omieszkał opowiedzieć W. Churchillowi o rokowaniach w Moskwie i o pogarszającej się z każdym dniem sytuacji w Warszawie. W. Churchill napisał J. W. Stalinowi: „Zapoznałem się ze smutnym telegramem z Warszawy od Polaków, którzy po upływie dziesięciu dni wciąż jeszcze walczą przeciw wielkim siłom niemieckim, przecinającym miasto na trzy części. Błagają aby im dać karabiny maszynowe i amunicję. Czy może Pan jeszcze okazać im pewną pomoc, albowiem odległość z Włoch jest zbyt wielka?”

Z listu wynikało, że nikt nie ma zamiaru poinformować strony sowieckiej bardziej szczegółowo. Alianci doskonale rozumieli, że 1-szy Front Białoruski nie jest w stanie szybko zdobyć Warszawy, dlatego też ich zabiegi wokół powstania nabierały wymowy ordynarnej gry losem walczącej zbrojnie stolicy Polski. Świadczyły o tym informacje, które pojawiły się w prasie angielskiej z powołaniem się na gazety i radio polskiego rządu emigracyjnego. W tych informacjach o powstaniu warszawskim napomykano, że powstańcy znajdują się w kontakcie z Dowództwem Sowieckim, które rzekomo nie okazało im pomocy. A polska prasa burżuazyjna w Londynie dosłownie przechodziła samą siebie w wysiłkach przerzucenia winy na Związek Sowiecki za ciężką sytuację powstańców warszawskich.

J. W. Stalin zareagował natychmiast na to złośliwe oszczerstwo. Agencja TASS opublikowała w gazetach i ogłosiła przez radio oświadczenie, w którym powiedziano, że polski „rząd” emigracyjny, odpowiedzialny za wydarzenia w Warszawie, nie podjął żadnych prób zawiadomienia o nich wcześniej sowieckiego dowództwa wojskowego i uzgodnienia z nim jakiegokolwiek wystąpienia zbrojnego w stolicy Polski. Dlatego też cała odpowiedzialność za rozgrywające się wydarzenia spada na polskie sfery emigracyjne w Londynie.

Nie ograniczając się do tego oświadczenia, Wódz Naczelny skrupulatnie zapoznał się ze wszystkim, co dotyczyło Warszawy, i wystosował do Churchilla list. Pisał w nim, że powstanie w stolicy Polski to nierozważna awantura, którą ludność przypłaciła

ogromem ofiar. „Nie doszłoby do tego, gdyby dowództwo sowieckie zostało poinformowane zawczasu, nim wszczęto akcję warszawską, i gdyby Polacy z tym ostatnim utrzymywali kontakt”.

W liście wyraźnie podkreślona została myśl, że londyńskie sfery polskie usiłowały wtłoczyć wydarzenia w opracowany przez nie utopijny schemat i wcale nie myślały o wojskowym aspekcie sprawy. Powstanie nie było fachowo przygotowane i zabezpieczone, a co najważniejsze, jego organizatorzy nie uwzględnili obiektywnej roli wojsk sowieckich. J. W. Stalin pisał bez ogródek: „W zaistniałej sytuacji dowództwo sowieckie doszło do wniosku, że powinno odciąć się od awantury warszawskiej, ponieważ nie może ponosić ni bezpośredniej ni pośredniej odpowiedzialności za akcję warszawską*”.

Wódz Naczelny wyraził zasadniczo odmienny od Londynu punkt widzenia na możliwości zbrojnego wyzwolenia Warszawy. Dowództwo sowieckie było zdania, że tylko frontowa operacja zaczepna umożliwi rozbicie przeciwnika. Nie odmawiało pomocy powstańcom w postaci uzbrojenia i amunicji, brak było jednak łączności z powstańcami, a dokładnych danych o sytuacji w Warszawie, nieodzownych dla konstruktywnego zaopatrywania, w dalszym ciągu nie było.

Plan operacji wyzwolenia powstańczej Warszawy opierał się na wnioskach G. K. Żukowa i K. K. Rokossowskiego jak również Sztabu Generalnego i sztabu 1-go Frontu Białoruskiego. O planie tym, o ile mi wiadomo, dotychczas prawie jeszcze nie pisano, a tymczasem niewątpliwie warto o nim dokładniej opowiedzieć.

Rozbicie warszawskiego ugrupowania przeciwnika projektowano przez dwustronne oskrzydlenie go wojskami obu skrzydeł 1-go Frontu Białoruskiego. Równocześnie jedna z naszych armii uderzeniem na północ wzdłuż zachodniego brzegu Wisły miała przeciąć to ugrupowanie. Rejonami wyjściowymi dla natarcia bocznych ugrupowań miały być: na prawym skrzydle przyczółki na rzece Narew w rejonie Pułtuska i Serocka, które należało jeszcze zdobyć, a na lewym brzegu — stworzone już przez 8-mą gwardyjską i 69-tą armię przyczółki nad Wisłą pod Magnuszowem i Puławami.

Dla wykonania operacji projektowano również użyć i 1-szą armię pancerną 1-go Frontu Ukraińskiego. Zaszczyt zdobycia Warszawy plan powierzał 1-ej Armii Polskiej, która miała nacierać wzdłuż zachodniego brzegu Wisły.

Plan ten zaczęto niezwłocznie realizować. Walki z każdym dniem nabierały coraz bardziej zaciętego charakteru, szczególnie

* (Zob. przypis str. 46) — str. 257.

na podejściach do przedmieścia Warszawy — Pragi, gdzie nacierały 47-ma i 2-ga armia pancerna, jak również w rejonie przyczółków nad Wisłą. Jednakże obrona przeciwnika okazała się bardzo silna. Było niesłychanie trudno ją przełamać w warunkach dotkliwego niedostatku amunicji, który wojska odczuwały. Dowództwo niemieckie przegrupowało część swoich wojsk w kierunku przyczółków i parowało wszystkie nasze wysiłki w celu ich rozszerzenia. Pewien sukces osiągnęły tylko wojska prawego skrzydła — pod koniec sierpnia opanowały niewielki przyczółek na Narwi, na południe od Różana, w strefie 48-ej armii generała P. L. Romanienki.

Było rzeczą oczywistą, że możliwości zaczepne 1-go Frontu Białoruskiego wyczerpały się całkowicie. W ciągu dwóch miesięcy nieustannego natarcia jego wojska przeszły w niektórych kierunkach ponad 600 kilometrów. Ludzie byli przemęczeni. Oddziały poniosły straty. Były zakłócenia w zaopatrzeniu. Taka sama sytuacja ułożyła się na 3-im i 2-im Białoruskim oraz na 1-szym Ukraińskim Froncie. Zaszła nieodzowna potrzeba przejścia do obrony i planowego przygotowania nowych operacji zaczepnych.

Sztab Generalny uporczywie proponował wstrzymanie szerokiego natarcia, chociażby w kierunku zachodnim, przy kontynuacji aktywnych działań tylko w rejonie Warszawy. Rozumieliśmy bowiem, jak wielkie znaczenie ma to dla powstańców.

Wódz Naczelny niejednokrotnie zasięgał zdania u swego zastępcy, szefa Sztabu Generalnego, i u dowódców odpowiednich frontów odnośnie przerwania szerokiego natarcia na zachodzie. Wszyscy popierali ten wniosek.

Jednocześnie, zarówno w Kwaterze Głównej jak i na 1-szym Froncie Białoruskim, ani na chwilę nie zapomniano o męczeńskiej Warszawie — powstańcom musiano pomóc i to jak najszybciej. Niepowodzenia naszych armii martwiły nas bardzo, a na domiar złego z Londynu dolewano oliwy do ognia. Churchill, otrzymawszy 16 sierpnia odpowiedź od Sowieckiego Wodza Naczelnego, namówił Roosevelta by podpisał do J. W. Stalina list, zawierający aluzje do tego, że światowa opinia publiczna okaże się nieprzychylną, „jeśli antynaziści w Warszawie zostaną rzeczywiście porzuceni na łaskę losu”. Churchill wywierał nacisk na stronę sowiecką, żądając okazania pomocy Warszawie.

22 sierpnia J. W. Stalin odpowiedział: „Wcześniej lub później prawda o garstce przestępców, którzy w celu zagarnięcia władzy ukartowali warszawską awanturę, stanie się wszystkim wiadoma. Ludzie ci nadużyli zaufania warszawiaków, rzuciwszy wielu niemal bezbronnym mieszkańcom pod niemieckie działa, czołgi i sa-

moloty. Wytworzyła się sytuacja, kiedy każdy nowy dzień służy nie Polakom w celu wyzwolenia Warszawy, ale hitlerowcom, okrutnie mordującym mieszkańców Warszawy”.

Nad wojskowym znaczeniem Warszawy J. W. Stalin zatrzymał się dłużej:

„Z wojskowego punktu widzenia wytworzona sytuacja, ściągająca wzmożoną uwagę Niemców na Warszawę, jest wielce niekorzystna zarówno dla Armii Czerwonej jak i dla Polaków. A tymczasem wojska sowieckie, spotkawszy się ostatnimi czasy z nowymi poważnymi próbami Niemców przejścia do kontrataku, robią wszystko co w ich mocy, żeby złamać owe kontrataki hitlerowców i przejść do nowego szerokiego natarcia pod Warszawą. Nie ulega wątpliwości, że Armia Czerwona nie poskąpi wysiłków, żeby rozbić Niemców pod Warszawą i wyzwolić Warszawę dla Polaków. Będzie to skuteczna i najlepsza pomoc dla Polaków-antynazistów*”.

Położenie w rejonie Warszawy często było omawiane w Kwaterze Głównej. Przed powzięciem nie tylko czysto wojskowych, ale i wojskowo-politycznych decyzji, wielokrotnie rozważano, na ile mogą okazać się skutecznymi różne formy pomocy dla powstańców, planowano też działania naszych wojsk.

Kiedyś, w pierwszych dniach września 1944 roku, podczas nocnego referowania sytuacji w ubiegłej dobie J. W. Stalin jeszcze raz zapytał mnie i A. I. Antonowa, czy można traktować powstanie warszawskie jako pomoc dla naszej armii. Jednomyślnie udzieliliśmy przeczącej odpowiedzi.

J. W. Stalin chodził po gabinecie i na głos rozmyślał.

Nie pamiętam dosłownie wszystkiego, co mówił wtedy J. W. Stalin. Ale, ponieważ kwestia była wielce paląca, zawiła i odpowiedzialna, mogę ręczyć za dokładny sens ogólny wypowiedzianych przezeń poglądów, które przytoczę poniżej. Później posłużyły one za podstawę do odpowiedzi na list rządu brytyjskiego w sprawie Warszawy, wysłany do Moskwy we wrześniu 1944 r.

Wódz Naczelny stwierdził (któryś raz z rzędu!), że za warszawską awanturę, przedsięwziętą bez wiedzy sowieckiego Dowództwa Wojskowego i z naruszeniem jego planów operacyjnych, ponoszą odpowiedzialność działacze polskiego „rządu” emigracyjnego w Londynie.

Rząd sowiecki chciałby, żeby specjalnie powołana, bezstronna komisja ustaliła, na czyj właściwie rozkaz wszczęto powstanie w Warszawie i z czyjej winy nie zawiadomiono o nim wcześniej

* „Korespondencja Przewodniczącego Rady Ministrów ZSSR z prezydentami USA...” (zob. przypis str. 46) str. 258.

sowieckiego Dowództwa Wojskowego. Żadne dowództwo w świecie, czy to angielskie, czy też amerykańskie, nie pogodziłoby się z tym, żeby przed frontem wojsk tego dowództwa, bez jego wiedzy i na przekór jego planom operatywnym, zorganizować powstanie w wielkim mieście.

Rzecz prosta, że i Dowództwo Sowieckie nie może stanowić wyjątku. Niewątpliwie, że gdyby zawczasu zapytano o zdanie Dowództwo Sowieckie, czy uważa za celowe wszczęcie powstania w Warszawie na początku sierpnia, oponowałoby ono przeciw temu pomysłowi. Wojska sowieckie nie były jeszcze wtedy gotowe do zdobycia Warszawy szturmem, tym bardziej, że Niemcy już przedtem zdążyli przerzucić z zachodu do tego rejonu swoje odwoły pancerne.

Badawczo patrząc na wszystkich, Wódz Naczelny w dalszym ciągu rozważał na głos, że nikt nie może zarzucić Rządowi Sowieckiemu, iż okazuje rzekomo zbyt małą pomoc narodowi polskiemu i Warszawie. Najbardziej skuteczną formą pomocy są aktywne działania wojenne wojsk sowieckich przeciwko okupantom niemieckim w Polsce, które umożliwiły wyzwolenie więcej niż jednej czwartej Polski. Wszystko to jest zasługą wojsk sowieckich i tylko sowieckich, przelewających krew za wyzwolenie Polski.

Pozostaje mało skuteczna forma pomocy warszawiakom, a mianowicie zrzucanie z samolotów uzbrojenia, medykamentów i żywności. Kilka razy zrzucaliśmy uzbrojenie i żywność insurgentom warszawskim, za każdym jednak razem otrzymywaliśmy wiadomości, że zrzuty trafiały do Niemców.

Ponieważ W. M. Mołotow, który wchodził w skład Kwatery Głównej, nieraz referował J. W. Stalinowi, że Churchill i Roosevelt proszą o okazanie pomocy powstańcom warszawskim właśnie w postaci zrzutów niezbędnych materiałów, Wódz Naczelny zwrócił się ku niemu i powiedział, że jeśli oni jednak tak mocno wierzą w skuteczność tego rodzaju pomocy i obstają przy tym, aby Dowództwo Sowieckie wraz z Anglikami i Amerykanami zorganizowało okazanie takiej pomocy, to Rząd Sowiecki może wyrazić na to zgodę. Konieczna rzecz tylko, żeby tę pomoc okazywano według zawczasu ustalonego planu.

Odnosnie prób obarczenia Rządu Sowieckiego w jakimkolwiek stopniu odpowiedzialnością za awanturę warszawską i ofiary warszawiaków — kontynuował głośno myśląc Wódz Naczelny — to nie można tego traktować inaczej, jak chęć zrzucenia odpowiedzialności na cudze barki. To samo należy powiedzieć w związku z zarzutem, jakoby pomoc sowiecka w sprawie Warsza-

wy jest sprzeczna z duchem sojuszniczej współpracy. Nie ulega wątpliwości, że gdyby rząd brytyjski podjął kroki, aby Dowództwo Sowieckie zostało w swoim czasie poinformowane o zamierzonym powstaniu w Warszawie, to sprawa tego miasta przybrałaby zupełnie inny obrót.

Dlaczego rząd brytyjski nie uważał za wskazane uprzedzić o tym Rządu Sowieckiego? Czy nie zaszło tu to samo, co w kwietniu 1943 roku, kiedy polski rząd emigracyjny, bez żadnej reakcji ze strony rządu brytyjskiego, wystąpił ze swoim wrogiem w stosunku do Związku Sowieckiego oszczerczym oświadczeniem o Katyniu?

J. W. Stalin nie pominął również aluzji co do „opinii publicznej”. Wypowiedział się w tym sensie, że prawdziwe przedstawienie faktów o wydarzeniach w Warszawie daje pełne podstawy opinii publicznej do bezwzględного osądzenia autorów warszawskiej awantury i rzetelnego zrozumienia pozycji Rządu Sowieckiego. Należy się tylko postarać, żeby opinia publiczna dobrze poznała prawdę o wydarzeniach w Warszawie.

Nasz pogląd na okazanie pomocy wojskowej walczącej Warszawie różnił się zasadniczo od poglądu polskiego „rządu” emigracyjnego i aliantów. Niewątpliwie premier Wielkiej Brytanii doskonale się orientował w przyczynach rozbieżności, ale w jego polityczne rachuby nie wchodziła konsekwentna i prawdziwa obrona Warszawy oraz interesów wolnej, niepodległej Polski.

Sztab Generalny otrzymał potwierdzenie rozkazu o kontynuacji działań zaczepnych i o likwidacji w pierwszym rzędzie przyczółka nieprzyjaciela przed Pragą w międzyrzeczu Wisły i Narwi. Wódz Naczelny nadal był zdania, że wojska niemieckofaszystowskie mogą nam stamtąd zadać nowe kontr-uderzenie na południe wzdłuż prawego brzegu Wisły.

W specjalnej dyrektywie Kwaterna Główna przykazywała przedstawić do odznaczeń państwowych i nadania tytułu Bohatera Związku Sowieckiego żołnierzy, którzy się wyróżnili przy forsowaniu Narwi.

Natarcie wojsk sowieckich trwało dalej, nie dało jednak uchwytnych rezultatów na skutek wymienionych już przyczyn.

Wreszcie, 29 sierpnia, trzem Frontom Białoruskim oraz 1-mu i 4-mu Ukraińskim wydano dyrektywy o przejściu do obrony twardej. Wyjątek stanowiły wojska skrzydła prawego 1-go Frontu Białoruskiego, które przeprowadzały operacje pod Warszawą, i dwie armie 2-go Frontu Białoruskiego pod dowództwem generała G. F. Zacharowa na południowych podejściach do Prus Wschodnich.

Pierwsza dekada września 1944 roku upamiętniła się zażartymi i krwawymi bataliami. Na początku miesiąca Wódz Naczelny był niezadowolony z referatów o możliwych kierunkach działań 2-go i 3-go Frontu Ukraińskiego. Znajdujący się na tych frontach jako przedstawiciel Kwatery Głównej marszałek S. K. Timoszenko zachorował i nie przysłał swoich uwag. J. W. Stalin zatelefonował do G. K. Żukowa i posłał go do R. J. Malinowskiego i F. I. Tołbuchina, żeby po zorientowaniu się na miejscu wraz z Radami Wojennymi frontów, wyznaczyć najbardziej wskazane zadania operacyjne i, jeśli zajdzie potrzeba, pomóc w ich zaplanowaniu.

W tym czasie w Sztapie Generalnym i dowództwie 1-go Frontu Białoruskiego w dalszym ciągu szukano sposobów rozwiązania zadań, postawionych przed wojskami w rejonie Warszawy. Ale właśnie wtedy, jak już wspominałem, nie byliśmy w stanie skoncentrować tam wielkich związków taktycznych świeżych wojsk. Przyczynę wyjaśniał fakt, że 20 sierpnia zaczęła się błyskawiczna jasso-kiszyniowska operacja, która zakończyła się całkowitym rozbięciem grupy niemiecko-faszystowskiej armii „Południowa Ukraina”. Pomyślnie rozwijało się natarcie i w krajach bałtyckich, ale należało jeszcze zlikwidować ryzykierne ugrupowanie przeciwnika albo też odciąć je od Prus Wschodnich. I dlatego, podobnie jak w Rumunii, Kwatera Główna musiała tam przerzucić chociażby minimalne odwoły. A w odwodach pozostały tylko dwie armie: 6-ta i 61-sza.

Z początku września rozpoznanie 1-go Frontu Białoruskiego wykryło, że jedna dywizja pancerna przeciwnika i inne jego wojska, które przedtem znajdowały się pod warszawskim przedmieściem Pragę, okazały się naprzeciw naszych przyczółków nad Wisłą. Widocznie dowództwo niemiecko-faszystowskie spodziewało się, że właśnie tutaj zwiększymy naszą aktywność. Odciągnięcie sił nieprzyjaciela można było wyzyskać dla zadania uderzenia na Pragę. Zameldowano o tym Wodzowi Naczelnemu, który wydał odpowiedni rozkaz. Dla uderzenia front wydzielił 47-mą armię i podwiózł dostateczną ilość amunicji.

10 września 47-ma armia rozpoczęła natarcie. Tuż za nią rzucono I Armię Polską. Działania wojsk odznaczały się dużym impetem. W noc na 13 września wdarły się one na Pragę. Teraz właśnie należało wszcząć powstanie w Warszawie, żeby przeszkodzić hitlerowcom w wysadzaniu mostów, opanować je i pomóc w ten sposób żołnierzom sowieckim w przeprawie na lewy brzeg Wisły, do centrum miasta. Tak myślał dowódca 1-go Frontu Białoruskiego, i trudno nie przyznać mu racji. Ale mosty przeciwnik wysadził, szeroka rzeka oddzielała nasze wojska od wal-

czącej już 45-ty dzień Warszawy. Wszystkie próby sforsowania z marszu przeszkody wodnej i przeprawy na lewy brzeg Wisły, przedsięwzięte przez zwiad 47-ej armii, zostały odparte.

Ludność Pragi entuzjastycznie witała swoich wyzwolicieli — sowieckich i polskich żołnierzy. Kobiety pod ostrzałem pielęgnowały rannych, karmiły i poiły ich, grzebały poległych.

Na wyzwolonej Pradze pod kierownictwem Głównodowodzącego Wojskiem Polskim generała Rola-Żymierskiego i przedstawiciela Rządu Sowieckiego przy Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, generała-pułkownika N. A. Bułganina, przystąpiono natychmiast do tworzenia organów władzy Polski Ludowej. Komendantem wojskowym mianowano generała brygady W. Bewziu-ka — dowódcę 1-ej polskiej dywizji piechoty, która walczyła niesłychanie dzielnie. W raporcie przesłanym J. W. Stalinowi o sytuacji w mieście N. A. Bułganin szczególnie wyróżniał waleczność polskich żołnierzy; w ślad za nim o ich ofiarności doniósł nam przedstawiciel Sztabu Generalnego przy Wojsku Polskim, generał-major N. M. Mołotkow.

Z rozkazu K. K. Rokossowskiego odcinek frontu nad Wisłą przed Warszawą oddano wojskom Zygmunta Berlinga, a 47-ma armia wysunęła się na północ. Sowieckie i polskie wojska osiągnęły granicę, z której można już było bezpośrednio podać pomocną dłoń powstańczej Warszawie.

O porażce wojsk hitlerowskich na Pradze wiedzano już oczywiście po drugiej stronie Wisły. Ale kierownicy powstańców z obozu londyńskiego trzymali się w dalszym ciągu swojej „linii” i nawet jednym krokiem nie wyszli nam na spotkanie. Zachowywali milczenie i nie usiłowali nawiązać z nami łączności, chociaż według doniesień rządu angielskiego ludność Warszawy przeżywała niewiarygodne katusze.

Natomiast kierownicy oddziałów Armii Ludowej, którzy dobrowolnie dołączyli do powstania, żeby być razem z ludnością Warszawy, natychmiast wysłali dwie łączniczki na przeciwległy brzeg, gdy tylko wojska sowieckie podeszły pod Pragę. Te dwie młode patriotki, ryzykując życie, dotarły do rozmieszczenia naszej armii. Od nich po raz pierwszy dowództwo sowieckie i polskie uzyskało szczegółowe informacje o charakterze powstania, sytuacji w mieście, rozmieszczeniu i stanie sił powstańców oraz ich słabym zabezpieczeniu.

Wojska sowieckie i żołnierze I Armii Polskiej stawiali sobie za cel wyzwolenie Warszawy. Teraz powstańców od Wojska Polskiego oddzielała, jak nam się wtedy zdawało, tylko rzeka. Ale okazało się, że wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane

z winy drapieżnego politycznego wyrachowania kreatur rzeczypospolitej pańskiej. Ale o tym nieco później.

W dniu 13 września zameldowałem wraz z A. I. Antonowem Wodzowi Naczelnemu ostatnie dane o sytuacji na 1-ym Froncie Białoruskim. Wydał natychmiast zarządzenie, żeby zrobić tam wszystko co jest w mocy, a między innymi poprawić zaopatrywanie powstańców drogą powietrzną w uzbrojenie, amunicję i inne środki materiałowe. Przekazaliśmy dyrektywy frontowi i lotnictwu. Przedsięwzięte tej samej nocy próby przerzucenia do Warszawy broni i amunicji wypadły pomyślnie, nazajutrz więc zaczęło się regularne zaopatrywanie powstańców.

Po wysłuchaniu naszego meldunku J. W. Stalin podniósł słuchawkę i rozmawiał bezpośrednio z K. K. Rokossowskim. Dowódca frontu zameldował, iż jego wojska nie są obecnie w stanie wyzwolić Warszawy. J. W. Stalin odniósł się do tych słów ze zrozumieniem i nie nalegał. Przypomniawszy jeszcze raz mnie i Antonowowi, że należy nawiązać łączność z powstańcami — kroki w tym kierunku już przedsięwzięto. Oprócz tego wydał rozkaz G. K. Żukowowi, który właśnie powrócił z Frontów Ukraińskich, aby znowu wrócił na 1-szy Białoruski. „Jesteście tam jak w domu. Zorientujcie się co do Warszawy na miejscu i zastosujcie środki według potrzeby. Czy nie można tam przeprowadzić specjalnej operacji w celu sforsowania Wisły właśnie wojskami Berlinga... To byłoby bardzo ważne... Osobiście, wraz z Rokossowskim, postawicie przed Polakami zadanie i pomożcie im też zorganizować operację. To są ludzie jeszcze bez doświadczenia”.

15 września G. K. Żukow polecił na 1-szy Front Białoruski. Rano, 16 września, wraz z K. K. Rokossowskim przybył do rejonu Zielonej na Pradze, gdzie znajdowało się stanowisko dowodzenia I Armii Polskiej. Z. Berling zameldował, że udało mu się przeprowadzić na Czerniaków w Warszawie batalian piechoty w sile 500 ludzi z dziewięciu ciężkimi karabinami maszynowymi, szesnastu moździerzami (82-milimetrowymi) i jedną „czterdziestopiątką”. Ma on połączyć się z działającą tam grupą powstańców, przeprowadzić rozpoznanie i stworzyć przyczółek dla zabezpieczenia przeprawy wojsk przez Wisłę.

Batalion po kryjomu i bez strat przeprowadził się do tak zwanego „kwartału 71”, gdzie według informacji dziewcząt-łączniczek działała grupa powstańców. Po umocnieniu się ustalono, że powstańców tam nie ma.

Próba przeprowadzenia zwiadu dla łączności z powstańcami, którzy opanowali północną część Warszawy, została odparta przez ogień nieprzyjaciela. Hitlerowcy usadowili się tam mocno wzdłuż brzegów.

W ciągu dnia pobytu przedstawiciela Kwatery Głównej i Dowódcy Frontu w I Armii Polskiej określono zadania armii i opracowano środki, zabezpieczono też ich realizację.

„Oczy” Sztabu Generalnego — jego przedstawiciele przy Wojsku Polskim z generałem-majorem N. M. Mołotkowem na czele znajdowali się jak zwykle tam, gdzie było „najgoręcej”. Systematycznie meldowali nam o sytuacji, byliśmy więc zawsze dokładnie obeznani ze stanem rzeczy. Wieczorem zaś sam marszałek telegrafował do Kwatery Głównej o tym, co przedsięwzięto, i w ten sposób mieliśmy pełniejszy obraz wszystkiego.

Przeprawa wojsk I Armii Polskiej miała się zacząć według planu o godz. 21.00. Z pierwszym rzutem, w który wchodziła 3-cia polska dywizja piechoty, wyruszali sam Mołotkow i pułkownik Jewsiejew, z następnym — pułkownik Dubrowski i kapitan Jeropkinow z grupy Mołotkowa.

Poważnie wzmocniono rozpoznanie, przy czym postanowiono rzucić z niewielkiej wysokości wprost na plac, który według naszych danych zajmowali powstańcy, dwóch zwiadowców-spadochroniarzy z radiostacją. Na zdobyty już przyczółek przerzucano działa i moździerze. W rejonie Pragi organizowano koncentrację artylerii z przeszło 100 dział dalekonośnych, które miały zabezpieczyć przeprawę w rejonie przyczółka. Główna masa artylerii I Armii Polskiej i frontowa brygada artylerii 203-milimetrowych dział rozwijała się jako grupa wsparcia piechoty przy forsowaniu rzeki i rozszerzaniu przyczółka. Lotnictwo otrzymało zadanie osłony rejonu przeprawy i wsparcia działań naszych jednostek na zachodnim brzegu.

Krótko mówiąc, zrobiono wszystko, żeby pomyślnie sforsować Wisłę, i połączywszy się z powstańcami rozbić wojska hitlerowskie w mieście i jego okolicach. Równocześnie Sztab Generalny dokonał nieodzownych wyliczeń dla wojsk, nacierających okólnie na Warszawę.

Wiele pracy poświęcił Sztab Generalny dla nawiązania łączności z powstańcami. Pod naciskiem wydarzeń dowództwo Armii Krajowej zdecydowało się wreszcie nawiązać z nami łączność. Sztab Generalny potrafił poprzez Londyn przekazać Bór-Komowskiemu wszystkie nieodzowne do tego dokumenty. W ten sposób oddziały Armii Krajowej w Warszawie otrzymały wskazówki, aby nawiązać kontakt z I Armią Polską i sztabem 1-go Frontu Białoruskiego. 15 września oficer łączności radiowej warszawskiej dzielnicy Żolibórz zawiadomił, że otrzymał polecenie nawiązania łączności radiowej z Armią Czerwoną, działającą na Pradze.

Teraz mogliśmy nie tylko systematycznie i intensywnie za-

opatrywać powstańców, ale zrzucić również potrzebne im ładunki dokładnie w określonym rejonie.

Ożywili się również alianci. 18 września przyleciało z zachodu nad Warszawę na wysokości około 4 tysięcy metrów osiem grup po 12 samolotów typu „Latająca forteca” w każdej. W ciągu 20 minut zrzuciły one na spadochronach zasobniki z uzbrojeniem, amunicją i żywnością. Nasi obserwatorzy naliczyli prawie 1.000 takich spadochronów. Do powstańców trafiło jednak nie więcej niż 20 spadochronów: większość wylądowała na terytoriach zajętych przez hitlerowców, a kilka — w rozmieszczeniu naszych wojsk.

Natomiast lotnicy sowieccy poinformowani teraz, gdzie są rozmieszczone oddziały powstańcze, bezbłędnie zrzucali nocą ładunki z wysokości 150-200 metrów, kierując się podanymi z ziemi sygnałami.

Ażeby już nie wracać więcej do sprawy zaopatrywania powstańców, przytoczę niektóre cyfry. Od 13 września do 1 października 1944 roku lotnictwo 1-go Frontu Białoruskiego dokonało w celu zrzucania ładunków dla Warszawy 2.243 samolotolotów. Dostarczono 156 moździerzy, 505 rusznic przeciwpancernych, 2.667 pistoletów maszynowych i karabinów, 3 miliony nabojów, prawie 42 tysięcy granatów ręcznych i innego uzbrojenia, jak również 500 kilogramów rozmaitych medykamentów i przeszło 113 tysięcy kilogramów żywności.

Z prawego brzegu Wisły, z wyzwolonej Pragi żołnierze I Armii Polskiej widzieli, jak płonie Warszawa. Wierność narodowi wzywała ich do walki. Dowództwo naczelne Wojska Polskiego w swoim rozkazie z 15 września z gorzką prawdą i bezgraniczną wiarą w polskiego żołnierza-obywatela osądziło „rząd” londyński za przedwczesny wybuch powstania. „Gdyby powstanie zaczęło się obecnie, byłoby ono uzgodnione z dowództwem Armii Czerwonej i Wojska Polskiego, mogłoby zabezpieczyć nienaruszalność mostów, przyczynić się do szybkiego wyzwolenia całej Warszawy i ocalenia życia setek tysięcy ludzi, Warszawa zaś nie uległaby tak straszному zniszczeniu...” — głosił rozkaz.

Przeprawa wojsk I Armii Polskiej była niesłychanie utrudniona, przede wszystkim z powodów technicznych. Brak było środków desantowych. Z powodu małej głębokości rzeki po naszej stronie ciężkie pontony nie mogły podejść do brzegu, a należało na nie ładować sprzęt pancerny. To samo działo się na przeciwległej stronie przy wylądunku. Cały brzeg na Przyczółku Czerniakowskim i praskim odcinku Wisły przestrzelili hitlerowcy gęstym ogniem karabinów maszynowych i artylerii. Ale główne zło tkwiło, rzecz oczywista, w silnym przeciwdziałaniu

nieprzyjaciela wobec pododdziałów I Armii Polskiej, które wylądowały na lewym brzegu Wisły, oraz szczególnie we wrogiej polityce Komendy Głównej Armii Krajowej. Jak i poprzednio starała się ona za wszelką cenę nie dopuścić do Warszawy jednostek Wojska Polskiego i Armii Czerwonej, chociaż przystała na nawiązanie kontaktów z nimi.

17 września na przyczółku w Warszawie zgrupowały się dwa bataliony 9-go polskiego pułku piechoty (do 1.000 żołnierzy) z środkami wzmocnienia. W najbliższą noc miano przeprowadzić trzeci batalion, baterię 76-milimetrowych armat i pułk artylerii przeciwpancernej. Następnie 9-ty pułk przy wsparciu artylerii I Armii Polskiej z prawego brzegu Wisły i lotnictwa 16-ej armii lotniczej powinien był zacząć natarcie w celu rozszerzenia zdobytych przyczółków. W tym samym czasie miała dalej trwać przeprawa innych jednostek I Armii Polskiej ze składu 3-ciej dywizji piechoty.

Dowódca 1-go Frontu Białoruskiego i dowódca I Armii Polskiej przypuszczali, że na początku sił tych wystarczy, żeby wykonać najbliższe zadanie i skutecznie odparować kontrataki przeciwnika, w tym również czołgowe.

Równocześnie 47-ma i 70-ta armia kontynuowały operacje na północ od Pragi — w międzyrzeczu Narwi i Wisły. Przeciwnik zachował tam ważny przyczółek, skąd mógł zadać kontruderzenie na tył Pragi i rozwinąć je potem na południe. Aktywne działania naszych wojsk w tym rejonie były prowadzone na skutek bezpośredniej dyrektywy Wodza Naczelnego, który nie przestawał trwożyć się o trwałość 1-go Frontu Białoruskiego i nalegał, żeby obejść Warszawę z północnego zachodu i udzielić pomocy walczącym w niej wojskom. Niejednokrotnie podejmowano próby natarcia, jednak z powodu braku amunicji, zmęczenia wojsk i wielce niekorzystnego dla nas terenu jeśli idzie o rozmieszczenie broniącego się przeciwnika, wszystkie one nie dały wyniku i drogo nas kosztowały.

W ciągu następnych dni zmagania na Przyczółku Czerniakowskim nie ustawały. Udało się tam przeprowadzić dodatkowe siły, ale mimo wszystko wyniki były niepokojące. Po tym, gdy niektóre pododdziały powstańcze na rozkaz Armii Krajowej, wydany bez wiedzy dowództwa I Armii Polskiej, wycofały się do śródmieścia, sytuacja na przyczółku w Warszawie stała się jeszcze trudniejsza. Wzmogła się tam poważnie przewaga niemieckofaszystowskich wojsk w siłach i środkach. Osiągnęli też Niemcy bardzo znaczne pierwszeństwo operatywne. Najmniejsze nawet przesunięcie przeciwnika na południe od znajdującego się w jego ręku rejonu mostu Poniatowskiego groziło całkowitym odcię-

ciem pododdziałów Armii Polskiej od rzeki i tym samym od wojsk, rozmieszczonych na Pradze. Oba brzegi i lustro wody znajdowały się w strefie gęstego ognia artyleryjsko-moździerowego i karabinów maszynowych. Hitlerowcy wyzyskali swoje czolgi jako ruchome zgrupowanie uderzeniowe we współdziałaniu z silnymi grupami piechoty, i bez specjalnych środków przeciwpancernych trudno było stawiać im opór.

Wojska 3-ciej polskiej dywizji piechoty na Przyczółku Czeraniakowskim zmuszone były walczyć na bardzo małym odcinku, co poważnie ograniczało pole manewru. Nie mogły się przebić do śródmieścia ani do południowej części Warszawy, ponieważ na zachodzie przyczółka nieprzyjaciel bronił wielce dogodnej, wzniesionej nad naszym rozmieszczeniem skarpy, na południu zaś rozporządzał rozgałęzioną siecią najrozmaitszych umocnień obronnych, gęsto obsadzonych przez wojska. Nie mogły też oczekiwać pomocy od swoich współbraci z 2-jej polskiej dywizji piechoty. Dywizja ta usiłowała przebić się przez Wisłę do północnej części Warszawy i zająć wyspę na rzece, ale wykazującym bezprzykładne bohaterstwo żołnierzom nie udało się umocnić na lewym brzegu.

Sytuacja wymagała wniesienia poważnych poprawek do poprzednio opracowanego planu natarcia na Warszawę siłami I Armii Polskiej. Należało szukać innych sposobów rozbicia przeciwnika w stolicy Polski, o czym też zameldowaliśmy Wódzowi Naczelnemu.

„Co proponuje Sztab Generalny?” — zapytał po krótkim milczeniu.

Antonow odpowiedział, że nic innego, oprócz powtórzenia uderzeń 47-mej i 70-tej armii w celu obejścia Warszawy z północy i północnego zachodu oraz wzmocnienia I Armii Polskiej, nie można zaproponować.

Wódz Naczelny zażądał danych o siłach 47-mej i 70-tej armii. Podałem mu je. Gdy się przekonał, że skład obu armii jest słaby, a wojska padają ze zmęczenia i poniosły wiele strat, ponieważ od 18 lipca nieustannie toczą ciężkie walki, podczas gdy obrona przeciwnika wykazuje wszędzie wytrzymałość, w gabinecie zapadło długie milczenie. Wódz Naczelny powoli przechadzał się wzdłuż stołu z wygasłą fajeczką w rękę. Aż wreszcie zwrócił się do nas i powiedział:

Przeżądźcie towarzyszewi Żukowowi, żeby pomyślał razem z Rokossowskim jak pomóc Warszawie... Czy nie można by jednak zlikwidować przyczółka nieprzyjaciela w międzyrzeczu i zorganizować natarcia obchodząc Warszawę siłami armii Gusiewa i Popowa? Niechaj się również zastanowią, co można zrobić

w mieście, u Berlinga. Czy można mu śpiesznie posłać jeszcze posiłki, mające doświadczenie z walkami w mieście?”

Rozkaz był przekazany i już na drugi dzień, 20 września, Żukow i Rokossowski przystali do Sztabu Generalnego swoje opinie. Ani przedstawiciel Kwatery Głównej, ani dowódca 1-go Frontu Białoruskiego nie mieli wątpliwości co do tego, że należy kontynuować walkę w celu rozbicia przeciwnika w rejonie Warszawy.

A. I. Antonow jak również kierownictwo operacyjne Sztabu Generalnego zgadzali się ze zdaniem G. K. Żukowa i K. K. Rokossowskiego. Zgodził się też z nimi i Wódz Naczelny. Rozkazał przynaglić front z przygotowaniem operacji i bacznie śledzić sytuację na przyczółku I Armii Polskiej.

W owe dni do J. W. Stalina, do Sztabu Generalnego i Głównego Zarządu Politycznego dotarły dane, świadczące o czymś niewiarogodnym: Komenda Główna Armii Krajowej potajemnie podrywała siły powstańców od wewnątrz.

20 września przybyło na Pragę ze sztabu komendanta okręgu warszawskiego Armii Krajowej, Montera, siedmiu oficerów, którym polecono skontaktować się z dowództwem Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. Jeden z tych oficerów oświadczył, że generał Bór wydał sekretne zarządzenie, aby zbrojne oddziały, orientujące się na rząd lubelski, siłą zmuszać do podporządkowania się tylko jego własnym rozkazom, z niesubordynowanymi zaś rozprawiać się siłą.

Na przełomie trzeciej dekady września położenie wojsk I Armii Polskiej za Wisłą jeszcze bardziej się pogorszyło, chociaż 20 września utrzymywały one jeszcze swoje pozycje, przy czym na północ od Czerniakowa 2-gi batalion 6-go pułku piechoty usiłował jeszcze raz przełamać obronę przeciwnika i przebić się w głąb, ale był zmuszony zalec pod ogniem nieprzyjaciela na samej krawędzi brzegu.

Nazajutrz sytuacja w Warszawie stała się krytyczna. „O świącie 21 września 1944 roku nieprzyjaciel przy wsparciu silnego przygotowania artyleryjskiego i stawiania zasłony dymnej atakował pododdziały Armii Polskiej na zachodnim brzegu Wisły — meldował Mołotkow przedstawicielowi Kwatery Głównej wprost z pola bitwy. — W rezultacie nastąpiło przerwanie wszelkiej łączności z 2-gim batalionem 6-go pułku, który o 8.30 poleciał skierować ogień artylerii na siebie”.

Ten, kto wojował, wie dobrze, co to znaczy skierować ogień na siebie samego: kiedy nie ma już wyjścia, ludzie ginąc starają się zniszczyć wroga.

„Przerwana została wszelka łączność z batalionem 8-go pułku

piechoty — głosił dalej meldunek — ... Grupa w składzie dwóch batalionów 9-go piechoty w rezultacie silnego kontrataku przeciwnika została wyparta i o 18.00 dnia 21 września zajmowała niewielką wschodnią część kwartału...”.

Skoncentrowanie bezpośrednio w Warszawie nowych, bardzo licznych wojsk niemiecko-faszystowskich, w tym również czołgów, przesądziło wynik walki. W ostatniej dekadzie września aktywność oderwanych oddziałów powstańczych znacznie zmalała. Nieprzyjaciel zaś potęgował działania zaczepne na północy, w centrum i we wschodniej, przybrzeżnej części Warszawy. Nasze lotnictwo i artyleria systematycznie zadawały mu poważne straty. W poszczególnych dniach lotnictwo przeciwnika w ogóle nie mogło się pojawiać nad miastem, ale na ziemi nie udawało się dokonać przełomu. W związku z niepomysłnym położeniem w mieście, a zwłaszcza w rejonie Czerniakowa, sytuacja jednostek Wojska Polskiego na przyczółku jeszcze bardziej się pogorszyła. Przy skrajnie utrudnionym zaopatrywaniu walka toczyła się na wąskim przybrzeżnym pasku ziemi, w całkowitej izolacji od innych rejonów Warszawy i działających tam powstańców, w oderwaniu od głównych sił I Armii Polskiej.

To wszystko, jak również liczne dane o intrygach politycznych kierownictwa Armii Krajowej, zmusiło dowódcę 1-go Frontu Białoruskiego Marszałka Związku Sowieckiego K. K. Rokossowskiego, do kategorycznego zarządzenia przerwania działań bojowych w Warszawie. „W takich warunkach utrzymać się na zachodnim brzegu Wisły było rzeczą niemożliwą — pisał K. K. Rokossowski w swoich wspomnieniach „Powinność żołnierska” — postanowiłem więc operację przerwać. Pomogliśmy desantom powrócić na nasz brzeg. 23 września pododdziały trzech pułków piechoty I Armii Polskiej połączyły się ze swoimi jednostkami”.

Dowództwo Naczelne podzielało zdanie dowódcy frontu. I Armii Polskiej kazano przejść do obrony na wschodnim brzegu Wisły.

28 września hitlerowcy podjęli w Warszawie natarcie ogólne. Walki były okrutnie zażarte. Po trzech dniach powstańcy znaleźli się na skraju całkowitej klęski. Ostatni oficerowie łączności I Armii Polskiej musieli opuścić sztaby powstańcze, ponieważ wyszło na jaw, że wroga agentura szykuje ich fizyczną zagładę.

W ciągu następnych dni w różnych zakątkach Warszawy dogasały ogniska końcowego aktu powstania. Ale nawet w całym okrążeniu, pod mocnym ogniem hitlerowców, rozdzielone, pozbawione łączności ze swoim dowództwem grupy powstańców nie składały broni. Szczególnie zacięty opór stawały Żolibórz i Śródmieście. Komuniści, dowódcy Armii Ludowej, opra-

cowali i potrafili uzgodnić z dowództwem I Armii Wojska Polskiego, a przez nie i z dowództwem frontu, plan działań, zabezpieczający wyjście powstańców z Żoliborza nad brzeg Wisły, a następnie przeprawę na Pragę pod osłoną artylerii i lotnictwa 1-go Frontu Białoruskiego.

Plan ten został jednak pokrzyżowany przez dowództwo Armii Krajowej, które 30 września około godziny 18-ej zażądało, żeby powstańcy natychmiast kapitulowali. Tylko niewielka grupa z majorem Szaniawskim i porucznikiem Zenonem (Zenon Kliszko, obecny sekretarz KC PZPR) na czele, walcząc przedostała się nad Wisłę, i w łódkach, dostarczonych przez żołnierzy I Armii Polskiej, została przerzucona na naszą stronę. Po dwóch dniach Śródmieście również zaprzestało oporu.

Tak zakończyło się powstanie w Warszawie. Opromieniło ono wiekopomną sławą naród, który zerwał się do powstania, i okryło wieczną hańbą organizatorów tego powstania i tak zwanego polskiego „rządu” londyńskiego, pretendujących do roli wodzów.

Tragedia Warszawy stała się strasznym symbolem bankructwa reakcyjnych polityków burżuazyjnych. Ale barykady Warszawy świadczyły zarazem przed całym światem, że Polska Partia Robotnicza i kierowane przez nią siły postępu gotowe są do końca służyć narodowi. Na czerniakowskim brzegu Wisły płonie dziś znicz, przypominając o przelanej krwi sowieckich i polskich żołnierzy we wspólnej walce o świetlaną przyszłość Polski Ludowej.

S. SZTIEMIENKO
generał armii

(Przełożył Ignacy Szenfeld)

Generał armii Sergiusz SZTIEMIENKO, obecny szef sztabu Zjedn. Dowództwa Sił Zbrojnych państw Układu Warszawskiego, rozpoczął swoją karierę wojskową jako dowódca batalionu czołgów. Po ukończeniu Wojskowej Akademii Motoryzacji został tuż przed wybuchem wojny skierowany do Akademii Sztabu Generalnego. W czasie wojny służył w oddziale operacyjnym Sztabu Generalnego, później został naczelnikiem tego oddziału. Po śmierci Stalina był przez pewien czas w niełasce. Jest gorącym orędownikiem powrotu do metod stalinowskich. W 1968 roku opublikował książkę „Sztab Generalny w okresie wojny”.

ZESZYTY HISTORYCZNE zamieściły dotąd następujące opracowania sowieckie dotyczące Powstania Warszawskiego i kampanii sowieckiej na ziemiach polskich w 1944 r. — I. Nikulin: *Pochód za Wisłę*, Nr 4 (1963); gen. Popiel: *Jak „uwalniano” Polskę*, Nr 5 (1964); K. K. Rokossowski: *O Powstaniu Warszawskim*, Nr 15 (1969); N. Mar: *Skok*, Nr 15 (1969); G. K. Zukow: *O Powstaniu Warszawskim i o Polsce*, Nr 16 (1969); K. K. Rokossowski: *Warszawa*, Nr 18 (1970); J. Niemczyński: *Warszawa w ogniu*, Nr 18 (1970).

DOKUMENTY

Stanisław KIRKOR

LISTY STANISŁAWA GRABSKIEGO (1941-1949)

Stanisław Grabski został aresztowany przez NKWD we wrześniu 1939 r. we Lwowie zaraz po zajęciu tego miasta przez wojska sowieckie. Choć miało to miejsce przed utworzeniem w Paryżu rządu generała Sikorskiego, w późniejszym śledztwie oskarżano Grabskiego o to, że był tajnym delegatem tego rządu na Galicję Wschodnią. Później zastąpiono to oskarżenie bardziej ogólnikowym zarzutem działania na szkodę Związku Sowieckiego.

Wiadomość o uwięzieniu Grabskiego przyszła do Angers dość wcześnie. W ślad za nią przyszła wiadomość, że umarł w więzieniu. Mówił mi o tym minister Stroński, a że Grabski przed wojną poważnie chorował, łatwo było w to uwierzyć. Bliższe wypytywanie Strońskiego o źródło tej wiadomości przekonało mnie jednak, że była to tylko pogłoska. W tym czasie powstał w Stanach Zjednoczonych Ameryki Komitet Herberta Hoovera dla niesienia pomocy ludności polskiej i w tym Komitecie był czynny Maurice Pate, dobrze i szacownie znany przed wojną w Warszawie. Napisałem do niego z prośbą o próbę wstawiennictwa za Grabskim. Dawny przyjaciel rodziny Grabskich nie zawiodł, ale nic pomóc nie mógł. Przesłał mi tylko odpis listu ambasadora amerykańskiego w Moskwie do Hoovera, w którym ambasador donosił, że rząd sowiecki odmówił mu prawa ingerencji w sprawie Grabskiego jako że nie był on obywatelem amerykańskim. Pośrednio chciałem widzieć w tym liście dowód, że Grabski żyje. Gdy byliśmy już w Londynie, minister Stroński ponownie mi

mówił o śmierci Grabskiego na zasadzie jakiejś nowej wiadomości. Dla mnie i ta wiadomość wydawała się tylko pogłoską.

Dużo później miałem się dowiedzieć, że z końcem marca 1940 r. przewieziono Grabskiego ze Lwowa do Moskwy do więzienia na Łubiance. Po długim śledztwie 19 czerwca 1941 skazano go na 8 lat więzienia i w dniu 26 czerwca, a więc już cztery dni po ataku Niemców na Rosję, przewieziono go do obozu ciężkich robót nad górną Wołgą w podmokłych lasach pod Wołogdą. Tam przydzielono go do warsztatu obuwia z łyka, gdzie jego towarzyszami pracy byli przeważnie młodzi inwalidzi, którym odjęto władzę w nogach po wieloletnim rąbaniu lasu na bagnie.

Gdy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka rząd polski sporządził listę wybitnych działaczy polskich, więzionych w Rosji, o których natychmiastowe uwolnienie miała się starać ambasada angielska w Moskwie. Stanisława Grabskiego nie było na tej liście — może dlatego, że nie wierzono, by był wśród żyjących. Tym niemniej ambasador Raczyński na mą prośbę osobistą dołączył nazwisko Grabskiego do wniosków, przesyłanych Anglikom, i potem powiadomił mnie, że przyszła wiadomość z Moskwy o uwolnieniu Grabskiego. Posłałem wtedy tą samą drogą list do Grabskiego z wiadomościami o jego rodzinie, od której był całkowicie odcięty przez prawie dwa lata. Ta pierwsza wiadomość o uwolnieniu Grabskiego była przedwczesna. Przewieziony spod Wołogdy z powrotem na Łubiankę otrzymał on mój list w tym samym momencie, w którym oficer NKWD mówił mu, że jest wolny.

Z Moskwy Grabski wysłał do mnie dwa listy:

19. VIII. 1941

... Dzięki Ci serdecznie za Twój list, w którym mi tak szczegółowe i tak uspakajające przesyłasz wiadomości o całej rodzinie. A obawa o mych ukochanych była najcięższą stroną mej niewoli. Bo fizyczne braki były naprawdę okropne tylko w więzieniach lwowskich, w których przebywałem 6 miesięcy. W więzieniach moskiewskich (15 miesięcy) odżywianie było znośne, cele dość przestronne. W końcu czerwca na trzy dni przed wybuchem wojny zostałem skazany na 8 lat więzienia, a 26-go wywieziony do obojętnej nader gorliwie, trzymał w szpitaliku 33 dni, aż do chwili uwolnienia (nie 30 lipca ale 11 sierpnia) i znacznie podreperował stan mych sił fizycznych. W ogóle przez cały czas niewoli doznałem przedziwnej łąski Opatrzności. Siedziałem w 7 różnych celach. W każdej spotykałem młodych Polaków, którzy opiekowali się mną jak najbliższym krewnym. W obozie z ciężkich robót nad Wołgą. Ale tam dostałem biegunki, wzięto mnie do

szpitalika, a w nim był lekarz Polak mojżeszowego wyznania¹, który zajął było około 350 Żydów polskich. Nawet i ci starali się okazać mi jak najwięcej swej życzliwości. Dziś nie tylko nie narzekam na me przejścia więzienne, ale szczerze za nie dziękuję Bogu. Bo dużo mnie one nauczyły, dały zupełnie nowe punkty widzenia spraw społecznych i, co najważniejsze, bardziej jeszcze zbliżyły do Chrystusa. Mam wrażenie, że zachowałem w pełni siły umysłu i nie najgorzej siły woli. Nie zamierzam więc być emerytem, widzem jeno wielkich obecnych przemian i prac. Napisałem list do premiera Sikorskiego, który zabrał z sobą gen. Januszajtis. Postawiłem się rządowi do dyspozycji. Oświadczyłem, że gotów jestem do końca wojny pozostać w Związku Sowieckim dla współpracy z Kotem. W szczególności chętnie się zajmę zorganizowaniem życia cywilnej ludności polskiej, która znajduje się obecnie w więzieniach, obozach oraz na osiedleniu. Część tych ostatnich się zagospodarowała, ale część duży cierpi wielki niedostatek. Tym biedakom, a nade wszystkim znajdującym się w obozach i więzieniach, trzeba zapewnić po wyprowadzeniu ich z tych miejsc niewoli dach nad głową, przyzwoite odżywianie, ubranie ciepłe na zimę (bo przeważnie chodzą w łąchmanach). Trzeba jak najszybciej skontrolować, czy wszyscy będą wypuszczeni, więc zwiedzić przez naszych delegatów wszystkie obozy, przygotować dla wypuszczonych na wolność odpowiednie osiedla, dać tym osiedlom samorząd gminny, zorganizować prawną opiekę gmin polskich wobec władz lokalnych sowieckich itd. Olbrzymia moc roboty, którą należy spiesznie wykonać. Bo każdy dzień dłuższej niewoli — to ciężka niedola setek tysięcy rodaków. Sądzę, że jest tu w więzieniach i obozach przeszło 100.000, a na osiedleniu do ½ miliona obywateli polskich. Mam przed oczami pracę brata Władysława w czasie wojny 1914-1918. Potrafił on zapewnić wówczas niezłe warunki życia 800.000 Polaków w Rosji. Bodaj dziś na mnie kolej. Ale prosiłem też Sikorskiego, by mnie najsamprzód wezwał do siebie do Londynu na kilka tygodni. Szczegółowo przemyślałem zagadnienia przyszłego i prawnopństwowego i społeczno-gospodarczego ustroju Polski. Choć w więzieniach — miałem jednak możność niezłe poznać społeczno-gospodarcze życie Sowietów. Dawano nam dużo książek. A przy tym siedziałem po kolei z 6 dyrektorami wielkich fabryk, 2 buchalterami kolosów-przedsiębiorstw rolniczych (sowchozów), 2 redaktorami miesięczników ekonomicznych, poza tym z paru profesorami uniwersytetów, adwokatami, doradcami prawnymi trustów handlowych, oczywiście państwowych. Z nich większość stanowili członkowie partii komunistycznej. Nikt tu bowiem, choćby największy dygnitarz, nie jest pewien jutra. Mniejszość była bezpartyjna. Miałem więc dość źródeł i to różnorodnych, wiadomości o tutejszym życiu, nauczania z tutejszego przykładu, co w gospodarce planowej — bez której nie ruszymy po wojnie — jest dobrego, a czego trzeba unikać...².

10. IX. 1941

... Za kilka dni wyjadę stąd do Londynu statkiem, którym przyjechał wraz z innymi urzędnikami ambasady p. Strumiło. Oni jechali do Archangielska 3 tygodnie. Jeśli powrotną drogę okręt będzie odbywał równie powoli (w 1918 jechałem z Murmania do Anglii 7 dni) — to zobaczymy się dopiero

1. W liście do żony z tej samej daty Grabski podał jego nazwisko: dr Saks. Był on także skazańcem.

2. W tym liście i w następnych opuszczam ustępy, odnoszące się wyłącznie do spraw rodzinnych. Pisownię poprawiłem według obecnie przyjętych zasad.

w październiku. Od kilku dni jest tu już nasz ambasador prof. Kot. Miałem z nim dwie wyczerpujące rozmowy. I jadę stąd spokojny, że będzie on dobrze tu nasze sprawy prowadził. Miał on dotychczas dwie wstępne rozmowy z Mołotowem i Kalininem. Choć nie zawodowy dyplomata — a może właśnie dlatego — poprowadził on je, moim zdaniem, zupełnie dobrze. Dotychczas nie znał on Rosji z własnej obserwacji — ale pierwsze 3 dni skrętnie informował się o mentalności rosyjskiej i o tym cośmy tu przeżyli u całego szeregu ludzi, którzy wyszli z więzień i przyjechali z obozów, nie zwracając uwagi na ich partyjne zabarwienie, jeno na ich polityczną kompetencję. A co dla mnie najważniejsze zdaje on sobie należycie sprawę, że z takim jak Sowiety partnerem nie wydobycie od niego „doskonałych formułek” sojuszu jest ważne — bo najjaśniejsze, najbardziej sprecyzowane zobowiązania złamie, gdy pozwoli mu na to ogólna konstelacja, — ale stwarzanie faktów które 1) dają nam siłę, 2) uniezależniają odeń, 3) stanowią precedensy, na które będziemy mogli się następnie wobec i świata zachodniego i samej że Rosji powoływać. Takim faktem jest przede wszystkim *organizacja jak największej tu naszej armii*, wyekwipowanie i uzbrojenie jej przede wszystkim dostarczoną przez Stany Zjednoczone sprzętem, nie dopuszczenie do wprowadzania w akcję bojową poszczególnych dywizji, które by znikły wśród wojsk rosyjskich, lecz trzymanie jej w odwodzie dopóki nie będziemy mieli przynajmniej jednego korpusu i zajęcie potem oddzielnego odcinka frontu. Drugim takim faktem jest stworzenie eksterytorialności osiedli, w których pomieszczamy zwolnionych z więzień i obozów obywateli polskich bez różnicy narodowości, danie im wszystkim (łącznie z Ukraińcami i Białorusinami) polskich paszportów, zaopatrzenie polskimi paszportami również wysiedlonych naszych osadników, którzy się tu zagospodarowali i których do końca wojny nie ma sensu z tych gospodarstw ruszać. Są oni pod Archangielskiem, pod Jakutskiem, w Kazachstanie. Tam tworzymy placówki konsularne. Jednym słowem wydobywamy od rządu sowieckiego (zaczął to już robić skutecznie Retinger, któremu dałem szczegółowy memoriał) ukazy, nakazujące wszystkim ludzi, którzy byli przed wojną obywatelami polskimi, oddawać pod opiekę rządu polskiego. Jest to nie formułkowe już, ale faktyczne w tej chwili uznawanie granicy ryskiej. Co więcej poszły rozkazy do wojska, żeby wszystkim obywatelom polskim (nie tylko Polakom), którzy zostali poprzednio wzięci do sowieckiej służby wojskowej, oświadczyć, iż mogą się przenieść do wojska polskiego. Dobrze się stało, że Sikorski nie postuchał „zawodowych” dyplomatów, którzy przede wszystkim nad tym mędrkowali czy 1-szy artykuł układu polsko-sowieckiego dość wyraźnie stwierdza, że Rosja cofa dokonany wraz z Niemcami rozbiór Polski, czy też pozostawia on kwestię naszej granicy wchodniej otwartą — ale zawarł w czas ten sojusz. Bo zawarł go w dobrym momencie — a to znacznie ważniejsze od tego, czy „sformułowanie” jest bardziej czy mniej doskonałe. Obecnie Rosji zależy bardzo na tym by sojusz ten wszedł naprawdę w życie. Więc wszystkie nasze żądania dotychczasowe są spełniane — z azjatycką wprawdzie nieraz powolnością — ale, gdy nastajemy, spełniane wreszcie całkowicie. Ale musimy się spieszyć, by wydobyć jak najprędzej wszystko na czym nam naprawdę zależy — a żądamy niemało, między innymi opróżnienia z poddanych rosyjskich kilku obozów pracy i oddania ich nam do dyspozycji, byśmy w nich urządzili nasze eksterytorialne „gminy polskie” dla zwolnionych z więzień i obozów (jest już około 200.000), a dalej wypłacenia ambasadowi naszej tytułem nie pożyczki, ale odszkodowania miesięcznych sum potrzebnych na wyżywienie rzeczonych gmin. Nastajemy też przy każdej okazji, by prasa sowiecka przestała nazywać Małopolskę Wschodnią i Wołyń Zachodnią Ukrainą, a Nowogrodzkie, Wileńskie, Grodzieńskie Zachodnią Białorusią. W ogóle mocno i twardo akcentujemy, że 1-szy artykuł układu

musi być rozumiany jako uznanie stanu, który istniał przed zawarciem sojuszu sowiecko-niemieckiego, a więc granicy ryskiej. Sowieckie władze wykrcęją się jeszcze od stanowczej odpowiedzi — ale już nie twierdzą, by kwestia granicy polsko-rosyjskiej była otwarta — a jak już widzisz z poprzednio powiedzianego, w swych zarządzeniach dotyczących aresztowanej i wywiezionej z ziem Rzplitej ludności przyznają przynależność prawną w obecnej chwili ziem tych do Polski... dobry moment, jaki dziś mamy, z początkiem zimy, gdy posuwanie się naprzód wojsk niemieckich ustanie, jeśli nie minie zupełnie, to w każdym razie stanie się o wiele mniej dla nas korzystnym. Więc musimy się śpieszyć — a każda niedyskrecja, mogąca stworzyć komplikacje, będzie opóźniać wyniki naszej akcji...



Wczesnym rankiem 14 października 1941 Grabski przyjechał do Londynu wraz z prof. Wacławem Komarnickim i działaczem socjalistycznym Mastkiem. Na stacji Euston witał ich w imieniu rządu minister Stroński, a wieczorem generał Sikorski podejmował ich kolacją. Grabskiego powołano na stanowisko przewodniczącego Rady Narodowej. O swej działalności na tym stanowisku Grabski pisał do mnie parokrotnie w roku następnym, gdy przebywałem w Ameryce:

Bez daty (maj 1942)

... W sprawie przyszłego urzędzenia Europy Wschodniej nastąpił zwrot na lepsze. Układ angielsko-rosyjski nie będzie zawierał żadnych terytorialnych zobowiązań. ... Ostatnie moje rozmowy z Generałem były dobre. Zdaje mi się, że starania moje o ustalenie wzajemnego zaufania między trzema stronnictwami a Generałem nie są po obu stronach bez wyniku. Oczywiście są i w otoczeniu Generała i wśród członków stronnictw ludzie, którzy tu i tam rozdymają drobiazgi i robią z byle głupstwa „sprawy” drażniące...

Bez daty (czerwiec 1942)

.. Gonię resztą sił nerwowych. Ciągłe mam starcia przeróżnych małosłownych interesów do uśmierzenia, godzenia albo odpierania. Zbyt wielu ludzi zupełnie zatraciło poczucie hierarchii spraw. Awanturują się o kolejność przemówień na uroczystych posiedzeniach Rady w imię prestiżu swego stronnictwa. Nie rozumieją, że nikt ani w świecie ani w Polsce się tymi ich kwestiami prestiżowymi nie interesuje...

17. VII. 1942

... Udało się wprowadzić Radę Narodową w bezpośredni stosunek z parlamentem angielskim. Odbłyło się naprawdę piękne przyjęcie w gmachu parla-

mentu dla Rady Narodowej w formie wspólnego posiedzenia członków grupy przyjaciół Polski z nami pod przewodnictwem Cazaleta. Również odbyło się parę spotkań naszych z parlamentarzystami belgijskimi...

Bez daty (jesień 1942)

...coraz silniej odczuwam zupełne swe samotnictwo. Nie umiem się duchowo zespolić z żadną partią, ani koterią. A energia partii i koterii w walce o swą w przyszłości pozycję w Polsce jest o wiele silniejsza od dążenia niewielkiej, bardzo niewielkiej ilości politycznie czynnych ludzi do podporządkowania wszelkich wewnętrznych naszych rozgrywek walce o pozycję Polski w świecie...



Przez następne dwa lata przebywałem w Londynie, a więc nie miałem listów od Grabskiego. Po ustąpieniu Mikołajczyka z rządu z końcem listopada 1944 i Grabski przestał być przewodniczącym Rady Narodowej. Gdy w myśl umów jałtańskich Mikołajczyk w czerwcu 1945 wraz z paru swymi zwolennikami wszedł do rządu w Warszawie, Grabski w dniu 30 czerwca odleciał do Warszawy i objął tam stanowisko zastępcy prezydenta Krajowej Rady Narodowej. Swe listy do mnie z tego okresu przysyłał tylko przez zaufane osoby dla uniknięcia cenzury w Polsce.

18. VII. 1945

... Po 16 dniach pobytu w Warszawie doszedłem do przekonania, że decyzja moja przyjazdu do kraju i przyjęcia stanowiska wiceprezydenta Krajowej Rady Narodowej była całkowicie trafna. Mam pozycję bardzo trudną, trudniejszą niż kiedykolwiek poprzednio. Ale pomimo że jestem jeden wobec 5 byłych członków „Komitetu Wyzwolenia Polski” nie jestem nigdy majoryzowany dotychczas i jakoś układa się współpraca. Pod moją specjalną opieką będą sprawy ministerstw: skarbu, oświaty, kultury i propagandy. Oczywiście nie od razu wrócą w pełni „wolności obywatelskie” i ustanie kontrola NKWD. Ale ku temu idzie. I by doszło do tego jak najpełniej i jak najszybciej — jest tylko jedna droga: wchodzenie wszystkich dobrych patriotów do wszelkich organizacji samorządowych, społecznych, kulturalnych i władz administracyjnych. P.P.R. nie ma ludzi dla opanowania całej administracji. Ale jeśli nie będą zgłaszać się (do) pracy w urzędach i samorządach ludzie porządni — to znajdzie się dość draniuszków choć nie ukwalifikowanych. Bo wedle rosyjskiego przysłowia: „na bezrybiu i rak ryba”. ... Ogół społeczeństwa 90 % za Mikołajczykiem i za mną. Mikołajczyk był przyjmowany w Warszawie, Krakowie i Poznaniu coraz bardziej entuzjastycznie. W Krakowie podniesiono auto jego i chciano je nieść. Ale wyskoczył. Wtedy obniesiono go naokoło plant. Był tu przejazdem z Moskwy do Berlina ambasador brytyjski w Moskwie. Poza oficjalną rozmową z Bierutem, Morawskim i Mikołajczykiem, w której usilnie nalegał na swobodę organizowania się nie tylko Chrześcijańskiej Demokracji idącej pod przewodnictwem Popiela

oraz demokratycznego odłamu narodowców, miał osobno godzinną konferencję ze mną i 4 godzinną z Mikołajczykiem. Trzeba bardzo mądrej pracy w stylu Lubeckiego, trzeba wielkiej wytrwałości i niezrażania się chwilowymi niepowodzeniami i przeszkodami — ale jest wszystko do osiągnięcia...

3. VIII. 1945

... Byłem jako członek delegacji polskiej w Poczdamie. Otrzymaliśmy w pełni to o co zabiegaliśmy — dzięki przede wszystkim bardzo silnemu poparciu naszych postulatów przez Stalina i Mołotowa. Obecny rząd brytyjski okazał więcej zrozumienia dla naszych terytorialnych potrzeb od Churchilla. Stalin urządził dla naszej delegacji przyjęcie, na którym panowała serdeczna atmosfera. Jest tu w kraju dużo bardzo ciężkich i przykrych rzeczy. Ale nie jest niemożliwe rozumną i wytrwałą polityką najuciąźliwsze rzeczy do roku usunąć. Dziś został ogłoszony dekret amnestyjny, jeszcze niezupełnie zadowolający, ale wyzwalający większość zaangażowanych w dotychczasowe walki od strachu o siebie. W najbliższych tygodniach zostanie zniesiony stan wyjątkowy i wojenny. Od 15 sierpnia koleje przechodzą pod zarząd polski. Z Pomorza usunęła się okupacja sowiecka. Itd. Ale nie się nie odmieni na lepsze samo przez się, ani z łaski aliantów. Przy ich pomocy — nade wszystko jednak własną pracą organizującą społeczeństwo i własnymi zabiegami trzeba wszystko uzyskać. Dla każdego chcącego pracować w tym kierunku jest aż nadto możliwości tej pracy, szczególnie na obejmowanych obecnie przez administrację i kolonizację polską terenach zachodnich. Naczelne zagadnienie naszej przyszłości jest dziś byle ludzi nie zbrakło. Są dla ludzi gotowe domy, warsztaty, fabryki, gospodarstwa rolne, szkoły, stanowiska administracyjne na zachodnich terenach. Ale jeśli ludzie porządni ociągać się będą z zajmowaniem ich — to zajmą je draniuszki i nieuki, a pierwsi będą się wszędzie wpychać Żydzi. Żeby chciała to zrozumieć nasza emigracja. Dziś chyba widzisz, wieleśmy stracili przez „wyczekiwanie”. Dalsze „wyczekiwanie” przyniesie nowe straty. ... W ogóle rodziny ludzi będących w Anglii nie mogą zrozumieć ociągania się ich mężów, ojców, synów, braci z powrotem do kraju i do nich. Gdy się im mówi: wasi bliscy na emigracji obawiają się o swe bezpieczeństwo — dostaje się odpowiedź: my żyjemy jednak w istniejących warunkach — to i oni żyć będą. Ale zasypywany jestem prośbami o pomoc w wydobywaniu z więzień ludzi aresztowanych i wywiezionych. Wczoraj ambasador Lebediew powiedział mi, że on przedstawi w Moskwie opinię, że gdy wojna ostatecznie jest zakończona uchwałami poczdamskimi — wszyscy wywiezieni z Polski powinni być powróceni i oddani do dyspozycji polskich władz państwowych. Władysław Świrski został skazany na 20 lat. Podałem prośbę do Generalissimusa Stalina o ułaskawienie. Lebediew obiecuje mi wszelką w takich sprawach pomoc...

11. VIII. 1945

... Zmiana rządu W. Brytanii wyszła nam raczej na dobre. Stwierdzam to na podstawie przebiegu rokowań w Poczdamie. Bevin okazał więcej zrozumienia dla naszych potrzeb terytorialnych... Mam niezwykle trudne zadanie — spacyfikować nasze społeczeństwo, gdy z jednej strony jest masa gorczy i nienawiści do obecnych władców, a z drugiej masa nieufności u władców do ogółu. Całkiem jak za „rządów pułkowników”. Ale pomimo to nie

rezygnuję z usiłowań złagodzenia nieufności jednych, a nienawiści drugich. Co dzień odwiedzają mnie różni ludzie szukający u mnie pomocy w ich osobistych i rodzinnych tragediach, nędzy po utracie majątku, aresztowań bliskich i przepadnięcia ich bez wieści. To mnie najbardziej boli, że wyjątkowo potrafię ludziom tym w czym pomóc...

15. VIII. 1945

... Ogólna moja ocena sytuacji: powoli z dużymi zakrętami, bardzo mozolnie — ale idziemy ku normalnemu cywilizowanemu życiu i powrotowi obywatelskich wolności. Ale nic się samo nie stanie. Wszystko musi być przez nas samych zrobione i uzyskane. I do tego trzeba jak najwięcej ludzi rozumnych, fachowych i prawych. Bo wszelaka granda chrzczona i niechrzczona wcisła się gwałtem na wszystkie wolne stanowiska. Jak ucziwi ludzie będą zwlekać, opanuje życie publiczne hołota i przegramy w opinii świata prawo do kresów zachodnich. A jeśli to nastąpi, wcześniej czy później je stracimy...

11. IX. 1945

... Tu się zmienia ciągle powoli na lepsze. Bataliony chłopskie już wyszły z lasu — również większość A.K. Został już ogłoszony dekret amnestyjny. Lada dzień będzie zniesiony stan wojenny. Witos wreszcie zgodził się wejść do prezydium Rady Narodowej, całe zarządy powiatowe bańczykowców przechodzą do witosowego Polskiego Stronnictwa Ludowego, gdy tylko przystąpiło ono do jawnej pracy organizacyjnej. O zmianach atmosfery międzynarodowej dobrze wiem. Jestem w łączności z nią. Z ambasadorem brytyjskim spotykałem się jeszcze w Londynie. Działa on w kierunku odzyskania przez naród nasz rzeczywistej niepodległości. Ale musimy ją sami odzyskać rozumną i konsekwentną oraz wytrwałą pracą w kraju. Pozostawanie ludzi uczciwych i fachowych na emigracji to jest to, co najbardziej idzie na rękę obcym agenturom i doktrynerom przewrotu społecznego. Bo w braku uczciwych fachowych ludzi obejmują stanowiska nieuki i spekulanci, a tacy zawsze służyć będą chętnie rządowi narzuconym z zewnątrz. Ja tu mam moc roboty. Wziąłem się teraz do polepszenia warunków przesiedlenia Lwowa na Zachód. Byłem tydzień we Lwowie. Najboleśniejszą to była dla mnie misja. Będę z tego powodu przez wrzesień i październik różne jeszcze odbywał drogi. A sił mi nie przybywa. Ot i ten list piszę w łóżku... Oczywiście gdy ucziwi ludzie czekać będą, aż ktoś im zrobi Polskę wolną, zamożną i uczciwą, to nigdy się to nie stanie. Boję się, że tak jak wołaniem na puszczy było moje domaganie się rozpoczęcia w czas rozmów z Sowietami i z komunistami krajowymi (dziś jestem pewien że można było uratować i Lwów i dziesiątek tysięcy ludzi od aresztów, a paręset tysięcy od śmierci) — tak samo próżne będzie obecnie nawoływanie moje emigracji do pracy w kraju...

26. IX. 1945

... Piszę króciutko, bo wskutek przemęczenia serca podróżami do Krakowa i Kijowa (dzięki Bogu z dobrym wynikiem) mam nakazane leżenie

w zupełnym spokoju przez kilka dni... Ja tylko stwierdzam, że rozwój stosunków w kraju idzie powoli jednak stale ku lepszemu. Najważniejsze etapy tej poprawy: amnestia i ujawnianie się batalionów chłopskich i A.K., legalizacja P.S.L., uzyskanie odpowiedniego przydziału papieru dla dziennika P.S.L., który zacznie wychodzić 1. X., przyjęcie przez Witosa stanowiska 1-go wiceprezydenta i znaczna poprawa jego zdrowia, zalegalizowanie się w Krakowie Stronnictwa Pracy. Byłoby nie było z naszej strony wielkiego głupstwa dojdziemy do wolnych wyborów...

17. X. 1945

... Ja przechorowałem się przez tydzień po powrocie z Kijowa i wizycie w Borowie. Ale teraz jestem znów zdolny do pracy. Przez 4 dni pobytu we Lwowie dużo miałem roboty. Dzięki Bogu — warunki repatriacji znacznie poprawiłem i termin jej przedłużyłem do lata 1946. W zimie będzie przerwa. Teraz będę miał nową robotę: uratować zbiory Ossolineum, które chce w 3/4 zaharapczyć kijowska akademia nauk. Za parę tygodni zamierzam zwiedzić Gdańsk, Szczecin, Wrocław, Jelenią Górę i w ogóle Dolny Śląsk. Powoli dyktatura monopartyjna ulega ograniczeniu. Polskie Stronnictwo Ludowe Witosa rozpoczęło wydawanie 2 tygodników, wkrótce zacznie wydawać i dziennik. Jawnie się organizuje. Mam nadzieję że to samo osiągnie i Chrześcijańsko-demokratyczne Stronnictwo Pracy. Szereg interwencji moich w sprawie aresztowanych pozostał bez skutku — ale niektóre się udały, między innymi zostali zwolnieni aresztowani we Lwowie w roku przeszłym profesorowie wyższych zakładów naukowych. Ciężko idzie wszelka robota zmierzająca do normalizacji stosunków politycznych i przywrócenia wolności obywatelskich. Ale gdy się nie zrażając niepowodzeniami ciągle kołacze i nalega, to jednak daje to — choć niewspółmiernie małe w stosunku do wysiłków — wyniki.... Bataliony chłopskie już całkowicie wyszły z lasu i wróciły do normalnego życia, to samo 3/4 A.K. Jeszcze pozostają w lesie nieliczne oddziały Narodowych Sił Zbrojnych. Ale Piasecki dogadał się z P.P.R. i otrzymał zezwolenie na wydawanie swego czasopisma. We Lwowie tamtejszy ruch podziemny zwalczał moją działalność podczas mego pierwszego pobytu we Lwowie. Ale po moim pobycie w Kijowie i uzyskanych tam ulgach i ułatwieniach dla przesiedlającej się na zachód ludności polskiej — przeciwdziałanie mej akcji ustało zupełnie i nawet okazano mi szczerze współdziałanie w utworzeniu Komitetu Obywatelskiego współpracy z pełnomocnikiem rządu polskiego dla spraw repatriacji...

24. X. 1945

... Lwów cały niemal przenosi się do Wrocławia. Będzie tam uniwersytet, politechnika i weterynaria lwowska...

24. I. 1946

... Przez 7 tygodni byłem poza Warszawą albo ciężko chory... Kongres P.S.L. odbył się wspaniale. Cała niemal niezależna prawdziwie narodowa inteligencja wraz z mieszczaństwem garnie się do P.S.L. Ono dziś staje się faktycznym spadkobiercą ideologii Narodowej Demokracji z jej najlepszych lat 1901-1907 gdy miała ona całkowitą niemal moralną dyktaturę w Kró-

leństwie. W walce o pełną niepodległość i wolność obywatelską, by Polska była krajem wolności na modłę Danii, Norwegii, Szwajcarii no i krajów anglosaskich a nie wschodniej niewoli — rolę decydującą odegra P.S.L. Pewnym jego sojusznikiem będzie Partia Pracy. Mieli zaraz po mym przyjeździe do Polski poważne szanse odrodzenia i starzy narodowi demokraci... Kto chce pracować dalej dla realizacji ideologii prawdziwej narodowej demokracji musi się oprzeć o P.S.L... Ja ciągle jeszcze muszę zachowywać pozycję „bezpartyjnego”. Ale napisałem list w odpowiedzi na przysłane mi zaproszenie na otwarcie Kongresu P.S.L. List ten odczytał przewodniczący Kongresu Kiernik i był przyjęty gorącymi oklaskami...

29. III. 1946 (z listu do siostry Zofii Kirkor-Kiedroniowej)

... O najważniejszym, bo o Polsce, tyle dziś powiem: Jestem na dalszą metę pewien doskonałego wyniku — ale będzie jeszcze szereg lat bardzo ciężkich i trudnych oraz wymagających od nas wielkiej przezorności i niedawania folgi uczuciowym odruchom... Argumenty Twoje w sprawie Zaolzia są słuszne ale najślusniejsze nie ukrócą zachłanności czeskiej, która dziś sięga po $\frac{1}{3}$ Dolnego Śląska. Rokowania z Czechami stanęły na martwym punkcie. Zaolzia się nie zrzekamy, a o ich pretensjach do Dolnego Śląska odmawiamy wszelkiej rozmowy. Na zgodę z Czechami minimalna nadzieja. Ale też nie ma nikogo w rządzie, kto by chciał kapitulować.

21. V. 1946

(Ten list jest pełen pesymizmu) ... wobec coraz bardziej zaogniającej się walki większości rządowej i przeciwko P.S.L.owi i przeciwko wszystkiemu jakkolwiek związanemu z Wielką Brytanią... Piszę nową, większą broszurę: „Na nowej drodze dziejowej”. Pisuję też artykuły (dotychczas 2) do katolickiego tygodnika *Tygodnik Warszawski*. Od czasu do czasu udaje mi się kogoś wydostać z więzienia, trochę poprawić jakiś zatwierdzony przez prezydium K.R.N.-u dekret rządowy...



Od początku 1946 r. Grabski wysyłał listy do mnie już tylko pocztą, co wybitnie wpłynęło na ich treść. Bardzo rzadko poruszał w nich sprawy polityczne, a jeśli coś czasem napisał na ten temat, to w bardzo oględnej formie. W liście z 9. XII. 1946 donosił mi, że: „Dziś namawiał mnie usilnie prezydent Bierut bym kandydował z listy państwowej. Wyraziłem głęboką wdzięczność za ten dowód zaufania do mnie — ale niestety musiałem odmówić”. O swych pracach w tym czasie tak pisał:

9. XII. 1946

... Wyszła tu moja książeczka (98 stron) „Na nowej drodze dziejowej”. Spotkała się z przychylną, miejscami bardzo przychylną, oceną w prasie

wszystkich stronnictw od P.P.R. po P.S.L. Teraz zaczynam pisać drugą książeczkę „Polska gospodarka planowa”. W obu nich kładę szczególny nacisk na takie zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych, by do 3 lat produkcja ich dorównała przedwojennej, gdy były to prowincje Rzeszy Niemieckiej. Naczelnym wskazaniem mojej ideologii społeczno-politycznej jest przewyższenie przez wkład polski i ogólnostowiański wkładu niemieckiego do postępu wszechludzkiej cywilizacji. Wtedy tylko zajmiemy tak poznesne miejsce w ludzkości, że nasza niepodległość stanie się jej naprawdę potrzebna...

◆

W dniu 18 stycznia 1947 Grabski przyleciał do Londynu. Było to na dzień przed wyborami w Polsce: na moje zapytanie, jakie są szanse zwycięstwa Mikołajczyka, odpowiedział, że żadne. I dodał: „Tamci dawno postanowili, że będą mieć 90 % głosów”. Nie miał już żadnych złudzeń. Przyjechał do Londynu w charakterze prywatnym w towarzystwie starszej córki i wnuczki i zamieszkał w małym hotelu na Bentinck Street, koło Welbeck Street. Zaraz po jego przyjeździe dostałem zawiadomienie, że w jego pokoju są założone podsłuchy. Radzono w sposób stanowczy, by tam żadnych rozmów politycznych nie prowadził, wskazywano na to, że spacer w Hyde Park’u daje najlepsze do tego warunki. Grabski do tej rady się zastosował. Rozmowę z nim o tym ostrzeżeniu prowadziłem pisząc na kartkach. Grabski swój ostatni pobyt w Londynie wykorzystał dla rozmów z politykami angielskimi w sprawie nowej granicy zachodniej Polski. Chodziło mu o to, by ich przekonać, że nie tylko komuniści, ale cały naród polski stoi i trwać będzie przy obronie tej granicy. Miał długą rozmowę z ministrem Bevinem, był podejmowany lunchem przez grono posłów w Izbie Gmin. Z rozmowy z Churchillem wrócił zirytowany w najwyższym stopniu i widział w nim wroga granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Z Londynu Grabski poleciał 31 stycznia do Paryża, stamtąd wrócił do Warszawy. Już przedtem (15. VIII. 1946) pisał mi, że zamierzał wrócić do wykładów uniwersyteckich, teraz donosił mi:

29. IV. 1947

... Ja teraz jestem tylko profesorem uniwersytetu. Rozmowy moje w sprawie naszej granicy zachodniej jakie przeprowadziłem w styczniu i lutym w Londynie i Paryżu — to było zakończenie mojego politycznego życia. Resztę sił swych chcę zużyć na przekazanie młodemu pokoleniu możliwie całego mego doświadczenia i całej mojej wiedzy...

◆

Inne listy Grabskiego z tego okresu dotyczyły już tylko spraw rodzinnych. W liście z 23. IX. 1947 potwierdzał: „Ja się odsunąłem zupełnie od życia politycznego”. Ostatni jego znany mi list był pisany do jego siostry, a mej matki, w nim był ustęp następujący:

13. IV. 1949

... Stan mego zdrowia znacznie się był po grypie pogorszył. Wykłady zaczęły mnie męczyć, czego poprzednio nie bywało. Od dwóch dni czuję jednak znowu poprawę. Nie wiem jednak, czy będę mógł jeszcze kiedy sięść na konia. Co prawda nie jest to najkonieczniejsze w moim siedemdziesiątym dziewiątym już roku życia. Gorsze to, że tracę coraz bardziej wzrok. Już nie tylko gazet, ale i większości książek czytać nie mogę. A jednak konieczne mi jest śledzenie za postępem, by zachować katedrę. Rok jeszcze temu marzyłem o nowym wydaniu mojej Ekonomii Społecznej. Ale na to musiałbym w ciągu roku przejrzeć ze 20 tomów najnowszej literatury francuskiej i angielskiej, a coś niecoś i dawniejszej niemieckiej. Obecnie staje się to niemożliwe. Nawet czytanie książek drukowanych większymi literami wymaga dużego wysiłku, tak że po godzinie lektury jestem zupełnie wyczerpany. Skończyło się już całkowicie moje polityczne życie. Wszystko com w moim życiu był zrobił, już nie istnieje. A kończy się już i naukowe moje życie. Jeszcze w tym roku mam grono kilkunastu doktorów, magistrów i studentów pilnie i ochoczo pracujących w moim seminarium. Jeszcze mam im dość do dawania z siebie. Ale długo żyć z nagromadzonego już kapitału wiedzy niesposób. Trzeba go uzupełniać intensywną lekturą...



Przez ostatnie dwa lata swego życia Stanisław Grabski mieszkał w Sulejówku. W dniu 5 maja 1949 pojechał do Warszawy, miał wykład na uniwersytecie, odbył parę egzaminów. Wieczorem w domu czytał listy, rozmawiał pogodnie z żoną i rodziną. Rano 6 maja już nie żył. Umarł we śnie, a jako człowiek wiary był na taką śmierć zawsze przygotowany. Jego trumnę na cmentarzu ponieśli studenci.

Stanisław KIRKOR

LIST ZYGMUNTA JUNDZIŁŁA DO PREZYDENTA RACZKIEWICZA*

29 maja 1952 r.

Wielce Szanowny Panie Prezydencie,

Ośmielam się złożyć Panu Prezydentowi moje zeznania w sprawie Józefa Mackiewicza, wybitnego pisarza i publicysty.

Czynię to w przeświadczeniu: 1°) że nienormalne warunki prawne nie dają możliwości wykorzystania moich zeznań — 2°) że wydanie jakiegoś wyroku Sądu Armii Krajowej z lat wojny oparte było na nieporozumieniu, które moje zeznanie całkowicie wyświećla, 3°) że dotąd wskazany wyrok, pomimo następnej rehabilitacji J. Mackiewicza przez Związek Dziennikarzy R.P. w Rzymie, utrzymuje swe znaczenie w niektórych kołach społeczeństwa polskiego, 4°) że osoba J. Mackiewicza ze względu na jego wielki talent pisarski i wielkie zasługi polityczne, a zatem i obrona jego postawy moralnej jest obowiązkiem społecznym.

Składałem te moje zeznania ze względu na powagę sprawy, na wyrok skazujący na śmierć przez Doraźny Sąd Wojskowy a oparty na oczywistym błędzie, a również ze względu na wartość człowieka, który został skazany.

Składałem te moje zeznania Panu Prezydentowi jako czynnikowi Najwyższej Władzy i Najwyższego Autorytetu w nadziei, że moje bezpośrednie stwierdzenia będą mogły być wykorzystane jako materiał osobny, bezstronny wśród błędnych a często stronniczych innych informacji.

Oto są moje stwierdzenia:

„W 1940 opuściłem Wilno w obawie aresztu przez bolszewików,

* Od dłuższego czasu wzbudza namiętności na emigracji tzw. sprawa J. Mackiewicza. Sprawę tę komplikuje fakt, że zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy J. Mackiewicza reagują personalnie i emocjonalnie, niebardzo nawet próbując badania faktów. W tej sytuacji wydaje się nam celowe ogłoszenie listu Zygmunta Jundziłła do prez. Raczkiewicza z 1952 roku. Fotokopię listu otrzymaliśmy z kancelarii cywilnej prez. A. Zaleskiego wraz z Jego zgodą na opublikowanie.

Ponieważ młodemu pokoleniu nazwisko Z. Jundziłła nic nie mówi — wydaje się nam celowe podanie jego krótkiej biografii (Redakcja).

którzy podczas mojej nieobecności w nocy w lipcu dokonali w moim mieszkaniu rewizji i poszukiwali mnie. Do tego czasu pisywałem artykuły polityczne w *Kurierze Wileńskim*, wydawanym przez Święcickiego i prof. Wit. Staniewicza, i w *Gazecie Codziennej* wydawanej przez Józefa Mackiewicza. W pierwszej chwili, w maju 1940, groziło *Gazecie Codziennej* ze strony władz litewskich zamknięcie. Porozumiewałem się z prof. Wit. Staniewiczem, jakby można było temu zapobiec. Pismo to, aczkolwiek o charakterze krajowym, nie było zwalczane przez Polaków. Przeciwnie był nawet projekt fuzji obu pism pod moją redakcją. Mogę przeto stwierdzić, że J. Mackiewicz w okresie okupacji litewskiej nie mógł podlegać oskarżeniom.

W 1941, po wkroczeniu wojsk niemieckich do Wilna, co nastąpiło w czerwcu tego roku, udało się mnie dostać pozwolenie na przejazd do Wilna autem, aby przywieźć stamtąd mego syna z żoną i zorientować się w sytuacji.

Przed wyjazdem odwiedził mnie jeden z ówczesnych członków rządu i stary mój przyjaciel, Aleks. Zwierzyński, dał mi pewne polecenia i tajną pracę. Wyjeżdżałem z Niemcem, za łapówkę, więc była to wyprawa względnie bezpieczna. Niemiec był cywil z Katowic, syn znanego przemysłowca, człowiek przywoity, nie hitlerowiec.

Było to w połowie września 1941. Jeszcze wyjeżdżając z Warszawy dochodziły nas wieści, że w Wilnie zaczęto wychodzić pismo polskie p.n. *Goniec Codzienny* (?) — oczywiście inspirowane przez Niemców.

Po przyjeździe do Wilna, po przeprowadzeniu rozmów ze St. Węśławskim i Miecz. Englem — obu proponowanymi kandydatami na Wojewodę Wileńskiego (kandydatura Fiedorowicza wypłynęła później) chciałem się zobaczyć z J. Mackiewiczem. Nikt mi nie mógł *nic pewnego* powiedzieć o nim.

Niebardzo wierząc pogłoskom, że to on wydaje koncesjonowane przez Niemców pismo polskie, jednak nie mając innego wyboru udałem się do redakcji tego pisma, która mieściła się wtedy przy ul. Mickiewicza naprzeciwko „Czerwonego Sztralla”, na rogu zaułku Sto Jerskiego.

Wszedłszy zapytałem zaraz o p. J. Mackiewicza, na co woźny, a następnie jeden z pracowników odpowiedział mi, że go nie znają i że go tu nie ma.

Na moją uwagę, że przecież on podobno wydaje to pismo otrzymałem odpowiedź, że pismo wydaje inny Mackiewicz, imienia nie pamiętam, *ale który nie ma nic wspólnego* z Józefem Mackiewiczem, redaktorem *Gazety Codziennej*.

Wtedy, pragnąc dostać jednak jakieś wskazówki, gdzie jest J. Mackiewicz, jaki jest jego adres, etc. dowiedziałem się przez kogoś z redakcji, że J. Mackiewicz nie mieszka w Wilnie, a gdzieś pod Wilnem, ale nikt dokładnie adresu podać mi nie mógł. Jeszcze pytałem czy bywa tu w redakcji, na co również otrzymałem odpowiedź przeczącą. Dla orientacji, co to za pismo zaku-

piłem sobie cały komplet, było wtedy jakieś 20-30 NrNr aby zawieźć to do Warszawy.

Na tym moje poszukiwania J. Mackiewicza w Wilnie się zakończyły. Potem dowiedziałem się, że ukrywał się on gdzieś w okolicach „Czarnego Bora”.

Z opisanych wyżej okoliczności wynika, że pogłoska o tym, że on wydawał w Wilnie *Goniec Wileński* spowodowana była identycznością nazwisk.

Mało kto ten dziennik czytał, a nazwisko Mackiewicza wystarczyło aby przypisać je Józefowi Mackiewiczowi.

W ten sposób J. Mackiewicz był ofiarą zupełnie wypadkowego zbiegu nazwisk.

Ten drugi Mackiewicz (zdaje się, że Bohdan) miał być uprzednio jakimś drugorzędnym reporterem w *Gazecie Codziennej* i to nazwisko zapewne celowo wykorzystali Niemcy.

Był jeszcze jeden Mackiewicz natenczas — imieniem Rafał — też był dziennikarzem, ale ten pisywał w dziennikach litewskich i miał siebie za Litwina.

Zygmunt JUNDZIŁŁ

Londyn, 29 maja 1952 r.

Z Archiwum Kancelarii Cywilnej Prezydenta R.P. (Londyn)
Dział A — Prezydent Rzeczypospolitej.
Teczka 1-c: Korespondencja osobista.



ZYGMUNT JUNDZIŁŁ ur. w Wilnie 27. VII. 1880, jako syn Hipolita i Marii z Toplickich (oboje — dzieci powstańców 1863 roku). Ukończył gimnazjum rosyjskie w Wilnie ze złotym medalem w roku 1899 po czym wstąpił na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie w 1906 roku uzyskał dyplom.

Po wybuchu 1-ej wojny światowej wszedł do Polskiego Komitetu Obywatelskiego, reprezentującego nieoficjalnie wobec władz rosyjskich, a potem okupacyjnych niemieckich interesy miejscowej ludności polskiej. W końcu okupacji niemieckiej, wraz z kilkoma innymi działaczami wileńskimi, pertraktował z przedstawicielami powstałej przy poparciu Niemców litewskiej „Taryby” (Rady Narodowej), w sprawie wspólnej obrony przed bolszewikami. Po zerwaniu tych rokowań przez Litwinów udał się do Warszawy, gdzie brał udział w organizacji Ministerstwa Sprawiedliwości.

W kwietniu 1919 otrzymał od władz najwyższych polskich misję udania się z dwoma innymi politykami (Michał Romer i K. Łukomski) do Kowna w celu nawiązania stosunków z Litwinami. Podczas krótkiej okupacji bolszewickiej przebywa na Litwie. Po powrocie do Wilna był bardzo czynnym politycznie w okresie „Litwy Środkowej”, chociaż wejścia do Komisji Rządzącej odmówił. Prowadził własną kancelarię adwokacką, został posłem i wice-marszałkiem Sejmu Wileńskiego, przewodniczył na posiedzeniu, na którym uchwalono przyłączenie „Litwy Środkowej” do Polski. Został posłem do sejmu polskiego z ramienia Stronnictwa Ludowego, którego oddział wraz z kilku innymi działaczami założył w Wilnie. W roku 1925 wystąpił ze Stronnictwa Ludowego i wszedł wraz z Bartłem, Kościałkowskim i inn. do Klubu Pracy w Sejmie.

W latach 1922-30 wykładał na USB prawo cywilne. W 1932 został powołany przez Senat USB na prezesa Fundacji im Umiastowskich dla USB, obejmującej duże dobra ziemskie. W roku 1934 został wybrany dziekanem Wil. Rady Adwokackiej, od 1936 członkiem Komisji Kodyfikacyjnej, oraz członkiem Naczelnej Rady Adwokackiej w Warszawie.

W latach 1939 i 1940, do czasu sowietyzacji Litwy wraz z Wileńszczyzną, był członkiem Komitetu Polskiego, nieoficjalnej reprezentacji polskiej ludności kraju, któremu przewodniczył dawny jego patron, Bron. Krzyżanowski. Opuścił Litwę w 1940 i w okresie okupacji niemieckiej przebywał w Polsce, był szereg razy w Wilnie. W roku 1944 opuścił kraj przed wejściem bolszewików i po dłuższych wędrówkach dostał się do Włoch, potem Francji i wreszcie w roku 1949 do Londynu, gdzie osiadł wraz z rodziną na stałe i gdzie w roku 1953 życie zakończył. Na emigracji był bardzo czynny, pomimo ciężkiej choroby serca, w dziedzinie naukowej, pisarskiej i politycznej.

WSPOMNIENIA

Rudolf LESSEL

HISTORIA JEDNEJ GAZETY

2 września 1939 roku do drzwi mojego mieszkania, w Warszawie, przy ulicy Sienkiewicza 1, zapukał Wojciech Skuza, pisarz i działacz chłopski. Od paru lat pracowaliśmy razem w redakcji *Dziennika Ludowego*. Naszym naczelnym redaktorem był członek CKW PPS, Zygmunt Zaremba (zmarły niedawno — i pochowany na cmentarzu w Sceaux, pod Paryżem).

Mój niespodziewany gość poprosił o nocleg. Jak wytłumaczył u progu — został wyeksmitowany ze swego sublokatorskiego pokoiku. Już po wybuchu wojny.

Mieszkanie miałem spore, przenocowanie kolegi nie przedstawiało więc większych trudności. Nie myśleliśmy wtedy, że owa eksmisja sprzęgnie nas ze sobą na wiele tygodni. Tymczasem chodziliśmy co dnia razem do *Dziennika*, którego redakcja mieściła się tuż obok (przy ul. Boduena, chyba — 4).

Nastroje wśród kolegów nie były nazbyt dobre, ale opanowane. Zaremba potrafił wpływać uspakajająco na otoczenie. Wszyscyśmy się więc trochę naśmiewali z tych, którzy — od pierwszego dnia wojny — siedzieli na walizkach. Mówiąc ściślej na plecakach. Mniej czy więcej przestraszeni sytuacją — zgodni byliśmy jednak, że Niemcy podejną do stolicy. Czy ją zdobędą? — tu zdania były podzielone.

Również na Wareckiej, w *Robotniku*, z którym współpracowałem, Mieczysław Niedziałkowski panował nad podnieconymi wojną nastrojami swojego zespołu.

Ale w dniu 5 września prysł spokój. W dniu tym „wojenny” jej szef, pułkownik Ścieżyński, zaprosił kilkudziesięciu dziennika-

rzy na konferencję do Rady Ministrów, przy Krakowskim Przedmieściu. Jak się okazało, celem owej konferencji było zaprezentowanie zebranym — nowego ministra, nowego ministerstwa. Ministrem był wojewoda śląski, Grażyński, pokierować miał ministerstwem propagandy. Ale wystąpienie jego nie podniosło na duchu żadnego ze skrzykniętych na konferencję. Raczej przeciwnie: Grażyński oświadczył bowiem, że w tymże dniu, wieczorem, odejdzie z Dworca Wschodniego pociąg ewakuacyjny. Zabierze on urzędników propagandy i tych dziennikarzy, których wyznaczą redaktorzy naczelni.

Zaremba postanowił nie delegować nikogo.

Jak się następnego dnia dowiedzieliśmy — ów pociąg ewakuacyjny nie zabrał zbyt wielu chętnych. Odjazd nastąpił bowiem z Dworca Gdańskiego, a nie — jak to było zapowiedziane — ze Wschodniego. W rezultacie sporo dziennikarzy nie zdążyło przedostać się z prawego brzegu Wisły na lewy. Trzeba było dość daleką drogę odbyć na piechotę — i to często z ciężkim bagażem. Środków lokomocji nie było żadnych.

Owe perypetie ewakuacyjne stały się tematem wielu rozmów dziennikarskich, dnia następnego. Choć wiadomości z frontu były wciąż gorsze — uważano jednak powszechnie, że Grażyński nadto się pospieszył. I że niepotrzebnie pociągnął za sobą część zespołów redakcyjnych, które przecież tu, w Warszawie, mają konkretne zadania. Nie przypuszczaliśmy, że wielu spośród nas, zaledwie po upływie dwudziestu czterech godzin, także będzie opuszczać Warszawę.

Bezpośrednią przyczyną masowego exodusu ze stolicy, przede wszystkim młodych mężczyzn, stał się pamiętny rozkaz pułkownika Umiastowskiego, który polecił wszystkim, zdolnym do noszenia broni, aby wycofali się na zaplecze frontu, gdzie zostaną wcieleni do armii.

Przemówienia Umiastowskiego nadanego przez radio warszawskie nie słuchałem. Ale wkrótce zostałem poinformowany o jego treści. Skuza i ja zdecydowaliśmy się podporządkować temu poleceniu, które można było odczytać jako polecenie najwyższych władz wojskowych. Około północy w towarzystwie dwóch chłopców, braci koleżanki mojej żony — przekroczyliśmy więc roгатki warszawskie, w kierunku na Mińsk Mazowiecki. Chłopców (nazwiskiem Meisner, imion ich nie pamiętam) dostałem pod opiekę. Jeden był dopiero po maturze, drugi w jednej z ostatnich klas szkoły. I z nimi, jak ze Skuzą mieliśmy się nie rozstawać przez wiele tygodni.

Przygody, które po drodze przeżywaliśmy — nie nazbyt różniły się od opisywanych już dziesiątki razy. Nie będę więc do

nich wracał. Wspomnę może tylko, że szukając RKU, która by nas zmobilizowała — i nigdzie tej instytucji nie znajdując — dotarliśmy wreszcie do komendanta dworca kolejowego w Brześciu. Poradził mi tak, spotkany na ulicy — właśnie w Brześciu — adwokat Józef Bloch, odziany w mundur kapitana korpusu sądowego, ale równie mało orientujący się w sytuacji jak my — cywile.

Komendant, w randze — jeśli mnie pamięć nie myli — majora, spojrzął na nas bez większego zainteresowania. Dowiedziawszy się kim jesteśmy i czego chcemy — oświadczył, że on nas zmobilizować nie może. Zaproponował abyśmy się udali do Lwowa — i napisał zamasyście na naszych kartach mobilizacyjnych (mojej i Skuzy, chłopcy ich nie mieli): skierowani do Lwowa, przez... Pińsk. Pod tym pieczęć i podpis.

Dlaczego mieliśmy jechać do Lwowa właśnie przez Pińsk — nie rozumiem po dzień dzisiejszy. Ale zastosowaliśmy się do tego rozkazu.

Z Brześcia wyszliśmy na piechotę. Już po paru godzinach marszu, o zmierzchu, trafiliśmy na stojący w szczerym polu — pociąg ewakuacyjny. Pełno w nim było przerażonych ludzi, pociąg Niemcy zbombardowali bowiem i ostrzelali w ciągu dnia parokrotnie. Było kilku zabitych i rannych. Postanowiliśmy jednak zaryzykować — pociąg zdążył do Pińska. I udało się, bez żadnych sensacji znaleźliśmy się, po kilku godzinach, w mieście nad Piną.

Zaczynała tu dopiero docierać fala uchodźców, a więc i ze znalezieniem kwatery nie mieliśmy większych kłopotów. Przede wszystkim postanowiliśmy odespać kilkudniowe zaległości. Dopiero po tym zastanowić się nad dalszą drogą do Lwowa. Przecież to miał być nasz cel.

Skuza, zawsze niecierpliwy, niedługo wytrzymał w łózku. Wymknął się po cichu, aby zasięgnąć języka na mieście. Po paru godzinach wrócił z dobrymi nowinami. Spotkał znajomego dyrektora miejscowej szkoły, którego poznał kiedyś w czasie swych licznych wędrówek reporterskich po Polsce. Popijając herbatę w mieszkaniu owego dyrektora (nazwiska niestety nie pamiętam), dogadali się szybko, że warto by może zacząć wydawać gazetę. Informowałyby ona stałych mieszkańców Pińska a także i uchodźców — o sytuacji i uspakajałaby podniecenie bezdomnych, nie znających celu swej wędrówki, ani jej kresu.

Dyrektor obiecywał załatwienie wszelkich, niezbędnych formalności u władz wojskowych. Podjął się także przekonać miejscową kurię biskupią, aby oddała nam do dyspozycji swoją drukarnię (jedyną w mieście). Przynrzekł też, że sprowadzi jakichś

dziennikarzy, których — jak słyszał — fala wojny przyniosła aż tutaj, tak jak i nas.

Oczywiście nie trzeba mnie było przekonywać o celowości tego zamierzenia.

Około południa odbyła się pierwsza narada redakcyjna.

Dyrektor okazał się człowiekiem obrotnym i ustosunkowanym, albo może zawczasu, zanim żeśmy się tu zjawili, wszystko już było przygotowane. Jakby nie było na owo zebranie przyszedł przedstawiciel wojska, w randze kapitana, z wszelkimi pełnomocnictwami komendanta miasta. Był także kierownik drukarni. Dyrektor zdążył już nawet sprowadzić owych, obiecanych dziennikarzy. Byli to: Wacław Zuchniewicz z *Dziennika Poznańskiego* oraz Jerzy Billewicz, współpracownik *Kuriera Warszawskiego*. Był także nasz dobry znajomy, Skuzy i mój — akwizytor ogłoszeniowy z *Dziennika Ludowego* (nazwiska nie pamiętam). Oczywiście nie mógł tu rozwinąć swych umiejętności zawodowych, ale był obeznany z pracą redakcyjną. Pomagać nam też chcieli chłopcy: podejmowali się nasłuchu radiowego, ze swą szkolną znajomością języków — niemieckiego i angielskiego. Od biedy umieli też pisać na maszynie.

Dyrektor otworzył zebranie, oddając głos kapitanowi. Ów — nie tracąc czasu na zbędne słowa — oświadczył, że wojsko daje zgodę na wydawanie gazety. Daje także papier. Starczy go na razie — przy nakładzie 4 tysięcy egzemplarzy czterostronicowych — na 5-6 dni. A potem się zobaczy.

Wojsko obiecało także dać dobry aparat radiowy. Nas, dziennikarzy, oraz osoby z nami współpracujące, miało zaopatrzyć w przepustki i opaski z napisem „prasa”, które umożliwiłyby nam swobodne poruszanie się po mieście. Wojsko zobowiązało się także, za pośrednictwem owego kapitana, dostarczać nam wiadomości, które uzna za celowe rozpowszechnić. Kapitan-łącznik miał być też naszym „wojennym cenzorem”.

Następnie zabrał głos kierownik drukarni. Jego słowa wzbudziły w nas mniejszy entuzjazm: drukarnia nie miała linotypów — skład był ręczny. Nie miała też oczywiście maszyny rotacyjnej, a tylko płaską. Aby wydać w tych warunkach gazetę — nawet tak niewielkich rozmiarów — trzeba było 10-12 godzin. Drukarze zastrzegli sobie, że — tylko pierwszy numer dziennika wydrukują na kredyt, potem trzeba będzie płacić. Nie pamiętam jakiego rzędu była to suma, zapewne nie nazbyt wielka, nam wydawała się jednak olbrzymia. Byliśmy przecież prawie bez grosza. Sprawa rozwiązała się jednak dość łatwo. Billewicz nawiązał w Pińsku stosunki z wyższymi urzędnikami Banku Polskiego, którzy przybyli tu, tak jak i my, z Warszawy. Mieli ze sobą znaczne

kwoty państwowych pieniędzy. Łatwo zgodzili się na udzielenie nam długoterminowej pożyczki, płatnej... po wojnie.

Poszliśmy jeszcze obejrzeć drukarnię, która była jeszcze może mniejsza i skromniej wyposażona, aniżeli to sobie wyobrażaliśmy. Następnie zabraliśmy się do podziału ról. Mnie wybrano na „naczelnego”, jeśli tak to nazwać można. Sprawowałem tę kierowniczą funkcję, równocześnie byłem sekretarzem redakcji i publicystą. Zuchniewiczowi przypadła rola redaktora technicznego. Jedyńy spośród nas miał odpowiednie kwalifikacje. Skuza objął „dział reportażu”. Miał pisać zresztą nie tylko reportaże, ale i podnoszące na duchu nowelki. Billewicz zobowiązał się do redagowania wiadomości, a także do sprawowania opieki nad korektą, którą robili „chłopcy”, przy pomocy — praktycznie biorąc — całego naszego zespołu. Meisnerowie byli też głównymi dostawcami wiadomości. Im powierzono bowiem radio. Wreszcie „akwizytor” wziął na siebie trud prowadzenia administracji.

Wszystkie te szczegóły ustalone zostały dość gładko i szybko. Nikt z nas nie widział niebezpieczeństwa w tym, że Billewicz i Zuchniewicz reprezentowali zupełnie różne poglądy polityczne ode mnie i Skuzy. Teraz chodziło nam przecież nie o społeczno-polityczny kształt Polski, ale o jej istnienie. W tej sprawie reprezentowaliśmy oczywiście pogląd wspólny. W ciągu najbliższych dni nie było też w redakcji *Gazety Pińskiej*, jak nazwaliśmy dziennik, żadnych sporów, wartych zanotowania. Wojsko nie wykazywało też zainteresowania naszym politycznym rodowodem. Starano się natomiast pomagać nam we wszystkich codziennych kłopotach. Na ogół były to sprawy drobne: maszyna do pisania i oczywiście papier do niej, konserwacja radia, które — mimo imponującego wyglądu — wciąż się psuło. Jakiś wojskowy radiotechnik — zadomowił się też nieomal u nas, przyjeżdżając do „redakcji” (pokoik przy drukarni) na każde zawołanie.

1. Z informacji, którymi rozporządzałem, pisząc ten szkic — wynika, że *Gazeta Pińska* miała tylko jednego „konkurenta”, to znaczy, że we wrześniu 1939 r. powstało za linią frontu, jeszcze jedno tylko pismo codzienne. Pismo to, nie znam jego nazwy, wychodziło w Brodach. Redagował je przez kilka dni zespół redakcyjny, w składzie: Stefan Grostern, Krzysztof Czyżewski, Jerzy Jotyc-Irza, Jerzy Wendel (zmarły niedawno w Londynie) i Stanisław Maria Saliński (zmarły niedawno w Warszawie).

Było jeszcze jedno pismo. Mianowicie w Równem Jerzy Giedroyc, z polecenia ówczesnego Ministra Przemysłu i Handlu, Antoniego Romana, rozpoczął wydawanie pisma pt. *Telegramy*. Ukazały się jedynie trzy nry: 11, 12 i 14 września. Współpracowali: Maja Prądzyńska, Jerzy Pietrkiewicz, Ign. Kleszczyński i Koźmiński. Byli oni ściągnięci do Równego z Kowla, dokąd ewakuowano ich z Warszawy z redakcją *Polski Zbrojnej*. Pismo było oparte głównie na nastuchu radiowym. — R e d a k c j a.

Raz tylko — pamiętam, o czym raczej na marginesie — wydarzył się problem poważniejszy.

Informacje z frontu były wciąż gorsze. Dowództwo wojsk, stacjonujących w mieście i wokół miasta, licząc się z ewentualnym okrążeniem i obroną — postanowiło nie wpuszczać nowych uchodźców, a nawet część już w Pińsku rozlokowana, miała być z niego usunięta. Chodziło o zaoszczędzenia żywności, której zbyt wielkich zapasów ojcowie miasta, ani miejscowi kupcy, przed wojną nie zgromadzili.

Wśród uchodźców wybuchła panika. Liczni znajomi szukali protekcji w redakcji *Gazety*. Nie chcieliśmy nadużywać naszych „stosunków”. W paru tylko przypadkach, gdy chodziło o ludzi starych i chorych — postaraliśmy się dla nich o prawo pobytu. W tym to właśnie czasie do redakcji przybiegł nasz „akwizytor”, który coś załatwiał na mieście — z wiadomością, że patrol wojskowy zatrzymał na szosie wjazdowej do Pińska wóz drabiniasty, którym jechał z Kowla chory Henryk Ehrlich, jeden z przywódców Bundu.

Natychmiast udałem się do sztabu, gdzie przyjął mnie — jak zazwyczaj — „nasz” kapitan. Wysłuchał mnie i po porozumieniu się ze swoimi władzami, wysłał polecenie wpuszczenia Ehrlicha do miasta i umieszczenia go w szpitalu.

W chwilę po tym nastąpił najdłuższy i najcięższy nalot na Pińsk. Ehrlicha nie zobaczyłem. Potem słyszałem, że zrezygnował z dostania się do miasta i choć bardzo chory — ruszył na granicę rosyjską. Sądził, że znajdzie tam ratunek przed Niemcami. Znalazł więzienie, a potem śmierć.

Wracając jednak do *Gazety Pińskiej* trzeba jeszcze słów parę poświęcić jej narodzinom. Była chyba godzina 3-cia lub 4-ta po południu, dnia 10 września gdy wszystkie redakcyjno-administracyjne formalności zostały załatwione. Postanowiliśmy — mimo dość spóźnionej pory — pierwszy numer naszej gazety wydać już rankiem dnia następnego.

Zuchniewicz zabrał się więc do ustalania trybu pracy z drukarzami, którzy nigdy dla prasy nie pracowali. Skuza poszedł na miasto zorientować się w nastrojach stałych jego mieszkańców i nowoprzybyłych. Obiecał, że pod wieczór da do druku nie tylko pierwszy reportaż, migawki okolicznościowe, ale i nowelkę. Meisnerowie siedli przy aparacie radiowym. Billewicz, zanim do jego rąk trafić mogły pierwsze szpalty korektorskie, skierował swe kroki do zarządu miejskiego, aby dowiedzieć się o stan zaopatrzenia miasta w żywność, sytuację sanitarną, w ogóle o wszystko co mogłoby zainteresować tak „pińszczan”, jak i uchodźców.

A ja zebrałem się do mojego pierwszego w życiu, wojennego-wstępnego artykułu.

Wspomnienia zacierają się, ale pamiętam, że pisałem w pocie czoła. Jak podnosić na duchu innych, kiedy sam na duchu nie byłem podniesiony? W rezultacie mój artykuł — i ten, i wszystkie następne nie odznaczały się nadmiernym optymizmem. Na optymizm zresztą żadną miarą nie można sobie było pozwolić. Choć Niemcy rzadko Pińsk bombardowali, to wieść szła wśród mieszkańców, że zbliżają się do jego bram. Zamiast więc pisać wbrew faktom, kresliłem perspektywy przyszłości. Obiecywałem, że „słońce wszędzie” i dla nas. Niestety nie potrafiłem przewidzieć kiedy to nastąpi. Nie przypuszczałem zresztą, ani ja, ani nikt inny, że na tę chwilę trzeba będzie czekać aż tak długo.

Około północy wszystkie artykuły, reportaże, migawki a nawet pierwszy odcinek nowelki Skuzy — znalazły się na moim biurku. Obietnice zostały spełnione, wszyscy wykonali powierzone im zadania. Również drukarze nie zawiedli. Nie przypuszczałem, że można tak szybko składać ręcznie.

Najwięcej trudności mieliśmy z wiadomościami. Tyle ich było w eterze — i tak sprzecznych: od bombardowania Berlina przez lotnictwo polskie, francuskie, angielskie, poprzez marsz aliantów nad Sprewę, aż do cofania się wojsk naszych i okrażenia Warszawy, przez hitlerowców. Niestety tylko te ostatnie wiadomości okazały się prawdziwe. „Nasz” kapitan jednak tylko bardzo niechętnie godził się na podawanie całej prawdy. Ale i jemu i jego zwierzchnikom starczyło rozsądku, aby nie żądać od nas nazbyt optymistycznych informacji. Tylko wiadomości z Warszawy podawaliśmy przez cały czas, bez skrótów, za radiem warszawskim, wraz z przemówieniami prezydenta stolicy, Starzyńskiego.

Pracowaliśmy wszyscy — do rana, robiąc wspólnie korektę, nawet pomagając drukarzom, w czym mogliśmy. Zuchniewicz był w jednej osobie redaktorem technicznym i metrapaźem. A kapitan co pewien czas wpadał do nas. Przeglądał szpalty z artykułami dość pobieżnie, dłuższą chwilę poświęcając wiadomościom. Jeśli mnie pamięć nie myli — jego ołówek cenzorski tylko też w związku z informacjami z frontu był parokrotnie w użyciu.

Wreszcie około godziny 8 rano gazeta była gotowa. Do drukarni przyszło już ok. godziny 6-ej kilkudziesięciu, w większości żydowskich, chłopców, w wieku od 12 do 16 lat (w Pińsku mieszkało przed wojną bardzo wielu Żydów, w przeważającej mierze ortodoksyjnych), którzy mieli kolportować *Gazetę Pińską*. „Akwizytor”, jeszcze poprzedniego dnia wieczorem, porozumiał się z Gminą Żydowską, która zmobilizowała kolporterów. Kilku przysłał też dyrektor szkoły — spośród swoich uczniów.

Ale kolporterzy mieli niewiele do roboty. Przed drzwiami drukarni stał już tłum mieszkańców Pińska i uchodźców, którzy dowiedzieli się pocztą pantoflową, że powstaje *Gazeta*. Część nakładu wzięło wojsko, resztę rozchwymano w 15 minut.

I tak było co dzień.

Pracowaliśmy po dwadzieścia godzin na dobę, pijąc niezliczone ilości kawy (było jej jeszcze dość w Pińsku), paląc mniej papierosów — bo już ich nie było (jedno „Ergo” kosztowało „spod lady” — złotówkę), śpiąc częściej w drukarni, na krześku, aniżeli w łóżku.

Po dwóch dniach nasz stan osobowy powiększył się o inżyniera architekta, Henryka Habera, krakowianina, zaprzyjaźnionego ze mną od wielu lat. Znał on dobrze parę języków zachodnioeuropejskich — przejął też nasłuch od braci Meisnerów.

Tymczasem wiadomości stawały się wciąż gorsze i wciąż trudniejsze do odczytania. Kapitan zjawiał się u nas rzadziej i na krócej. Stracił humor, który na początku naszej znajomości, zjednał mu sympatię wszystkich. Wojsko przestało właściwie podawać nam jakiegokolwiek wiadomości. Mniej ich też wciąż było na naszych łamach. Kapitan w rozmowach prywatnych dawał do zrozumienia, że jeżeli Niemcy podjadą pod Pińsk — to wcale nie wiadomo, czy będzie on broniony, mimo że przygotowywano się do tego. Być może oddziały przegrupują się na innych odcinkach. Flotę rzeczną, której jednostki patrolowały Pinę — trzeba by było wtedy zatopić. Tak się zresztą i stało. W czasie naszej dalszej wędrówki widzieliśmy je, pogrążone w płytkich wodach tej rzeki.

Po raz pierwszy zaczęliśmy się zastanawiać — wraz z kapitanem, co dalej? Oczywiście nie chodziło o niego, był w wojsku i wciąż jeszcze wierzył, że znajdzie dla siebie lepsze zajęcie aniżeli „cenzurowanie” *Gazety Pińskiej*. Nie wiem co się z nim później stało. Tymczasem jednak najserdeczniej martwił się losem naszego zespołu redakcyjnego i brał aktywny udział w dyskusjach: zostać, czy opuścić miasto? Wreszcie decyzja zapadła. Billewicz i Zuchniewicz postanowili — przynajmniej na razie — nie opuszczać Pińska. Nie chcieli szukać schronienia za sowiecką granicą. Woleli już spotkanie z Niemcami. Pozostali z Niemcami spotkać się nie chcieli, raczej z Rosjanami.

Ostatni numer *Gazety Pińskiej*, redagowanej w dotychczasowym składzie, został oddany w ręce drukarzy późnym wieczorem 16 września. Około północy — wszyscy, oprócz Billewicza i Zuchniewicza, wsiedliśmy do wielkiej, „pychowej” łodzi, jakiej używali miejscowi rybacy. Było już w niej kilka nieznanym nam osób, które posłał na przystań „nasz” kapitan. On to znalazł rybaków,

którzy w ten niepewny czas zgodzili się na opuszczenie swych rodzin.

Podróż nasza nie była zresztą nazbyt długa. Siedemnastego września w nocy zatrzymaliśmy się na postój, już niewiele kilometrów od sowieckiej granicy, w jakiejś białoruskiej wsi. Nauczyciel miejscowej szkoły — Polak — usłyszawszy skąd i dokąd jedziemy, opowiedział nam co zrozumiał z przemówienia Mołotowa, którego niedawno wysłuchał przez radio. Armia Czerwona wkraczała do Polski.

Po co? Nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, czy po to, aby pomóc nam w walce z Niemcami, czy też po to, aby jeszcze raz w historii Polski, podzielić się nią z Niemcami. Nauczyciel nie umiał tej naszej wątpliwości rozwiązać. Odbiór był nie dobry, wiedział więc tylko tyle, że żołnierze sowieccy przeszli naszą granicę.

Jaki by nie był ich cel, dalsza podróż na wschód straciła sens. Nasi przewoźnicy, po paru godzinach snu, zawrócili do Pińska. My zdecydowaliśmy się przeczekać tu przemarsz Rosjan.

Przez tydzień, który spędziliśmy nad granicą sowiecką, żadnego jednak żołnierza z Kraju Rad nie zobaczyliśmy. Wreszcie zniecierpliwieni przymusową bezczynnością — Skuza, Haber, Meisnerowie i ja ruszyliśmy w drogę powrotną do Pińska. O kilka kilometrów od wsi, w której nas przez cały czas naszego tam pobytu przyjmowano nad wyraz serdecznie, leżały tory kolejowe. Komunikacja towarowa była już uruchomiona. Wskoczyliśmy do pierwszego pociągu, który wolno toczył się w stronę Łunińca. Wkrótce dotarliśmy do tej, sporej stacji kolejowej. Tu spotkaliśmy się z pierwszą falą uchodźców, zawracających z drogi na wschód i usiłujących zorientować się w sytuacji. Jedno było już wtedy w każdym razie pewne: ZSSR z III Rzeszą o polskie interesy bić się nie zamierzał.

Najbardziej nas teraz interesowało, którądy przebiegać będzie linia demarkacyjna. Mówiono o Wiśle.

Po przenocowaniu w Łunińcu, pojechaliśmy, jeszcze raz pociągiem towarowym, do Pińska. Zuchniewicza i Billewicza nie było tam już ani śladu. Od znajomych, którzy w mieście pozostawali przez cały czas naszej wędrówki — dowiedzieliśmy się, że *Gazeta Pińska* wychodziła jeszcze parę dni. Ile — tego już sobie nie przypominam. Dopiero w kilka lat po wojnie — Zuchniewicz opowiedział mi, że ostatni jej numer ukazał się w przeddzień zajęcia Pińska przez wojska sowieckie. Tę informację potwierdził on następnie we „Wspomnieniach Dziennikarzy” (PWN, Warszawa, r. 1965), określając datę wkroczenia Czerwonej Armii do miasta nad Piną — na 24 września. Wydaje się, że była ona

wcześniejsza. Pińsk był zresztą jednym z nielicznych miast na wschodzie Polski, które się — choć krótko — broniło.



Dalsze losy ludzi, którzy wraz ze mną redagowali *Gazetę Pińską* — były różne. Zuchniewicz, jak wspominałem, przetrwał wojnę i mieszka w Warszawie, jest nadal dziennikarzem. Billewicz był w czasie wojny w stolicy, co się z nim stało — nie wiem. Wojciech Skuza, którego ze Lwowa wywieziono do ZSSR, wraz z setkami tysięcy *bieżeńców* — umarł podobno, gdzieś na Syberii. Meisnerowie również zostali wywiezieni — słuch o nich zaginął. Tak jak i o aktywizytorze z *Dziennika Ludowego*. Uratował się natomiast z wojennej zawieruchy — architekt Haber. Od dwudziestu lat, z górą, mieszka w Australii.

Rudolf LESSEL

Jerzy ROS

HENRYK HOLAND — OSTATNIA OFIARA BERII...

Grabarze na cmentarzu komunalnym w Warszawie spuścili trumnę do grobu i gromadka żałobników zgromadzonych nad otwartą mogiłą, zaintonowała „Międzynarodówkę”.

Był grudzień 1961 roku.

W kilka dni później uczestników tego pogrzebu wezwano do Komisji Kontroli Partyjnej przy Komitecie Centralnym lub przy Komitecie Warszawskim. W zależności od stopnia partyjnej hierarchii; kto w nomenklaturze KC ten do Centralnej, kto mniej znaczny do Warszawskiej. Wszystkim jednakże stawiano te same, mniej więcej, pytania:

— Kto was zawiadomił o godzinie i miejscu pogrzebu skoro w prasie nie było nekrologów ani anonsów? Dlaczego braliście udział w tym pogrzebie? Dlaczego demonstracyjnie śpiewaliście nad grobem „Międzynarodówkę”?!

Taki oto był epilog jednego z najbardziej tajemniczych wydarzeń w Polsce Władysława Gomułki, epilog sprawy, którą dziś, z perspektywy dziewięciu lat i znanych już okoliczności, ocenić można jako początek nowego kursu: restalinizacji bez Stalina czyli prymatu władzy policyjnej nad polityczną. Taki oto był epilog pogrzebu Henryka Holanda.

Sprawa Henryka Holanda nigdy nie doczekała się pełnego wyjaśnienia. Na łamach prasy światowej poświęcano jej wiele uwagi, ale w powodzi słów utonęły — jak to bywa — fakty. I prawdę mówiąc, jeszcze po dzień dzisiejszy niektóre aspekty tej sprawy pozostają niejasne i niewyjaśnione. Tym niemniej w oparciu o znane i ustalone fakty, można widzieć tę sprawę w powiązaniu z procesami, które jej towarzyszyły i po niej nastąpiły.

Najpierw jednakże kilka słów wyjaśnienia należy się tym wszystkim, młodszym i starszym, którzy mają prawo nie znać szczegółów afery.

Henryk Holand w latach okupacji był w ZSSR i tam wstąpił w szeregi organizującej się Pierwszej Armii Wojska Polskiego. Do kraju wrócił już w mundurze oficerskim. Dziś generał Moczar zaliczyłby go niewątpliwie do kategorii „polityków w żołnierskich szynelach” — jak ze zręcznością słonia w składzie sowieckiej porcelany — określił tych, którzy — jak to kiedyś mówiła propaganda — „szli do Ojczyzny najkrótszą drogą” — ze Wschodu.

Henryk Holand miał lat dwadzieścia parę, a jego lewicowa przeszłość i środowisko, w którym obracał się w Polsce i na obczyźnie determinowały oblicze ideowe i postawę. Po wojnie powierzono mu w Polsce — w niełatwym okresie — stanowisko redaktora naczelnego *Walki Młodych*, tygodnika związku młodzieżowego o tej nazwie. Przez czas pewien, w okresie poprzedzającym październik 1956, pracował w dziale ideologicznym *Trybuny Ludu*. W dziejach centralnego organu partii zapisał się jako *enfant terrible*, zadając na zebraniach kłopotliwe pytania kierownictwu pisma. On to m.in. na zebraniu organizacji partyjnej w *Trybunie Ludu* zapytał Bolesława Bieruta, który przybył osobiście pacyfikować niesforną część zespołu, co to takiego jest estetyka marksistowska w muzyce. Było to na marginesie kłopotliwej wielce dyskusji o polityce kulturalnej partii i starszy pan bardzo się gimnastykował, wyjaśniając wreszcie, że on na muzyce się nie zna, ale osobiście lubi muzykę spokojną i konwencjonalną. Było to wówczas, gdy przedpaździernikowy ferment ogarniał najszerze kręgi aktywu partyjnego, a demokratyzacyjna dżuma dotarła nawet do Grenady.

Po 1956 roku Holand opuścił *Trybunę Ludu* i uplasował się na Uniwersytecie Warszawskim. Pracował tam nad monografią dzieł wybitnego polskiego socjologa — Ludwika Krzywickiego. *Nota-bene* dzieła Krzywickiego ukazały się w druku z przedmową Henryka Holanda.

Ruchliwy, niespokojny duch, typowy *homo politicus*, miał kontakty z różnymi środowiskami z racji okupacyjnej walki, politycznej aktywności powojennej oraz pracy dziennikarskiej. Był postacią popularną w środowisku dziennikarskim i uniwersyteckim.

W grudniu 1961 aresztowano go niespodzianie. Towarzyszyły

temu pogłoski, że aresztowany został pod zarzutem szpiegostwa na rzecz obcego mocarstwa — tu mrugano porozumiewawczo. Mruganie — co stało się w Polsce metodą partyjną i policyjną — zastąpić miało fakty.

Niedługo po aresztowaniu środowiskami intelektualnymi Stolicy wstrząsnęła wiadomość: Henryk Holand popełnił samobójstwo w śledztwie. W trakcie rewizji przeprowadzanej u niego w domu, do którego został doprowadzony w asyście — według jednej wersji dwóch, według drugiej — trzech funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa — zmylił ich czujność — otworzył okno i skończył, ponosząc śmierć na miejscu!

Ciało denata zabrano do Instytutu Medycyny Sądowej na ul. Ozki. Po sekcji wydano je pełnomocnikom rodziny, w zamkniętej trumnie, na osobistą interwencję b. wiceministra bezpieczeństwa — w tym czasie już wiceministra Administracji Publicznej — Alstera. Ludzie, którzy z nim rozmawiali twierdzą, że Alster był tą całą sprawą wstrząśnięty i nie wierzył w oficjalną wersję o samobójstwie. Trudno to dziś zweryfikować: Alster nie żyje. Jako długoletni pracownik aparatu bezpieczeństwa i kierownik jednego z węzłowych — Wydziału Organizacyjnego Komitetu Centralnego — znał doskonale mechanizm działania dyskretnych służb i jego wątpliwości dotyczące rzekomego samobójstwa — miały niewątpliwie uzasadnienie.

Wątpliwości te — zresztą — podzielało wielu innych, eksponowanych, rozsądnych i co najważniejsze — uczciwych ludzi. Intelktualna i polityczna Warszawa zadawała sobie pytanie: czy to była defenestracja — czy wyrzucono już trupa?! Tylko niewielu z tych, którzy znali Holanda — uważało wersję samobójczą za prawdopodobną.

Śledztwo przeciw oficerom służby bezpieczeństwa, którzy towarzyszyli Holandowi, odpowiedzialnym za „niedozór”, jeśli nawet i zostało wdrożone, nigdy nie zostało publicznie ujawnione. Żaden komunikat prasowy nie był w tej sprawie publikowany — co jest w Polsce Ludowej rzeczą normalną. O nieczystym sumieniu władzy świadczy jednak to, że nie pozwolono opublikować nawet nekrologu — co jest już w Polsce Ludowej — rzeczą dziwną, skoro Holand istotnie popełnił samobójstwo!

O nieczystym sumieniu najdobitniej jednak świadczy ostra i natychmiastowa akcja represyjna wymierzona przez aparat partyjnej kontroli w tych, którzy wzięli udział w pogrzebie Holanda i odważyli się nad jego grobem śpiewać „Międzynarodówkę”.

Represje wymierzone w uczestników pogrzebu Holanda wystarczyły, by dojsć do wniosku, że właściciele Polski Ludowej nie mają tu czystego sumienia, nie mówiąc o rękach.

A byli wśród represjonowanych, uczestników tego pogrzebu, ludzie nie bylejakiego, politycznego kalibru: członkowie Komitetu Centralnego PZPR, intelektualiści, pisarze, studenci... Przypomnijmy nazwiska niektórych, gdyż nie często takie grono spotkać

dzisiaj można na urzędowych pogrzebach zasłużonych działaczy, chowanych na koszt państwa z orkiestrą.

Prof. Oskar Lange piastował wówczas godność wiceprzewodniczącego Rady Państwa, był więc, zgodnie z Konstytucją, wiceprezydentem Polski. Dodajmy — był uczonym o światowej sławie, międzynarodowym ekspertem ONZ, przewodniczącym Komitetu Ekonomicznego przy Radzie Ministrów, członkiem Komitetu Centralnego PZPR. Jego jednego nie odważono się wezwać przed Komisję Kontroli.

Generał Janusz Zarzycki — lewicowy działacz, w latach okupacji czynny w sztabie warszawskiego AL — b. szef Zarządu Politycznego Wojska, b. przewodniczący Związku Walki Młodych — wówczas piastujący jeszcze stanowisko prezydenta m.st. Warszawy.

Redaktor Helena Jaworska, łączniczka sztabu Gwardii Ludowej, wsławiona tym, że w czasie Powstania Warszawskiego, nocą przepłynęła Wisłę, by nawiązać kontakt z Armią Sowiecką. Po wojnie była m.in. przewodniczącą Z.M.P. — największej organizacji młodzieżowej i jedną z niewielu kobiet udekorowanych najwyższym odznaczeniem PRL — orderem Budowniczego Polski Ludowej. W owym czasie była sekretarzem redakcji *Trybuny Ludu*.

Prof. Leszek Kołakowski — już wówczas uznany za jednego z najwybitniejszych przedstawicieli postępowej myśli marksistowskiej.

Leon Finkielsztajn — zasłużony, długoletni działacz komunistyczny, b. funkcjonariusz Kominternu w Moskwie, długoletni pracownik aparatu partyjnego KC, członek Komitetu Centralnego — wówczas był jeszcze redaktorem naczelnym miesięcznika *Życie Partii*.

Romana Granas — była kierowniczką Wyższej Szkoły Partyjnej, działaczką komunistyczną, członkiem Komitetu Centralnego itd.

Leopold Unger był sekretarzem *Życia Warszawy*.

Dalej — ludzie z różnych środowisk, ludzie, których nazwiska miały określony ciężar gatunkowy w kołach partyjnych, politycznych, uniwersyteckich, intelektualnych.

... Komisje powołane do przesłuchania uczestników tego pogrzebu działały w oparciu o listy dostarczone przez konfidentów. Działały — jak się rzekło — na różnych szczeblach. W komisji rozpatrującej sprawę członków KC zasiedli: Gomułka, Cyrankiewicz, Kliszko, Strzelecki, Loga-Sowiński, Nowak. Najbardziej prokuratorską postawę zajmował w tej sprawie Cyrankiewicz.

A wszystko to — zważcie — tylko po to, by wyjaśnić dlaczego pewni ludzie, członkowie partii, poszli na pogrzeb nie anonsony nekrologiem i dlaczego demonstracyjnie śpiewali „Międzynarodówkę”!

Zupełnie jak u Kafki: agenci wśród nagrobków i komisja na najwyższym szczeblu: dlaczego, towarzyszu, śpiewaliście? I z ja-

kich pozycji, towarzyszu, śpiewaliście? A?! Kto was zawiadamiał? Kto organizował tę demonstrację? Nie chcecie mówić? Kryjecie wrogów? Prowokatorów?

Niektórym kazano napisać oświadczenie: dlaczego wziąłem udział w pogrzebie Henryka Holanda?

Jeden z wezwanych — jak mi opowiadano — napisał:

„Na pogrzeb Henryka Holanda poszedłem dlatego, że umarł”.

Posypały się sankcje partyjne. Upomnienia, nagany, nagany z ostrzeżeniem. Nie w tym jednak rzecz. Dla większości uczestników tego pogrzebu grób Henryka Holanda stał się grobem ich własnej, publicznej i politycznej kariery. Wszyscy oni, jak jeden, poszli w cień, zostali — jak się powiada w partyjnym żargonie — „wyciszeni”. Jedni wcześniej, inni później w antysyjonistycznym czerwcu 1967, inni wreszcie w antysemicko-antyrewizjonistycznym marcu 1968.

Jaka jest prawda o śmierci Henryka Holanda? I jakie są kulisy tej sprawy?

Aby pojąć wszystkie elementy zbrodni trzeba sięgnąć do tła i okoliczności walki politycznej, toczącej się wówczas w łonie aparatu partyjnego w Polsce. Było to tak:

Polska delegacja partyjno-rządowa przebywała w Moskwie na kolejnej wizycie oficjalnej. W trakcie przyjęcia wydanego z tej okazji przez Nikitę Sergiejewicza Chruszczowa na Kremlu, ten, podejmując Władysława Gomułkę, w nastroju chwili i w przystępie szczerości, opowiedział mu o okolicznościach zastrzelenia — o, tu, w tym miejscu! — Berii. Opowiedział jak to zorganizowano spisek, jak najpierw zastrzelono znenawidzonego szefa NKWD — a dopiero później zmontowano proces, w którym marsz. Koleni przewodniczył generalskiemu trybunałowi.

Gomułka wrócił do Warszawy i zasłyszana opowieść zrealizował najbliższym współpracownikom.

Wśród słuchaczy był również totumfacki Pierwszego Sekretarza — Artur Starewicz. Cała sprawa nie była tajna, na Zachodzie pisały już o tym dzienniki, m.in. prasa szwajcarska — ale pikantaria polityczna polegała na tym, że tu sam Nikita Sergiejewicz potwierdził te fakty nie byle komu, a towarzyszewi Wiesławowi.

Nazajutrz Starewicz przyjmował u siebie, w biurze w KC, jednego z wybitnych polskich publicystów — wówczas zastępcę redaktora naczelnego tygodnika *Świat* — St. Brodzkiego. I powtórzył mu moskiewską nowalijkę. Jak partyjny dziennikarz — partyjnemu dziennikarzowi. A Brodzki jest mężem b. żony Henryka Holanda — red. Ireny Rybczyńskiej i u nich w domu wychowywały się dwie córki Holanda. Obaj mężczyźni znali się z lat wspólnej pracy w *Trybunie Ludu* i — co się zdarza — nie darzyli się wzajemną sympatią.

Feralnego dnia jednak, Henryk Holand miał po raz pierwszy odwiedzić swoje dzieci w domu Brodzkich i żona prosiła męża, aby wykazał takt i cierpliwość dla gościa, by jako gospodarz domu był uprzejmy, zapominając o starych niesnaskach.

Wizyta upłynęła w dobrej atmosferze. Unikano spraw drażliwych i nie mówiono o polityce. W pewnej chwili, gospodarz dla nastroju — jak partyjny dziennikarz, partyjnemu dziennikarzowi — opowiedział gościowi nowalijkę moskiewską zasłyszaną w KC. O tym jak zginął Beria.

Po spotkaniu z córkami Holand pojechał do znajomych — do małżonków Wetz. On był wówczas korespondentem *Le Monde* w Warszawie — ona, z domu Zawadzka, b. współpracownikiem Polskiego Radia.

Dla korespondenta zagranicznego żona zorientowana w miejscowych źródłach informacyjnych, zwłaszcza w kraju o ściśle reglamentowanych źródłach — to pomoc ogromna.

Henryk Holand odwiedził ich w pensjonacie dla cudzoziemców na ul. Zgoda. Nie zdawał sobie widać sprawy, że to jeden z najlepiej zradiofonizowanych domów w Polsce.

W takim to mieszkaniu, u Wetzów, powtórzona została opowieść, którą Chruszczow opowiedział Gomułce, Gomułka współpracownikom wśród których był Artur Starewicz, ten z kolei Brodzkiemu, a Brodzki, nie widząc w publikowanej już na zachodzie wiadomości elementów tajemnicy — Holandowi, który z kolei opowiedział to Wetzowi. Ta ostatnia część dialogu została prawdopodobnie nagrana na taśmę.

Aparat bezpieczeństwa wiedział co z takim nagraniem zrobić. Od dawna już szukano bata na tych, którzy wynoszą „tajemnice” z Komitetu Centralnego. I oto teraz można już było postawić parę retorycznych pytań, na które odpowiedź była jasna jak słońce.

Kto wynosi tajemnice partyjne? Żydzi! Kto informuje korespondentów zachodnich o tym, co się u nas dzieje? Jasne! Kto pozwala agentom imperialistycznym docierać do dyskretnych spraw państwowych? — Wiadomo. Kto jest w związku z tym elementem niepewnym, obcym, wrogim w skonsolidowanym społeczeństwie socjalistycznym?

W kilka lat później, w czerwcu 1967, Gomułka rzuci z trybuny gromkie oskarżenie pod adresem ludzi pochodzenia żydowskiego — że stanowią „piątą kolumnę”. I za hasłem tym pójdzie „nowa polityka narodowościowa partii” — jak elegancko określa się antysemicki kurs w Polsce. Ale to dopiero za lat parę. Teraz aparat bezpieczeństwa, dopiero zaczyna urabiać sobie szefa partii.

Sprawa Holanda jest jak gdyby skrojona na miarę tej taktyki. Jedną z metod walki wewnętrznej, toczącej się w łonie partii, jest obstawianie Gomułki właściwymi ludźmi. Każda policja na świecie zdaje sobie sprawę, że jej poufny serwis informacyjny i ocena sytuacji — jeśli tendencyjnie cienka, pozwala na uzyskiwanie pożądanых decyzji i pośrednie sterowanie egzekutywą polityczną. Na tej to zasadzie aparat MSW w Polsce usiłuje zdalnie sterować Gomułką i ma w tej dziedzinie interesujące osiągnięcia. W systemie totalitarnym — gdzie brak jest partii opo-

zycyjnych, swobody informacji i niezawisłej kontroli społecznej — taka polityczna elektronika jest niezwykle ułatwiona.

W owym czasie jednym z sekretarzy Gomułki był człowiek Moczara — niejaki Namiotkiewicz. On przedkładał na biurko szefa co trzeba, on selekcjonował informacje i filtrował je, odpowiadając za tę Rockefellerowską gazetę codzienną, szykowaną przez policję dla szefa partii. Wieczorami i na wspólnych urlopach w Bułgarii lub na *week-end*'ach w ekskluzywnych domach wypoczynkowych za „żółtymi firankami” — można ich było widzieć razem: Moczara i Namiotkiewicza, a później Moczara i Olszowskiego. Moczara kokietował sekretarzy sekretarzy.

Niestety: pełną izolację Gomułki utrudniał Artur Starewicz. Zausznik i totumfacki, cieszący się zaufaniem szefa, był tą luką w blokadzie i komplikował odcięcie Gomułki od niekontrolowanych i nieregulowanych informacji, opinii i ocen. Znienawidzony przez blok „zamordystów” — pogardzany przez zwolenników linii liberalniejszej i były *establishment*, który zdradził — Starewicz wie, że swoją pozycję zawdzięcza wyłącznie Gomułce. A Wiesław zdaje sobie sprawę z tego, że Artur musi mu być oddany duszą i ciałem jeśli chce istnieć i trwać, gdyż on — Gomułka — jest jego jedynym protektorem.

Związki z wyrachowania i obustronnego interesu są najtrwalsze. Dzięki temu Starewicz przetrwał do końca u boku Gomułki mimo zajadłej, personalnej nagonki antysemitkiej wymierzonej przeciw niemu. Gdy jego kandydatura poselska upadła w Zielonej Górze — Gomułka polecił zmienić rejon wyborczy Arturowi, który drugim razem przeszedł już gładko i dostał w prezencie hotel w Sejmie. To tylko marginesowy przyczynek do dziejów demokracji w Polsce.

Gomułka w tej sytuacji wie, że w Arturze ma najwierniejszego i spokojnie powierza mu najbrudniejsze zadania — a ostatnio i rolę pokazowego starozakonnego „Musterjude”, który na sesjach Unii Parlamentarnej i międzynarodowych konwentykach partyjnych jest żywym dowodem na to, że w Polsce nie ma antysemityzmu.

Taki człowiek przy Pierwszym Sekretarzu był nie na rękę policjantom i partyzantom Moczara. I oto nadarzyła się okazja: nasłuch ze Zgoda dowodził, że Starewicz jest ogniwem w sprawie Holanda i źródłem przecieku z KC — do korespondenta *Le Monde*. A Rosjanie od dawna już krzywili się i zarzucali towarzyszom-Polakom, że Warszawa stanowi słabe ogniwo w systemie i że tędy przeciekają na Zachód informacje dyskretne i poufne, trafiając do imperialistycznej prasy.

Starewicz jednak dowiedział się wcześniej o przecieku. Wcześniej nim Moczarowcy zdążyli zadziałać. I wykazał refleks. Natychmiast udał się do szefa i pierwszy poinformował go o niedyskrecji i przecieku. Uprzedził akcję i wyszedł od Gomułki z poleceniem aresztowania Holanda. I Holanda aresztowano. Przez głupią sprawę Warszawa nie chciała drażnić Kremla.

To, że sprawa zastrzelenia Berii była już publikowana — nie miało znaczenia. Fakty w ogóle nie liczą się tam, gdzie konieczne są pozory dla prowokacji. A Holand nadawał się na ofiarę prowokacji. Przed paroma tygodniami powołano go na świadka w procesie o szpiegostwo, w którym padł wyrok śmierci, zamieniony później na dożywocie. Holand nic do tej sprawy nie wniósł — ale już był wmieszany. Przerażony i zdeorientowany pytał w sądzie jednego z adwokatów: czego oni ode mnie chcą — skąd ja do tego?

Po tej sprawie jednak można już było powiedzieć, że nie wiadomo czy to on ukraść zegarek czy jemu ukradli, ale coś tam było z zegarkiem. Miano go już widać na oku i zapewne był już wytypowany. Kontakty towarzyskie z zagranicznymi korespondentami — tego na Rakowieckiej już nie lubiło się. Zaczynały się polowania na czarownice i stwarzano atmosferę szpiegomani. Sugerowano Gomulce, że korespondenci zagraniczni z Zachodu mają poza dziennikarskimi, zadania i powiązania wywiadowcze. Sugerowano, że powiązania żydowskie, intelektualne, dziennikarskie, rewizjonistyczne — ułatwiają penetrację agenturalną.

I oto była ofiara odpowiadające temu schematowi. Dziennikarz, pracownik naukowy Uniwersytetu, pochodzenia żydowskiego, zaprzyjaźniony z korespondentem francuskim, bywający w jego domu, rozmawiający z jego żoną, dziennikarką warszawską po polsku. Można tu było ugodzić w kilka spraw za jednym zamachem: zastraszyć koła dziennikarskie, przerwać niezdrowe z punktu widzenia władzy, swobodne kontakty z „zagranicznymi” — z dyplomatycznym immunitetem i bez immunitetu. A równocześnie — Holand przybył z Rosji z Pierwszą Armią jako „polityk w szynelu”.

Zaczynała się nowa runda i partyzanci szli do władzy, kieleccy i lubelscy, mający stare porachunki z inteligenckim i liberalniejszym, warszawskim AL-em i z „taszkienckimi komunistami” — jak tuż po wojnie dyskretnie określano starych KPP-owców-Żydów.

W Warszawie rozpuszczono pogłoskę, że oficerowie śledczy udający się z Holandem do jego mieszkania na rewizję, wstąpili z nim do sklepu z delikatesami po drodze. Nie miał bowiem nic do jedzenia w lodówce i chciał sobie kupić żywność oraz papierosy. Sugerowałyby to, że jeszcze był żywy...

Mieszkanie Holanda usytuowane było w Alejach Jerozolimskich, w pobliżu budynków w których mieszczą się *Trybuna Ludu*, *Chłopska Droga*, *Agencja Robotnicza* i *Ekspres Wieczorny*.

Do jednej z tych redakcji — celowo nie podaję do której, by osłonić zainteresowanych — zadzwonił telefon. Zdenerwowany głos powiedział:

— Panowie! Co się dzieje? Jacyś ludzie wyrzucają przez okno człowieka!

Trzy osoby natychmiast pobiegły na miejsce. Rozmawiałem z jedną z nich. Powiedziała mi:

— Znałam Holanda i poznałam go. Leżał na bruku. Wokół nie było ani kropli krwi. Wzięłam go za rękę — była zimna i sztywna.

Z relacji tej i z późniejszej, drażliwej reakcji władzy wynikałoby, że przez okno wyrzucono trupa, pozorując samobójstwo.

Czy w śledztwie przeciągnięto strunę i „zatrzymany do wyjaśnienia” zmarł? Czy sprawy zaszły już tak daleko, że aparat śledczy w obawie przed konsekwencjami, za stosowanie niedozwolonych metod, ratując własną skórę, zamknął Holandowi usta? Czy była to likwidacja prestiżowa, wykazująca Moskwie, że tam gdzie chodzi o rację stanu, nikt nie bawi się w ceregiele?

Tego nie dowiemy się nigdy. Holand zabrał tajemnicę do grobu, a funkcjonariusze bezpieczeństwa, w trosce o bezpieczeństwo własne, będą milczeć. Sprawa Holanda była ostrzeżeniem dla wszystkich — dla nich też.

W ten sposób był Holand ostatnią ofiarą Berii i zarazem pierwszą ofiarą nowego kursu w Polsce.

Zorientowana opinia publiczna nie dała wiary samobójczej wersji. Dowodem — skład uczestników pogrzebu Holanda. I ta „Międzynarodówka” na cmentarzu. I reakcja władz na tę „Międzynarodówkę”.

Obie strony oceniły sprawę — ze swego punktu widzenia — prawidłowo. Ci, którzy śpiewali nad grobem i ci, którzy dopatryli się w tym pogrzebie demonstracji, votum nieufności dla aparatu ucisku, dla policji bezpieczeństwa. Jedni protestowali przeciw nowemu etapowi „błędów i wypaczeń” — drudzy zdecydowani byli na przykręcenie śruby.

Jerzy ROS

P.S. W ostatnim czasie historia dopisała do całej tej sprawy pesymistyczny epilog. W Pradze, w procesie powiązanim z „taternikami”, aresztowana została córka Henryka Holanda — Agnieszka, przez małżeństwo obywatelka czechosłowacka. A w Moskwie, na grobie Stalina odsłonięto jego popiersie. Teraz wypada tylko czekać na rehabilitację Berii. Metody już zrehabilitowano.

HELENA RADLIŃSKA

Maria CZAPSKA

R O Z M O W Y

W miesiąc po wybuchu wojny, po trzech tygodniach oblężenia Warszawy i jej kapitulacji nie wierzyliśmy jeszcze własnym zmysłom.

Warszawa w gruzach, domy bez dachów, piętra bez schodów, ludzie bez domów, brak wody, chleba, światła, węgla. Po tym upalnym wrześniu wojennym nagła ponura jesień, ulewne deszcze. Staliśmy w ogonkach przy nielicznych studniach miejskich, głodni i zabłoceni. Pod ścianami — na skwerach — mogiły, na Ujazdowskich padłe konie z wydartymi kawałkami mięsa, z zawalonych domów bił trupi fetor.

Tysiące w niewoli niemieckiej, tysiące w sowieckiej — żadnych wieści, przerwane komunikacje, ani poczty, ani kolei — kto żyje, kto zginął?

Pokryte lejami ulice roiły się od ludzi.

Włókłam się jak inni, bez dachu, warsztatu pracy, wypatrując pożywienia i schronienia. To jedno na razie się liczyło

Zaledwo ludzie ochłonęli, zaledwo objęli rozmiar klęski a już poczęli się czepiać zapamiętałe wszystkiego co pozwalało przetrwać.

Z rozkazu okupanta zaczęto rozgruzowywać ulice, naprawiać bruki, wodociągi, zakładać przewody elektryczne. Wszystkie aparaty radiowe Niemcy kazali oddać pod karą śmierci.

Na murach pojawiły się pierwsze plakaty: Chamberlain w towarzystwie rannego żołnierza polskiego na tle płonących zgliszcz:

„Anglio, to twoje dzieło!” Na dalszych ulicach śródmieścia wisały jeszcze poszarpane plakaty z portretem Smigłego: „Silni, zwarci, gotowi!” — szyderstwa i komentarze przechodniów.

Na Wszystkich Świętych i Dzień Zaduszny wypełniły się porozbijane kościoły. Zdobiono uliczne mogiły. O zmroku zabłyśły wszystkie. Na pustych ulicach paliły się stoczki do późna, chodniki lśniły szklanym miałem. Potem władze zarządziły ekshumacje zwłok.

Pewnego dnia wręczono mi niespodziewanie kartkę od pani Heleny Radlińskiej. Nie znałam jej osobiście. Prosiła żebym zaszła do niej na Powiśle, do domu ss. Urszulanek na Gęstej, gdzie się tymczasowo schroniła.

Zastałam ją w łóżku, z którego w ciągu następnych lat właściwie nie wstawała po ciężkim zawale serca. Wyszła z płonącego domu tak jak stała, z ręczną torbą, zostawiając w pożarze wszystko co nagromadziły lata pracy, badań i doświadczenia. Czy pani Helena sądziła wtedy, że nie przeżyje kłeski, ani tej pierwszej zimy wojennej w pokoiku zakonnym? Nie wiem. W każdym razie nie czując się sama na siłach zaproponowała mi spisanie z jej słów wspomnień osobistych i szeregu rozważań na temat spraw i zagadnień jej życia i pracy.

„Czy pani nie zawiedzie się na mnie? — spytałam — Nie jestem ani pracownicą społeczną, ani politykiem, ani pedagogiem.

— Pani dar obiektywizacji zupełnie mi odpowiada, cenię czujność z jaką pani podchodzi do człowieka. Mojego głosu słuchają pewne koła: moi uczniowie, świat nauczycielski, przez panią krąg słuchaczy może się rozszerzyć”.

I tak się zaczęło.



W ciągu dwóch lat z przerwami chodziłam na Gęstą dwa razy tygodniowo, potem już tylko raz. W 1942 zabrałam się do pisania. Żyliśmy na wulkanie. Wygnana w czasie Powstania Warszawskiego nie zdołałam nic uratować z mojego archiwum, ani biblioteki. Dwustostronicowy rękopis wspomnień Heleny Radlińskiej zaginął. Ale następnego roku w gruzach domu, na kupie śmieci odnalazłam jeden zeszyt notatek z moich rozmów z panią Heleną i na podstawie tych zapisów oraz pamięci próbuję zrekonstruować powierzone mi przed dwudziestu dwu laty wspomnienia i wskazania.

Przełożona Sióstr Urszulanek Szarych na Gęstej, młoda i uroczą matka L., była uczennicą Heleny Radlińskiej. Przyjęła i opiekowała się nią jak własną matką, zyskując w swoim niezwykłym gościu bezcennego doradcę. Każdy klasztor stawał się wówczas przystanią dla niejednego zaszczutego człowieka i dozowanie zagrożenia nie ryzykując bytu zakładu wymagało odwagi, ale też

rozwagi i czujności nieustannej. Trzeba było używać wybiegów i dyplomacji.

Nie mówiła mi wówczas pani Helena czym dla niej były początki pobytu na Gęstej, w tym względnym bezpieczeństwie, w pozorowanej ciszy klasztornej. Nawet dla niej, tak zahartowanej, musiały być te początki bardzo ciężkie. Żyjąc w szumie swojego ła, kochając ten ul i jego przeróżne sprawy, została z dnia na dzień z niego wyrwana, sama obłożnie chora, pozbawiona warsztatu pracy, odcięta od najbliższych współpracowników. I kiedy składała na kołdrze swoje niestrudzone drobne ręce, sądziła może, że pozostaną już do końca bezczynne. Ale jej niespożyta żywotność okazała się na miarę kłęski. Przyjaciele odnaleźli ją niebawem, jak również najwierniejsze jej słuchaczki i uczennice. W rozmaitych czynnościach klasztornego bytu zaczęły się koło niej snuć niewidzialne nici, wiązać w sieć jej tylko i przełożonej zakładu wiadome.

Dla mnie wezwanie pani Heleny było ratunkiem, mogłam wziąć pióro czy ołówek do ręki, odnalazłam sens życia. Spisywałam jej słowa stawiając pytania, dopełniając następnie za świeżej pamięci to, czego nie zdążyłam zanotować.

Najdalszym wspomnieniem Heleny Radlińskiej, jako dwu i półletniego dziecka było zabójstwo Aleksandra II (1881 roku). Dziewczynka siedziała na łóżku ojca, który otworzywszy gazetę skoczył przerażony na równe nogi, strącając dziecko na ziemię. Ten mord, zdaniem pana Rajchmana, był katastrofą i zapowiedzią nowych represji w całym imperium.

Aleksander Rajchman, współtwórca Filharmonii warszawskiej i jej dyrektor, wydawca czasopism artystycznych, pochodził z rodziny całkowicie zasymilowanej, o wysokiej kulturze artystycznej. Helena, chłonna i wrażliwa, uległa całym sercem nie muzycznym i, jak sama wyznawała nieco snobistycznym, wpływom domu, ale wpływom brata matki, Bolesława Hirszfelda, jednej z piękniejszych postaci okresu pozytywizmu, kierownika Koła Oświaty Ludowej, niestrudzonego organizatora tej Oświaty, wydawcy konspiracyjnych czasopism dla ludu i elementarzy. Wuj Bolesław pierwszy skierował jej zainteresowania ku zagadnieniom społecznym, oświacie ludowej i walce o niepodległość. Był bowiem ponadto opiekunem więźniów politycznych.

Inne wpływy, które nazaczyły jej pierwszą młodość, to był Edward Siwiński, były członek Rządu Narodowego Powstania Styczniowego, niewidomy — przez jakiś czas była jego sekretarką i lektorką — oraz Edward Abramowski, socjolog, i Ludwik Krzywicki, ekonomista i antropolog. Jako 20-letnia dziewczyna

straciła swego ukochanego przewodnika, wuja Bolesława; zginął, z przyczyn niewiadomych, śmiercią samobójczą w Szwajcarii. Ta tragiczna śmierć utwierdziła Helenę na obranej przez nią drodze, chciała być jego godną. Rozczytywała się wówczas w powieściach Kraszewskiego doby porozbiorowej i w „Roku 1795” Reymonta. Zasada ekspiacji narodowej głosiła, że tyle musi paść głów ofiar-nych, ile rubli carskich pobrali zdrajcy. Młodość nie skąpi ofiar, Helena gotowa była je przyjąć. Lata swojej pierwszej młodości zestawiała z dobą upadku Rzeczypospolitej. Uderzały ją kontrasty ugodowego oportunistu obok wielkiej miary bohaterstwa, bolały łotrostwa niewoli i nędzy, jak pisał Zeromski „pełną jak peśń”.

Wakacje spędzała w Wielkich Dębach, na Podlasiu, gdzie utrzymały się najdłużej rozbite gromady walczących powstańców. Gąszcze i bagna podlaskie kryły ich mogiły, a w ludzie przetrwała pamięć 1863 r.

Spróchniałych krzyży na grobach nie wolno było dźwigać. Zakaz władz rosyjskich stał się dla romantycznej dziewczyny nakazem narodowym. Mocowała się z tymi krzyżami wplątanymi w ciernie, obrosłymi mchem, a dźwigając je walczyła już o sprawę narodową.



Małżeństwo Heleny Rajchman z Ignacym Radlińskim, młodym medykiem, nie było po myśli jej rodziców, zwłaszcza ojca.

„Ono to właśnie” — mówiła — „wyrwało mnie szczęśliwie z domu, z atmosfery towarzyskoartystycznej, która mi nie odpowiadała, usamodzieli- niło i uświadomiło społecznie i politycznie. Weszłam w środowisko mego męża, którego radykalizm był podobny do kierunku *des radicaux* francus- kich, antyklerykalny, nawet antyreligijny, ale bez określonego programu reformy społecznej.

„Znaczenie małżeństwa w moim życiu nie było może tak wielkie jak u innych” — stwierdzała — „ponieważ nie miałam dzieci. Jako młoda dziewczyna przechodziłam ciężkie zapalenie otrzewnej i kilka operacji. Te zabiegi podziały niezawodnie na cały mój organizm. Nie byłam materiałem na *grande amoureuse*, inaczej na te sprawy patrzyłam, inną miałam dla mnie wagę aniżeli dla kobiet zupełnie normalnie rozwiniętych.

„Sama, bez finansowej pomocy ojca, zorganizowałam warunki naszego przysłego życia. Sama, jako naręczona jeszcze, z radością i ochotą malowałam zakupione do naszego mieszkania meble z białego drzewa. Ojciec, zastawszy mnie przy tej robocie, był tym zmartwiony, omal zgorzony”.

Młodą parę w początkach ich związku zespoliła wspólna bieda. Pobrali się ok. 1901 r. Pani Helena zaczynała już pisać i druko- wać pod różnymi pseudonimami. Pracowała też w bibliotece Zamoyskich, a z nastaniem pierwszych ruchów rewolucyjnych,

pragnąc dzielić z mężem, uczestnikiem akcji bojowej PPS, odpowiedzialność i niebezpieczeństwa, przeszła kurs pielęgniarski, włączając się w tajną sieć ratowniczą ofiar zamachów i gwałtów policyjnych. Brała też czynny udział w walce o szkołę polską z 1905 r. W okresie strajku szkolnego, jako 24-letnia kobieta, występowała na zebraniach rodzicielskich i, aby sobie dodać powagi, nakładała matczyną rotundę i kapelusz z piórami, które miały osłaniać jej młodą twarz.

W pierwszych latach niepodległości polskiej, Zygmunt Radliński uzyskał katedrę na Uniwersytecie Warszawskim i ograniczył wówczas praktykę lekarską do operacji na klinice.

„Przedtem moja pensja i dochody z moich wydawnictw oraz ich dalszych nakładów przewyższały jego pobory. Mój budżet osobisty był bardzo skromny, dużo szło na sprawy i ludzi, z którymi wiązała mnie praca, oraz na potrzeby seminarium przy studium pedagogicznym. Kiedy się później u Zygmunta pojawiły pieniądze, to pociągnęło również i kobiety. Począwszy od jego matki, bardzo dlań uprzednio obojętnej, we współzyciu ciężkiej, zazdrosnej o syna i o moje wpływy. Przyszła chwila kiedy życie własne poczęło przekraczać ramy naszego współzycia... Rozstanie, po długich latach współzycia, było głęboko bolesne. Zgodziłam się na pomoc Zygmunta, nie chcąc robić mu przykrości odmową, ale nie używałam tych pieniędzy dla siebie. Zależało mi też na tym, żeby nic w moim trybie życia i mieszkania nie było odmienione na gorsze. Niech wiedzą, że mnie mąż opuścił, ale niech to nie będzie przyczyną zubożenia, obniżenia stopy życiowej.

... Ja na tym rozstaniu osobiście zyskałam. Był to dalszy najważniejszy skok ku wyzwoleniu własnej osobowości, zyskałam warunki swobodnego rozwoju przy materialnym zabezpieczeniu.

... Mogę szczerze powiedzieć, że jednego w życiu miałam mężczyznę i może o tego jednego za dużo!”

Ale wróćmy do roku 1939-40. Przeziębiona, mieszkająca kątem u znajomych, zostałam wtedy również przygarnięta przez Siostry Urszulanki na Gęstej i przebyłam ciężką gripę w ledwie ogrzonym pokoju z oknem zabezpieczonym ułamkami szyb i dykty, grubo od wewnątrz obrosłym szronem. Straszna to była zima, gnębiąca ludzi i zwierzęta. Pani Helena opanowała jedna z pierwszych beznadziejność, która nas przytłaczała, krzepiąc nas swoim hartem i optymizmem.

„Dużo może zginąć pomników kultury” — mówiła — „będą też wielkie ofiary w ludziach, ale nie zginie rozbudzona świadomość narodu, wszystko będzie odbudowane... Prześladowania po 63-im roku niewiele różniły się od obecnych. Dziesięć procent ludności Warszawy wówczas aresztowano, wywlekano ludzi z kościołów, bito i poniewierano dziewczęta — a miara podłości była chyba jeszcze większa aniżeli dziś...”.

Mówiła tak w samych początkach okupacji... Nie przeczuwaliśmy jeszcze najgorszego.

W rocznicę święta Niepodległości nastąpiły pierwsze masowe

areszty. Egzekucje na Palmirach i masakra w Wawrze — to były zapowiedzi tego, co nas następnie czekało. Odkąd tramwaje i telefony uruchomiono, pani Helena nie była już sama. U niej poznałam prof. Marię Grzegorzewską i dra Ludwika Hirszfelda, znakomitego już przed wojną badacza grup krwi, ściganego wtedy przez Gestapo. Dzięki wstawiennictwu przyjaciół, uczonych niemieckich, przebywał jeszcze wtedy poza gettem. Tam również spotykałam prof. Radlińskiego, wiekiem i troską złamanego, który stale odwiedzał panią Helenę.

„W szafie” — mówiła — „na górnej półeczce stoi стоik konfitur i kawałek chleba, niech się pani posili...”.

Albo:

„Proszę zagotować wodę w garnuszku, maszynka spirytusowa na stoliku i ersatz-esencja w buteleczce. Pani zmarła, tam wisi pelerynka futrzana, proszę się okryć”.

Zawsze ta sama czujna uwaga, nieporównany dar organizacji, umiejętność łączenia oderwanej myśli z konkretnymi wymogami dnia i chwili. Nie podnosiła się z łóżka w obawie o serce, ale wszystko w jej małym pokoiku było na swoim miejscu, cały dzień miała najskrupulatniej rozłożony na godziny pracy i godziny przyjęć, zawsze w określonym celu. Niebawem zaczęły się już koło niej gromadzić książki, dostarczane przez słuchaczki z bibliotek publicznych i prywatnych, oraz stopy notatek.

Odwiedzałam ją możliwie regularnie w zależności od jej i moich kłopotów. Okrężną linią tramwajową dojeżdżałam na Powiśle. Droga powrotna biegła Nowym Zjazdem w pobliżu osmolonych ścian Zamku Królewskiego. Wiedziałam, że kilku ludzi ofiarnych, z dyrektorem Lorentzem na czele, usiłuje ratować to co pożar oszczędził: kominki marmurowe, stylowe oddrzwia, tron królewski z kotarą o srebrnych orłach, piękne posadzki i plafony. Niebawem jednak władze niemieckie zakazały wstępu ratownikom na teren Zamku i specjalne *Sprengkommando*¹ zaczęło borować w murach otwory dla ładunków dynamitowych. Widok tych murów za każdym razem ścisnął serce do bólu. Kolumna Zygmunta przetrwała pierwszą burzę nad Warszawą, nietknięta.

W kwietniu doszły nas z Rosji setki depesz od naszych bliskich, jeńców sowieckich. Donosili o swoim zdrowiu i dobrej myśli... Wolno nam było im odpisać, również drogą telegraficzną. Dla żon, matek i siostr depesze te przyniosły nieopisaną ulgę,

1. Oddziały wojskowe przeznaczone do burzenia gmachów.

podtrzymały nadzieję. Nikt z nas nie przeczuwał, nikt nie przewidywał, że dla ogromnej większości polskich jeńców w Sowietach te depesze były ostatnim znakiem życia. Odtąd listy nasze powracały z pieczętką, nie wiadomo dlaczego francuską *inconnu*. O grobach katyńskich pod Smoleńskiem doszła nas wiadomość dopiero w trzy lata później.

„Wróć” — *mówiła pani Helena osieroconym kobietom*, — „wróć! — A nam trzeba ich doczekać!”.

Była z natury optymistką i umiała w najgorszych dniach zarządzać swoim optymizmem otoczenie.

Zaledwie usiadłam w jej chłodnym pokoiku okryta czarną fokową pelerynką, podejmowała pani Helena pasmo swoich wspomnień jak gdyby tylko co przerwanych.

... Wojna japońska, pobór w Kongresówce, w Rosji: bunt wojskowy, fala strajków i terrorystycznych zamachów, barbarzyńskie pogromy Żydów. W Kongresówce: strajk szkolny, strajki fabryczne i rolne, organizacja bojowa PPS, pod kierunkiem Józefa Piłsudskiego, zamachy bombowe na przedstawicieli władz rosyjskich, na urzędy i kasy pocztowe, napady na pociągi przewożące rządowe pieniądze... Manifestacja zbrojna na Grzybowie, była pierwszym tego rodzaju wyrazem buntu od czasu Powstania Styczniowego. To co uderzało wtedy młodą kobietę na wszystko gotową, żonę bojowca, to jak plany i postanowienia powzięte u góry stawały się zbrojnym czynem u dołu. Pani Helena obserwowała gotowość ofiary tych „dołów” Powiśla lub Woli, znała metody policji, stykała się ze śmiercią, sieroctwem i nędzą. Już nie krzyże zmurszałe na powstańczych mogiłach, ale dźwigała ludzi, ratowała życia, wspierała wiarę tych, co podjęli walkę, płacąc najwyszą cenę.

W 1905 roku dr Radliński został aresztowany i skazany na pięcioletnie zesłanie na Syberię za udział w akcji bojowej. Pani Helena postanowiła towarzyszyć mężowi. Zakratowany wagon więzienny wiozący politycznych spotykały na stacjach owacje, powiewano gazetami: „Wróćcie, wołano, wróćcie, nawet już z drogi! Lada dzień będzie ogłoszona konstytucja!”.

W Moskwie rozdzielono małżonków. Pani Helena trafiła w *pieresylnej* *tiurmie* do izby kobiecej. Poza zbrodniarkami było tam również sporo sekcjarek, zwłaszcza starowierek, skromnie i czysto ubranych, prostych kobiet, skazywanych na długie lata zesłania za wierność swojemu wyznaniu. Przed ułożeniem do snu odzienie i bielizna młodej pani przeszła przez ręce wszystkich ko-

biet więźniarek. Każda sztuka budziła podziw, każda spinka zainteresowanie.

W dalszej drodze dołączyła partia zbuntowanych marynarzy z floty czarnomorskiej i młody Żyd z Wołynia, rzeźnik z zawodu, skazany też na zesłanie. Zasłyszał w swojej mieścinie coś nieoś o Bundzie, o nocnych schadzkach spiskowców w pobliskim lesie, poszedł, zaciekawiony, na tę schadzkę i teje nocy policja wszystkich nakryła. Chłopiec nic nie rozumiał: o co poszło, co mu się przytrafiło? Za co wyrwali go z domu, dlaczego zesłali?

Pani Helena nawiązała kontakt ze wszystkimi przypadkowymi towarzyszami i, jak to leżało w jej usposobieniu, zdołała wprowadzić organizację w życie więziennego wagonu. Kocami i szalami podzieliła wagon na komory kobiece i męskie, podjęła się rozdawnictwa pożywienia, stwarzając nastrój omal domowy, w przeciwnieństwie do więziennego stłoczenia, żalów i złorzeczeń.

Od Omska ruszyli rzeką Ob, docierając do miejsca przeznaczenia, zapadłego w puszczy pośród moczarów *posiołka*. Wyznaczoną im pustą izbę, zdołali Radlińscy własnym przemysłem umeblować zbitymi na poczekaniu brzozowymi pieńkami. Był tapczan i ławy, potem nawet stół, ćwieki służyły za wieszaki, koce i szale stanowiły zasłony i ozdobę ścian. Wiosna przeszła w lato — w dzień syberyjski.

„A słońce nie zachodziło lecz biegało niebem jak koń w zawodzie z płomienistą grzywą i z białym czołem...”².

Doktor Radliński zabrał ze sobą całą skrzynię instrumentów chirurgicznych, podstawowych leków i środków opatrunkowych. Zaczął leczyć i operować. Ludzie cierpiący na ostry reumatyzm, nie znający żadnych leków, reagowali w cudowny sposób na salicyl. Biały proszek przywracał im władzę w schorzałych członkach. Radlińscy odbywali rzeką i jej dorzeczami wędrówki w głąb kraju, lecząc najcięższe przypadki. Stół w ich izbie stał się stołem operacyjnym. Zaczęło się od złamań i przetrąceń rąk i nóg. Pani Helena była asystentką. Wreszcie zdobył się Radliński na operowanie katarakty, z najlepszym skutkiem. Uznano go wówczas za cudotwórcę i zaklinano o ratunek ślepych z urodzenia, na których kalectwo nie miał oczywiście sposobu.

„Dlaczego tamtemu wróciłeś wzrok, a mnie nie chcesz?” — pytali zrozpaczeni ślepcy.

W zamian uzdrowień znoszono Radlińskim wszystko, co daje ziemia syberyjska: orzeszki cedrowe, jagody, grzyby, jaja ptasie. Co jakiś czas docierały do nich wieści ze świata. Za każdym ukazaniem się na rzece statku cała ludność osiedla wybiegała na

2. *Anhelli*.

wybrzeże; przywoził nowych *posielańców*, ale też produkty żywnościowe, pakiety gazet i listów.

Zapowiedziany manifest konstytucyjny, zwołanie Dumy ogłoszono dopiero 30 października tegoż roku. Ale już uprzednio i przed nastaniem mrozów, dr Radliński nawiązawszy kontakt z urzędnikiem policji w Tobolsku, poleconym mu człowiekiem zaufania, zdobył lewe paszporty z wizą zagraniczną i nie doczekawszy się syberyjskich nocy ruszyli oboje w powrotną drogę, ze względu na fałszywe dokumenty bardzo niebezpieczną.

Pani Helena wspominała te miesiące syberyjskiego zesłania jako jedną z piękniejszych w swojej niezwykłości przygód życia. Otuchy dodawało obojgu nadzieja, omal pewność rychłego manifestu i amnestii dla politycznych, uskrzydlała młodość i dobroczynne przymierze z ludem sybirskim. Dzięki tym nastrojom zdołała też docenić piękno tego kraju, o którym tak mało wiemy i który sobie wyobrażamy jedynie jako skutą mrozem ziemią wygnania i krzywdy. Zesłańcy polscy i rosyjscy, wygnańcy i *posielańcy* rzadko byli w stanie dojrzeć osobliwości kraju i przekazać nam w swoich wspomnieniach jego obraz, jego piękno i nieprzebrane bogactwo, ogrom jego rzek, lasów i gór.

„Wjeżdżając w jej granice — pisze jeden z zesłańców postyczniowych — byłem zdumiony rzeczywistością tego kraju pięknoscią... Nie znam nocy Neapolu... Wenecji... Kairu, sądzą jednak, że mimo swej sławy ustąpiłyby miejsca letniej nocy, jaką przyroda obdarzyła środkową i północną Syberię. Nie dziw, że Kamczadale, Ostiacy, Tunguzi, Juracy, Jakuci, Dołgany i inni tak bardzo tęsknią za swoimi tajgami, rzekami i nocami ojczystego kraju”.

To co pani Helena zachowała w pamięci, to wspaniałość syberyjskich wyżyn, z którymi ani Alpy, ani Pireneje nie mogą iść w porównanie, ogrom nie na miarę ludzką, ale jakby na miarę tytanów, wspaniałość i obfitość rzek, ich fantastycznie poszarpane granitowe wybrzeża, różnorodność świata wodnego, zlatującego na północ w okresie letnim, niezwykle położenie pierwszej fortecy zbudowanej w XVI wieku przez Jermaka, atamana kozackiego, zdobywcę Syberii. Twierdza zbudowana na wysokim brzegu Tobola, u jego ujścia do Irtyszu.

◆

Droga powrotna odbyła się bez przeszkód i któregoś dnia jesiennego załadowawszy swoje bagaże wraz z cenną skrzynią instrumentów chirurgicznych na krakowskiego fiakra, odurzeni

wolnością i bezpieczeństwem, dotarli Radlińscy do Krakowa, ich nowego miejsca postoj. W Krakowie czekało panią Helenę nowe pole pracy i nowe dziedziny planowania. Zaangażowała się tu niebawem w cały splot zagadnień, nie tylko społeczno-oświatowych, czytelniano-bibliotecznych w uniwersytecie ludowym im. A. Mickiewicza, ale też w sprawy polityczne, wojskowe i organizacyjne.

Najbliżsi jej, mąż i brat, Ludwik Rajchman, nie sympatyzowali z jej pracą polityczną.

„Nie wierzę — mawiał brat — w wartość sprawy, która się nie może obejść bez współudziału jednej kobiety”.

Zakres jej działalności widział Ludwik Rajchman w dziedzinie oświaty i jej rozpowszechnienia, ale pani Helena nie umiała się ograniczać. Wiedziała, że ograniczenie nie jest jej drogą, pragnęła swobody działania, planowania, rzutowania, budowania nie tylko dnia bieżącego, ale jutra kraju, państwa i narodu. Lubiła walkę, przewycięzanie przeszkód, zdobywanie uznania dla swoich koncepcji. Niechętna zbyt ciasnej specjalizacji, broniła uparcie *dyletantyzmu* (od *diligō* — miłuję, szanuję).

„Jestem zagorzałą stronnikiem dyletantyzmu” — powtarzała. — „Specjalizację należy dopełniać *miłośnictwem*, rozszerzając krąg zainteresowań, wiadomości, umiejętności, bogacących życie. Wiedza Darwina, Mendla i innych wpłynęła na inne dziedziny naukowe. Podobnie chirurg nie powinien ograniczać się wyłącznie do swojej specjalizacji i techniki operacyjnej ale powinien zostać lekarzem i psychologiem. Dla paleografa nie dosyć być uczonym specjalistą, jego specjalność nie robi z niego człowieka rozumnego, będzie odczytywał skróty i symbole, ale nie pojmie ich znaczenia. W służbie społecznej jak i w pracach państwowotwórczych winna istnieć *jednoczesność* myślenia. Nic nigdy nie jest najważniejsze, nie pierwsze, wszystko ważne jednocześnie. Nawet Jadwiga Dziubińska tego nie rozumiała: — Najważniejsze, twierdziła, to szkoły elementarne... — A kto będzie nauczał w szkołach elementarnych, jeżeli zaniedbamy średnie i wyższe? Należy dokładnie poznawać swój typ psychiczny, ale się w nim nie rozkochać, ale możliwie dopełniać cechami typów innych. Miasto bardziej skłania do specjalizacji, wieś nie znosi zbytku w tej dziedzinie”.

„Za czasów krakowskich” — wyznawała — „czasów pracy w uniwersytecie im. A. Mickiewicza, byłam lepsza, czystsza, nie ceniłam siebie ani swego życia, gotowa na pełną ofiarę dla sprawy, której służyłam. Dziś chciałabym doczekać żniwa, doczekać plonu rzuconych ziarn”.



Tymczasem, tej pierwszej zimy wojennej jak i następnych zniwo zbierała śmierć. Najofiarniejsze jednostki, najbardziej dynamiczna młodzież ginęła w więzieniach, obozach, na Palmirach, na robotach w Niemczech, w masowych represjach. Pani Helena wiedziała o wszystkim, miała dobrze zorganizowany wywiad i ze

swego klasztornego pokoiku kierowała niejednym poczynaniem, ostrzegąca, doradzała, wspierała z nieporównaną siłą ducha i nieślabnącym, mimo grozy tych lat, optymizmem.

Kłęska Francji, ofensywa na Rosję, zamurowane, zagłodzone getto, łapanki uliczne, nasilenie ruchu podziemnego, rosnący terror okupanta były w jej kasztornej cełę. Latem 1942 roku rozpoczęła się „akcja” w getcie, kilkaset tysięcy ludzi zgłodzonych. Przerwanie korespondencji z jeńcami sowieckimi, tej garści, wybranej z trzech wielkich obozów i zgromadzonych w obozie Griazowiec, pod Wołogdą, niepewność losu pozostałych kilkunastu tysięcy, zamkniętych od wiosny 1940 roku, wieści o formowaniu wojska polskiego nad Wołgą — to był nasz chleb powszedni.

By móc oderwać się od wypadków chwili bieżącej wracaliśmy w naszych rozmowach do problemów jej najbliższych, w sposób nieraz chaotyczny, urywany, zależnie od czasu, który mogła mi poświęcić. Nieraz trudno mi było ująć na piśmie jej rozważania. Wpadałam wówczas w rozterkę, moja rola, jak mi się zdawało, kończyła się tam gdzie grunt stawał mi się obcy, kiedy nie umiając przyswoić pewnych pojęć, włączyć się w tok jej myśli, spisywałam niewolniczo jej słowa. Uspokajała mnie wtedy: Nie należy zbyt drobiazgowo podchodzić do rzeczy, traktowanych jako podmalowanie tła.

„To nie są żadne fakty historyczne” — wyjaśniała — „to epizody przykładowe. Sprawy zbyt specjalne można opuścić. A jednak, syntetyczne rozważania, które przekazuję, nie znajdą się w książkach, sama też tego nie napiszę — to doświadczenie całego życia”.

Wyjaśniała na przykład co w różnych społeczeństwach znaczy „inteligencja”.

1. W pojęciu Herzena to ludzie o wyższym wykształceniu, wyższych zdolnościach i umiejętnościach, ludzie nie skoncentrowani na swojej karierze, swoich awansach, ale ludzie oddani sprawie przebudowy społecznej (kwestii robotniczej) — odpowiedzialni kierownicy tej przebudowy.

2. *Les intellectuels* w pojęciu francuskim, to uczeni, artyści, fachowcy w poszczególnych zawodach, dosłownie z zawodu i upodobania pracownicy umysłowi, w myśleniu niezależni (*les clerics*).

3. Potoczne pojęcie u nas, to ludzie o zakończonej szkole średniej, dla mężczyzn biały kołnierzyk i krawat, dla kobiet kapelusze i manicure. Żadnego kryterium umysłowego. Cała rzesza urzędników, maszynistek, buchalterów itp., wszyscy pracujący piórem lub liczydłem, to — „inteligencja”.

„W każdej sferze” — mówiła — „znajdziemy czołową, świadomą, twórczą grupę ludzi. Znaczenie i wpływ danej warstwy zależy jest od procentu jej inteligencji, czyli jej zasobów umysłowych”.

„Zagadnienie przyszłości: rozpoznanie spraw społecznych odbywa się na tle danej rzeczywistości, układu sił, stanu urządzeń, sposobu ich zużytkowania, dążeń do przebudowy i form, w których się wyrażają. *Rzeczywistość* nie jest bynajmniej jednoznaczna z *teraźniejszością*; mieści w sobie tradycje i dążności, wczoraj i jutro splatają się w niej tworząc warunki dnia dzisiejszego. Każdy splot przybliża jakąś odmianę. *Dziś* zapada się w przeszłość, *jutro* wyrasta. Wyrasta nie tylko z okoliczności, które przez chwilę były dzisiejsze, lecz również z tego co zasiały dawne zamierzenia. Wzrost tych odmian zapewniają siły żywotne, na miarę ludzką niezniszczalne. W ludziach wzmacnia i odradza to, co w rzeczywistości jest składnikiem twórczym i długowiecznym, choćby *teraźniejszość* miniona, lub w danej chwili przeżywana, odrzucała ten składnik, nie spożytkowując go”.

Budowanie rzeczy wielkich odbijać się musi w każdej kropli życia, należy przyjrzeć się temu, co chce żyć, widzieć, co powinno być obalone. Wojny i rewolucje obalają pewną ilość przeszkód stawianych odmianom, następuje wtedy rozrost prawd dojrzewających w ukryciu, często tłumionych i spychanych — wzrost nie raz gwałtowny jak prąd potoku.

Nakazy na przyszłość

Rozmawiać o przyszłości należy jedynie w perspektywie nowej wizji świata. Rozbicie Niemiec na małe państwa i ich rozbrojenie, powinno być nakazem powszechnym.

Daleko idący liberalizm, nie zrównanie poszczególnych dzielnic, pełne poszanowanie sąsiednich chłopskich narodów, Litwy, Łotwy, Estonii, Ukrainy, zapewnienie chłopom w Polsce roli, która się im należy.

Po wojnie dokona się przewrót w stosunkach społecznych, już teraz narasta. Polsce nie wolno być papugą, ale też nie wolno jej podejmować form przeżytych, odrzuconych gdzie indziej.

Nie imperia, nie rzesze niesie przyszłość, ale federacje, stany zjednoczone. Watykan wyraźnie podkreśla zasadnicze punkty reform przyszłości, wolność dla wszystkich narodów, rozbrojenie powszechne, świadomość międzynarodowej *interdépendence*, zainteresowanie sprawami wewnętrznymi innych narodów, w stosunkach państwowych musi istnieć dyskusja, ścieranie się poglądów, błędne jest dążenie do jedności za daleko posuniętej.

Ważkie dla Polski będą wpływy obecnej wojny, porównanie wsi i miasta, przemieszanie, przenikanie się wzajemne tych odrębnych społeczności, bezklasowa powszechna solidarność w oporze stawianym najeźdźcy, zaprawa tzw. inteligencji do trudu fizycznego, do uszanowania tego trudu.

Zagadnienie Kresów Wschodnich i Zachodnich

Musi tu być dokonany wybór. Obniżanie poziomu programów szkolnych, ustaw społecznych itp. w zastosowaniu do Polesia było błędem. Kresy Zachodnie to ziemie polskie, odwieczna ojcowizna, jednolitość społeczeństwa, to wyższa kultura, ustawodawstwo społeczne, świadomość narodowa. Te ziemie wymagają rozwoju samorządów, zdwojonego wysiłku administracyjnego. Zadania na Zachodzie budzą ambicje, poczucie odpowiedzialności.

Administracja ziem wschodnich wymagała na odwrót ograniczenia samorządów, oparcia się na przeżytkach feudalizmu, co było źródłem demoralizacji dla pracowników administracyjnych. Na wschodzie Polska nie powinna rządzić, niezależność tych ziem podniosłaby prestiż naszej kultury i jej promieniowanie. Polacy będą tam czynni jako współobywatele o wyższej kulturze, doświadczeniu, ale już nie jako władza, nie jako „panowie”.

Podniesienie kultury w kraju

Dostęp szerokich mas do szkół średnich i wyższych. Rażąca była liczbowa niewspółmierność dzieci różnych warstw na wyższych uczelniach. Chłopi stanowiący 70 % ludności, ich dzieci 80 %, mieli na wyższych uczelniach tylko 9 % studentów. Większość młodzieży akademickiej stanowiły dzieci urzędników państwowych. Marzeniem każdego woźnego było, aby syn jego został nauczycielem. Matura dawała tytuł „pana”, pasowała na inteligenta. Mimo że ślusarz miał trzykrotnie wyższe pobory od urzędnika lub nauczyciela, ale nie był „panem”.

Pani Helena wraca raz jeszcze do błędnego u nas pojęcia „inteligencji”, która obejmowała intelektualistów, burżuazję i „kołnierzykowych” pracowników biurka (referentów, kasjerów, maszynistki, pomocników buchalteryjnych itp.). Podobne nieporozumienie zachodziło w stosunku do pracowników umysłowych, do których zaliczamy wyondulowaną maszynistkę z ukończoną szkołą powszechną lub wydziałową, a nie zaliczamy majstra fabrycznego, obsługiwacza semaforów, maszynisty kolejowego itd. Ona ma wymówienie trzymiesięczne, on jako pracownik fizyczny tylko miesięczne, dla niej wyższa stawka ubezpieczeniowa, dłuższe urlopy — z jakiej racji?

Sfery urzędnicze w Polsce ulegały wpływom ziemiaństwa, czyli byłych właścicieli ziemskich, licznie w urzędach reprezentowanych. Ci, dla których urząd był awansem społecznym, usiłowali naśla-

dować tamtych, imponowała im kultura towarzyska, zarażała „pańskością”.

Dzieci ze sfer ziemiańskich były protegowane przy zapisach w szkołach wojskowych (korpus Kadetów, Szkoła Medyczna), obdzielane stypendiami, a celem było rzekome podniesienie prestiżu wojska.

Konieczne jest rozróżnienie elity użycia, brutalnego spożycia, od elity wyższego użycia, elity twórczości. Ludziom bezkrytycznym imponuje właśnie ta pierwsza elita brutalnego spożycia. Smutne i często jedyne dziedzictwo *bene nati et possessionati*, którzy się umieją bawić, ale nie umieją pracować i pracy nie szanują.

Zagadnienie prac pogardzanych nie rozwiążą wyższe płace, ale poprawa warunków pracy.

Przykład: chlewy w Danii są jasne, przestronne, przewiewne, pochyłość podłóg cementowych, po której woda bieżąca spływa wraz z nieczystościami. Pokarm dawany w regularnych odstępach, następnie mycie metalowych koryt. Utrzymanie czystości zapobiega zapachom i plądze much. Świnia może być równie czysta, i jest nią będąc pielęgnowana, jak pies, kot lub dziecko.

Na podstawie materiału zgromadzonego przez ankiety stwierdzono, że najgorzej odstręcza praca brudna, ale ta sama praca może się stać znośną w ulepszonych warunkach: poprawa lokalu, jego obszar, światło, warunki higieniczne, dostarczenie odpowiedniego ochronnego odzienia, które by zaoszczędziło własne, możliwość umycia się po pracy na miejscu, wyjście z fabryki, kopalni lub warsztatu w swoim czystym ubraniu.

Na marginesie zaznacza pani Helena jak godne pożałowania jest wywyższanie się tych, co dzięki wykształceniu czy stanowiska mają się za lepszych, to wysferzanie się ludzi pochodzących ze sfer chłopskich czy robotniczych a mających sobie za ujmę utrzymywanie dalszych stosunków ze swoim rodzimym środowiskiem, jak się to zdarza wśród księży i nauczycielstwa.

Polityka rządowa w stosunku do ubezpieczalni społecznych

Instytucje społeczne lub oświatowe niezależne to albo związek nowego życia i nowych form pracy albo dążenie do zachowania starych i zużytych form, uświęconych dla pewnych grup tradycją swego trwania. Prawowite urzędy państwowe odnosiły się do niezależnych instytucji nieufnie, stąd utracenie ustawy o samorządzie ubezpieczalni, nim jeszcze została w pełni opracowana. Składki ubezpieczeniowe skierowywano pośrednio do kas państwo-

wych, ograniczano akcję profilaktyczną, ambulatoryjną, naznaczano komisarzy. Odpowiadają za to spaczenie podstawowej zasady ubezpieczeń społecznych Hubicki i Prystor. Ważna bowiem jest współodpowiedzialność ubezpieczonych, składki powinny być wnoszone do swojej instytucji.

Wracając do lat pierwszej wojny i ówczesnych prac, do których przykładała rękę, opowiadała pani Helena o misji, którą jej powierzono w 1915 roku, wkrótce po zajęciu Warszawy przez wojska niemieckie. Miała nawiązać kontakty z POW, zasięgnąć języka. Dotarła do przedmieść stolicy poprzez kraj zagłodzony i wojną zrujnowany, a idąc piechotą torem kolejowym ku Dworcowi Głównemu, trafiła na pustkę i martwość sieci szyn zbiegających się i krzyżujących. Miasto zamarło w trwodze przed nowym okupantem, w niepewności swego losu, pod wrażeniem ostatnich walk, ograbione i sparaliżowane. Węzowiskiem torów dotarła Helena Radlińska do miasta rodzinnego, które opuściła przed 10-ciu laty w wagonie więziennym.

Tegoż 1915 roku, po pierwszych bojach, w których legionści dali dowód swej bitności, byli dla wypoczynku rozłożeni w okolicach Krakowa. Nieufność okazywana Piłsudskiemu osobiście przez sfery konserwatywne i galicyjskich posesjonatów, brak zaufania na terenie Kongresówki do strzeleckich oddziałów pod rozkazami niemieckimi, zawód jaki odniósł Komendant w Kongresówce w sprawie werbunku — to były palące problemy chwili.

Przy cofaniu się armii rosyjskiej w 1915 r. kozacy podpalali wsie i zbiory, a ludność pędzili tłumnie na wschód. Przedstawiłam wtedy pani Helenie obraz tego exodusu, późną jesienią, kiedy trakt Katarzyński przechodzący tuż za ogrodzeniem parku naszego rodzinnego domu pod Mińskiem zapełnił się uchodźcami, ciągnącymi od kilku już tygodni w trzy i cztery rzędy wozów. Wozy te, pod płóciennymi lub skleconymi z dykty budami, zawierały całe mienie uchodźców. Wygnani przemocą, ogniem i wojną, jechali w nieznaną.

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie” — brzmia słowa starej kościelnej pieśni. Wszystkie te cztery kłeski spadły na nieszczęsnych tułaczy 1915 roku. Chłód, głód i zaraza dziesiątkowały zwłaszcza dzieci. W jesiennej mgle setki ognisk płonęły na ścierniskach i łąkach znacząc ich obozowiska i mnożąc mogiły wzdłuż traktu znaczone krzyżykami z dwóch patyków. Liczba tych wygnańców doszła do 800 tysięcy. Front stanął na

linii Baranowicz. Mińsk przyjął część tych uchodźców, reszta pociągnęła dalej.

„Koniecznością” — mówiła pani Helena — „będzie zorganizowanie po obecnej wojnie powrotu uchodźców i wysiedleńców, uchronienie ich przed głodem i chorobami, zorganizowanie punktów odżywczych, sanitarnych, przygotowanie szpitali...”.

(Nikt z nas nie przewidywał wówczas w jak nieludzkich warunkach, wykluczających wszelką organizację, będzie ewakuowana ludność ze wschodu w głąb Rosji i z zachodu na niewolniczą pracę w niemieckich obozach i fabrykach).

Poczucie osobistej odpowiedzialności wobec każdej klęski były zadziwiające u pani Heleny. Ratownictwo było odruchem nie tylko jej serca ale i mózgu, nie znosiła biadania, każde uderzenie wywoływało natychmiastowy odpór, każda klęska — plan zaradczy. Na tym polegał jej dyletantyzm, dar jednoczesności myślenia, tak zalecany przez nią w służbie społecznej i państwowej.

Dyrektor Biblioteki Publicznej, Faustyn Czerwijowski — mówiła — zwalczał przez siedem lat programy kształcenia bibliotekarzy na Studium („Zawracanie głowy — twierdził — z pedagogiką, psychologią...”). Stworzył swój roczny kurs przy Bibliotece Publicznej, gdzie słuchacze przyswajali sobie techniczne wiadomości potrzebne dla zakładania lub obsługi bibliotek. Dopiero po siedmiu latach stwierdził, że trwałe rezultaty dawał jedynie system kształcenia na Studium Pracy Społecznej. Podobnie dr Kasprzak rzucił się na Radlińską i Krzeczковского przy egzaminie dyplomowym Opieki Społecznej, że przekracza ramy kompetencji pracownicy społecznej wkraczając w dziedzinę medycyny. Ale Radlińska nie ustąpiła. Argumentem jej było: lekarz ma prawo krytykować wartość pracy pielęgniarki z punktu widzenia medycyny, a pielęgniarka powinna oceniać lekarza z punktu widzenia potrzeb służby społecznej.

Zagadnienia wiejskie

Do spraw wsi, które żywo obchodziły Radlińską w kraju przeważnie rolniczym, wracała niejednokrotnie. Opowiadała jak dobrze się czuła wśród gospodyń wiejskich skubiąc z nimi wieczorami pierze i wysłuchując ich opowiadań. Pewnego razu przygotowała odczyt pt. „Naród a państwo”, pragnąc wyjaśnić słuchaczom te dwa pojęcia. Chłopi zeszli się licznie, zrozumieli bowiem, że będzie mówiła o narodzie, tj. o nich, i o „państwie”, czyli o właścicielach ziemskich, ich chlebobawcach. Z naszych

rozmów zachowałam trochę pobieżnych notatek, które tu przytoczę. Ustrój kapitalistyczny — mówiła H. Radlińska — wynaturza rolnictwo. Ekonomia rolnicza, produkcja sama — to jeszcze nie wszystko. Równorzędne jest zagadnienie konsumpcji, spieniężania płodów bez krzywdy dla producenta, warunków bytu pracowników wiejskich, ich dobro, uświadczenie. Dobra koniunktura na rynku idzie nieraz w parze z upadkiem kultury rolnej. Podniesienie spożycia w kraju należy zacząć od gospodyń wiejskich, uświadcamiąjąc im zasady racjonalnego odżywiania.

Polska jest za biedna na spożycie, twierdzą ekonomiści, najważniejszy to eksport. Ekonomiści rozważają, ilu jest ludzi zbędnych na wsi, ja zapytuję, kto jest *niezbędny*. W każdej sferze znaleźć należy czołową, świadomą, twórczą grupę ludzi. Znaczenie i wpływ danej warstwy zależy od procentu jej inteligencji.

Uniwersał Połaniecki zabezpieczył chłopom prawo do ziemi pańszczyźnianej, na której od wieków siedzieli. Ustawodawstwo Księstwa Warszawskiego z 1807 roku zdjęło im kajdany razem z butami, nastąpiło rugowanie chłopów, przesuwanie ich na końcu posiadłości pańskich, parcelacje i uwłaszczenia popańszczyźniane rezerwowały dobrą ziemię dla folwarków, gorszą ustępowano chłopom.

Poglądy ekonomistów na kwestię budowlaną są przeważnie fałszywe. Dom nie jest tylko częścią warsztatu, ale też miejscem życia. Małorolnicy powinni mieć większe chaty dla umożliwienia przemysłu domowego. Sowchozy i kołchozy to łączenie od góry, kooperacje to łączenie od dołu. Niebezpieczeństwem wielkich hodowli to zarazy, łatwiejsze do zwalczania w małych gospodarstwach. Niebezpieczeństwa wielkich przestrzeni to nadużycia i zaniedbania administracji. Pańskie oko, które nie może objąć swojej posiadłości, nie tuczy konia.

Nowy ład wsi będzie miał dobro człowieka na oku, współdziałając z Bogiem. Wszystkie sprawy wsi muszą być jednocześnie brane pod uwagę, związane w całość ekonomiczną: hodowla, mleczarstwo, przetwory mleka i mięsa, ogrodnictwo, pszczelnictwo itp. Wieśniak oświecony nabędzie umiejętność skorzystania z nieodzownych dla człowieka wczasów.



W okresie wielkanocnym będąc którejś niedzieli obecna na mszy w kaplicy na Gęstej, widziałam jak pani Helena ze swego łóżka przy drzwiach otwartych — kaplica znajdowała się o jakieś dziesięć kroków od jej pokoju — śledziła *uchem* nabożeństwo

w wielkim skupieniu i z mszałem w rękach. Za następną wizytą ośmieliłam się spytać, jaki jest jej stosunek do religii. Odpowiedziała mi z całą szczerością i prostotą, a odpowiedź jej poniżej przytaczam.

Przy indyferencji religijnej rodziców miała od najmłodszych lat skłonność do mistycyzmu. Najbliższa jej sercu, najpiękniejsza modlitwa, którą odmawiała stale, nie pamięta skąd ją miała, nie znajdując jej w książce do nabożeństwa. Chyba sama ją ułożyła w chwili natchnienia.

Ks. Gralewski na kursach dla nauczycielek wykładał metody nauczania religii, ale nie odpowiadał jej ten jego wykład, za mało było w nim ducha Chrystusa, ducha miłości. Osaczały ją wątpliwości: nauka Chrystusa a kościół, hierarchia duchowna, jej odstępstwa i kompromisy. Spowiadała się pewnego razu z ciężkiej krzywdy wyrządzonej kobiecie, która była kochanką ojca. Ksiądz zlekceważył jej wyznanie i wyraził się z pogardą o skrzywdzonej. „To nie był grzech” — powiedział. — A to był właśnie jej największy grzech. Zrażona do praktyk religijnych odsuwa się od kościoła. Kilkakrotnie próbuje jeszcze przygodnych spowiedników, ale nie umie się z nimi porozumieć. Wpływ Edwarda Siwińskiego oddalają ją coraz istotniej od kościoła. Nie zdejmuje jednak z szyi ani szkaplerza, ani krzyżyka i nie byłaby ich zdjęta nigdy, gdyby nie zostały zagubione przy jakiejś operacji. Potem nie było już podstaw do zdobywania nowych emblematów wygasłej wiary dziecięcej. Zmagania jednak, wątpliwości i duchowa rozterka trwały jeszcze jakiś czas. Mocując się z krzyżem na mogile powstańczej w Dębach Wielkich szukała w tym fizycznym trudzie jakiegoś rozwiązania, jakiegoś natchnienia i łaski spełnienia dążeń. W okresie ciężkiej choroby była zdecydowana nie wzywać księdza ze względu na matkę, nie chciała sprawić jej tym przykrości. W następnych chorobach, już z własnej woli, nie szukała lub nawet odmawiała pośrednictwa księdza w pojednaniu lub zbliżeniu się do Boga. Później nastąpiły długotrwałe nieporozumienia z mężem na temat religijnego wychowania dzieci. Czy miałyby się w późniejszym życiu opowiedzieć za religią lub przeciw, nie można, sądziła pani Helena, pozbawiać ich najpiękniejszych przeżyć dzieciństwa, ale nie mając dzieci ta kwestia upadła. W akcji bezwyznaniowców, w której Zygmunt Radliński był czynny, nie brała udziału. Wszelka walka z jakąkolwiek postacią religii, wyznaniowej lub niewyznaniowej, była jej obca. Jako profesor Wolnej Wszechnicy czuła się zobowiązana do daleko idącej bezstronności. Tak z księdzem katolickim jak z komunistą chciała rozmawiać na równi i znaleźć porozumienie. Nie miała prawa w stosunku do swoich słuchaczy i uczniów być człowiekiem wy-

naniowym, wspierała każde poszukiwanie, sama poszukująca, kładąc przede wszystkim nacisk na rzetelność myśli i dążeń, niezależnie od drogi.

Cechą dojrzałości starszego wieku — twierdziła — polega na cenieniu i poszanowaniu różnic, a nie na szukaniu wyłącznie podobieństw. Jaka jest siła twojej różnicy?

W miłości przyciągają się przeciwieństwa, pierwsze lata małżeństwa muszą być oparte na podobieństwach, następne lata przynoszą zróżnicowanie małżonków, które każda ze stron powinna szanować.



Do samorządów należy to, co jest interesem wspólnym danego terytorium czy danej grupy społecznej (np. ubezpieczalnie). Instytucje prywatne, niezależne, inicjatywy indywidualne powinny wyzwalać i uświadamiać siły utajone, zamierzenia niezrealizowane. Biurokracyzm naszej administracji przeczy ogólnie przyjętemu aksjomatowi o polskim indywidualizmie. Stąd nieufność urzędów państwowych do instytucji niezależnej. Każdemu rozwojowi i każdej rozsądnej inicjatywie należy się pomoc.

„Spór, który poróżnił mnie z przyjacielem Stefanem Boguszewskim w okresie, kiedy został komunistą, polegał na tym, co jest ważniejsze, to co typowe, masowe, czy to co wyjątkowe, indywidualne. Pierwsze kształtuje psychikę narodu, jest tworzywem historii, drugie to zapowiedzi na przyszłość, nowe formy nowego życia. Książki Brzostowski i jego działalność społeczna, fundacje staszicowskie, Uniwersał Połaniecki i edykt Rządu Narodowego z 1863 roku nie stworzyły nowych form życia, były tylko zapowiedzią na przyszłość. Głabiński nawet ich nie uwzględnił w swojej historii dziejów sprawy rolnej w Polsce. Boguszewski przeczył sam sobie, bo komunizm urodził się też wśród garści prześladowanych ideologów, a potem opanował miliony. Nic się nie rodzi inaczej w historii świata jak człowiek, jak każda żywa istota: rozwija się z jajka w zabezpieczającym je ochronnym organizmie. Tylko to może się urodzić silne i do życia przystosowane, co przeżyło normalnie ten okres rozwoju utajonego.

Co to jest prowokacja? To wywoływanie sztucznymi sposobami przedczesnego „porodu”, czyli poronienia, niszczącego nowy kształt życia.

Dyktatura wkłada wszystkie siły w budowę teraźniejszości, nie nosi w swoim łonie przyszłości, stąd jej słabość, tymczasowość.

W zamierzeniach przebudowy świata ścierają się dwa systemy myśli: czy ważne to, co ogólne, czy to, co indywidualne? Dążyć należy do jedności w odmienności. Znaczenie czytelnictwa w przebudowie społecznej („Książka wśród ludzi”), różne znaczenia książki odpowiedniej: taka, która odpowiada zainteresowaniom człowieka, czy taka, co budzi tęsknoty, odsłania dziedziny nieuświadomione, nieraz nieprzeczuwane nawet. Książka może być narzędziem wszystkiego, najlepszego i najgorszego, machiną burzącą i subtelnym lancetem”.

Nieraz wracała pani Helena do znaczenia „pokolenia historycz-

nego”, czyli do trzech generacji współżyjących w jednej epoce historycznej: dziadów, ojców i synów, właściwych każdemu pokoleniu wartości, których harmonia stwarza równowagę w rodzinie i społeczeństwie. (Pojęcie rozwinięte w tomie „Pedagogika społeczna”, str. 366).

Świat jest stworzony dla dorosłych, wówczas kiedy każdy okres życia stanowi jego część a dopiero wszystkie razem — składają się na całość.

W Monachium istniały już urządzenia specjalnie zastosowane dla dzieci (ulice, gdzie ruch kołowy był wzbroniony, dziecińce w parkach, kąpieliska i trawniki). Dzieci przybywające z Ameryki do Polski pytały w naszych parkach, gdzie dziecku wszystkiego „nie wolno”: czemu Polska nie jest ojczyzną dzieci?

Należałoby młodzież dorastającą dopuszczać do projektowania robót melioracyjnych, jest okres kiedy chłopiec „wyrasta z drzewa”, kiedy mu trzeba żelaza dla wypróbowania siły mięśni. Potrzebna mu wolna przestrzeń, jako pole inicjatywy, jako ujście dla energii i wyobraźni; okres, w którym szuka swego miejsca na świecie, uświadamia sobie swój stosunek do otoczenia. Narastające siły szukają wyładowania. Ten okres młodości jest zasadniczo w stosunku opozycji do władz, do wszelkiego rozkazu, przymusu, ograniczenia swobody.

→ Służba społeczna naszych czasów nie może polegać tylko na karmieniu głodnych, leczeniu ran, opiece nad starcami. Te funkcje spełniały księżniczki średniowieczne, nam trzeba sięgać do źródeł zła, do przyczyn nędzy. Nie samo miłosierdzie — caritas — ale akcja planowa, oparta na socjologii, ekonomii, medycynie, profilaktycznej, pedagogii itp.

Polacy, których pani Helena знаła za granicą, przed odzyskaniem niepodległości, to była albo emigracja robotnicza, ciemna, nędzna masa bez oblicza, siła robocza, albo emigracja ideowa, przedstawiciele skrajnych kierunków politycznych, zamachowcy, zbiegowie z więzień i zesłań, nieraz nawet skazańcy zaoczni. Cudzoziemcy się ich bali, unikali i nie rozumieli. Trzecią grupą byli turyści, zamożna szlachta i burżuazja, ludzie snobujący się na zagranicę, małpujący otoczenie, z krajem istotnie nie związani, którzy z niego jedynie żyli, ludzie bez własnej twarzy, o międzynarodowej ogładzie towarzyskiej, bez głębszej kultury. Byli też ludzie nieliczni, zasłużeni talentem lub wiedzą, jak np. Józefa Joteyko, Narutowicz, Mościcki. Powrót tych nielicznych do kraju, kiedy się otworzyło pole pracy dla nich, był skomplikowany

niechętnym stosunkiem społeczeństwa do tych zagranicznych przybyszów („nie było was w latach niewoli...”), niezrozumienie ich zasług ani wartości dążeń w przyszłości. Kraj potrzebował szkół elementarnych, nauczycieli ludowych i ich przeszkolenia dla spraw dorywczych, aktualnych, o natychmiastowej użyteczności, zamierzenia na daleką przyszłość, czysta nauka, pracowanie psychologiczne lub psychotechniczne, zdawały się wtedy luksusem i były nim w zmartwychwstałej Polsce ze wszystkiego odartej. Ci znakomici rodacy wróceni do Polski nie znaleźli w ojczyźnie warsztatów, które mieli na Zachodzie, a stwarzać ich o własnych siłach nie byli w stanie.

Współpraca międzynarodowa

Międzynarodowe porozumienie na zjazdach i kongresach polegało na współpracy. Nie reprezentacja, nie załatwianie spraw polskich ale ujmowanie jako swoje całokształtu zagadnień stanowiących po ludzku *jedność* i dążących do jednego. Niektórzy koledzy Heleny Radlińskiej dziwili się: to pani załatwia nie tylko polskie sprawy? Ludzie jadący za granicę, czy to na studia, czy jako delegaci na kongresy muszą przede wszystkim znać Polskę, wiedzieć co przedstawiają i czego za granicą szukają, mieć jakiś punkt porównania. Na tych międzynarodowych zjazdach pokazać *prawdę* kraju nie obciążając go w oczach cudzoziemców, ale pokazywać rzeczywistość, przewyższaną i rzeczywistość narastającą. Jakże błędne i niecelowe są przeważnie drogi polskiej „propagandy”, nałóg przechwałek narodowych!

Dzięki różnorodności swoich zainteresowań i kompetencji, dzięki znajomości języków obcych była pani Helena niejednokrotnie wybierana na delegatkę Polski na międzynarodowe zjazdy i kongresy. W życiu tak po brzegi wypełnionym pracą znajdowała czas i siły na te zagraniczne wypadki i wracała zawsze wzbogacona nowym doświadczeniem. Lubiła mi opowiadać o spotkaniach z wybitnymi ludźmi, działaczami społecznymi na tych zjazdach, o wrażeniach wyniesionych z krajów zwiedzanych. Nie były to nigdy powierzchownie turystyczne wycieczki, ale planowane, z góry zamierzone wnikanie w urządzenia społeczne, ich cechy szczególne, wyrosłe z warunków miejscowych i charakteru danego społeczeństwa i narodu.

Z inicjatywy Ameryki doszło do porozumienia międzynarodowego na temat pracy społecznej (przy pomocy fundacji Russella i Rockfeller). Pierwsze zapoznawcze zebrania odbyły się w Pa-

ryżu we wrześniu 1928 roku. Ustanowiono, że konferencje mają się odbywać bez głosowania i uchwał i polegać jedynie na porozumieniu wzajemnym, na zapoznawaniu się ludzi, działaczy, ich prac, metod, odrębności przy wspólności haseł i ich rezultatów. Przeprowadzono wtedy wybory do Komisji Międzynarodowej i ustalono wytyczne dla Komisji Narodowych. Tegoż roku w Polsce odbyła się pierwsza konferencja pracowników społecznych, która przygotowała narady paryskie przez wysunięcie i przedyskutowanie najważniejszych zagadnień do omówienia na forum międzynarodowym. Helena Radlińska wygłosiła wówczas na tej konferencji referat pt. „Kształcenie pracowników oświatowych”. Wystawa, zorganizowana jednocześnie, objęła wydawnictwa, statystyki, fotografie instytucji itp. Po czym, staraniem słuchaczy Studium Społeczno-Oświatowego Wolnej Wszechnicy zorganizowano wycieczkę krajoznawczą, najdokładniej obmyśloną przez panią Radlińską pod względem trasy, budżetu, aprowizacji i podziału funkcji. Po posiłkach wieczornych zbierała uczestników wycieczki dla dokonania syntezy dnia ubiegłego i przygotowania się na następny. Usiłowała zapobiegać oszołomieniu przez nadmiar wrażeń, odnajdywać wspólnotę zainteresowań, otwierać drzwi na świat.

„Kocham moje dzieci” — mówiła — „usiłowałam więc zwalczać w stosunku do nich własne moje wady, nie być dyktatorem, organizować, a organizacja powinna podtrzymywać, nie ciążyć, pozostawiać każdemu jego miarę wolności...”.

Łącznie z pierwszą międzynarodową konferencją służby społecznej w Paryżu w 1928 roku, zorganizowano wycieczkę na 50 osób, która objęła Francję, Belgię, Danię i Szwajcarię. Pasporty były zbiorowe, ścisły rygor, obowiązujące zbiórki (w obawie pogubienia się), punktualność. Bagaże były znaczone kolorowo, kwaterunki osobne dla mężczyzn i kobiet nawet małżeństwa rozdzielano. Szczególne znaki wyróżniały grupy specjalne pod kierunkiem swoich referentów.

Do wrażeń i spostrzeżeń wyniesionych z tych wycieczek, a zachowanych w żywej pamięci, wracała chętnie opisując z pewnego rodzaju zachwytem instytucje i organizacje związane z opieką i troską o człowieka.

Dania

Wspominając Danię kreśliła trudności ekonomiczne tego kra-

ju, przebudowę socjalną, reformę rolną polegającą na wieczystej dzierżawie, wyzyskanie gospodarstwa rolnego, nie opłacającego się i zamienionego na gospodarstwo hodowlane. Wspominała Mikołaja Grundtwiga (1783-1872), pastora, poetę i pedagoga, jego walkę z szablonem religijnym, dążenie do odrodzenia chrześcijaństwa w duchu swobody. Wspominała pierwszy uniwersytet ludowy w Danii, stworzony przez wyznawców Grundtwiga, szkoły powszechne miały poziom raczej niski, nauczycielstwo raczej konserwatywne, ogół ludności postępowy, stąd skłonność do wolnego szkolnictwa. Kursy na uniwersytecie ludowym kilkumiesięczne dla chłopców i dziewcząt, kilkutygodniowe dla starszych. Nie dawały one żadnych uprawnień, żadnych cenzusów, słuchacze nie szli tam dla świadectw ani dla wyższych zarobków, uniwersytet ludowy przygotowywał do życia, wprowadzał w różne zagadnienia obywatelskie, zbliżał do poznania i ocenienia literatury, muzyki, plastyki, teatru — do melioracji dusz ludzkich, która powinna iść w parze z melioracją gleby. Pani Helena wspominała międzynarodową szkołę ludową koło Hoelsingör. Nauczyciele i działacze społeczni z różnych krajów uczyli się tam poznawać i oceniać dorobek kultury innych narodów, metody działania, programy nauczania i wychowania.

O ile cała wytwórczość duńska jest w wysokim stopniu wyrównana wedle jakiegoś wzoru — typu, o tyle życie duchowe, kultura wyłamują się ze wszelkich szablonów, dążąc do pełnego zindywidualizowania.

Socjalizm duński jest ściśle spleciony z nakazami i tradycją chrześcijańską, wspierany słowami Ewangelii, nigdy przeciwny.

Belgia

Od jednolitości stosunków w Danii, jednolitości językowej, kulturalnej, ideologicznej różni się stan rzeczy w Belgii, pełen przeciwieństw narodowościowych (Walonia, język francuski i Flandria — flamandzki), ideologicznych (katolicyzm i socjalizm), zawodowych (wielki przemysł i rolnictwo), różnice posiadania, własność ziemska, przeważnie w rękach nielicznych obszarników, wdzierżawiana po bardzo wysokiej cenie dla wielkiej rentowności, intensywność uprawy ziemi, przewaga ogrodnictwa, sady, ogrody warzywne, i drobna hodowla (kury króliki). Odrębność charakteru każdej prowincji sprzyja samorządom, szeroko zakrojonym. Opieka społeczna podlega Ministerstwu Sprawiedliwości, wzorowa opieka nad więźniami: podział na różne typy prze-

stępstw, nauczanie i szkolenie zawodowe więźniów, lecznictwo więzienne. Piękny rozwój szkolnictwa dla dzieci upośledzonych. Metody administrowania opieki społecznej: „auxiliaires sociales” — wprowadzenie sił prawem nieprzewidzianych. Wysoki poziom w Belgii dokumentacji oraz informacji w dziedzinie społecznej.

Przyjaźń pani Radlińskiej z Pawłem Otlet, wybitnym pedagogiem, inicjatorem Palais Mondial w Brukseli, jego projekt stworzenia Mundaneum. Zaproszony do Polski zwiedził Cytadelę na Żoliborzu. Pod wrażeniem krzyża Traugutta, z widokiem na Wisłę projektował stworzenie w murach Cytadeli Poloneum, skupienie tutaj pamiątek po ofiarach, które wywalczyły niepodległość ojczyzny.

Szwajcaria

Szwajcaria była dla pani Radlińskiej w jej młodości jakby ojczyzną świata. Uroda jej przyrody, kultura i dobrobyt ludności, demokratyzm ustroju zachwyciły. Podział na pracowników fizycznych i na inteligencję nie istniał w Szwajcarii. Każdy pasterz brał udział świadomie w plebiscytach, starość była ubezpieczona, uniwersytety korzystały z pełnej autonomii. Równouprawnienie językowe, wszystkie trzy języki obowiązujące przy maturach. Kelner, portier, czyścibut przekształcali się nagle w studentów lub praktykantów, czyścibut pracował dla zdobycia funduszu na dalsze studia. Szwajcarzy bywają nieraz pomawiani o nieumiejętne wykorzystywanie swoich zarobkowych warsztatów, swego stada, domu, pola, ogrodu. Przyczyną tego jest, że nie gonią za bogactwem, wystarcza im dobrobyt, wolą żyć po ludzku aniżeli gonić za wyższym procentowaniem swych posiadłości. Podatki dochodowe i spadkowe są tak uciążliwe, że większe fortuny znikają w przyspieszonym tempie. Wszystkie pałace z ogrodami przechodzą na własność państwa. Genewa ma ich nadmiar. Szkoły wyższe liczne, ale o słabym poziomie i bez polotu, mały kraj nie zdobywa się na tak duży zastęp profesorów o wykształceniu odpowiednim. Siły profesorskie są zasilane przez cudzoziemców, których również dużo jest pośród słuchaczy. Szkoły powszechne starego typu. *Ecoles nouvelles*, postępowe, są przeważnie fundowane i wykorzystywane przez cudzoziemców, zaszczepione, zrosłe nieorganicznie.

Duża tolerancja religijna. Różne wyznania żyją zgodnie obok siebie. Genewa jest kalwińska. Surowość kalwinizmu obowiązuje przeważnie mieszczaństwo i wyższe sfery. Niższe sfery robotniczo-włościańskie są objęte wpływami socjalizmu. Ale nawet wprowa-

dzenie ustroju komunistycznego nie wprowadziłoby wiele zmian w życie Szwajcarii.

Szwajcaria jest tłem i sceną dla wielu spraw międzynarodowych, robót konspiracyjnych, pobytów kuracyjnych, zawodów sportowych. Życie samych Szwajcarów jest nieznanne przybyszom: emigrantom, turystom, studentom, naukowcom, rentierom cudzoziemskim i tysiącom gruźlików. Lud szwajcarski jest ciężki, robi wrażenie przyziemne, ale należy pamiętać jaką drogę już przebył, jak sobie przyswoił uczciwość, podstawowe zasady higieny, wiadomości o tym co wiedzieć trzeba. Klimat Genewy, jej „biza”, wpływają na ciśnienie, osłabiają wolę. Zdaniem dra Rajchmana Genewa jest nieodpowiednim miejscem na siedzibę Ligi Narodów. Wiedeń byłby lepszy. Brak soli mineralnych w wodzie powoduje wole, kłęska wyższych kantonów. Obowiązuje Szwajcarów nabywanie soli kuchennej specjalnie przygotowanej z dodatkiem innych soli. Dzieci w szkole przy apelu defilują przed nauczycielem spożywając czekoladę z domieszką jodu.

Francja

Co uderzało Helenę Radlińską we Francji to brak ofiarności i typowe dorobkiewiczostwo, nawet wśród działaczy społecznych. Paryż różni się od reszty kraju, bardzo rozwinięte rękodzielnicstwo, a rękodzielo to drobnomieszczaństwo. Słabe organizacje robotnicze. Pewne skostnienie starego i niepłodnego narodu, oszczędność wysiłku, lęk przed wszelką przebudową. Piękne indywidualne osiągnięcia, działalność niektórych grup i zrzeszeń, obiecujące odrodzenie katolickie, a równoległe dodatnie, ożywcze wpływy komunizmu.

„Francja odrodzi się w komunizmie — twierdziła pani Radlińska — w prawdziwym komunizmie, który wypleni nałóg kapitalizowania”.

Niemcy

Lata 1927-29. Uciążliwe wrażenia z Berlina. Manifestacje bezrobotnych. W Turyngii piękny uniwersytet ludowy, który zdradzał niebezpieczeństwo mistyki narodowej. W końcu XIX wieku pokazywały się w Niemczech tendencje przeciwko koszarowemu wychowaniu młodzieży, tęsknota za *Führer*'em, dobrowolnie przyjętym lub obranym, nie urzędowym władcą i rozkazodawcą. Po pierwszej wojnie Niemcy szukali porozumienia z innymi naro-

dami, upokorzone, zbiedzone, niedopuszczane do obrad międzynarodowych, w których język niemiecki nie był uwzględniany, wyrobiły w sobie przerost nacjonalizmu. Język niemiecki wrócił w tych latach (1927-1929) na obrady międzynarodowe, jako jeden z trzech języków europejskich, jedynie na skutek ich uporu. Delegaci niemieccy mówili zawsze po niemiecku i kazali się tłumaczyć. Polacy woleli kaleczyć język cudzoziemski byle nie mówić po polsku (rodzaj popisywania się znajomością obcego języka świadczył o braku szacunku dla swojego). Na którymś z międzynarodowych kongresów pani Radlińska podjęła się tłumaczenia każdego polskiego przemówienia i tłumaczyła na francuski i niemiecki.

Po pierwszej wojnie światowej należało poprzeć odrębności regionalne niemieckie i współpracować z międzynarodowym socjalizmem niemieckim.

Na marginesie kilka uwag o *Czechosłowacji*. Znacznie niższy poziom moralny niż w Danii. Uderzające prostactwo i dorobkiewiczostwo. Czescy działacze oświatowi, zwiedzając polskie instytucje społeczne i naukowe, wieszowali sobie, że nie mają w Czechach tych trudności co mają Polacy z „odrabianiem” tradycji szlacheckich. „Nie odrabiamy, mówiliśmy im, a korzystamy z prac i doświadczeń minionych wieków i pokoleń, dostosowujemy metody i wskazania dawne do naszych czasów i warunków”.

Rozważania o Lidze Narodów

Nie był to niestety chór pełny, a raczej dyktando zwycięzców, pole do rozgrywek państwowych, nie narodowych, gra interesów państwowych. Dużo frazeologii, ton międzynarodowy, tłumienie barw swoistych na rzecz powierzchownego zbliżenia, zamiast tkania tęczą barw — *szarzyzna*, mimo wielu ludzi najlepszej woli. Niezrozumienie narodów walczących o odbudowę, jak Austria, Niemcy, Polska. Niemcy powojenne odsunięto za karę, to się zemściło w późniejszych reakcjach nacjonalistycznych, przeciwnych teoriom i frazesom Ligi Narodów.

Zagadnienie centrali i terenu

Konflikty tych dwu zakresów działania. Odrębność nastawienia pracowników, potrzeba zrozumienia terenu przez pracowników centrali i zadań centrali dla terenowców.

System działania organizacji YMCA w Polsce był błędny, bo stosowany wedle wzorów przyniesionych z Ameryki. Np. w kwestionariuszu zwróconym do młodzieży zapytywano: Czy sport zbliża cię do Chrystusa? Podobny nietakt spotkała pani Helena w Danii, gdzie uczestnikom wycieczki, cudzoziemcom, kładło się do ręki śpiewniki i zalecało chóralny śpiew pieśni pod numerem takim a takim. Zwyczaj narodowy, *couleur locale*, obcy dla przybysza i zenujący.

Zagadnienie *pacyfizmu* powojennego na kongresach międzynarodowych. Trafialiśmy na całkowite niezrozumienie czym była wojna dla narodów, które wywalczyły sobie zwycięstwo lub niepodległość. Na ile pamiętne i wzniosłe były wspomnienia udziału w wojnie wyzwoleńczej.

Międzynarodowy kongres wychowania moralnego w Genewie w 1919 r. (Delegaci: pani Radlińska i prof. Elsenberg). Szeroki udział przedstawicieli różnych krajów i kontynentów. Prof. Foerster, obok Hindusa profesora Mahometanina, przy czym księża też i zakonnice. Dobra wola łącząca wszystkich w poszukiwaniu wspólnego terenu porozumienia. Niemcy byli przedstawiani tylko przez emigrantów. Oby się ten błąd nie powtórzył po drugiej wojnie.

Znaczenie wyboru delegatów na międzynarodowe kongresy. Powinni to być ludzie czynu, świadomości narodowej, czerpiący soki z Kraju, fachowcy, odpowiedzialni za swoją specjalność. Należałoby dążyć na kongresach do indywidualnego porozumienia *ludzi*, nie tylko porozumienia delegacji. Indywidualne zbliżenia, a nawet ścierania się są w tych okolicznościach najważniejsze. Unikanie pozorów, zakłamania, towarzyskiego banału. Nie rasa ani naród łączy ludzi, a pokrewieństwa duchowe. Duża jest odpowiedzialność przewodniczącego delegacji, powinien mieć autorytet nie z nominacji, dużo taktu, czujności, szybką orientację, znajomość dokładną przedstawicieli swojej grupy i gruntu międzynarodowego, orientowanie się w uczestnikach kongresu.

Praca międzynarodowa powinna polegać na wspólności ogólnoludzkiej wyrosłej z odrębności narodowych.

W swojej rozprawie zatytułowanej „Studium pracy kulturalnej” (1925 r.) powołuje się pani Radlińska na J. Wilbois: „La nouvelle éducation française”, Paris 1922. Reformy polityczne, ekonomiczne, skarbowe będą bezpłodne o ile nie nastąpi głębokie przetworzenie dusz. Ustawy wszelkie mają wartość przemijającą, natomiast melioracja ludzi zakłada fundamenty wieczyste — głosi socjolog francuski.

Wzrost sił reakcji ekonomiczno-społecznej był jednym z fatalnych skutków eksperymentu bolszewickiego. Bolszewizm wyrządził straszną krzywdę socjalizmowi, rozbitemu odtąd na komunistów i socjalistów. Ten rozłam to woda na młyn reakcji i klęska ideologów, którzy ufali w powojenną odnowę świata.

Bezsilni wobec przyczyn tej koniunktury stanęli do pracy przy budowie instytucji jutra. Na Zachodzie powstała idea przebudowy i zorganizowania człowieka w tzw. „Ecoles nouvelles” oraz koncepcja międzynarodowej szkoły pracy społecznej. Zdaniem pani Heleny niecelową byłaby szkoła, a jedynie kursy pracy społecznej, krótkoterminowe zjazdy, dzielenie się doświadczeniami, sprawdzanie metod. Szkoła społeczna musi istnieć na gruncie każdego poszczególnego kraju, kształtowanie pracownika społecznego jest do pomyślenia jedynie na gruncie jego działalności.

Podobnie jak nieuniknione są starcia centralników z terenowcami, tak samo walczą teoretycy, rozporządzający przeważnie środkami materialnymi, z przedstawicielami praktyki, związanymi z głębą danego kraju, jego podłożem i materiałem ludzkim.

Przykład: w Polsce była zakładana jednocześnie Państwowa Szkoła Higieny i Studium Pracy Społecznej przy Wolnej Wszechnicy Polskiej. Pierwsza rozporządzała wspaniałą dotacją, rozległą pomocą amerykańską, początki drugiej były bardzo skromne, polegały jedynie na woli i pracy założycieli. Projektowi połączenia obu instytucji sprzeciwiła się pani Helena, jako że wszelkie upaństwowienie zabija giętkość.

Dalsze informacje dotyczących współpracy międzynarodowej

Inicjatorkami Ligi Nowego Wychowania były panie Gueritte i Ensor. Założenie: stanowisko apolityczne, dzielenie się fachowym doświadczeniem pedagogicznym. Początkowy charakter „école nouvelle” był nieco snobistyczny, jej doświadczenia i instalacje były stosowane tylko w szkołach dla dzieci bogatych. Pani Radlińska w Radzie Międzynarodowej walczyła stale o tę apolityczność, o demokratyzm i o wartość jednostek wysyłanych na kongresy zapoznawcze, jednostek, nie delegacji zbiorowych.

„Przemówienia moje na Radzie, o ile mogę sądzić dziś o tym obiektywnie, miały znaczenie większe od zasług moich i stanowiska. Nie bałam się ani narazić swojej osoby, ani sprzeciwić się choćby najznakomitszym kolegom. Nie dążyłam do żadnych stanowisk ani zaszczytów, za to czułam się najistotniej związana z własną ideologiczną służbą, miałam dużą, może nadmierną pewność swoich przekonań i przemyśleń. Pewność swego to nie samo co pewność siebie. Śmiałość moich wystąpień zdobywała mi istotnych przyjaciół. Zbliżenie na podstawie wspólnych ideałów i dążeń, niekiedy wspólnych temperamentów i metod pracy, wzbogacały mnie”.

H. Radlińska podkreślała ważność skromnego ubrania, unikania żywszych kolorów, trzymania się tradycji wojskowych, skromny strój zachęcał również do zbliżenia się z wszystkimi pracownikami, też najniższymi. Starła się ujmować kolegów drobnymi upominkami: tkaniny polskie, hafty, wycinanki, dla Duńczyków fotografie pomników Thordwaldsena. W zamian tych drobnostek obdarowywano ją bogato, na czym korzystały zbiory etnograficzne Studium. Pamiętny był dla niej kongres w Helsingor w zamku Hamleta, nad morzem szarym, chłodnym, pełnym poezji. Organizacja tego zjazdu była bez zarzutu, mieszkano skromnie i tanio. Zjechało się dużo Nordyków, Finów, Norwegów, Szwedów, Szkotów, nauczycieli i nauczycielek ze szkół powszechnych, szkółek wiejskich — szarych pracowników nauczania.

Kongres w Nicei miał już odmienny i niepożądany charakter. Wpływy de Monzie na przewodniczącego p. Langevin, związki Langevin z komunizmem. Początkowe wyłączenie Niemców z międzynarodowych zjazdów przeszło w ówczesne ich kokietowanie. Raziła propaganda uprawiana przez poszczególne delegacje narodowe.

Instytut Międzynarodowej Współpracy Intelktualnej z siedzibą w Paryżu, troszczył się nie tyle o „cooperation”, co o przewagę Francji. Przewodniczący Instytutu Bonnet był to gracz polityczny, żaden umysł. W instytucjach tego typu co Liga Nowego Wychowania, usiłujących wydobyć na jaw najlepsze właściwości każdego narodu, najlepsze ich dążenia najcenniejsze doświadczenia musi być uwzględniony każdy delegat, który wnosi na obrady coś wartościowego czy będzie on z lewicy czy z prawicy, czy jest obywatelem mocarstwa, czy drobnego od niedawna niezależnego państwa, czy narodu zwycięskiego czy zwyciężonego. Porozumienia i przyjaźnie międzynarodowe, przebudowy społeczne i duchowe chronią od nacjonalizmów, przewlekanie tej przebudowy i porozumienia prowadzi do nacjonalizmów.

Zetknięcia pani Heleny z Kwakrami były ożywione sympatią dla ich prawości (rzetelne wprowadzenie zasad religijnych w życie, surowość moralna). W wielu naszych powieściach, jak u Krasickiego, Niemcewicza i innych, pojawia się jakiś cnotliwy Kwakier. Mają duże zasługi w dziedzinie opieki społecznej, oświaty pozaszkolnej, u niektórych razi nadmierna surowość i odstręczają pisemka, które są kompilacją tekstów biblijnych, nieraz niezrozumiałych dla ludzi w tym stopniu w Biblii nieoczytanych.

Wells odnosił się podobnie z dużą sympatią do kwakrów, o czym świadczy jego książka „Une utopie moderne”.

W liczbie osób, z którymi Helena Radlińska spotykała się za granicą i o których zachowała serdeczną pamięć był Fryderyk Gould, sekretarz generalny angielskiej międzynarodowej komisji pedagogicznej. Jego ścisłe porozumienie z H. R. polegało na głębokim optymizmie obojga. Gould nie uznawał realności zła.

„Zło — mawiał — jest zdobywcze tylko dzięki swojej przymieszce dobra, odebrać szatanowi ten płaszczyk, to zniszczyć go. Cnota bywa śmieszna, ubóstwo — prostacze, nie wolno się tego lękać, św. Franciszek, *poverello*, nie lękał się śmieszności, ani Gandhi ze swoim kołowrotkiem, ani Armia Zbawienia w swoich kapelusikach”.



O epoce krakowskiej w biografii H. R., przed i w czasie wojny 1914-1918, o jej pracy politycznej, w roli łącznika, pomiędzy Naczelnym Komitetem Narodowym a organizacjami wojskowymi Piłsudskiego pisali ci, którzy stali wtedy blisko tych spraw.

Swoją energię, wyobraźnię twórczą, zmysł organizacyjny i tak właściwy jej optymizm włożyła w okresie powojennym w pracę tworzenia aparatu państwowego i szkolnych instytucji. Współpracowała z Kazimierzem Praussem, organizatorem szkolnictwa, brała czynny udział w Centralnym Związku Kółek Rolniczych w redakcji Rocznika Pedagogicznego, wreszcie w naukowym kierownictwie Wolnej Wszechnicy Polskiej. Od 1925 r. podjęła się stworzenia Studium Pracy Społeczno-Oświatowej, przy Wolnej Wszechnicy Polskiej i objęła jego kierownictwo.

Centralny, najbogatszy okres jej działalności i promieniowania opiszą słuchacze i słuchaczki Heleny Radlińskiej, jej „ukochane dzieci” i ich następcy w Polsce i poza jej granicami.



W początkach września 1944 r., w drugim miesiącu Powstania Warszawskiego, zostało zajęte Powiśle, a jego mieszkańcy przymusowo ewakuowani. Po raz drugi w ciągu tej wojny wyszła Radlińska z domu płonącego, tym razem z domu Sióstr Urszulanek na Gęstej z ręcznym tłumoczkim, pozostawiając w okaleczonych ścianach tej czasowej przystani, to co zdołała skupić w ciągu pięciu lat wojennych, m.in. rozprawę: „O technice pracy umysłowej”, owoc doświadczenia pedagoga i społecznika.

Oslabiona fizycznie i moralnie pięciu tygodniami głodówki, grozą nalotów, przy których nie schodziła do schronu, musiała przebyć na piechotę długi marsz poprzez zmiadżdżone miasto, aż

do stacji elektrycznej kolejki dojazdowej, przejść przez piekło obozu w Pruszkowie, nim została przyjęta do któregoś z ewakuowanych lub na przędcie stworzonych po kapitulacji Warszawy szpitali.

Jedyne większe miasta, o które się ludność ewakuowana z Warszawy mogła wtedy zaczepić były Kraków i Łódź.

Helena Radlińska znalazła się w Łodzi i tu, z wiarą w siły narodu, bez względu na ciężką nieomogę serca, nie oglądając się wstecz, stanęła w zmienionych warunkach do pracy organizacyjnej i nauczycielskiej.

Już wiosną 1946 r., w długim liście do przyjaciela na emigracji kreśliła obraz nowej polskiej rzeczywistości i warunków pracy: napotykanne przeszkody, wypaczenia normalnego rozwoju społeczeństwa, panoszący się biurokracyzm paraliżujący inicjatywę, władza partii, formy działania narzucane z góry, kull niekompetencji, odrzucenie tradycji najżywoatniejszych nawet tych, które by odpowiadały dzisiejszym tendencjom, świetlice służące politycznej propagandzie, imprezy na pokaz, pomijanie wartości ludzkich, niepowodzenie zamierzeń pośpiesznych i niezdarne planowanych...

Widziała to wszystko i, mimo kamieni rzucanych jej pod nogi, wytrwała do końca życia, wskazując garnącej się do niej młodzieży drogi przetrwania i drogi rozwoju na przyszłość.

Maria CZAPSKA

Kazimierz BAGIŃSKI

HELENA RADLIŃSKA W RUCHU LUDOWYM*

„Należałam do tych, którzy żądali Konstytuanty w Warszawie, odrębności związków polskich, powierzenia spraw szkolnych korporacji nauczycielskiej, reform rolnych i demokracji spółdzielczej. Z ramienia nauczycielstwa wchodziłam do Zarządu Zjednoczenia Związków Królestwa Polskiego, współdziałającego na zasadach równości z rosyjskim „Sojuzem Sojuzów” (Związkiem Związków).

W działalności oświatowej grup, z którymi się związałam, na pierwszym planie stawiano pracę pozaszkolną na wsi: rozbudzenie świadomości narodowej i chłopskiej, kształ-

* Wyjątek z niedrukowanego artykułu K. Bagińskiego pt. „Kobiety w ruchu ludowym”.

owanie woli natychmiastowego czynu — tworzenie urzędów społecznych, obejmowania spraw gminnych, organizowania spółdzielni. Wychowywanie dzieci i młodocianych szło równoległe z rozbudzaniem rodziców”.

Helena Radlińska, *Listy o nauczaniu i pracy badawczej* (List II — okres strajku szkolnego, 1904-6), *Pisma Pedagogiczne*, t. III, 1964.

Ostatnich kilkadziesiąt lat stanowi gwałtowny skok w ruchu ludowym polskim. Chłop od stanu bierności, ciemnoty i rozproszenia przeszedł wielką drogę ku równouprawnieniu obywatelskiemu oraz świadomości wagi niepodległości narodu.

Wymagało to wielkiej pracy i poświęcenia ze strony szeregu świątliwych chłopów i ideowej inteligencji.

W gronie tym znalazły się i kobiety. Helena Radlińska była wśród czołowych.

W 1904 roku w związku z wojną w Japonii i ruchami rewolucyjnymi widzimy ją w otoczeniu prof. Antoniego Sujkowskiego, prof. Stanisława Kalinowskiego i innych, z którymi w Kole Wychowawców przeprowadza strajk szkolny. W tymże okresie (1904-6) pracuje w Kole Oświaty Ludowej z gronem ludzi, którzy zakładają pierwszą partię chłopską — Polski Związek Ludowy (PZL). Wybitną rolę odgrywają tu: inż. Stefan Brzeziński (Kuba), inż. Mieczysław Dębski (późniejszy prezes Naczelnej Izby Kontroli Państwa), Jadwiga Dziubińska, Edward Abramowski, a z młodszych Zygmunt Nowicki i Ludwik Suda, późniejsi prezesi Związku Nauczycielstwa Polskiego.

W tych czasach w konspiracji współdziałali ze sobą ludzie należący do różnych grup postępowych. Nie było wówczas ścisłego podziału przynależności partyjnej. PPS powstała najwcześniej i miała bardziej zwarte szeregi, ale wielu działaczy z innych obozów bardzo blisko z nią współpracowało.

Do takich osób należała Helena Radlińska¹. Przypomina o tym M. Dębski w swoich wspomnieniach z tego czasu (Stefan Julian Brzeziński, „Polski Związek Ludowy”):

„Z ramienia PPS utrzymywała kontakt z PZL d-owa Radlińska”. „Dwa-trzy transporty (rewolwerów — przyp. autora) odbierała Helena Radlińska, lokując je w organach Filharmonii Warszawskiej”.

W tymże wydawnictwie dowiadujemy się, iż H. Radlińska umożliwiła w jawnych drukarniach wydanie kilku nielegalnych numerów tajnego pisma PZL „Głosu Gromadzkiego”.

1. Pisze ona w „Listach o nauczaniu i pracy badawczej”, *Pisma Pedagogiczne*, t. III, str. 342: „Skromne mieszkanie nasze („Radykałów”) służyło sprawom konspiracyjnym niejednej grupy spośród współdziałających z sobą przed 1905 r. ... Grupy polityczne wspomagały się przez udzielanie sobie 'granicy', tj. możliwości transportu przez kordony, drukarni, opieki nad więźniami”.

Gdy w roku 1912 zaczyna się ożywiona działalność niepodległościowa i wzmacnia się łączność z Kongresówką, Radlińska, teraz stale mieszkająca w Krakowie, przystępuje do pracy w nowej formie. Powstaje Związek Chłopski, wyłoniony głównie z ludzi, którzy byli w PPS, ale chcieli pracować wśród ludu rolnego. Znaleźli się również w tym gronie i działacze „Zarania”, które nie było formalnie organizacją partyjną. Radlińska współredaguje organ Związku „Sprawa Chłopska”.

W ostatnich latach przed wojną w Krakowie i Lwowie odbywały się zjazdy powołujące reprezentacje ruchu niepodległościowego. Powstała Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, a z jej ramienia Polski Skarb Narodowy. W tej pracy wybitny udział brała Radlińska, która weszła do władz z ramienia Związku Chłopskiego. Zorganizowała ona dla jego członków kurs polityczny, połączony z przeszkoleniem wojskowym w Związku Strzeleckim.

Na okres pierwszej wojny światowej przypada niezmiernie ważna i wytężona jej działalność polityczna. W Krakowie przy ulicy Floriańskiej mieścił się lokal redakcji „Kultury Polski”, pisma które redagowała. Było ono raczej przykrywką, gdyż tam się mieścił sekretariat łącznikowy, a właściwie centrala informacyjna i polityczna obozu niepodległościowego. Urzędowała tam wraz z Leonem Wasilewskim.

Prowadziłem wówczas pod okupacją austriacką organizację Wydziałów Narodowych w terenie, odpowiedni referat POW, oraz kierowałem organizacją terenową powstałego w Lublinie PSL „Wyzwolenia”. Z tego tytułu miałem stały kontakt z Radlińską. Z Krakowa przysyłała do mnie lub do Juliusza Poniatowskiego listy, do których były załączone liczne karteluski w kopertkach do różnych osób lub organizacji, jak Wydział Narodowy, Liga Kobiet, POW. Zawierały one precyzyjnie pisane informacje, zlecenia czy instrukcje. Przysyłała artykuły do „Dziennika Lubelskiego”, do „Polski Ludowej”, czy też do „Polaka”, tajnie wydawanego przez ludowców. Listy Radlińskiej zawierały wiadomości, które wykorzystywałem do redagowanego przeze mnie „Komunikatu Informacyjnego”, wydawanego w Lublinie nielegalnie, a docierającego nie tylko do okupacji austriackiej, ale i do niemieckiej oraz Galicji. Takie informacje, nadesłane do Lublina, nieraz dnia następnego dochodziły do Krakowa w „Komunikacie Informacyjnym” wysyłanym drogą konspiracyjną. Dziś te „Komunikaty” są nieocenionym źródłem wiadomości z tego okresu, których gdzie indziej nie ma. A jest tam wiele pracy Radlińskiej.

Wszelkie nasze kontakty z Galicją szły przez Radlińską. Ktokolwiek z obozu niepodległościowego z byłego zaboru rosyjskiego zjawiał się w Krakowie, zaczynał od niej. My, ludowcy, zwłaszcza z Lublina, często bywaliśmy w Krakowie na różnego rodzaju spotkaniach z ludowcami z Galicji.

Dnia 2 czerwca 1918 roku odbył się liczny i o wysokim poziomie zjazd inteligencji ludowej w Krakowie, firmowany przez

Gabriela Dubiela, ale właściwie inspirowany i organizowany przez Radlińską. PSL „Wyzwolenie” reprezentowali Aleksander Bogusławski, Helena Radlińska i Kazimierz Bagiński. Przeszły na nim nasze uchwały wymierzone przeciwko Radzie Rejencyjnej, chociaż odzywały się nieliczne głosy w jej obronie (Maciej Rataj). Radlińska z naszego ramienia weszła do stałej komisji organizowania zjazdów.

W okresie Sejmu Ustawodawczego Radlińska przeniosła się do Warszawy. Stała się do pracy politycznej, pełniąc różne funkcje w kierownictwie stronnictwa. W dniu 6 marca 1921 roku została wybrana do Prezydium PSL „Wyzwolenia” jako skarbniczka. Ale najistotniejszą jej pracą była gorliwa pomoc okazywana posłom sejmowym nie obeznanym z działalnością parlamentarną.

Radlińska należała do najwyższego szczebla konspiracji piłsudczykowskiej — do Konwentu „A”, utworzonego na wiosnę 1917 roku. Częściowo ujawnił to ówczesny jej szef polityczny Jędrzej Moraczewski w „Niepodległości” w roku 1937. Była to organizacja nielicznego grona oddanych bezwzględnie Piłsudskiemu osób, które po wywiezieniu go w lecie 1917 roku do Magdeburga zbiorowo go zastępowały². W Sekretariacie w Krakowie koncentrowały się sprawy wykonawcze tej organizacji. Były to tego rodzaju zagadnienia jak np. pertraktacje z Narodową Demokracją, w których brała udział Radlińska³, polityka wojska polskiego w Sowietach, wysyłanie emisariuszy POW do Sowietów, nawiązywanie tam kontaktu z aliantami, powołanie Rządu Ludowego w Lublinie czy też przygotowanie planów wykradzenia Piłsudskiego z Magdeburga oraz wiele innych spraw zasadniczych. Nawet w tym najbardziej ścisłym gronie osób Radlińska z racji swoich wykonawczych funkcji centralnych wiedziała o wiele więcej o działalności „A”, niż niektórzy jej członkowie.

Ruch ludowy w „A” reprezentowały tylko trzy osoby: Juliusz Poniatowski, Helena Radlińska i Kazimierz Bagiński. Już w niepodległej Polsce Piłsudski, uważając członków „A” za zobowiązanych w dalszym ciągu do posłuszeństwa, dawał im instrukcje. W roku 1922 przed wyborami wezwał Poniatowskiego, Radlińską i mnie — żądając, aby PSL „Wyzwolenie” weszło do organizowanego przez niego w trzech województwach kresowych Zjednoczenia Państwowego jako bloku wyborczego, do którego wchodziłoby wszyscy, którzy stoją na stanowisku państwowości polskiej.

2. O Współdziale H. Radlińskiej w Konwencie „A” wspomina również W. Pobóg-Malinowski w *Najnowszej Historii Polski*, Wyd. II, t. II, Londyn, B. Świdzki, 1967, str. 128.

3. W „Listach o nauczaniu i pracy badawczej” Radlińska pisze: „Wobec braku wolnego rządu dążenia i zadania społeczeństwa wypowiedane były przez stronnictwa polityczne i ich bloki. W wewnętrznej walce wystąpili przeciw sobie 'aktywiści', 'pasywiści' i 'niepodległościowcy'... Niezliczone narady, memoriały i projekty krzyżowały się ze sobą. Dla przyszłości nie miały znaczenia wobec tego, że ostateczne rozgrywki nastąpiły po klęsce mocarstw centralnych”.

Ton tej liście miała nadawać prawica i duchowieństwo katolickie oraz prawosławne. Jako kierownik akcji wyborczej stronnictwa oświadczyłem, że odmawia ono udziału w takim zespole, uważając iż straci wszelkie szanse zwycięstwa. Ludność kresowa rozgoryczona jest na dotychczasową administrację, czyni za to odpowiedzialnymi tych, którzy mają stać na czele listy. Pozbawiona odpowiedniej listy lewicy, przerzuci swoje głosy na blok mniejszości narodowych. Potwierdziła to Radlińska i Poniatowski. Taka postawa członków „A” zaskoczyła Piłsudskiego, wyraził wielkie niezadowolenie i oświadczył, że PSL „Wyzwolenie” na tym terenie smrotnie przegra. Okazało się później, że Piłsudski zupełnie nie znał sytuacji wewnętrznej: PSL „Wyzwolenie” uzyskało 12 mandatów, PPS 2, a Zjednoczenie Państwowe ani jednego...

W Polsce wydają obecnie prace Radlińskiej. Nie znam ich. Mając jednak doświadczenie jak działa cenzura komunistyczna z racji kierowania prasą PSL w latach 1945-47, wiem iż książki i gazety redagują nie tylko autorzy, ale i cenzorzy... Wiem również o komunistycznym „anektowaniu” pisarzy i działaczy politycznych, zwłaszcza po śmierci. Spotkałem się z tym i w odniesieniu do Radlińskiej, co oczywiście jest ubliżające jej pamięci.

Niech mi wolno będzie podać pośrednie informacje: gdy schorowaną, w czasie okupacji hitlerowskiej, odwiedzali jej wychowankowie ludowcy, którzy pamiętali o niej i gdy podczas odwiedzin otrzymywała wiadomości o wspaniałej postawie ruchu ludowego i Batalionów Chłopskich, a znów później o oporze wobec dyktatury komunistycznej — miała wiele radości, że jej uczniowie zdali egzamin, a jej trud życia nie został zmarnowany.

Kazimierz BAGIŃSKI

Wanda PEŁCZYŃSKA

HELENA RADLIŃSKA W LATACH 1913-1921

Helenę Radlińską poznałam w Krakowie w roku 1913. Miała wówczas kontakt z licznym gronem młodzieży akademickiej, które otaczało ją głębokim szacunkiem i przyjaźnią. Wiedzieliśmy, że brała czynny udział w organizowaniu strajku szkolnego i bojkotu szkoły rosyjskiej w Kongresówce, że uczestniczyła w walce rewolucyjnej PPS w roku 1905, że wywieziona na Sybir nad rzekę Ob zdołała wraz z mężem uciec z zesłania. Po nielegalnym przekroczeniu granicy zaboru austriackiego zamieszkała w Krakowie. Mąż jej, dr Zygmunt Radliński, wybitny chirurg, został asysten-

tem, a następnie docentem na wydziale lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Radlińska od 1907 do 1911 studiuje historię pod kierunkiem prof. Stanisława Krzyżanowskiego, który — według jej słów — dał swym uczniom „podstawowe metody wszelkich badań naukowych”. Jednocześnie Radlińska prowadzi pracę badawczą nad dziejami oświaty pozaszkolnej i nawiązuje współpracę z Uniwersytetem Ludowym im. Adama Mickiewicza. Była to placówka oświatowa stworzona w roku 1897 i grupująca działaczy oświatowych o radykalnych przekonaniach społecznych i politycznych. Uniwersytet Ludowy zwalczany był przez konserwatystów krakowskich. Od 1907 r. Radlińska z całą energią włączy się w życie Uniwersytetu Ludowego i pociągnie liczne grono młodzieży akademickiej do współdziałania. Miała dar organizowania pracy zbiorowej i budzenia inicjatywy wśród współpracującej z nią młodzieży. Wśród jej wiernych współpracowniczek były studentki krakowskie, które potem brały udział w walce o wolność w pierwszej i drugiej wojnach światowych. Jedną z nich, Hanna Rzepecka (Pohoska), pisze w swoich wspomnieniach (dotąd jeszcze nie ukazały się w druku): „Po kilku rozmowach z Radlińską w maju 1913 uległam jej urokowi. Zgłosiłam się do pracy w Uniwersytecie Ludowym im. A. Mickiewicza. Opiekowałam się najpierw wypożyczalnią przezroczy, potem z kolei przechodziłam różne działy: katalogowanie książek, wypożyczalnia itd. Uczęszczałam też na odczyty dla robotników. — Słyszałam piękny odczyt Kadena o Chopinie, ilustrowany muzyką”.

H. Radlińska stawia jako cel „upowszechnienie książki i budzenie wśród młodzieży robotniczej i chłopskiej dążeń samokształceniowych”. Uniwersytet Ludowy im. A. Mickiewicza stał się miejscem współpracy inteligentów i robotników i warsztatem nowych metod pracy oświatowej wśród dorosłych.

Specjalną wagę przywiązywała Radlińska do planowego organizowania wykładów w Uniwersytecie Ludowym. Prowadzili je wybitni prelegenci jak dr B. Limanowski, W. Jodko-Narkiewicz, dr Z. Daszyńska-Golińska, dr F. Perl, dr W. Gumpłowicz. „Pierwsze wykłady Józefa Piłsudskiego — pisze Radlińska („Józef Piłsudski — pisarz, wydawca i drukarz”, praca zbiorowa, Kraków 1936 r.) — miały miejsce w 1911 r. — nazwisko prelegenta nie przyciągnęło wówczas szerokiej publiczności”. Ale już w rok później cykl jego odczytów o roku 1863 zgromadził tłum słuchaczy. Wykłady te były związane z akcją szerszą, którą Józef Piłsudski nazywał „budowaniem mostu między terażniejszym pokoleniem a pokoleniem 1863 r.” „Z doświadczeń i z klęsk prelegent wydobywał wskazania dla poczynań nowych, z tamtymi najgłębiej związanych”.

Tak oto działalność Uniwersytetu Ludowego, przy gorącym współdziałaniu Radlińskiej zostaje „nastawiona na przebudowę szerokich kół społeczeństwa” i służy nie tylko półjawnej, ale i tajnej robocie niepodległościowej.

W roku 1913 gromadzą się chmury zapowiadające wojnę. Radlińska dla grona zaprzyjaźnionej z nią młodzieży prowadzi wykłady o tajnym nauczaniu w Kongresówce i zapoznaje młodzież z metodami roboty konspiracyjnej. O tej pracy będzie Radlińska pisała w roku 1932 (*Niepodległość*, tom V.): „Najpoważniejszą instytucją oświatową w zaborze rosyjskim w początku XX wieku była Czytelnia Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności. Grupa ludzi głęboko ideowych prowadziła w filantropijnym przedsięwzięciu pracę doskonale przemyślaną, trafiającą do szerokich mas ludu miejskiego”. Kierownikami byli: Stanisław Michalski, Stanisław Leszczyński, Stanisław Kruszewski, Maria Gomólińska, Stefania Sempołowska. W czytelni W.T.D. (Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności) odbywa Radlińska swój — „pierwszy termin w bibliotekarstwie oświatowym”. Cecylia Śniegocka wprowadza ją do tajnego nauczania w szkołach średnich. „Zetknięcie się z robotą nielegalną — pisze Radlińska — dawało nam poczucie, że robi się coś naprawdę”, a „wejście do kół zaprzyjaźnionych równało się pasowaniu na rycerza”. Z fikcyjnym dyplomem nauczycielki kroju H. Radlińska prowadzi w żeńskiej szkole średniej w Warszawie lekcje historii Polski. W klasie rozłożone są bibułkowe modele sukien. W razie przyścia inspektora lekcja kroju odbywa się po francusku. „Nauka dziejów ojczyzny — pisze Radlińska — trafiała do serc dziewcząt i wrywała się głęboko w ich pamięć”. „Nieraz przyklękałyśmy i lekcja zaczynała się od chóralnego półgłosem odmawianego hymnu narodowego”. „Czasem nauczycieli ogarniała rozpacz, że muszą kłamać i dzieci uczyć kłamstwa. Broń niewolników paliła nas wstydem”.

Dla Radlińskiej były to przeżycia niezapomniane. Wracała do nich często w swoich rozmowach z nami w Krakowie. Opowiadała o tajnych kompletach, które miała na krańcach Warszawy, za rogatkami, w ubogich drewnianych domkach. Niejednokrotnie bezpieczeństwa uczących się dzieci strzegł stojący na straży mały dwunastoletni chłopiec. Wspólne niebezpieczeństwo i wspólna praca wiązały w jedną całość nauczycielstwo, rodziców i dzieci.

Dla Heleny Radlińskiej walka o wolność to nie tylko akcje bojowe, to nie tylko „rwanie więzów”. Walką o wolność jest również tworzenie własnego życia społecznego, niezależności wewnętrznej i własnej kultury.

Zagadnieniem, które zawsze interesowało Radlińską, była walka społeczeństwa z cenzurą. Cenzura wywoływała w psychice

autorów zjawisko, które H. Radlińska nazywała „samo-cenzurą”. Ale z drugiej strony cenzura budziła w społeczeństwie zdolność czytania między wierszami tych myśli, których autor nie miał prawa sformułować jasno i wyraźnie. Najsilniejszą a zarazem najzdrowszą reakcją społeczeństwa polskiego na cenzurę rosyjską była drukowana w tajnych drukarniach bibuła oraz przemycane zza kordonu książki niedozwolone pod zaborem rosyjskim.

Pod koniec życia H. Radlińska pisała, że „martyrologia książki i druku” nie znalazła jeszcze pełnego opracowania historycznego, pomimo że w dziejach naszego narodu „posiadamy piękne, mocniejsze niż w innych piśmiennictwach karty poświęcone bibule i książce prześladowanej”.

Jest to jedno z tych zadań, które Helena Radlińska przekazała do wykonania nam, ludziom żyjącym w wolnym świecie.



Przed wybuchem pierwszej wojny światowej Radlińska, będąc członkiem frakcji rewolucyjnej PPS bierze udział w życiu politycznym i w pracach przygotowawczych związanych z wojskowym ruchem niepodległościowym. Należy do Związku Walki Czynnej (Z.W.C.), organizacji tajnej skupiającej wybrane grono ludzi. Inicjatorem był Kazimierz Sosnkowski, którego łączyła przyjaźń z Heleną i Zygmuntem Radlińskimi. Z.W.C. był powiązaniem między „przeszłością socjalistyczną jego organizatorów a ich przyszłością żołnierzy walczących o niepodległość”. Nie wszyscy członkowie PPS uznają to stanowisko. Toczą się gorące dyskusje, między innymi z Feliksem Perlem, który uważał, że „działalność militarna” odbije się ujemnie na działalności partyjnej polskich socjalistów. Po wybuchu wojny F. Perl zmienił pogląd i stał się gorliwym i czynnym uczestnikiem pracy wojskowej pod rozkazami Józefa Piłsudskiego.

Radlińska jest członkiem Komisji Skonfederowanych Stronictw Niepodległościowych i poświęca dużo energii na organizowanie Skarbu Wojskowego.

Drugiego sierpnia 1914 r. siedmiu ludzi z konnego patrolu Beliny przekracza granice zaboru rosyjskiego. 6 sierpnia o świcie kompania kadrowa wyrusza z Oleandrów, obala słupy graniczne w marszu na Miechów i Kielce. 14 sierpnia W.Ks. Mikołaj Mikołajewicz w odezwie do Polaków ogłasza „błogą wieść”, że: „nadchodzi godzina zmartwychwstania Narodu Polskiego i pojednania się z braterską Rosją”, obiecuje Polsce samorząd pod „berłem cesarza rosyjskiego”. W społeczeństwie polskim rozpoczyna się walka pomiędzy tzw. orientacjami. Od jesieni 1914 r. Helena

Radlińska jest członkiem Departamentu Wojskowego N.K.N. (Naczelny Komitet Narodowy) w oddziale werbunkowo-propagandowym. Szefem Departamentu Wojskowego był płk W. Sikorski. Hanna Rzepecka-Pohoska, która pracowała w biurze prasowym Departamentu, tak pisze w swoich wspomnieniach („Wierna służba”, Warszawa 1927): „Przez listopad i grudzień 1914 r. Departament Wojskowy znajdował się w Jabłonkowie na Śląsku. Wskutek ewakuacji Krakowa nastrój był pełen depresji i przygnębienia. Od 10 stycznia 1915 r. zaczęła się wędrówka Departamentu do Królestwa i wtedy po raz pierwszy uświadomiliśmy sobie, że istnieje zasadnicza różnica między pojmowaniem pracy agitacyjnej przez Komendanta a rozumieniem jej przez naszych zwierzchników w Departamencie”.

W marcu 1915 r. Departament przeniósł się do Piotrkowa i rozpoczął na wielką skalę akcję werbunkową do Legionów. W tym okresie Piłsudski wymagał od polityków polskich mocnej postawy wobec Austrii i chciał, „by śrubowali jak najwyżej żądania w sprawie całkowitej niepodległości Polski”. Z biegiem czasu stosunki jego z NKN, na którego czele stał profesor Leopold Jaworski, konserwatysta krakowski, zaostrzały się coraz wyraźniej. Radlińska zdecydowanie staje po stronie niepodległościowej polityki Józefa Piłsudskiego, wypowiadającej się przeciwko wiązaniu sprawy polskiej z mocarstwami środkowymi — Austrią i Rzeszą Niemiecką. Przebywając ze swoją brygadą na Wołyniu w czerwcu 1916 r. Józef Piłsudski stawia wyraźnie sprawę opuszczenia Departamentu Wojskowego przez ludzi z nim związanych, o ile NKN a w konsekwencji i Departament Wojskowy nie zajmie wyraźnego stanowiska niepodległościowego. Helena Radlińska, która jest w stałej korespondencji z Józefem Piłsudskim, występuje z Departamentu Wojskowego i wyjeżdża do Krakowa. Nawiązuje ścisłą współpracę z Polską Organizacją Wojskową (POW), podległą rozkazom Józefa Piłsudskiego. Jej dom staje się centralą tajnej pracy niepodległościowej. Radlińska jest w stałym kontakcie z ruchem ludowym, którego organem prasowym jest *Zaranie*, i z jego redaktorką, Ireną Kosmowską. Redakcja *Zarania* mieści się w Warszawie na Starym Mieście na Kanonii Nr 8. Zaraniarskie piśmisko nielegalne pt. *Na Ziemi Naszej* powstaje w końcu 1914 roku i ma lokal na ul. Hożej. Współpracuje z Kosmowską młody i świetnie zapowiadający się poeta, syn chłopca z Podlasia, Kajetan Sawczuk (zmarł w 1917 r. na gruźlicę w 24-tym roku życia). Aresztowanie Kosmowskiej w kwietniu 1915 r. i wywiezienie jej w głąb Rosji napawa Radlińską głęboką troską zarówno o jej los jak i dalszy bieg prac w Stronnictwie Ludowym. Jest teraz w stałej korespondencji wysyłanej drogą

organizacyjną z Tomaszem Nocznickim, chłopem z Grójeckiego, którego inteligencję i zdecydowaną postawę niepodległościową wysoko ceniła.

Radlińska pracuje w Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Lewicowych, w skład której wchodzi PPS i Polskie Stronnictwo Ludowe. „Zadaniem placówki krakowskiej — pisze Helena Radlińska (*Niepodległość*, 1937 r.) — było prowadzenie łączności pomiędzy ugrupowaniami niepodległościowymi i gromadzenie środków materialnych”.

Wiele czasu pochłania Radlińskiej redagowanie miesięcznika *Kultura Polska*. L. Wasilewski słusznie nazywał redakcję *Kultury Polskiej* „Biurem centralnym ruchu niepodległościowego w Krakowie”. Stałymi współpracownikami byli: I. Daszyński, Andrzej Strug, B. Malinowski, J. Ptaśnik, K. Nitsch, T. Wałek-Czarnecki, H. Elsenberg. „Znalazł tu również — pisze Radlińska — głos pośmiertny St. Witkiewicz”. Ideą przewodnią pisma było „Skupienie ludzi przy sztandarze wyzwolenia politycznego narodu i przy sztandarze wyzwolenia społecznego ludu pracującego” (Radlińska, *Niepodległość*, XVI tom). H. Radlińska twierdzi: „Był to jedyny okres w moim życiu zajmowania się publicystyką, której na ogół nie lubię, nawet unikam, jako sprzecznej z metodą badań naukowych”. (Radlińska „Z dziejów pracy społeczno-oświatowej”, Warszawa, 1964). *Kultura Polska* wychodząca pod okiem cenzury austriackiej świeciła często białymi plamami konfiskat prokuratorskich, które czytelnikom dawały wiele do myślenia. W swoich artykułach Radlińska kładła szczególny nacisk na zbliżenie Ludowców z Królestwa i z Galicji. „Był to cel trudny do osiągnięcia. Tym trudniejszy, że W. Witos, Prezes Polskiego Stronnictwa „Piast”, był wówczas członkiem tajnej organizacji prowadzonej przez Narodową Demokrację i żywił niechęć do obozu niepodległościowego”. (*Niepodległość*, rok 1937, tom XVI, zeszyt I).

Po aresztowaniu Józefa Piłsudskiego przez Niemców i osadzeniu w twierdzy magdeburgskiej, Kraków staje się kwaterą główną ruchu niepodległościowego. Dom Radlińskiej staje się punktem łączności między ludźmi obozu niepodległościowego, rozproszonymi po ziemiach polskich lub przebywającymi na zachodzie i na wschodzie Europy. Jakub Hoffman, żołnierz I Brygady wcielony po kryzysie przysięgowym do wojska austriackiego, stwierdzał wielokrotnie, że zasięg kontaktów, które skupiały się w rękach Heleny Radlińskiej sięgał od ziemi włoskiej aż po Dniepr i morze Czarne.

W dniach 2, 3, 4 lutego 1918 roku odbywa się w Krakowie zjazd niepodległościowych stronnictw i organizacji Królestwa Pol-

skiego. Zjazd wysuwa szereg postulatów politycznych i społecznych. Radlińska jest jednym z najczynniejszych jego organizatorów. P.O.W. wzmacnia akcję terrorystyczną na okupacji niemieckiej, bo jak pisała później Radlińska „trzeba było przełamać w społeczeństwie lęk przed siłą niemiecką”.

W tym czasie naczelną instytucją polityczno-niepodległościową był „Konwent”, na którego czele stał Jędrzej Moraczewski, a sekretarzem był Leon Wasilewski. Rozpoczęły się rozmowy i rokowania z pravicowymi ugrupowaniami. Zapoczątkowali je Leon Wasilewski i Helena Radlińska. W jej domu odbywały się konferencje w godzinach wieczornych „tak zwane nocne rodaków rozmowy”. Z ramienia „Konwentu” brali w nich udział Leon Wasilewski, Jędrzej Moraczewski, płk E. Rydz-Śmigły i Helena Radlińska, a tzw. Koło Międzypartyjne reprezentowali Aleksander Skarbek, Stanisław Głębiński i Wincenty Witos. Leon Wasilewski i Helena Radlińska stwierdzali zgodnie, że w rozmowach tych napotykali „mur partyjnictwa, który był nie do obalenia”. Rozmowy nie dawały wyniku, choć zbliżał się moment historyczny olbrzymiej wagi. Praca podziemna w kraju, zwłaszcza na okupacji niemieckiej, nabierała na sile. P.O.W. utrzymywała stały kontakt z żołnierzami przebywającymi za drutami obozów w Beniaminowie i Szczypiornie. Przygotowywano plan odbicia Józefa Piłsudskiego z twierdzy Magdeburgskiej. W celach rozpoznawczych Julian Stachiewicz w mundurze niemieckim odbywa kilkakrotne podróże do Niemiec. Współpracują z nim Zofia Gulińska, Jędrzej Moraczewski, pomaga im również Ignacy Mościcki, późniejszy Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Helena Radlińska przewozi kilkakrotnie z Krakowa na okupację niemiecką broń i granaty. Powiedziała jej kiedyś, że powinna tę pracę zostawić innym. Zaśmiała się serdecznie: „Czy tylko wy młodzi macie przywilej narażania życia w służbie dla sprawy?”

Nielegalna prasa niepodległościowa rozchodziła się po kraju szybko dzięki pomocy kolejarzy, maszynistów, konduktorów i, co Radlińska podkreślała z dumą, licznych kondukterek.

Aż oto przyszedł pamiętny październik 1918 roku. Rozbrajanie w Krakowie Austriaków. W swoich wspomnieniach („Służba Ojczyźnie”, Warszawa, 1929) Radlińska pisze, że Czechom po odebraniu broni przypinano do ich austriackich mundurów kokardy o narodowych czeskich barwach. Radlińska przedostaje się do Warszawy. Bierze udział w dużym wiecu, który w dniu 1 listopada 1918 roku został zwołany w Towarzystwie Krajowznawczym. Wiec jest nielegalny, ale tłumy zalegają salę. Przemawia przedstawiciel Stronnictwa Ludowego Tomasz Nocznicki. Radlińska zabiera głos z uniesieniem: „Nie ma już Galicji, jest

wolna Małopolska. Rozbroiliśmy Austriaków”. W dalszych mowach rzucał hasła niepodległościowe i społeczne.

Następne dni Radlińska spędza w podróżach między Warszawą, Krakowem i Lublinem. Do Lublina przyjechała późnym wieczorem 7 listopada 1918 roku i tu ujrzała na murach miasta Manifest Tymczasowego Rządu Ludowej Republiki Polskiej z podpisem Bolesława Ziemięckiego. „Po tylu zapowiedziach — chcemy wolności odezwał się głos — jesteście wolni”. („Służba Ojczyźnie”, Warszawa, 1929 rok).

W kilka dni później Helena Radlińska przyjeżdża do Warszawy i, jak to sama pisze, „kończy swą służbę raportem w Belwederze u Komendanta”.

„Gdy skończyła się na razie moja służba żołnierska, nie przyjąłem proponowanych mi stanowisk politycznych. Wróciłam do dawnego zawodu oświatowca” („Listy o nauczaniu i pracy badawczej”, Warszawa, 1964).

Współpracuje z Kazimierzem Praussem, który miał duży autorytet wśród nauczycielstwa. „Dzięki niemu to, co mogło stać się dziedziną propagandy i deklamatorstwem, było rzetelnym, umiejętnym i wszechstronnym budowaniem fundamentów szkolnictwa powszechnego, polskiego z ducha i treści” („Listy o nauczaniu i pracy badawczej”).

W listopadzie 1918 roku Radlińska pracuje w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W roku 1919 podejmuje próbę prowadzenia Uniwersytetu Ludowego współpracując ze Stronnictwem Ludowym „Wyzwolenie”. Poza tym wykłada historię wychowania, naukę o Polsce współczesnej i metodykę nauczania historii na Państwowych Kursach Nauczycielskich.



Na jesieni 1919 roku w Wilnie wśród kurierów frontu Litewsko-Białoruskiego i wśród dawnych P.O.Wiaczków powstaje myśl utworzenia organizacji instruktorek oświatowych, które prowadziłyby pracę oświatową wśród żołnierzy. Organizowanie odczytów w oddziałach frontowych zaczęliśmy na własną rękę. Dopomagali nam w tej pracy nauczyciele wileńscy, a nawet profesorowie Uniwersytetu, zwłaszcza prof. Witold Staniewicz, późniejszy rektor Uniwersytetu Stefana Batorego. Okazało się, że odczyty i pogadanki nie wystarczają. Powstaje projekt zorganizowania przy oddziałach frontowych ruchomych gospód, w których można by prowadzić systematyczną pracę oświatową wśród żołnierzy, a zwłaszcza naukę czytania i pisania. Ustawa z roku 1919 „o nauczaniu żołnierzy analfabetów” ułatwiła realizację tego projektu.

Jako jedna z inicjatorek zwróciłam się o radę do Heleny Radlińskiej. Była bardzo zainteresowana tym zagadnieniem. Powiedziała bez wahania, że właśnie teraz, gdy wojna z Rosją Sowiecką jest wojną o życie narodu, a współpraca z żołnierzem na froncie jest naczelnym obowiązkiem obywatelskim, sama do tej pracy niezwłocznie wejdzie. Nie chciała obejmować kierownictwa Wydziału Instruktoek, ponieważ musiałyby odbywać częste wyjazdy do gospód frontowych, na co nie pozwalało jej zdrowie. Weszła więc do Wydziału Instruktoek jako zastępczyni kierowniczk.

Wydział Instruktoek Oświatowych Sekcji Propagandy i Opieki pracował na podstawie rozkazu Naczelnego Dowództwa numer 80. Instruktorci nosiły mundury ze znakiem S.P.I.O. na ramieniu i na berecie (S.P.I.O. — Sekcja Propagandy i Opieki). Obowiązywała dyscyplina wojskowa. Wymagany był cenzus — co najmniej świadectwo z ukończenia szkoły średniej. Zaczęły zgłaszać się liczne ochotniczki: nauczycielki szkół powszechnych i średnich, najliczniej zgłaszały się studentki uniwersytetów krakowskiego, warszawskiego i wileńskiego. Niebawem liczba instruktoek dosięgła setki. Wiek wahał się od lat 18 do 50. Prowadziłyśmy wyężoną pracę. Służba była ciężka, wymagała sił duchowych i fizycznych. Niejednokrotnie instruktorci znajdowały się pod ogniem nieprzyjacielskim.

Instruktorcom okazywali pomoc i współdziałanie wojskowi, którzy w życiu cywilnym związani byli ze szkolnictwem, a zwłaszcza z oświatą pozaszkolną. Autorytet Heleny Radlińskiej ułatwiał instruktorcom nawiązywanie z nimi kontaktów i układanie planu pracy. Radlińska była wzywana kilkakrotnie do Belwederu na rozmowy z Naczelnym Wodzem, Józefem Piłsudskim, który przywiązywał wielką wagę do pracy oświatowej wśród żołnierzy, a służbę nauczyciela stawiał na równi ze służbą żołnierza walczącego o niepodległość.

Gdy w sierpniu 1920 roku bolszewicy zbliżali się do Warszawy, do pracy zaczęły zgłaszać się dziesiątki ochotniczek. Wraz z siłami pomocniczymi liczba doszła do 300 instruktoek.

Po zawieszeniu działań wojennych gospody prowadzone przez instruktorci oświatowe stały się miejscem systematycznego nauczania.

Na jesieni 1920 roku zorganizowałyśmy kursy, na których instruktorci oświatowe w kolejnych grupach przeszły systematyczne przeszkolenie z zakresu nauczania dorosłych. Kierownictwo kursów spoczywało w rękach Heleny Radlińskiej. Na swoich wykładach często używała metody konwersatoriów, wtedy w pełni

uwytatniał się jej niepospolity talent pedagoga. W swoich „Listach o nauczaniu i pracy badawczej” Helena Radlińska kilkakrotnie wspomina o swej pracy w Wydziale Instruktoerek Oświatowych. Pisze, że zapoznała się wówczas z masowym nauczaniem analfabetów i z zainteresowaniami żołnierzy pochodzących z różnych okolic Polski i z różnych kręgów społecznych. Okres po zawieszeniu broni — stwierdza Radlińska „był poświęcony niezmiernie szerokiej akcji oświatowej w wojsku. Wagony elementarzy i zeszytów szły do miejsc postoju gospód frontowych”. „Ukazał się nowy, dostosowany do okoliczności nauczania 'Elementarz dla Żołnierzy' M. Falskiego”. „Instruktorki oświatowe, oficerowie, podoficerowie prowadzili nauczanie w warunkach nieraz najtrudniejszych, używając jako stołu drzwi wyjmowanych z zawiasów. W oddziałach, w których przeważali żołnierze umiejący czytać dobrze, analfabeci opanowywali sztukę czytania w ciągu paru tygodni. Trudniej szło nauczanie w jednostkach wojskowych rekrutowanych w okolicach o niższym wykształceniu ogółu, zwłaszcza w dywizjach z województw wschodnich”. Radlińska zwraca uwagę, że żołnierze niechętnie czytali książki o wojskowości, chcieli odpoczynku, lubili książki z baśniami. Chętnie gromadzili się na głośne czytanie nowel Prusa i Żeromskiego. „Niejedna obserwacja ówczesna wpłynęła na kierunek moich późniejszych badań nad czytelnictwem” stwierdza Radlińska i dodaje, że „dzięki pracy w Wydziale Instruktoerek Oświatowych poznała metody propagandy i warunki jej skuteczności”. „Rola jednostki rzucała się w oczy na każdym niemal kroku. Wśród najbardziej wytrwałych i bohaterkich spotykałam młodych przyjaciół z wiejskich placówek P.O.W. Spośród współpracowników w zakresie oświaty i pomocy żołnierzowi zbliżyłam się z dawno mi znanym ze Związku Strzeleckiego Jakubem Hoffmanem, z M. B. Godeckim oraz kilku koleżankami z Sekcji Opieki nad Żołnierzem”. Dodam tu w nawiasie, że Marian Bronisław Godecki, wybitny działacz społeczny i oświatowy, kurator okręgu szkolnego w Krakowie, a następnie w Wilnie został w roku 1939 zaarrestowany przez N.K.W.D., wywieziony do Rosji, gdzie zginął bez wieści. Przez więzienia sowieckie i zsyłkę do Rosji przeszedł również Jakub Hoffman. Zona jego, Jadwiga Czubkówna, instruktorka oświatowa, zmarła w łagrze sowieckim. Jakub Hoffman ze złamanym zdrowiem zamieszkał w Londynie. Zmarł w roku 1964. Był w stałej korespondencji z Heleną Radlińską do ostatnich dni jej życia.

W pismach Heleny Radlińskiej wydanych w kraju znajdujemy zaledwie kilka nazwisk instruktoerek oświatowych. Musimy pamiętać, że pisma jej zostały wydane pod bacznym okiem cenzury

i dlatego cały szereg imion i wiele spraw musiało pokryć milczenie.

Stworzona przez Radlińską teoria pedagogiczna o wyzwala-
niu twórczych sił w człowieku i o przeciwstawianiu się wszelkim
schematom w pracy społecznej i wychowawczej — jest jej po-
ważnym wkładem w polską myśl pedagogiczną. Oprócz spuścizny
naukowej, oprócz pracy pedagogicznej i społecznej, która wyla
się głęboko w pamięć ludzi, mających bliższy kontakt z Heleną
Radlińską — pozostała po niej piękna karta jej życia. Od wczes-
nej młodości w latach niewoli carskiej brała udział w walce
o szkołę polską i współdziałała w akcjach PPS. Brała czynny
udział w walce o niepodległość w I wojnie światowej. W dwu-
dziestoleciu niepodległości broniła konsekwentnie zasady, że „Pol-
ska niepodległa to wolność polityczna, równość społeczna i bra-
terstwo narodów od Bałtyku aż po morze Czarne”.

Wanda PEŁCZYŃSKA

LISTY DO LEONA WASILEWSKIEGO

Pod Wołczeckiem 6/VI 1916 r.

Moi Drodzy!

Piszę do Was jeden list, ten właściwie jest dla Ulrycha, który ma prze-
prowadzić całą akcję.

Jak wiecie, wystawiłem żądanie od N.K.N., by D.W. zmienił swój cha-
rakter, jeśli chce, by go choć trochę szanowano w Królestwie i nie uważano
go za część składową administracji okupacyjnej austriackiej. Żądania moje
streściłem w trzech postulatach: a) odwojskowanie D.W. i powrót do
zasady cywilnej obywatelskiej instytucji; b) oddalenie się od K-stell, które
kompromituje D.W. i czyni często z niego organizację dla szpiclowania
własnego społeczeństwa; c) usunięcie się od wewnętrznej polityki Królestwa
bez prowadzenia żadnego inter-mediatorstwa jakoby między stronnictwami
w Królestwie. Następnie wobec tego, że żadnej gwarancji nie dają mi osoby
prowadzące interesy, by nawet po przyjęciu tych zasad, zasady te zostałyby
wprowadzone w życie, postanowiłem wymaganie usunięcia dotychczasowych
kierowników D.W. i Wyrostka. Po długiej i nużącej dyskusji N.K.N. za-
trzymał Sikorskiego z uznaniem, Downarowicza usunął z Warszawy (gdzie
i tak musiałby zaprzestać pracy wobec skompromitowania się w Warszawie
— kompromitując przy tym naturalnie i mnóstwo innych), jakoby dał mu
— Sikorskiemu nakiwanie w różnych kierunkach, jakoby on obiecał się
poprawić. No i skończyło się.

Urzędnicy D.W. z Radlińską i Góreckim na czele, wystawili różne żąda-
nia swym szefom, żądania idące w moim kierunku, jednak nie stawiające

kropki nad i, i specjalnie unikające pierwszego mego postulatów odwojskowania (naturalnie idzie tu o pieniądze z ROK. — 50 tys. koron miesięcznie — które w przeciwnym wypadku odpadają zresztą razem z różnymi paskudstwami).

Przy dyskusji w N.K.N. niektórzy przyjaciele Sikorskiego (Bobrowski i inni) żądali wyrzucenia wszystkich „wątpliwych” czy „przeciwdziałających” werbunkowi, licząc na to, że to pomoże sprawie, gadając przy tym dosyć przykro o „Wallenrodach” i tem podobne.

Napisałem o tym list do Jaworskiego, powtarzając swe żądania, wysłałem do Radlińskiej stwierdzenie, że nie ustąpię i prawdopodobnie wkrótce zażądam wyjścia wszystkich tych, którzy chcą iść ze mną, by wyszli z D.W. i przeszli albo do linii, albo do roboty w Królestwie przy C.K.N., wreszcie przy przyjeździe tu do mnie Sikorskiego i Downarowicza potraktowałem ich jak psów i stróżów K.Stell, Bobrowskiego i Mader czy jak tam z Lubelskiego. Wreszcie wobec dyskusji w N.K.N. zażądałem od Jaworskiego pisemnej odpowiedzi, czy mam swoich ludzi „wątpiących” zostawiać przy pracy, gdy oni wciąż naciskają na to, by od niej odejść.

Teraz Wasza robota na najbliższy czas. S. Ulrych pojedzie do Krakowa, dobieje się audyencji u Jaworskiego i powie mu, że a) prosił mnie w imieniu koła oficerów i podoficerów o zwolnienie ich z tej służby, b) że ja kazałem zostać by nie wywoływać skandalu dla instytucji, która choć trochę obywatelskiego charakteru zachowała, c) że słyszał w dyskusji w N.K.N. gdzie niepowodzenie rekrutacji oświetlane jest w sposób że Wy wszyscy temu przeciwdziałacie i że z tego powodu raz jeszcze napisaliście do mnie o to samo, d) że ja poleciłem zwrócić się do Jaworskiego po odpowiedź. W motywacji tych wszystkich rzeczy macie wysypać wszystkie dowody. Z K.Stellami, z upokorzeniem instytucji wobec władz okupacyjnych, wstręt Królestwa do tego rodzaju pracy itd. W razie gdy powie, że to niech panowie idą, natychmiast stanowczo żądać dymisji, rozszerzyć to tak by możliwie wielu werbunkowców poszło, dojść do Radlińskiej powiedzieć jej, że sprawa skończona że występujecie i że oczekujecie że i wewnątrz Departamentu Was podtrzymają tem samem i wracać wszystkim na linię. W razie gdy będzie prosił o poczekanie i wyjaśnienie itd. zażądać wyjaśnienia tego przed kolegami na zebraniu werbunkowców w Piotrkowie, a przytem robić z tego w Krakowie wśród kobiet (Ligi) gwałt i hałas jak największy, poruszyć opinię. Przy zebraniu werbunkowców złożyć raport o wizycie u Jaworskiego, powiedzieć, że zrobiliście to z nakazu mego, gdyście się zwrócili z prośbą do mnie o odwołanie ze stanowiska oficera werbującego — motywy podać — niemożliwość pracy w tak poniżających warunkach jak zależność stała i drobiazgowość od żandarma Czecha i urzędnika Żyda wobec społeczeństwa, na które ma się oddziaływać, a które nienawidzić zaczyna te stosunki, a wskutek tego gardzić zaczyna tymi rodakami, którzy się w takich warunkach żyć zgadzają i jakby konspirują wspólnie z obcą władzą przeciwko własnemu społeczeństwu. Zrobić to spokojnie, ale stanowczo. Jeżeli chcecie to możecie dodać — i konieczność współpracy z kolegami, których się nie szanuje (szpicle) — to już zależy od Waszego gustu.

O skutkach tego wszystkiego możliwie szybko zawiadomić szczegółowym raportem.

J. PIŁSUDSKI

Poniższy list do Wasilewskiego, ówczesnego kierownika biura Sekretariatu Generalnego N.K.N. opublikowany został na str. 142-143 jego pracy pt.

„Józef Piłsudski jakim Go znałem”. Instrukcje, przesłane Wasilewskiemu, związane były z walką, jaką Józef Piłsudski prowadził z Depart. Wojskowym N.K.N., przeciwdziałającemu niezależnej polityce niepodległościowej, reprezentowanej przez Piłsudskiego.

List datowany jest spod Wołczecka tj. z pozycji pod Kostiuchnowką nad Styrem.

Pozycja pod Wołczeckiem, 26. VI. 1916.

Mój Drogi.

List ten dasz do przeczytania Radlińskiej¹ i w odpisie prześlej go do Ulrycha² oraz do Piotrkowa do Pietrka³.

Za wszystkie raporty i listy serdeczne dzięki, cieszę się ogromnie, że możemy tak ścisłą komunikację pomiędzy sobą utrzymać i że w ten sposób ściślej się wiąże wspólna praca.

Instrukcja jest następująca: Ulrych ma zażądać odprawy obiecanej, koniecznie z prezesem⁴ przynajmniej do 15 lipca, w przeciwnym razie 15 lipca wszyscy urzędnicy i oficerowie podają się do dymisji. Jeżeli odprawę obiecują, wówczas zrobić (ustępstwo) i zostać do odprawy. Jeżeli kogokolwiek do tego czasu wyrzucą, też ogólna dymisja.

W razie odprawy: żądać jak zwykle a) cywilnego departamentu b) usunięcie się od K. Stelle⁵; c) usunięcie się od wewnętrznej polityki Królestwa.

Zachowanie się ma być następujące: W razie, jeśli do tego czasu usuną się lub będzie pewnym, że się usuną, Sikorski, Downarowicz i Kot⁶ nie być niuściepliwymi i godzić się z wyjaśnieniami — decyzję w tym kierunku o tym, czy pewnym jest usunięcie się wymienionych osób, ma Ulrych. W przeciwnym wypadku, to znaczy, gdy jest pewność zostania tych nieobliczalnych maniaków „idei legionowej”, podać dymisje wszystkich.

W tym wypadku oficerowie i szeregowcy wracają do pułków, urzędnicy idą do Centralnego Komitetu Narodowego⁷ na pracę. Teraz już wysłać do Warszawy do Sławka kogokolwiek do omówienia szczegółów pracy każdego. Sławek jest uprzedzony o tym.

Ty i Sokolnicki⁸ zostajecie na stanowisku dotychczasowym. Sprawę zachować w sekrecie, nie rozświetlać jej przed czasem.

Uścisk dłoni

ZIUK

1. Helena Radlińska, pisująca wówczas pod ps. H. Orsza.

2. Juliusz Ulrych podporucznik I Brygady, odkomenderowany przez Piłsudskiego do Dep. Wojsk. N.K.N.

3. Piotr Górecki, kierownik Zw. Strzel. w Belgii, w N.K.N. reprezentował obóz niepodległościowy.

4. Prezes N.K.N., Wł. Leop. Jaworski.

5. K. Stelle — skrót od Kundschaftsstelle, służba wywiadowcza wojsk austriackich.

6. Płk Władysław Sikorski, szef Dep. Wojsk. N.K.N., Stanisław Downarowicz i dr Stanisław Kot, najbliżsi współpracownicy płk. Sikorskiego.

7. Centr. Komitet Narodowy — organizacja stronnictw niepodległościowych Królestwa Kongresowego założona w roku 1915.

8. Dr Michał Sokolnicki, Sekretarz Generalny N.K.N., mąż zaufania Piłsudskiego.

HELENA RADLIŃSKA JAKO ŁĄCZNICZKA

Po walkach o Polską Górę (4-7 lipca 1916 r.) pod Kostiuchnówką nad rzeką Styrem, przeszliśmy na linię Stochodu, gdzie siedzieliśmy w okopach. Komendant nasz, Józef Piłsudski, widząc ustalenie się frontu oraz zupełne załamanie ofensywy rosyjskiej (tak zwanej Brusilowa), zażądał od władz austriackich, by wyodrębniły zupełnie Legiony i dały im polską komendę, a nie, jak dotąd, austriacką. Jednocześnie spowodował on, że partie polityczne, popierające go dotąd, wystąpiły z żądaniem utworzenia niepodległego państwa polskiego na terenach zajętych przez Austrię i Niemcy. Gdy władze ociągały się z wypełnieniem tych żądań, podał się Piłsudski ze swym szefem sztabu Kazimierzem Sosnkowskim do dymisji, która została przyjęta.

Z polecenia Piłsudskiego, jego żołnierze wnieśli zbiorowo podania o zwolnienie z Legionów, motywując to dymisją Piłsudskiego, jako też nieuwzględnieniem żądań partii politycznych. Poddani austriacko-węgierscy prosili o zwolnienie z Legionów i przeniesienie do armii austriackiej, zaś poddani Królestwa Polskiego o zwolnienie z wojska i tym samym o rozmundurowanie. Wywołało to ogromny ferment, na skutek którego Austriacy wycofali Legiony z linii frontu na tyły do Baranowicz i przekazali je Niemcom.

Potem władze austriackie i niemieckie zdecydowały się na częściowe załatwienie sprawy polskiej przez ogłoszenie aktu z 5 listopada 1916 r., którym zapowiedziały utworzenie niepodległego państwa polskiego. Na polecenie Piłsudskiego legionieści wycofali swe podania o zwolnienie. Piłsudskiego powołano na kierownika Komisji Wojskowej przy utworzonej Tymczasowej Radzie Stanu. Tak władze niemieckie jak i austriackie spodziewały się, że Tymczasowa Rada Stanu powoła do życia armię polską, która będzie pomagała Niemcom i Austriakom w dalszych walkach tak z Rosją jak i państwami zachodnimi. W lipcu 1917 r. władze niemieckie, którym teraz były podporządkowane Legiony, zażądały od legionistów, ale tylko Królewaków, przysięgi na wierność obu cesarzom oraz „braterstwo broni”. Legionieści odmówili. Na skutek tego wydzielono poddanych austriackich i przeniesiono ich do armii austriackiej, zaś Królewaków osadzono w obozach w Beniaminowie i Szczypiornie. Był to tak zwany kryzys przysięgowy.

Jesienią 1917 r., po tzw. kryzysie przysięgowym, część byłych legionistów znalazła się na froncie włoskim, z tych zaś większość w składzie 12-ej dywizji piechoty, której ówczesny komendant, generał Puchalski, był ongiś komendantem legionów.

Wśród tych legionistów był i kpt. Leopold Lis-Kula, którego

nadal uważaliśmy za swego przełożonego i starszego i on jak dawniej wydawał nam rozkazy. Lisa przydzielono do „Szturm-batalionu” 12 dywizji, ja zaś byłem komendantem plutonu w 56-y pułku piechoty. Pewnego dnia, przy spotkaniu, powiedział mi Lis, że na zapytanie gen. Puchalskiego o odpowiedniego człowieka na komendanta oddziału łącznikowo-wywiadowczego (*Spähtruppe*), wskazał na mnie i że w najbliższych dniach zostaną wezwany do dowódcy dywizji. Zaznaczył mi też Lis, że zaproponowane stanowisko mam bezwzględnie przyjąć, gdyż w ten sposób będę miał możliwość utrzymywania kontaktu z kolegami rozrzuconymi po pułkach 12-ej dywizji (3, 20, 56 i 100) oraz będę utrzymywał kontakt z komendantem POW płk. Rydzem-Śmigłym przez Helenę Radlińską lub Maksymiliana Landaua w Krakowie, względnie przez Jędrzeja Moraczewskiego we Wiedniu. W ten sposób poznałem H. Radlińską, na razie korespondencyjnie. Wysyłałem meldunki Lisa na jej ręce, a od niej otrzymywałem polecenia dla Lisa oraz różnego rodzaju komunikaty i nielegalną prasę dla rozszerzania jej między naszymi ludźmi. Pamiętam, specjalnie interesowały nas wtedy wiadomości dotyczące armii polskiej tworzącej się w Rosji. Łączność ta funkcjonowała dobrze, gdyż do kolegów rozrzuconych w pułkach 12-ej dywizji roszyłem materiał przez żołnierzy tej *Spähtruppe*, do żołnierzy zaś byłych legionistów na froncie włoskim, ale poza 12-tą dywizją, przez Władysława Malskiego, który był w jednym z *Jägerbatalion*’ów. Korespondencja z Radlińską szła dwiema drogami: przez naszych ludzi, udających się na urlopy lub pocztą polową. Jak się później okazało, żaden list nie zginął.

W pierwszej połowie grudnia 1917 r. otrzymałem od Radlińskiej polecenie, by byli legionści zgłaszali się do raportu z prośbą o zwolnienie ich z armii austriackiej, a przeniesienie do Polskiego Korpusu Posiłkowego. O rozkazie tym zawiadomiłem Lisa, który był wówczas pod Cortelazzo (u ujścia rzeki Piawy), przez jednego ze swoich żołnierzy z tej *Spähtruppe*, a na miejscu w Cessalto zrobiłem zebranie byłych legionistów w tej sprawie.

Z końcem grudnia Lis został tam ranny i wywieźli go na Węgry do szpitala, skąd pojechał do Krakowa, a następnie do Kijowa i Odessy. Łączność ze Śmigłym utrzymywałem dalej przez Radlińską i od niej otrzymywałem nadal polecenia i dużo nielegalnych wydawnictw.

Gdzieś w połowie lutego 1918 r. otrzymałem od Jędrzeja Moraczewskiego list, bym wziął dłuższy urlop pod pozorem zdawania matury gimnazjalnej i zgłosił się do Śmigłego. Tak zrobiłem. Najpierw spotkałem się we Wiedniu z Moraczewskim, a później zgłosiłem się do Radlińskiej prosząc ją o skontaktowanie mnie ze Śmigłym. Nazajutrz otrzymałem odpowiedź, że na drugi dzień (pamiętam było to 1 marca) mam się zgłosić do Śmigłego w mieszkaniu p. Marii Piłsudskiej na Szlaku. Jednocześnie opowiedziała mi Radlińska o wielu różnych rzeczach. Od niej też dowiedziałem się, że był plan, by na wiosnę Korpus

Posiłkowy oderwał się od Bolechowa, przekroczył San i tu rozpoczął „rewolucję”. Ponieważ jednak w międzyczasie został zawarty układ brzeski i Korpus Posiłkowy z Hallerem przerwał się przed front aż pod Kaniów, plan ten automatycznie upadł. Radlińska przypuszczała, że Śmigły powie mi o nowym planie i da mi nową pracę, ale jaką — nie umiała mi powiedzieć.

Na drugi dzień zgłosiłem się na Szlaku i tam od Śmigłego otrzymałem polecenie zorganizowania POW na okręg Jasło-Krosno-Sanok. Po ukończeniu urlopu wróciłem na front włoski i nadal utrzymywałem kontakt ze Śmigłym za jej pośrednictwem¹.

Jakub HOFFMAN

1. W „Listach o nauczaniu i pracy badawczej” Radlińska pisze w związku z tym okresem: „Na sposób przyglądania się faktom i zjawiskom wpłynęły niewątpliwie dawne doświadczenia i studia. Warunki pozwoliły mi na postrzeganie z dwóch punktów widzenia, w pewnej mierze dwojako: z sekretariatu łącznikowego ruchu niepodległościowego, który otrzymywał liczne wiadomości z całego kraju i zza granicy, oraz z bezpośrednich zetknięć z ludźmi i udziału w wydarzeniach. Szczególnie cenne są obserwacje pochodzące z wędrówek, w czasie których należało przemycać się niepostrzeżenie, niemal nakładając „czapkę niewidkę”. Niekiedy trudno było znieść tę rolę, np. w kłębowskiu paniki, którą konieczność nakazywała omijać, gdy poczucie działacza wołało, by pozostać i rozproszyć nieuzasadnioną psychozę strachu. Bez krycia się, przy informowaniu, nastawianiu prac bieżących, wysłuchiwanie sprawozdań i życzeń z określonego, niejako wyodrębnionego zakresu spraw, otrzymywało się dane o swoistym znaczeniu. Należało je porównywać z uzyskanymi na innej drodze, żeby nie oddawać się złudzeniom”. (H. Radlińska, *Pisma pedagogiczne*, t. III, 1964).

Anna BOGUSŁAWSKA

HELENA RADLIŃSKA W CZASIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ I POTEM*

1. OKRES WOJENNY

Zaczynając opowieść o Helenie Radlińskiej w okresie wojny trzeba się od razu na wstępie zastrzec, że będzie to opowieść

* Wszystkie cytaty w tym artykule zaczerpnęłam z trzech ostatnich „Listów o nauczaniu i pracy badawczej” H. Radlińskiej, *Pisma pedagogiczne*, t. III, str. 453-478.

niepełna. Życie zeszło w podziemie i nawet najbliżsi członkowie rodziny utrzymywali w tajemnicy swoje kontakty i prace, cóż więc dopiero mówić o tak wytrawnej konspiratorce, jaką była Radlińska. Młodzi musieli się dopiero do konspiracji zaprawiać, jej wystarczyło wykorzystać doświadczenia młodości z lat 1898-1906, kiedy prowadziła w Warszawie działalność społeczno-oświatową, a po wyjściu za mąż także PPS-owską. Toteż, choć bywałam częstym gościem na Gęstej 2, u szarych Urszulanek, gdzie znalazłam schronienie, ani się domyślałam, że było to centrum tak żywej działalności.

Kiedy dzwoniłam do drzwi wejściowych, otwierała mi siostra furtianka i dowiedziawszy się, do kogo przychodzę, wprowadzała do małej poczekalni. Potem — czasem od razu, a czasem po dłuższym czekaniu — wolno mi było udać się na pierwsze piętro, gdzie w małym pokoiku zastawałam leżącą w łóżku, nieodłącznie z robotą w ręku, „Babcie”.

Rzadko kiedy spotykałam kogoś u niej. Kiedyś zegnała się z nią właśnie jej chrzestna córka, dziecko Zygmunta Radlińskiego z drugą żoną, parę razy zapukała do niej w czasie mej wizyty ukrywająca się u Urszulanek bratowa — wdowa po Aleksandrze Rajchmanie, zamordowanym przez Niemców w 1940 roku w Oranienburgu.

Dopiero więc z pamiętników Heleny Radlińskiej¹ dowiedziałam się, że mały ten pokoik przez większą część dnia był pełen ruchu i życia. Urszulanki prowadziły u siebie rozległą działalność oświatową. Mieściły się w ich niepozornym domu, poza jawnymi przedszkolami, tajne liceum pedagogiczne o paru równoległych klasach, kurs nauczycielski, część kompletów Wolnej Wszechnicy Polskiej, Uniwersytetu Warszawskiego, Ziem Zachodnich, a także kursy pedagogiczne dla magistrów. „... Z tym domem byłam związana nie tylko uczuciowo” — pisze Radlińska. — „Brałam udział w jego pracach, uczyłam trochę w liceach, na kursach pedagogicznych, przewodniczyłam na egzaminach państwowych z ramienia tajnej władzy oświatowej, prowadziłam konferencje, dużo szyłam”.

Wykłady sekcji oświatowej WWP odbywają się pod jej kierunkiem przez cały okres wojenny, mimo aresztowań i strat w ludziach, mimo konieczności zastępstw i uzupełnień.

„W maleńkim pokoiku, wokoło tapczanu zasiadało po kilkanaście osób. Wytwarzały się między nami stosunki inne niż między uczestnikami dawnych zajęć. Mniej mogłam współżyć z chwilą bieżącą młodych, których jakże

1. H. Radlińska, „Listy o nauczaniu i pracy badawczej”, *Pisma pedagogiczne*, t. III, str. 429-509.

podziwiałam. Przyjaźń nasza obejmowała przyszłość. Występowała wyraźna różnica w obcowaniu z nowymi i dawnymi uczniami. W grupach mało mi znanych, których członkowie występowali pod pseudonimami, jako konspiracyjni pracownicy służby narodowej, niełatwo nawiązywałam bliższy kontakt, miałam wrażenie, że mniej im daję jako ludziom. Z tymi, których życie znałam, których już pokochałam jako swe wnuki, pogłębiały się przyjaźń i współpraca”.

Kiedy w październiku 1939 roku, po powrocie do zajętej przez Niemców Warszawy, zaczęłam się dopytywać, co się dzieje z prof. Radlińską, nie miałam trudności z dowiedzeniem się jej adresu. Później wieść o jej schronieniu rozpowszechniła się jeszcze bardziej. Radlińska miała właściwości magnesu przyciągającego ludzi.

„... przybywało wielu moich młodych przyjaciół, aby opowiedzieć o swoich przeżyciach, przedyskutować palące zagadnienia, szukać oparcia w nauce, żądać przemyślenia spraw, które załatwiają, przygotowania im materiałów”.

Możliwe, że ci nowi, przydzieleni jej studenci, nie znali jej nazwiska, ale czyż miało to jakieś znaczenie wobec tego, że tylu innych mogło do niej trafić bez trudu? Toteż gdy jedna z zamieszkałych w Londynie dawnych „wnuczek” Radlińskiej powiedziała do mnie przy czytaniu wspomnień Czapskiej: „Jakżeż Hirszfeld mógł odwiedzać „Babcie” u Urszulanek? Toż to było przeciw wszelkim zasadom konspiracji!” — roześmiałam się z lekka z tych słów.

Bo wszystko, co działo się wokół Radlińskiej, było wbrew zasadom konspiracji a raczej wbrew jej własnemu bezpieczeństwu. Zeszła ona w podziemie, ale nie zniknęła z oczu tych, którzy znali jej przeszłość. Czyż była druga Polka pochodzenia żydowskiego, która podczas wojny tak szeroko się udzielała? Inni w jej sytuacji zrywali wszelkie kontakty, przebywali w najgłębszym ukryciu.

Przemyślała te sprawy z pewnością dokładnie, kiedy we wrześniu 1939 roku, po wyjściu z płonącego gmachu Wolnej Wszechnicy Polskiej (skąd nie zabrała z sobą żadnych rzeczy osobistych, ale uniosła dokumenty swych uczniów i materiały rozpoczętych prac) znalazła się w szpitalu. Ze swoją „aryjską” twarzą i noszonym od dziesiątków lat polskim nazwiskiem miała ogromną szansę przeczekania spokojnie wojny gdzieś na uboczu, u życzliwych przyjaciół, w miejscu, w którym była mało znana. Ale ona myślała o kraju, nad którym zawisło widmo zagłady, przewidywała, a może i planowała już walkę, którą będzie się toczyć o jego przetrwanie, chciała brać w niej udział.

Jak każdy żołnierz zdawała sobie sprawę że się naraża, że może zginąć, i brała to ryzyko na siebie zupełnie świadomie.

Powiedziała mi kiedyś: „Dla mnie ukrywanie się było możliwe tylko w instytucji, nigdy w domu prywatnym”. Tylko instytucja mogła pokryć jej liczne kontakty. W domu prywatnym zbyt by ją krępowała obawa narażania innych.

Równocześnie pisała swój testament:

„Wobec niszczenia podstaw kultury polskiej praca myślowa i nauczanie było częścią walki o byt narodu i godność człowieka”... „Nigdy nie pisałam tak wiele jak w dniach i bezsennych często nocach tej epoki”.

W spokojniejszych czasach choroba i horoskopy śmierci stawiane jej przez lekarzy, a teraz topór niemiecki wiszący nad głową zwielokrotniał jej siły, czynił

„... z bezsennych nocy okresy panowania myśli i woli, nakazywał przyjęcie postawy, że nadchodząca chwila może być ostatnia”.



Przychodziło się do niej z kłopotami, z problemami, z chęcią opowiedzenia o swoich przeżyciach. Zawsze można było liczyć, że dostanie się u niej najświeższą gazetkę, że znajdzie słowa otuchy i usłyszy ostatnie wiadomości. Komentując je, dopatrywała się w nich najczęściej czegoś pocieszającego, choćby nie wiem jak były ponure. Zwykle coś w nich zapowiadało, według niej, bliski koniec wojny. Od samego początku wciąż się go spodziewała. Do tej pory nie wiem, ile było w tym prawdziwej wiary, a ile chęci dodania nam siły. Z jednej strony zawsze była nieprzytomną optymistką, z drugiej — wielbicielką Sienkiewicza i jego roli podnoszenia ducha.

Opiekowała się nami wszystkimi, nikt się nie dowie, ilu ludzi było przedmiotem jej przewidującej troski i matczynej czułości, gdyż uczynki jej okrywała absolutna dyskrecja. Wiem, że byłam jedną z bardzo wielu, i wiem, jak chodziła za mną jej myśl. Kiedy na wiosnę 1940 roku byłam w szpitalu, gdzie urodziła się moja córeczka, uprosiła znajomą siostrę szpitalną, zatrudnioną na innym oddziale, aby się mną zaopiekowała. Przez cały czas mej bytności w szpitalu, zdeorganizowanym przez wojnę, doświadczałam dobrodziejstwa tej opieki co dzień. Potem, kiedy moja mała zaczęła wyrastać z pieluszek, zapytała, czy nie mam w domu włóczek i gałganków. Była artystką, jeśli chodzi o ubiór dziecięcy. Ze starych resztek łączonych szydełkiem powstawały istne cuda.

Posiadała tyle kontaktów, tylu ludzi sobie oddanych, że łatwo jej było znaleźć schronienie dla tych, którym paliła się ziemia pod nogami. Ciężko to przeżyła, kiedy jedna z dawnych uczennic,

umieszczona za jej pośrednictwem w szkole rolniczej na prowincji, zginęła tam z całym zespołem nauczycielskim.

„Nikogo nie będę już namawiać, gdzie się ma udać” — *mówiła po tym wypadku pełna rozpacz*. — „Wszelkie przewidywania oparte na rozumowaniu zawodzą”.

Wśród innych zwracali się do niej o pomoc ci spośród jej dawnych słuchaczy, którym groziło getto. Wiem oczywiście tylko o niektórych. Koleżanka ze starszego rocznika z synkiem znajdowała około roku u mnie schronienie. Kiedy mój dom „spalił” się dla niej, zaopiekowały się nią i dzieckiem (jak wiem dzisiaj) inne z wychowanek Heleny Radlińskiej.



We wspomnieniach swych pisze:

„Odgłosy straszliwych wydarzeń każdego dnia okupacji niemieckiej, ściszone przez mury, których furtę Gestapo przekraczało tylko z rzadka, wywoływały tu nie tylko grozę, lecz i przede wszystkim gotowość ratunku. Dzięki pełnionym pracom otrzymywałam wiele wiadomości. Nie tylko tych najgorszych. Po pierwszych miesiącach odrętwienia w bólu mogłam zdać sobie sprawę z głębi i rozległości przemian całego życia społecznego Polski, z dokonywanego przewartościowania wielu poglądów, ze wzrostu znaczenia wsi żywicielek, z roli kobiet i młodzieży, z postępów demokratyzacji”.

Nie wiem, czy Radlińska miała powiązania i jakie z Armią Krajową², natomiast nie ma wątpliwości, że była inspiratorką i żywą uczestniczką tajnej organizacji cywilnej — Ludowego Instytutu Kultury i Oświaty, przygotowującego powojenną przyszłość. Do tej organizacji zostałam i ja wciągnięta w skromnej roli korektorki, ale przez innych zgoda ludzi, o których wiem jednak, że już przed wojną pozostawali z Radlińską w kontakcie. Drukowało się tam projekt przyszłej konstytucji z szeroko omówioną sprawą parcelacji, sytuacji robotnika, ustawy bibliotecznej, demokratyzacji szkolnictwa. Inne wydawnictwa, które w postaci korekt podróżowały w mej torbie podręcznej, bądź to omawiały zagadnienia społeczne, bądź, tak jak i niektóre prace Radlińskiej, opisane w jej „Liście” o podziemiu, służyły potrzebom chwili bieżącej. Kto chciał mieć przyszłość, musiał starać się o jej zdobycie już teraz.

2. Zdanie w jej liście o podziemiu: „Trudno pisać o tych czasach, gdy się ma na uwadze tylko pracę zawodu nauczycielskiego i pisarskiego”, wskazywałoby, że jej działalność w czasie wojny nie ograniczała się jedynie do prac społeczno-oświatowych.

Zarówno broszury, które przygotowywałam do druku z obowiązku korektorki, jak i te, o których dowiedziałam się z „Lis-tów”, nosiły te same cechy charakterystyczne: wprowadzającą w błąd kartę tytułową z przedwojenną datą i fikcyjnym miejscem wydania i wydawcą. Był to system już stosowany w pracy konspi-racyjnej w końcu ubiegłego stulecia przez Koło Oświaty Ludo-wej przy wydawanych przez nie tajnych broszurach, z których część wyszła spod pióra młodziutkiej Orszy-Rajchman, później-szej Radlińskiej.

Koło Oświaty Ludowej podawało jako miejsce wydania dru-ków zabór austriacki. W czasie tej wojny figurowały na nich Wilno, Nowogródek, Poznań, Pińsk. Tytuły w obu okresach starano się dawać nic nie mówiące, czasami nadawano tekstom patriotycznym pozory literatury religijnej. Niektóre z broszur tak przygotowanych sprzedawano nawet jawnie w księgarniach i an-tykwarniach. Radlińska wspomina, że kiedyś przyłapany przez Niemców transport spreparowanych „na religijno” ulotek nie został skonfiskowany i można go było rozdać ludziom przed kościołem.

Wśród wydanych z jej współudziałem ulotek i broszur, które miały dopomóc prześladowanym i walczącym znaleźć we własnej rzeczywistości wewnętrznej moc wytrwania, znajdują się między innymi: „Przewodnik włączęgi” i ulotka „Weź mnie z sobą”, przeznaczone dla wywożonych na roboty do Niemiec, wybór poe-zji pt. „My młodzi” dla biorących udział w walce, modlitewnik „Z Chrystusem na drogę życia”, „Pomoc, ratownictwo i opieka”.

W podziemnej prasie ludowej ukazują się jej artykuły: „O isto-tocie pracy społecznej” — „Odbudowa i przebudowa” — „Rze-czywistość i terażniejszość — „O miłości bohaterskiej” — „6 sierpnia 1914 roku” — „Co się wiąże z reformą rolną” — i inne.

Z tajnych broszur poświęconych zagadnieniom kulturalnym do jej opracowań należą: „Samokształcenie” (kilka wydań), „Stosu-nek do propagandy”, — „Zasięg wychowania — dawne poglądy i nowe”, „Podstawy pracy kulturalnej”.

Nie dojdzie się, ile ze sposobów, którymi podtrzymywało się ducha w narodzie, brało początek z jej rozmów z przyjaciółmi. Kto znał jej rodzaj pomysłów i sposoby, jakich się chwyciła w swej pracy konspiracyjnej za młodu, nie może oprzeć się np. uczuciu, że idea podtrzymywania patriotyzmu i poprawiania samopoczucia przez piosenki żebracze, specjalnie komponowane w tym celu, musiała wyjść od niej.

Jej testament to prace służące powojennej przyszłości. Przygotowuje memoriały, w których stara się przekazać swe doświadczenia w licznych dziedzinach życia. Jedne są przeznaczone na powojenny okres przejściowy, dotyczą pomocy powracającym z obozów i pracy przymusowej w Niemczech, opieki nad tymi, których wojna wytrąciła z normalnych kolei życia.

Inne zawierają projekty nowej organizacji życia. Szczegółowo opracowuje program reorganizacji szkół akademickich i instytucji kształcenia nauczycieli. Nawołuje do upowszechnienia uniwersytetu. Ze względu na to, że tak wielka ilość młodzieży przerywa naukę w pół drogi, rzuca projekt podzielenia studiów na dwa etapy, umożliwienia zdawania półdyplomów uwieńczonych świadectwem po dwóch latach, dyplomów — po czterech.

Sugeruje, aby stypendia dla studentów zastąpić płatnymi praktykami, wprowadzającymi w życie zawodu, do którego się przygotowują. Podkreśla, jakie znaczenie miałyby to zwłaszcza dla młodzieży ze sfer proletariackich, mniej obytej, o mniejszej skali doświadczeń, a także dla instytucji, które mogłyby wyzyskać zapal młodych dla unowocześnienia swych technik i wprowadzenia korzystnych zmian.

Zawsze praktyczna, zawsze czerpiąca naukę z przeszłych doświadczeń, rozwija plany organizacji i udostępnienia bibliotek powszechnych, a także polityki wydawniczej, uwzględniającej potrzeby wszystkich warstw narodu.

Dla tajnych władz Łodzi planuje organizację wychowania kulturalnego i kształcenia młodzieży robotniczej.

Każdy z jej memoriałów zawiera dziesiątki stron, wchodzi w szczególności, przestrzega przed niebezpieczeństwami.

Poza wszystkim, co tu wymieniłam, opracowuje trzy monografie: „Walkę o duszę ludu”, „W służbie kultury wsi” i książkę o zasadach pracy umysłowej dla studiujących, samodzielnych referentów i działaczy.

Te także chciała przekazać potomnym jako część testamentu. Przygotowywana wraz z uczennicą, Balbiną Śliwińską, dwutomowa monografia historyczna „Walka o duszę ludu” opisywała walkę z rusyfikacją szkoły rosyjskiej w latach 1862-1914 na rozległym tle spraw królestwa polskiego. Wraz z drugą pracą „W służbie kultury wsi” miały wskazywać następcom drogę podnoszenia warstw ludowych na wyższy poziom człowieczeństwa, czynienia z nich aktywnych obywateli państwa. Książka o zasadach pracy umysłowej, przekazująca na piśmie temat jej wieloletnich wykładów, została wzbogacona o rozdział o kształceniu wyobraźni społecznej, w którym autorka wskazuje na przykładach, jak reali-

zować, licząc się z okolicznościami i warunkami, zadania stawiane przez życie.

„Nigdy nie miałam tylu i tak bardzo oddanych sekretarek ani takiej pomocy bibliotekarzy i archiwistów nielegalnie dostarczających potrzebne materiały”.

Chyba dla odprężenia zaproponowała mi w 1943 roku wspólne zmontowanie książki o robotach na drutach. Było to w okresie, kiedy brak odzieży stawał się katastrofalny i w Warszawie zaczął się rozwijać przemysł chałupniczy „robienia czegoś z niczego”. Specjalne maszyny, tzw. „wilki” rozrywały na puch stare, bezużyteczne swetry i ubrania wełniane. Potem, po dodaniu pewnej ilości nowego owczego runa, dostarczanego ze wsi przez szmuglerzy, przędzono z tego nową nić, gotową do trykotowania.

Nasza książka została napisana metodą wywiadów u specjalistek. Zawierała praktyczne wskazówki dotyczące prania wełny, farbowania, robienia wykrojów i dostosowywania ich do wymiarów osób. Radlińska opracowała dział ubiorów dziecięcych. Wydawnictwo mogło być legalne, z łatwością znalazło się drukarnię dla niego. Na wiosnę 1944 roku robiłyśmy ostatnią korektę. Było tego przeszło 200 stron, sto kilkadziesiąt ilustracji. Fotografie kilkudziesięciu wzorów ściegów wykonanych ręką Heleny Radlińskiej wypadły pięknie.

Była to oczywiście nieznacząca w stosunku do innych strata, że książka ta spłonęła. Spłonęło bowiem w czasie powstania wszystko inne — cały owoc jej pracy tych wojennych lat.



„Powstanie przeżyłam w wyczerpanej pracy na bohaterskim froncie elektrowni” — *pisze w swych „Listach”.*

Może przyszłość wypełni to zdanie bardziej szczegółową treścią.



Wraz z powstaniem zakończył się ostatni bohaterski zryw w życiu Heleny Radlińskiej. Mimo że czasy wojenne były straszne, wierzyła w lepszą przyszłość, dla niej żyła, dawała z siebie wszystko, co dać mogła. Jak cały naród, poniosła druzgocącą klęskę.

2. PO KLĘSCIE

„Wszystko, co przemyśleliśmy i przygotowaliśmy, wszystko, co napisałam, i wszystkie ocalone w 1939 roku materiały badań strawił ogień” — *pisze*

we Wspomnieniach. — „Nie to najgorsze. Tylu wnuków, wśród nich ci najzdolniejsi — osierocili pokładane w nich nadzieje... Czułam się, ciężko chora, jak zwierzak leśny zwinięty w kłębek w jakiejś norze, na wszystko obojętny”.

Jednak wezwano ją i otrząsnęła się z własnego bólu. Do domu Urszulank w Milanówku, gdzie po wyjściu z obozu w Pruszkowie przebywała, przyjechał zaprzyjaźniony z nią oświatowiec, dawny słuchacz WWP, Bartecki, w okresie wojennym organizator tajnego nauczania w Skierniewicach. W przytułku dla sierot wojennych zdołał umieścić grupę dziewcząt z powstania, którym udało się uniknąć wywiezienia do Niemiec. Potrzebował pomocy.

Nie umiem już dziś powiedzieć, w jaki sposób w owym czasie tułaczki i wędrowek odnajdywali się ludzie. Faktem jest, że odwiedziłam prof. Radlińską w Skierniewicach jeszcze tej popowstaniowej jesieni.

W przytułku mieściło się tajne liceum pedagogiczne, do którego przychodzili chłopcy i dziewczęta z miasta i w którym się uczyły również dziewczęta z Warszawy. Został tam też zorganizowany kurs nauczycielski dla studentów różnych wydziałów.

Nietrudno było się zorientować, że było tam chłodno i głodno. Młodzież żyła na cienkich zupkach RGO, a Radlińska wraz z nimi. Zaalarmowana jej wyglądem przyjeżdżałam jeszcze kilka razy, przywożąc, co mi się udało zdobyć: trochę masła, kilka jaj, jakiś własny wypiek. Daremne jednak okazały się moje próby przekonania jej, że młode żołądki prędejm wyżyją na zupach i kartkowym chlebie niż ona, tak ciężko chora. Wszystko, co przywoziłam, szło na stół ogólny, mimo mej całkowitej dezaprobaty. Taka już była. Nigdy nie myślała o sobie.

Do Radlińskiej i tu przyjeżdżali uczniowie i przyjaciele. Raz część drogi do niej odbyłam w towarzystwie młodej Urszulanki. Może zapamiętałam to dlatego, że siostra podróżowała nie w habicie, ale w starym ubraniu narciarskim. Bo i jakże można było podróżować inaczej w ówczesnych warunkach? Ludzie wisieli na stopniach i na buforach. Siostra w ubraniu narciarskim wołała do mnie „dzień dobry” zaczepona wysoko na półce na rzeczy.



Po wycofaniu się Niemców Radlińska przeżywa rozterkę: czy ulec namowom i włączyć się w nurt życia uniwersyteckiego, czy też pozostać na uboczu, poświęcając się pracy pisarskiej. Przewiduje trudności, może przeczuwa porażkę. Zwycięzają jednak perswazje dawnych kolegów i przyjaciół i zamiłowanie do pracy z młodzieżą. W marcu 1946 roku dawny rektor Wolnej Wszechnicy Polskiej, Teodor Vieveger, zabiera ją samochodem do Łodzi,

gdzie obejmuje ona stanowisko profesora pedagogiki społecznej na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Łódzkiego.

Dzieje jej pracy odzwierciedlają los wielu.

Na wiosnę 1945 roku Łódź przedstawia obraz kompletnego chaosu. Wobec całkowitego zniszczenia Warszawy wiele instytucji przenosi tu swoje biura i wita z otwartymi ramionami każdego zjawiającego się pracownika. Nikt nie policzył jeszcze dokładnie wszystkich strat, ale już można się zorientować, jak są one wielkie. Brak ludzi, zwłaszcza tych z wykształceniem. Tych wyginęło najwięcej.

Nie ma mieszkań, więc każda instytucja wypycha swych urzędników do zdobytych kilku pokoi, ilu się zmieści. Brak możliwości indywidualnego gotowania, więc większość „biur” przygotowuje we wspólnej kuchni jeden posiłek dla wszystkich.

Prof. Radlińska dostaje pokój w tzw. hotelu uniwersyteckim wspólnie z nową „wnuczką”, studentką, która podejmuje beznaoczny trud zaaprowidowania domu.

W tej sytuacji, kiedy trzeba było wszystko zbudować od nowa, rząd komunistyczny pozostawia początkowo dużą swobodę inicjatywie prywatnej i nie ściga szczerych wypowiedzi. Było to im ze wszech miar na rękę. Poza tym, że przy tej metodzie czarna robota wyjścia z powojennego chaosu odbyła się wielokrotnie szybciej, mieli możliwość posłuchania i popatrzenia, zorientowania się, z kogo można było zrobić „swojego” człowieka, a kto jest nieprzejednany. Rosji zależy zresztą jeszcze na utrzymaniu „twarzy” przed Zachodem. Wkrótce nastąpi maskarada z Mikołajczykiem, kraj, nie świadom prawdziwej wymowy faktu jego przyjazdu, będzie go na rękach nosił w chwili powrotu. W gabinecie Mikołajczyka ministrem Oświaty zostanie ludowiec, Cz. Wycech, wysunięty przez Związek Nauczycielstwa Polskiego. Będą go wysyłać z Ministerstwa w podróż urzędową za każdym razem, gdy zechcą przeprowadzić coś, na co on by nie poszedł.

„Nie wiem wprawdzie na pewno, gdzie los mnie rzuci w najbliższych miesiącach” — pisze Radlińska do jednego z przyjaciół po przyjeździe do Łodzi, — „sprawy uniwersyteckie nie są bynajmniej ustalone i przygotowując zakład, nie wiem, dla kogo go uruchamiam. Oczywiście nie wpływa to na charakter robót przygotowawczych”.

Wszyscy robią, co mogą, choć nie wiedzą, co będzie dalej. Czyż możliwe założyć ręce i patrzeć, skoro robić coś można?

Chociaż więc nawet w tym czasie życzliwi ostrzegają Radliń-

ską, że się naraża, ma ona wiele swobody i możliwości organizowania nowego życia po swojemu.

W roku 1945 pochłania ją całkowicie praca nad zorganizowaniem Zakładu Pedagogiki Społecznej na Uniwersytecie. Ściągają dawni uczniowie, bądź to w roli asystentów i pomocników, bądź też dla dokończenia studiów.

Dzięki wysiłkom Radlińskiej powstaje w Łodzi w roku następnym Wydział Społeczny Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego, którego celem jest kształcenie instruktorów i pracowników dla samorządu i spółdzielczości, oraz Polski Instytut Służby Społecznej. Miał on prowadzić i popierać studia nad zjawiskami życia społecznego, nad warunkami normalnego rozwoju, także nad podłożem klęsk społecznych i wykolejeń jednostek. Byt instytutu zapewniają częściowo dotacje Rady Ministrów, częściowo zaś — założone dzięki kontaktom Radlińskiej Koło Przyjaciół Instytutu w Nowym Jorku.

Radlińska wyzyskuje wszystkie dawne stosunki międzynarodowe dla zaopatrzenia zarówno Zakładu Pedagogiki Społecznej jak i Instytutu Służby Społecznej w niezbędne materiały i literaturę. Wiele książek przysyłają też dawni uczniowie i przyjaciele rozsypani po świecie. Ona sama ofiarowuje na Zakład Pedagogiki Społecznej część przydzielonego jej mieszkania.

W początkowym tym okresie, mimo niepewności nurtującej wszystkich, a czasem rozpacz, nie brak pięknych wzruszeń i triumfu w osiągnięć. Jeszcze na zebraniach i zjazdach zdarzają się śmiałe wypowiedzi, jeszcze odważni ludzie ze Związku Nauczycielstwa Polskiego publikują artykuły o tym, jakiego socjalizmu chce Polska. Toteż w czasie świąt Bożego Narodzenia 1945 roku, ostatnich mych świąt w Polsce, które spędziłyśmy z córeczką jako goście prof. Radlińskiej, panuje nastrój wolny od przygnębienia. Do willej zasiada nas kilkanaście osób, jest biały obrus na sianie, jest śliczne drzewko, opłatki. Helena Radlińska ofiarowuje każdemu prezent wykonany własnoręcznie, ja dostaję chusteczkę, jeden z panów szkło powiększające w uszytym przez nią futerale. „To — żebyście, kolego, umieli dostrzegać także rzeczy bliskie” — szepce mu ze swym rozbrajającym uśmiechem. Jedna z „wnuczek”, studentka, dla której „Babcia ma na oku jakieś matrymonialne plany, otrzymuje podarek stosowny raczej dla pani domu. „To jest trąbka, a gdzie samochód?” — woła inna, zaglądając przez ramię.

Po rozejściu się gości dostaję od „Babci” jeszcze dar bezcenny: odpis metryki i mego dyplomu, wyniesiony w 1939 roku z palącego się gmachu Wszechnicy i nie wiem jakim cudem uchroniony w 1944 podczas pożaru Powiśla.

Kontakty ze studentami, ich świetne osiągnięcia dają chwile zadowolenia i szczęścia. W ciągu pięciu lat powojennych 116 osób zdaje na Uniwersytecie Łódzkim magisteria z pedagogiki społecznej, pięć robi doktoraty, dwie — prace habilitacyjne. A trzeba pamiętać, że każdy egzamin jest połączony z pracą badawczą rzeczywistości lub przeszłości polskiej, inspirowaną i wykonaną pod okiem prof. Radlińskiej.

Jak promieniała „Babcia”, kiedy pierwsza jej studentka po wojnie — jedna z kończących — wyjeżdżała na stypendium międzynarodowe do Brukseli. Między innymi wypłynęła kwestia ubrania; żeby się nie wyróżniała, żeby zrobiła dobre wrażenie. Szczęśliwie przysłała właśnie do Radlińskiej z zagranicy paczka od Jakuba Hoffmana. Był tam wielki męski sweter z wielbłądziej wełny, koc wojskowy i ubranie. Dopieroż było z tym roboty: prucie, przykrawanie, przymierzanie... „Przyglądaj się wystawom” — mówiła „Babcia” stypendystce. — „Patrz, jak się ubierają inne”.

W roku 1946 ukazuje się w druku czwarte rozszerzone wydanie „Książki wśród ludzi”³ Radlińskiej i jej wypisów historycznych dla młodzieży⁴. Wraz z uczniem wydaje nową pracę pt. „Sieroctwo”⁵. W pismach ukazuje się w tymże roku *dziewięć* jej artykułów i przedmowa do przez nią inspirowanej książki uczenicy.

Niemal równie obficie przedstawia się rok następny. Ukazuje się jej nowa, świetna książka „Oświata dorosłych”, a z racji obchodu pięćdziesięciolecia jej pracy społeczno-oświatowej — uzupełniona, wyczerpująca bibliografia wszystkich prac jubilatki. Poza tym — trzynaście przyczynków w pismach i pracach zbiorowych, często przez nią inspirowanych.

Na uroczystości jubileuszowej, opisaną szerzej przez J. Różankowską (str. 188), nie brak było Ministra Oświaty i jego pełnego komplementów przemówienia. Nie przeszkadza to jednak, że już w tymże 1947 r. został zlikwidowany „wskutek zmian w polityce agrarnej” zorganizowany i prowadzony przez Radlińską Wydział Społeczny Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego.

Uniwersytet przechodzi bezustanne reorganizacje i wpływ czynników rządowych stale się zwiększa, coraz bardziej uszczuplając inicjatywę władz uniwersyteckich.

W liście od Radlińskiej z 6 marca 1948 roku czytam:

3. H. Radlińska, *Książka wśród ludzi*, Wyd. IV, str. 423, Spółdzielnia Wyd. Światowid, Warszawa, 1946.

4. H. Radlińska, *Na ziemi polskiej przed wielu laty*, IV wydanie, przejrzone i poprawione, str. 119, Kraków, 1946.

5. J. Wojtyniak i H. Radlińska, *Sieroctwo, zasięg i wyrównanie*, str. 80, „Biblioteka służby społecznej” Nr 1, Łódź, 1946.

„Nie mam siły na korektę książki leżącej obok łóżka i ze wzruszeniem wspominam dawną Twoją pomoc”.

Była to, jak można się domyślić, korekta jedynej jej książki, która się ukazała w 1948 roku: *Badania regionalne pracy społecznej i oświatowej* w serii „Z dziejów oświaty”. Radlińska projektowała dalsze opracowania — swoje i uczniów — do tej serii, ale została ona w tymże roku zlikwidowana.

W 1948 roku ukazało się jeszcze w czasopiśmie i książkach zbiorowych siedem pomniejszych prac Radlińskiej. Za to w ciągu całego roku 1949 został wydrukowany tylko jeden drobiazg jej pióra. Wszelkie jej propozycje zwracane do zakładów wydawniczych i redakcji spotykają się z odmową.

A oto wyjątki z jej listów do mnie z tego okresu:

8. 3. 1949: „U mnie niewiele nowego. Jestem pod dobrą, niemal zbyt troskliwą opieką. Piszę sporo, drukuję mało. Tak bardzo pragnęłabym Cię uściskać i o bliskich przemyśleniach pomówić. Wiedz, że jeśli dożyję, zastaniesz mnie taką samą jak wówczas, kiedyśmy się rozstali”.

19. 8. 1949: „Piszę z sanatorium na Kujawach. Czuję się znacznie lepiej. Przygotowuję się myślowo do nowego roku wykładów. Nic nie drukuję”.

12. 10. 1949: „Pobyt letni w sanatorium bardzo mi pomógł. Teraz mam mnóstwo roboty i różnorodnych kłopotów, które wytrzymuję. Na razie nie drukuję, myślę o dorabianiu kiedyś — lalkami. Podzielim Twoje zamiłowanie do szycia”.

Nie było jej więcej potrzeba mojej korektorskiej pomocy, bo aż do śmierci w 1954 roku żadne jej słowo drukiem już się nie ukazało, a wkrótce miał też umilknąć jej głos mówiony zza profesorskiego stolika.

W 1950 roku wielu profesorów-humanistów z uniwersytetów i zakładów kształcenia nauczycieli zostało przeniesionych w stan spoczynku. Jednym z nich była Helena Radlińska.

„W pierwszych latach po wojnie” — czytamy w jej „Listach” — „boleśnie przeżywając żałobę po poległych ludziach i rozwalonych planach, stanęłam do pracy, na jaką mnie było stać. W okresie wiązania ‘nowego’ z tradycjami postępowej myśli społecznej Polski byłam poszukiwana, naga-bywana wielu pytaniami i propozycjami. Brałam udział w zjazdach dawnych, na krótko rozkwitających organizacji społecznych (Towarzystwa Uniwersytetów Ludowych, Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, Związku Nauczycielstwa Polskiego), w naradach zwoływanych przez Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej, Zakład Ubezpieczeń Społecznych, Wydziały Zarządu Miasta Łodzi... Jako rzeczoznawca prowadziłam wiele rozmów z przedstawicielami władz i instytucji. — Nigdy nie zatajałam swych poglądów, uzasadniałam je możliwie obiektywnie i wszechstronnie. W sprawach nauki podkreślałam postulat wolności badań, w sprawach nauczania przemawiałam za rozszerzeniem ‘poza mury’ roli szkół akademickich. W wielu poczynaniach uczestniczyłam w

imieniu własnym lub Instytutu Służby Społecznej (jak np. memoriały o ratowaniu dzieci opuszczonych, o podstawach opieki i pomocy, o sytuacji i potrzebach młodocianych, o walce z analfabetyzmem). ... W 1950 r. otrzymałam płatny urlop naukowy, ponawiany w latach następnych”.



Chorowała coraz ciężej, już nie tylko na serce, ale i na inne dopłatujące się choroby. Po długich okresach spędzanych w szpitalach i w sanatoriach wracała do swego łódzkiego mieszkania, gdzie czekał zawsze ktoś młody, kto jej zapewniał opiekę i towarzysztwo, ale gdzie od roku 1952 nie było już głosów uczącej się młodzieży, bo zakład Pedagogiki Społecznej zlikwidowano.

Na wieść o powrocie „Babci” zbiegali się starsi i młodszy przyjaciele, zresztą i w szpitalu miała dość odwiedzin. Było tragedią jej młodości, że nie posiada własnych dzieci, jednak nie ma matki, która miałaby tyle najczulszych córek i synów na starość. Nie darmo pisała, że każdy powinien zdobyć najtrudniejszą ze sztuk — kształtowania własnego życia. Ona ją zdobyła.

„Widzę ją” — *pisze jej ostatnia opiekunka, Stanisława Zacharuk* — „pochyloną nad biurkiem, w okularach, które używała przy pisaniu i czytaniu, otuloną czarnym szalem lub zapaską łowicką, na fotelu podarowanym przez studentów na pięćdziesięciolecie pracy społecznej. Coś pisze. Wtedy denerwuje się, gdy ktoś z domowników jej przeszkodzi. Obcym tego nie okaże, tylko potem narzeka, że nie mogła skończyć, że stale przerywano wątek jej myśli.

W okresie pisania życiorysu naukowego nie dąsała się. Lubiła, gdy dużo ludzi odwiedzało ją, a wieczorem z dumą liczyła, ile osób przewinęło się tego dnia, a skargi, że jej przeszkadzano, były raczej dla formy.

Lubiła namiętni ludzi, kontakty z nimi. Zawsze gotowa na usługi przychodzących, wstawała od obiadu, od kolacji na dźwięk dzwonka. Chciała sama otwierać drzwi, pierwsza powitać wchodzącego.

„Wnuczki” czuły się w obowiązku nie dopuszczać za dużo gości w obawie o jej zdrowie. Kiedy mówiły, że „Babcia” źle się czuje, może innym razem odwiedzi pani (lub pan), na przekór „wnuczkom” otwierały się drzwi od jej pokoju i ona stawała uśmiechnięta i ożywiona. Każdy przyjeżdżający z krańca Polski czuł się w obowiązku odwiedzenia, względnie zapytania o jej zdrowie.

Potrzeba kontaktu z człowiekiem, szczególnie kiedy nie mogła wychodzić, była dla niej czymś nieodzownym. Odwiedzający przynosili nowiny, których często nie ujawniano publicznie. Umiała wykorzystać doświadczenia słuchaczy, którzy niejednokrotnie zajmowali poważne stanowiska w pracy społecznej. Z takich rozmów zrodziła się inicjatywa zorganizowania wykładów o chorobach psychicznych dla księży, o sposobach zaradzenia przestępstwom młodocianych.

Ukończenie studiów pedagogiki społecznej nie oznaczało zerwania kontaktów z Radlińską. Karta z nazwiskiem studenta pozostawała nadal w karcie pod nagłówkiem „Byli słuchacze” i czekała na okazję nawiązania kontaktu”.



„Spodziewam się wkrótce przyjazdu brata” — *pisze do mnie Radlińska w jednym ze swych listów.* — „Na krótko, jak zwykle”.

Brat jej, dr Ludwik Rajchman, organizator po drugiej wojnie światowej międzynarodowej akcji pomocy dzieciom, odwiedzał Polskę systematycznie jako delegat komitetu ekonomicznego Narodów Zjednoczonych. Był on lekarzem, który odznaczył się po pierwszej wojnie światowej zwalczaniem epidemii w Polsce, a potem — z ramienia Ligi Narodów — w świecie, m.in. w Chinach. Był zapatrywan komunistycznych, z czego podśmiewały się z lekka „wnuczki”, bo był człowiekiem bardzo zamożnym. Przeciwwstawiły one mieszkanie „Babci”, gdzie wszystko było dla wszystkich, z jego eleganckim, tak bardzo ekskluzywnym domem w Paryżu. „Tacy są komuniści na zachodzie” — mówiła im bez przejęcia „Babcia”.

Helena Radlińska wyczekiwała przyjazdu brata zawsze niecierpliwie, po czym następowały ostre, czasem bardzo ostre dyskusje. Ludwik Rajchman uważał się za lepiej poinformowanego od siostry. On przecież stykał się z tymi, którzy trzymali ster rządów w ręku. „Leżysz w łóżku i informują cię tendencyjnie” — mówił do niej.

Między bratem a siostrą wielki przedział stwarzał także stosunek do religii. Rajchman był niewierzący. Radlińska od czasu wojny stała się bardzo religijna i pobożna. Kiedy choroba nie zatrzymywała jej w łóżku, można było widzieć ją spieszącą do kościoła na poranną Mszę. Pobyt u Urszulanek, rozmowy z ich ks. Janem Zieją, kapelanem szarych szeregów, a może stała przysja śmierci i napięcie, w jakim żyła, sprzyjały rozbudzeniu jej skłonności do mistycyzmu. Od czasu wojny religia była jej siłą. Ona, która była oparciem dla tak wielu, która słuchała tylu zwierzeń, a sama pisała: „Do źródeł sił zaliczam milczenie, strzegące własnych przeżyć najgłębszych”, znalazła w tych czasach strasznych i dla siebie oparcie.

W jej listach do mnie z roku 1951 i 1952 nie ma więcej wzmianek o druku i pisaniu. Jednakże, choć pisze „do szuflady”, pracuje stale.

Specjalnie leżą jej na sercu szkice z dziejów polskiej pracy oświatowej. Jest już jedną z niewielu, którzy sięgają pamięcią do licznych robót społecznych i oświatowych przełomu XIX i XX stulecia, — robót, które przygotowały nam niepodległość. Największa jej monografia z tego okresu opisuje prace Krakowskiego Towarzystwa Naukowego — jego Wydziału Rozszerzania Oświaty. W 1952 roku rozplanowuje i zaczyna pisać książkę o Stanisławie Michalskim, inicjatorze „Poradnika dla samouków” i uczestniku wielu prac oświatowych końca XIX stulecia, w których i ona brała udział. Pisanie idzie jednak jej ciężko, wykańcza tylko pierwsze rozdziały.

Jej wpływ na życie bieżące ogranicza się teraz do kontaktów osobistych, do omawiania zagadnień z przyjaciółmi, do planowania z dawnymi studentami ich prac dyplomowych.

Ilość kontaktów Radlińskiej, zwłaszcza kontaktów z młodymi, denerwowała władze. Denerwowała tak bardzo, że któregoś wieczoru 1952 roku zabrano ją na przesłuchanie.

„Wtedy jeszcze niektórzy przygotowywali się do egzaminów magisterskich. Było to około godziny 8-ej wieczorem, jak ją zabrali. Ciepły to był, a nawet gorący dzień. Powróciła o pierwszej w nocy. Nie było rewizji. Zdaje mi się, że chcieli koniecznie wiedzieć, z kim ma kontakty, czy nie prowadzi tajnego nauczania. 'Babcia' podawała nazwiska tych, którzy pracowali wówczas w Ministerstwo Oświaty” — *opisuje to wydarzenie jej opiekunka Stanisława Zacharuk.*



W 1953 roku ulega namowom i przystępuje do pisania pamiętnika. Jest to pamiętnik zwięzony do wspomnień, które się wiążą z pracami badawczymi i nauczaniem. Nadaje pamiętnikowi formę listów i tytuł: *Listy o nauczaniu i pracy badawczej.*

Teraz dopiero w listach do mnie powracają wzmianki o jej pracy pisarskiej:

18. 2. 1953: „Zajmuję się przygotowaniem szeregu książek streszczających dotychczasowy dorobek, wspólny i własny. Niestety mam mało sił”.

1. 4. 1953: „O sobie donoszę, że czuję się teraz niezłe, mam uczucie wielkiego przyływu twórczości, choć mało sił”.

28. 6. 1953: „Świeżo ukończyłam książeczkę o drogach nauczycielstwa i badania. Ciekawe, jak Ci się spodoba ten typ autobiografii, podający losy i przeżycia tylko o tyle, o ile jest potrzebne do zrozumienia pracy”.

Jesienią (List bez daty): „Napisałam książkę o swoich przeżyciach i kształtowaniu się pojęć w pracy nauczycielskiej i badawczej. Pragnęłabym Ci to przeczytać”.

13. 11. 1953: „Po witaminie B¹² jestem silniejsza. Zabieram się do pisania”.

Nad tekstem „Listów” Radlińska pracowała do ostatnich dni życia, nie zdążyła ich jednak całkowicie wykończyć. „Listów” napisała dwanaście zamiast piętnastu, które były w planie. Tekst miał być rozszerzony jeszcze i uzupełniony danymi o sobie, a także charakterystyką pracy przyjaciół i uczniów.

Bardzo była już schorowana, znużona cierpieniem.

„Jeśli pozostało mi jeszcze coś do zrobienia, to nie wzdramam się żyć” — mówiła.

Umarła 10 października 1954 roku, przeżywszy 75 lat.



Helena Radlińska wyznaczyła wśród swoich uczniów i uczennic pięcioro spadkobierców. Im pozostawiła wszystkie swe prawa autorskie oraz opiekę nad pozostawionymi materiałami i korespondencją.

Pokój, w którym pracowała, został odtworzony — z jej meblami, obrazami, książkami — w Domu Nauczycielskim w Porębie Szklanej na Śląsku, jako pokój do pracy dla członków Związku.

3. ZJAZD PEDAGOGÓW SPOŁECZNYCH

Kiedy tylko warunki pozwoliły, wychowankowie „Babci” — studiomcy — zorganizowali zjazd, aby się spotkać, policzyć i aby ich głos nie zabrakło przy przebudowie stosunków społecznych, na które wszyscy liczyli.

Zjazd pedagogów społecznych był przez nich przygotowywany przez długie miesiące. Pierwsze spotkanie stu trzydziestu spośród nich nastąpiło już w 1955 roku, po odsłonięciu tablicy pamiątkowej na grobie Heleny Radlińskiej. Od tej pory zaczęła się praca w sekcjach i referaty.

Zjazd odbył się w gmachu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie 13 i 14 kwietnia 1957 r. i był właściwie zjazdem studiomców, na który zostali zaproszeni i inni pracownicy społeczni. W sumie było ponad pięćset osób.

Na Zjeździe poruszono bolączki życia polskiego, zarówno życia dzieci i młodzieży jak życia ludzi dorosłych, starano się wskazać przyczyny i środki zaradcze. Wskazywano na fakt odsuwania od prac społeczno-oświatowych fachowców i zaprzestania ich kształcenia. Domagano się wznowienia Studium Pracy Społeczno-Oświatowej w Warszawie i Zakładu Pedagogiki Społecznej w Łodzi.

Jeśli chodzi o dzieci i młodzież, podkreślano ich zaniedbanie wskutek przepracowania rodziców, załamania się budżetu rodzinnego, a także braku świetlic, ogródków jordanowskich, bibliotek, placów gier i zabaw. Wskazywano na klęskę alkoholizmu wśród nieletnich, na fatalny stan zakładów dla osieroconych. Domagano się konferencji rzeczoznawców dotyczącej całokształtu spraw dziecka i młodzieży, ociążenia matki, poradni wychowawczo-psychologicznych, reorganizacji dodatków rodzinnych.

W związku z potrzebami kulturalno-oświatowymi ludzi dorosłych Zjazd domaga się powołania do życia Instytutu Oświaty Dorosłych o charakterze badawczo-naukowym, rozbudowania sieci czytelní, klubów i świetlic otwartych, a na wsi ponadto kół młodzieży, gospodyń i kół rolniczych. Szeroko omawiane są na Zjeździe zagadnienia polityki społecznej, której przyświeca myśl o czło-

wieku, o jego potrzebach fizycznych i psychicznych, o zapewnieniu mu warunków rozwoju. Autorzy podają plan długodystansowy uzdrowienia życia polskiego z wnikaniem w szczegóły, z liczeniem się z realnymi możliwościami, jakby go przygotowywała sama Helena Radlińska.

Pozwolenia na otwarcie Studium Pracy Społeczno-Oświatowej nie otrzymano. Katedr pedagogiki społecznej do dzisiaj nie ma. Zjazd minął jak cały październik. Pozostawił świadomość, że w Polsce istnieli ludzie dojrzały, przygotowani do odbudowy społecznej Polski, że nie dano im możliwości.

Po śmierci Radlińskiej ukazały się trzy tomy jej pism pedagogicznych⁶. Weszły w ich skład niedrukowane prace z lat ostatnich, w tym najważniejsze — *Listy o nauczaniu i pracy badawczej*.

Irena Lepalczyk uzupełniła monografię o Stanisławie Michalskim⁷. Zaczęły się też ukazywać prace uczniów.

Anna BOGUSŁAWSKA

WYJĄTKI Z TEZ I DEZYDERATÓW ZJAZDU

Ad (1): W okresie minionych 12 lat państwo nasze przeznaczało i przeznacza nadal znaczne środki na różne cele społeczno-oświatowe, jak i na wychowanie. Jednakże wyniki są nie tylko niewspółmierne do potrzeb, ale niektóre z nich przyniosły nieobliczalne szkody społeczne. Jest to konsekwencja notorycznego w ubiegłych latach niedoceniań fachowości i kwalifikacji zawodowych, odsunięcia od pracy fachowców dobrze przygotowanych do różnych dziedzin pracy społecznej w warunkach tworzenia nowego ustroju, co przyczyniło się do zdeorganizowania sił społecznych — twórczej mocy ludu pracującego, niezbędnej do ukształtowania wartości nowego ustroju w pełnej skali. Wszystkie te zjawiska były wyrazem braku planowania perspektywicznego w zakresie spraw społecznych, kulturalno-oświatowych czy wychowania, jak i zaniedbań w kształceniu pracowników do tych dziedzin.

Ad (2): W sprawach wychowania i opieki nad dzieckiem.

Trudności wychowawcze, obserwowane w rodzinie i środowisku szerszym, wykołejanie się dzieci i młodzieży, chuligaństwo i inne podobne objawy wynikają z podłoża ekonomiczno-społecznego i w żadnym stopniu nie obciążają w sensie winy młodego pokolenia. Uznajemy, że z przyczyn, które spowodowały upadek wychowania, najsilniej działały:

6. Helena Radlińska, *Pisma pedagogiczne*, Zakład Nar. im. Ossolińskich, Wrocław-Kraków, Tom I: *Pedagogika społeczna*, str. 415, 1961. Tom II: *Zagadnienia czytelnictwa i bibliotekarstwa*, str. 400, 1961. Tom III: *Z dziejów pracy społecznej i oświatowej*, str. 552, 1964.

7. H. Radlińska i I. Lepalczyk, (opracowanie) *Stanisława Michalskiego autobiografia i działalność oświatowa*, str. 331, Polska Akademia Nauk, Wrocław-Kraków, 1967.

a) Załamanie się budżetu rodzinnego — w wyniku polityki płac i zatrudnienia, co rozluźniło więź rodzinną, pobudziło młode pokolenie do szybszej emancypacji ekonomicznej oraz wzruszyło egoizm jednostkowy.

b) Zniszczenie autorytetów, tradycyjnie kształtujących młode pokolenia: autorytetu rodziców, nauczycieli i kościoła — bez wprowadzenia na to miejsce konstruktywnych autorytetów, zdolnych wychować do życia w nowych warunkach polityczno-społecznych i do współtworzenia nowego ustroju.

c) Nieprawidłowa ogólna organizacja życia, pozbawiająca rodziców czasu, który tradycyjnie poświęcany był życiu rodzinnemu i wychowaniu dzieci.

Ad (3): Do realizacji celowej polityki społecznej stawiamy następujące postulaty:

1. Upowszechnienia służby społecznej, wyrosły na gruncie powszechności potrzeb ujawnianych w każdym środowisku bez względu na jego stan materialny.

2. Współdziałanie inwestora z użytkownikami.

3. Koordynacja pomiędzy ujawnionymi potrzebami środowiska a możliwościami terenu.

Politykę społeczną opierać należy o naukowo wypracowaną diagnozę społeczną, wysuniętą na gruncie obowiązkowej fachowej lustracji i wywiadu społecznego.

Śród rozlicznych gałęzi objętych zasięgiem polityki społecznej najważniejsze to:

A) urbanistyka i budownictwo mieszkaniowe;

B) sprawy zdrowia, higieny i żywienia (bez lecznictwa);

C) zabezpieczenie społeczne (dodatki rodzinne, renty oraz ubezpieczenia od bezrobocia);

D) Polityka zatrudnienia i kwalifikacji;

E) ochrona pracy;

F) reemigracja jako sprawa pałaca.

Najpilniejsze zadania do objęcia przez politykę społeczną w dziedzinie społecznej patologii to:

G) opieka nad niewidomymi, inwalidami i umysłowo chorymi;

H) opieka nad więźniami oraz niecierpiąca zwłoki sprawa opieki nad zwolnionymi z więzień łącznie z ich readaptacją.



... do punktu A):

a) Z uwagi, że najbardziej owocne, oszczędne i celowe formy realizacji polityki społecznej kształtować można wychodząc z założenia osiedla mieszkaniowego, zamieszkałego przez określone rodziny, stawia się postulat:

b) szybszej realizacji zadośćuczynienia podstawowej potrzeby człowieka w postaci mieszkania...

d) Wiedza o człowieku, jego potrzebach wymaga dominandy czynników społecznych nad technicznymi, plastycznymi i ekonomicznymi w budownictwie.

g) W programowaniu i planowaniu mieszkań trzeba uwzględniać stronę społeczną, wymogi higieny, wygody, wychowania, zaś w budownictwie instytucji usługowych kłaść nacisk na ich funkcjonalność oraz na potrzeby zarówno użytkownika jak i pracownika.

h) W budownictwie mieszkań osiedlowych i ich wyposażenia postawić mocno potrzeby ludzi starszych (udogodnienia) oraz dzieci w wieku szkolnym (np. kąpiel dziecka), a w programowaniu budynków usługowych — budowę koniecznej w każdym osiedlu przechowalni dziecięcej.

i) Konieczność dydaktyki mieszkaniowej i potrzebę organizowania życia środowiska oprzeć na szeroko rozbudowanym samorządzie mieszkańców (przy koniecznym w realizacji współudziale zawodowych sił płatnych). System ten w miarę ujawniania potrzeb stworzy odpowiadające celowi zsocjalizowania społeczeństwa — ośrodki organizacji życia środowiska.

Olbrzymie zadania w dziedzinie budownictwa wiejskiego: ... odbudowa tysięcy zagród wiejskich..., potrzeba budowania nowych osiedli i ośrodków produkcyjnych. Na tle błędów wynikających z centralizacji decyzji i ich narzucania... powstała ciężka sytuacja w omawianej dziedzinie. Sytuacja pogarsza się w związku z brakiem perspektywicznych planów zagospodarowania i braku zrozumienia dla społecznych etapów rozwojowych przebudowy ustroju rolnego, a przede wszystkim braku zrozumienia dla potrzeb człowieka.

Celem poprawy stawiamy najważniejszy postulat:

1. Podkreślanie wagi warunków życia ludności wiejskiej, przede wszystkim w zakresie budownictwa mieszkaniowego i usługowego...

a) Względy higieny...

b) względy wychowania przez tworzenie i utrzymywanie więzi społecznej oraz współżycia, niszczonego przez rozproszenie zabudowy,

c) względy upowszechnienia estetyki...

2. Oddawanie sprawy urbanistyki i budownictwa w ręce uspołecznionych fachowców.

3. ... konieczna w pracy koordynacja między zbadanymi warunkami terenowymi a wymogami planu.

4. ... konieczność liczenia się z opinią gospodarzy, uzgodniania planów, a nawet stosowania poradnictwa budowlanego w stosunku do gospodarzy indywidualnych.

5. I tu postulat opierania działalności na gruntownym badaniu nie tylko terenu, ale ludzi, ich dążności, zamiarów, tradycji przyniesie w realizacji wybitną poprawę przy rozwiązywaniu zagadnienia.

(Do punktu C)

1. ... System dodatków rodzinnych powinien kompensować braki rodzinom zarobkującym poniżej minimum egzystencji. W sposób specjalny powinien uwzględniać sytuację matki samotnej z dziećmi.

2. System emerytur winien zapewnić minimum egzystencji i dać możliwość przejścia na emeryturę wielu tysiącom pracowników zajmujących z konieczności miejsce potrzebne dla rozładowania bezrobocia.

(Do punktu D)

Na tle przerostów w zatrudnieniu... środki zaradcze leżą w granicach zabezpieczenia materialnego na okres bezrobocia, oczekiwania na przeniesienie do innej pracy, przeszkolenia w innym zawodzie.

... Dziś zwłaszcza w zmienionym ustroju... powołanie do współpracy organizatorów życia codziennego na osiedlach, doradców zawodowych i pracowników służby zatrudnienia to bodaj najważniejszy element w pokonywaniu ujemnych skutków bezrobocia.

(Do punktu E)

Na tle podjęcia w wielu zakładach pracy złego zwyczaju ukrywania istotnego obrazu stosunków w dziedzinie higieny i bezpieczeństwa pracy, wobec rzeczywistego zastąpienia jej sloganami o wykonywaniu planu za wszelką cenę, w sytuacji, kiedy b.h.p.* nie będąc w rękach wysoko kwalifikowanych zawodowych inspektorów pracy oddana została tzw. siłom społecznym zwią-

* b.h.p. — bezpieczeństwo i higiena pracy.

kowym nie orientującym się w zakresie zagadnienia — została zaprzepaszczone idea i dodatnie skutki b.h.p. Odbija się to fatalnie na produkcji, że prócz maszyny i surowca najistotniejszym elementem jej jest człowiek. Wszystkie jego potrzeby w omawianej dziedzinie zastąpiono jedynie technicznym zabezpieczeniem warunków pracy.

Środki zaradcze dążące do podniesienia zdrowia fizycznego i psychicznego pracownika, usunięcia wypadków i stworzenia dodatniej atmosfery w środowiskach pracy leżą na drodze:

1. Wprowadzenia z powrotem państwowych inspektorów pracy wysoko kwalifikowanych i posiadających również wiedzę społeczną...

2. Powierzenie wytwarzania właściwej atmosfery pracy tzw. asystentom społecznym, którzy opierając się o znajomość zagadnienia potrafiliby przeciwdziałać rosnącemu dziś zjawisku prostytucji i innych wypaczeń związanych ze złymi stosunkami.

4. Przygotować kadry profesorskie celem szkolenia inspektorów pracy z prawdziwego zdarzenia.

5. Szkolić lekarzy przemysłowych.

(Do punktu H)

Sprawa readaptacji zwolnionych z więzień musi znaleźć swój pierwszy etap jeszcze za pobytu więźnia w zamknięciu.

1. Przygotowanie do życia i opieka nad człowiekiem musi być znów podjęta przez Patronat nad więźniami. Po zwolnieniu należy umożliwić powrót do obrotu byłego więźnia.

Anna BOGUSŁAWSKA

SZKOŁA „JUTRZEJSZA” I JEJ KIEROWNICZKA

Była dla mnie jedną z tych osób, przywiązanie do których przesłania zmarszczki, ślady choroby, ślady wieku. Uświadomiłam to sobie z całą wyrazistością, gdy pewnego popołudnia roku 1945 szukałam jej w Łódzkim Towarzystwie Naukowym i pytałam o nią woźnego.

— Profesor Radlińska... — powiedział. — To ta staruszka w czarnej sukni, prawda?

Aż zaniemówiłam. Staruszka! Nigdy do głowy mi nie przyszło, że można ją tak nazwać. Szesnaście lat miało wówczas od czasu, gdy ją poznałam, ale nie zauważyłam, jak wiek i choroba pochyliły jej postać ku ziemi. To prawda, że choć niechętnie, używałam, z czasem zatraciwszy właściwy sens słowa, przezwiska „Babcia”, które przylgnęło do niej na długo przedtem nim wstąpiłam na „Studium”. Mimo to uważałam ją, tak jak i inni, za uosobienie młodości.

Przypuszczam, że musiało to być przykre dla niej, kiedy ją, zaledwie czterdziestokilkolletnią, tak przezwano. Kochała życie i chciała być młoda. Jej twarz o czystej cerze nie nosiła śladów żadnych upiększających kosmetyków, ale za moich lat studiowych koleżanki podpatrzyły, że przyciemnia włosy. Broniła się przed siwizną, tą pieczęcią lat. Może zresztą przykrość złagodziło jej poczucie humoru, bo niczym nie uzasadniona nazwa „Babcia” powstała jako żart studencki, jako reakcja na jej teorię, którą się lubowała, o pokoleniu historycznym, składającym się z dzieci, ojców i wnuków i o oddziaływaniu na siebie tych trzech grup wieku we współpracy i w walce.

Pod wieloma względami była najmłodsza z nas wszystkich. My, młodzi, byliśmy już przeżarci sceptycyzmem, niejednokrotnie dotknięci goryczą i zwątpieniem. Ona pociągała nas w górę swą niezachwianą wiarą w człowieka, entuzjazmem, zapałem. Głowa jej paliła się od pomysłów dotyczących zarówno spraw o wielkiej doniosłości społecznej jak i drobnych udogodnień życia codziennego. Jakże żałuję, że nigdy nie spisałam i nie zapamiętałam wolnego biegu jej myśli, kiedy po wspólnej napiętej pracy nad referatem, artykułem czy korektami zostawałam u niej na herbacie, i że nie potrafię przytoczyć tego, co mówiła, dosłownie. Było to zachwycające i zabawne zarazem podążać za tym wolnym tokiem twórczości, za strumieniem rodzących się tak bujnie i z taką łatwością pomysłów, na wesoło, dla odpoczynku, nieprzesianych jeszcze przez krytycyzm, czasem dziecinnie niepraktycznych, czasem ważnych. Pisanie o niej to pisanie o jej pomysłach zrealizowanych. Jak jednak nas kształtowały, jak pobudzały do myślenia nawet te wszystkie inne.

Kiedy ją poznałam, miała lat pięćdziesiąt. Byłam wówczas studentką Uniwersytetu Warszawskiego przygotowującą się, wskutek swych zainteresowań psychologicznych, do dyplomu z filozofii ścisłej, będącym, mówiąc nawiasem, dosyć sztucznym zlepkiem, na który składały się studia nad logiką tradycyjną i matematyczną, historią filozofii i psychologią. Nie bardzo widząc dla siebie miejsce po ukończeniu uniwersytetu, wybrałam się na Wolną Wszechnicę Polską, ściślej mówiąc na znajdujące się na jego wydziale pedagogicznym Studium Pracy Społeczno-Oświatowej. Ktoś mnie poinformował, że od kierowniczkii Studium, prof. Heleny Radlińskiej, mogę się dowiedzieć, jak się przygotować do pracy bibliotekarskiej.

Pamiętam dokładnie moment, gdy pierwszy raz otworzyłam drzwi kancelarii Studium na ulicy Śniadeckich w Warszawie. Pokój był duży, zastawiony szafami i półkami pełnymi książek. Po przeciwległej stronie stała pod oknem przy biurku niewysoka,

tęga kobieta w ciemnej sukni i ludowej zapasce zarzuconej na ramiona, tak jak księżaczki zarzucają ją w czasie deszczu i zimna. Gdy podeszłam bliżej, uderzył mnie jej miły, życzliwy uśmiech i dobre, uważne spojrzenie, obiecujące zrozumienie. Ten profesor nie był wcale groźny nawet dla tak nieśmiałej jak ja młodej osoby. Każdy, kto z nią rozmawiał, odczuwał od razu jej skupione zainteresowanie, jej życzliwość. Każdy był dla niej kimś ważnym. Jej głos był łagodny i cichy. Małe, delikatne dłonie spoczywały podczas rozmowy bez ruchu na kolanach, utrwalając atmosferę spokoju.

Rozmawiałyśmy dość długo. Powiedziałam jej z czym przyszedłam i zapytałam, czy istnieje gdzieś w Polsce czy w Europie szkoła przygotowująca do pracy bibliotekarskiej. Profesor Radlińska projekt kształcenia się za granicą żywo skrytykowała. To jest dobre — tłumaczyła mi — jako uzupełnienie studiów odbytych w kraju, pierwszą rzeczą jednak jest przeszkolić się na miejscu, tu gdzie szkoła przygotowuje do pracy w instytucjach tego typu, jakie się u nas znajdują. W każdym kraju bibliotekarz ma inne problemy i zadania, w zależności od rozwoju ruchu bibliotecznego, stanu szkolnictwa i wielu innych czynników. Znajomość obcych wzorów jest niezmiernie ważna, one ukazują nam, do czego dążyć i czego się wystrzegać. Jednakże to jest już dalsza sprawa.

Poinformowała mnie, że na Studium istnieje dział bibliotekarski, czego nie wiedziałam, i radziła złożyć podanie. Wypytywała mnie potem o moje zainteresowania i o to, co przerobiłam na uniwersytecie. Doradzała gorąco, abym wstąpiwszy na Studium nie zaniedbywała uniwersytetu. Nauki praktyczne — tłumaczyła mi, — do których należy pedagogika, czerpią stale ze wszelkich dziedzin wiedzy. Ponadto, ponieważ celem ich jest przeobrażanie życia, wymagają stałego badania rzeczywistości. Gruntowne poznanie jakiejś dziedziny wiedzy, zaznajomienie się z metodami pracy naukowej jest dla nich niezmiernie cenne.

Tegoż jeszcze dnia zaprowadziła mnie pani profesor do biblioteki Wolnej Wszechnicy Polskiej i wyrobiła mi tam praktykę wstępną, aby móc się przekonać, czy ten typ pracy mi odpowiada i czy się do niej nadaję.

Tak więc na zapisanie się na Studium zdecydowałam się od razu, podczas tej pierwszej rozmowy, myślę zaś, że gdybym nawet wiedziała przed przyjściem, że na miejscu mogę znaleźć to, czego szukam, to nazwa tej uczelni odstręczałaby mnie bardzo. Obchodziły mnie książki, o tym, że bibliotekarstwo jest pracą społeczno-oświatową, nie myślałam. Urodziłam się w beznadziejnie, jak to określałam, społeczno-oświatowej rodzinie. Ojciec był nauczycie-

lem i społecznikiem, ciotki nauczycielkami, wujowie urzędnikami w Ministerstwie Oświecenia. Odwiedzali nasz dom starzy, zaśniedziałali już w pracy, dyrektorzy i nauczyciele, a konieczność asystowania tym wizytom czyniła mi ich towarzystwo tym bardziej nieznośnym. Ojciec marzył, abym poszła w jego ślady, i pedagogika pchała się do nas drzwiami i oknami. A ja byłam ta oporna — żywa ilustracja teorii Adlera, który twierdzi, że ten pierwszy wzór — rodzice — stwarza dla każdego ideał pozytywny lub negatywny, definiuje, jakie właściwości będzie się chciało w sobie wyrabiać, do czego dążyć, od czego uciekać.

Przeciwstawianie się w wieku młodzieńczym wpływom domu, sięganie po to, co nowe i krytykowane, przejawia się zresztą w każdym pokoleniu. Przekonałam się o tym, kiedy dorastała moja córka, a gdzieś w końcu dziewiętnastego stulecia przeszła przez ten proces i Helena Radlińska. Pisze ona:

„Twarde, poważne i smutne były lata młodzieńcze... Przeżywaliśmy wówczas okres rozdzwienku między generacjami. Wychowywali nas ludzie, którzy wzrastali w cieniu klęski i zostali w większości ukształtowani przez idee pozytywizmu... Jak rówieśni dojrzewałam w owym ostatnim dziesięcioleciu dziewiętnastego wieku, w którym uwydatnił się przyrost sił. Następował przełom. Zanikało panowanie pozytywizmu, młodych pociągał romantyzm społeczny, który od dawnego romantyzmu, znanego z literatury, różnił się tym wszystkim, co wziął od zwalczanego pozytywizmu”.

W okresie poznania H. Radlińskiej przeżywałam to, co ona nazwałaby zderzeniem rzeczywistości z wiedzą o życiu słowną, czyli pozorną. Nie miejsce tu, aby opisywać to szerzej. W swym dwudziestym roku życia przychodziłam do niej pełna sceptycyzmu, podejrzewająca o fałsz wszystkie wielkie słowa. Byłam zakochana w literaturze pięknej, ale nie tej akademickiej, lecz „boyowskiej”. Pochłaniałam wszystko, co się ukazywało w „Bibliotece Boya”, czytałam ze słownikiem nieprzetłumaczonego jeszcze na polski Prousta, przedzierałam się przez zawilgości stylu Stanisława Brzozowskiego. Z przyjaciółką, mniej jeszcze uspołecznioną ode mnie, tłumaczyłyśmy z zapalem z francuskiego, pamiętam, była to jakaś powieść Dumasa dla dzieci, a potem sygnalizowana przez Boya, a przed kilku laty filmowana powieść „Le diable au corps”. Chodziłyśmy potem po redakcjach z maszynopisami, jednak nikt nie chciał zainteresować się nawet tłumaczeniami, które przynosiły nikomu nieznaną dwie dziewiętnastoletnie kozy. Prawdę mówiąc do pracy społeczno-oświatowej w dosłownym znaczeniu tego słowa niebardzo się nadawałam. Niezbyt mocno wrosłam w życie społeczne. Trudno przychodziło mi porozumieć się z ludzką gromadą.

Ale Helena Radlińska była tą, która pisała: „Nie wiemy, co

naprawdę udaje się zrobić. Jeśli rozpalamy ognisko, nie wiemy, jak blask odbije się w duszach ludzkich". Uważała, że każdy jest wart próby, że w każdym tkwią utajone wartości, które należy próbować rozwinąć, tak aby i on się przyczynił do budowy lepszego jutra dla ogółu.

„Różnorodność zadań pracy oświatowej — pisała — sprawia, że różne typy ludzkie mogą znaleźć w niej możliwość rozpostarcia skrzydeł. Obok społeczników, którzy gotowi są zawsze żyć w gromadzie, w pewnych robotach znajdują zastosowanie samotnicy... Tak np. w dziedzinie bibliotekarstwa zjawia się specjalizacja organizatorska, wychowawcza, badawcza”.

Jeśli się rozpisałam o sobie, to dlatego, aby podkreślić, jak różny element znajdował się na Studium, i na swoim przykładzie zilustrować, co było tajemnicą „Babci” trafiania niemal do wszystkich.

Przeciętny wiek studentów wstępujących na Studium wynosił 25 lat, więc był raczej wysoki. Zapisywała się tu zarówno młodzież zaraz po maturze jak nauczyciele mający za sobą lata pracy społecznej i zawodowej, a także ludzie z ukończonymi lub nieukończonymi studiami uniwersyteckimi. Ci ostatni stanowili przeszło połowę. Moim kolegą ze starszego rocznika był samouk, Robert Froelich, mądry, wyrobiony, trzydziestokilkuletni wówczas działacz socjalistyczny. Studiowały ze mną kobiety zamężne i matki. Często siadywała w tej samej ławce koleżanka komunistka, na innym wydziale była zakonnica. Procent młodzieży pochodzenia chłopskiego i robotniczego był wyższy niż na jakiegokolwiek innej polskiej uczelni akademickiej.

Te różnorodne elementy umiała wiązać w harmonijną całość Helena Radlińska.

Kiedy z tak daleka spoglądam na te lata studiowe, uświadamiam sobie, ile razy przy indywidualnych rozmowach, na które od czasu do czasu zdarzała się sposobna chwila, wypowiadałam poglądy sprzeczne z tym, co myślała ona — mój profesor. Ja ceniłam nade wszystko intelekt, ona — moralność, którą rozumiałam jako wierność swoim ideałom, dążenie do ulepszenia życia, odrzucenie do pasyżytywania na pracy innych. Nie przekonywała mnie jednak i nie przeciwstawiała mi swoich przekonań. Uważałaby to za przemoc intelektualną, którą potępiała. Chciała, abysmy do prawdy — do swojej prawdy — dochodzili sami.

„Za nikogo nie można się rozwijać, za nikogo wrastać (w społeczeństwo i w kulturę). Można tylko pielęgnować wzrost przez usuwanie przeszkód, które go hamują... Przy panowaniu autorytetu twórczość indywidualna się zmniejsza”.

Kiedyś zapytałam ją wprost, czy lubi jednego z uwielbianych

przeze mnie pisarzy. Odpowiedziała mi, że nie. Wyraziła to jednak w sposób tak delikatny, z takim szacunkiem dla moich uczuć i zdania, że nie dotknęło mnie to wcale. A iluż to miłych „wujków” z pokolenia mego ojca straciło całą mą sympatię za lekceważącą czy obraźliwą uwagę o autorze ze świata mych książek.

Choć więc nigdy nie splamiłam się żadnym rasizmem, i w mnie tkwiły elementy, które leżą u jego podłoża: niechęć do tych, którzy są różni, którzy występują przeciw moim bogom.

Helena Radlińska szukała podobieństw, ale szanowała różnice. Niechęć do inności przewyciężyła w sobie zupełnie. Odnosiła się do ludzi z tolerancją i z życzliwością przyglądała się im z mądrej, rozumiejącej postawy badacza, który dostrzega przyczyny i skutki. Było w tym wiele zawstydzonej dobroci, bo przecież nie każdy miał tak miłe dzieciństwo jak ona, takie warunki intelektualnego rozwoju w młodości i takie wzory.

Z tej jej postawy wypływała możliwość przyjaźni z wieloma tak bardzo różnorodnymi ludźmi.



Kiedy myślę o lokalu Studium Pracy Społeczno-Oświatowej, na które zaczęłam uczęszczać następnej jesieni, staje mi przed oczami gmach na Opaczewskiej, do którego Wszechnica przeniosła się w parę lat później. Tam dopiero pani Radlińska znalazła możliwość urzeczywistnienia swego ideału ładu i estetyki. Duże, jasne sale, budowane specjalnie na uczelnię nie miały nic z akademickiej sztywności. Za oknami często huczał wiatr, bo budynek stał na krańcu miasta, w pustkowiu, ale wewnątrz zacisznie było, swojsko i ciepło. Na oknach cieszyły oczy rośliny doniczkowe, ślicznie utrzymane i wspaniale zielone. Książki, których wszędzie było pełno, mieściły się w szafach, jakich nie spotkałam nigdy gdzie indziej i które były pewnie jednym z pomysłów Heleny Radlińskiej. Drzwi składały się z lekkiej ramy drewnianej, obitej samodziałem wileńskim. Zabezpieczało to przed kurzem, tanie było, wygodne i wyglądało ślicznie. Gdzieś niegdzie błyskał dzban gliniany, gdzieś niegdzie cieszył wzrok ręcznik ludowy. Gdyby te pokoje urządziła Joasia z „Ludzi bezdomnych”, byłoby w nich pewno podobnie.

Seminarium Studium łączyło się bezpośrednio z prywatnym mieszkaniem prof. Radlińskiej, utrzymanym w tym samym stylu. W małym saloniku mieszczącym się za jej pokojem mieszkalnym, stały półki z książkami seminaryjnymi. Któż zresztą wiedział i kto dbał o to, co było jej, a co uniwersyteckie? Ona sama należała teraz do swych uczniów i do swej uczelni bez reszty. To było teraz już całe jej życie.

Ale kiedy myślę o jej wykładach, przenoszę się myślami na ulicę Sniadeckich, bo ich tam jeszcze słuchałam. Lokal na ulicy Sniadeckich był ciasny, przerobiony z mieszkań prywatnych. Za oknami, gdy się je otworzyło, trąbiły auta i dzwoniły tramwaje, tak że niesposób było usłyszeć ani słowa. Choć więc sala była południowa, zaryglowaliśmy je wszystkie, w maju i w czerwcu dusząc się nieraz z gorąca.

Na wykładach Heleny Radlińskiej uczniowie zapominali o gorącu i o tym, gdzie się znajdują. Wiele z tego, o czym mówiła, można wyczytać w książkach i artykułach, które pozostawiła: jej osobisty wkład do pedagogiki społecznej, historii społecznej Polski i do nauki o książce oraz to wszystko, co przyswoiła kulturze polskiej z dorobku wszechświatowego w zakresie tych nauk, w nich się mieści. Jednak w pogoni za ścisłością i za zdyscyplinowaniem siebie uczyniła ona z mowy pisanej tylko środek do komunikowania myśli. Parokrotnie pomagałam w wydawaniu jej prac i byłam świadkiem, jak jeszcze w korektach trzebi każde słowo, bez którego można się obejść, jak dokłada starań, aby swój język uczynić rzeczowym, zwięzłym i bezosobowym. Może na taką postawę wpłynęły prądy pozytywizmu, w którego atmosferze się wychowywała, może świadomość własnej uczuciowości. Odpowiadało to także roli służenia, którą sobie obrała: nie jest ważne, jak wygląda ten, kto niesie światło, byle je trzymał jak najwyżej nad głową.

Ale na wykładach, choć były one również rzeczowe, dochodziła do głosu cała jej osobowość. Wykładała w sposób gawędziarski i obrazowy, ilustrując teorię przykładami z życia, własnymi obserwacjami, cytatami z rozmów i z książek. Słowa niekrępowane, w których nie obawiała się wyrazić siebie, wiązały się w zdania swobodne, tworząc styl o ileż piękniejszy i bogatszy niż w książkach. Głos równy, opanowany, cichy odzwierciedlał dyskretnie wzruszenia serca. Dawała nam nie tylko wiedzę, ale i siebie. Dar to był podwójnie bogaty.

„Mówienie, dopóki choroba serca mi nie przeszkadzała, było dla mnie znacznie łatwiejsze niż pisanie” — *wspomina ona sama u schyłku życia.* — „... Przygotowywanie z góry serii wykładów dawało mi swobodę słowa, pozwalało na giętkość konstrukcji... W nauczaniu uniwersyteckim lubiłam poczucie więzi ze słuchaczami. Starłam się odgadnąć ich nastrój, ich potrzeby umysłowe, stan gotowości przyjęcia słowa. Dlatego zdarzało się, że u progu sali wykładowej po zasłyszaniu czy zobaczeniu czegoś niespodziewanego zmieniałam plan, czasem nawet treść wykładu. Czyniłam to nieraz w toku mówienia, gdy intuicyjnie wyczuwałam zmianę kierunku zainteresowania ogółu lub jednostek, czy mocniejsze przeżycia lub konieczność pobudzenia myśli jednostki”.



Przejsie z Uniwersytetu Warszawskiego na Studium bylo dla mnie wstapieniem w swiat zupełnie nowy. Tam bezosobowosc ogromnej uczelni, pozostawienie odpowiedzialnosci za studia i ich organizacje dojrzalosci studenta. Wyklady w olbrzymich aulach, mieszczacych po kilkaset osob. Pod koniec trymestru bylo w nich szczegolnie pełno; podsuwalo sie nie znajacym nas profesorom indeksy do podpisu. Podpis w indeksie to byla dla wielu sprawa najwazniejsza. Pracowalo sie leniwie przez wieksza czesc roku, a wkuwalo nieprzytomnie przed egzaminami.

Atmosfera na seminariach i w pracowniach, ktore powinnyby stwarzac kontakty zywsze, zalezala od profesora. Iluz z nich bylo niestety naukowcami miar rozmaitych, ktorzy traktowali prace pedagogiczna jako drugoplanowa koniecznosc. Slusnie czy nieslusnie symbolem uniwersytetu stal sie dla mnie profesor psychologii, W. Witwicki, ktory patrzyl ponad glowami studentow i tych, ktorzy przychodzili przez rok caly do jego pracowni, najczesciej nawet nie rozpoznawal. Kolege, ktory ja ukończył i zaszedł w pare miesiecy potem w odwiedziny, zapytal wyniosle kim jest i co go sprowadza.

Tu, na Studium zaufanie, ale tez i kontrola, nie jakaś policyjna, ale przez organizacje calosci, kierujaca kazdego do przyjetych przez niego obowiazkow i zadani, z ktorych trzeba sie bylo wykazac. Od poczatku roku szkolnego czas wypełniony po brzegi. Wyklady, ktorych bylo tylez co na uniwersytecie i na ktore chodzilo sie jak najbardziej regularnie, seminaria, zwiedzania, praktyki, referaty wyglaszane publicznie, a czesto takze badania indywidualne. Az dziwne, ze dzien mogl to wszystko pomiescic.

„Pedagogika spoleczna... wlasciwy zakres wychowania upatruje w oddziaływaniach, ktore wzmagaja siły jednostek, pielegnuja zadatki uzdolnien, skierowuja ped tworczy”. (H. Radlińska, *Stosunek wychowawcy do srodowiska spolecznego*, Warszawa, 1935).

Studium bylo przykladem, jak potrafila wcielac gloszone przez siebie teorie w zycie.

Byla przeciwna meblowaniu wiedza pamieci, uwazala, ze trzeba ja uczynic swoja wlascnoscia, nauczyc sie wykorzystywac dla rozwiazywania wlansnych problemow i dla lepszego poznawania rzeczywistosci.

„Najbardziej charakterystyczna cecha wychowania duchowego jest doprowadzenie do harmonii wiedzy i zycia, nie tylko posiadania uzdolnien i zasobow, lecz do ich swiadomego uzywania w sluzbie dobra”. (*Oswiata doroslych*, Warszawa, 1947).

Jest propagatorka coraz szerzej rozpowszechniajacego sie dzis hasla o koniecznosci uczenia sie, douczania i przeuczania przez

całe życie i stara się przysposobić doń swoich studentów. Ciągłe przestrzega przed popadnięciem w rutynę, zachęca do badań naukowych, zarówno dla celów szerszych jak i dla spożytkowania we własnej pracy. Mają one uchronić przyszłego przodownika prac społecznych czy oświatowych przed uleganiem pozorom, nauczyć ostrożności i krytycyzmu. Daje nam wiele przykładów wysiłku, który poszedł na marne, ponieważ oświatowiec nie potrafił wczuć się w środowisko, zrozumieć jego dążeń i bolączek, mając, jak przemawiać, aby być zrozumianym.

„... Oto młody nauczyciel zaczął nauczanie o Polsce współczesnej w obcych sobie stronach, na dawnym pograniczu zaborów rosyjskiego i pruskiego. Obmyślił dokładnie plan, ale na drugą z kolei pogadankę nikt nie przyszedł. O czym mówił? — o granicach Polski, ich obronie i znaczeniu. Tu, na kordonie, którego przekraczanie żywiło ludność? Opowiedziałam niedoświadczonemu koledze, jak to kiedyś zdarzyło mi się odbyć wędrowkę przez lasy Zagłębia z przemytnikami. Na jakimś odpoczynku w miejscu bezpiecznym chlubili się swym 'zawodem', opowiadali przygody. Trudno im będzie cieszyć się zjednoczeniem Polski, pomyślałam. Co im damy w nowych stosunkach? Jakie zarobki na jałowej ziemi, jakie zaspokojenie pragnień własnej 'ważności' w życiu? Jak spożytkujemy ich przedsiębiorczość i odwagę?”.

Oto jeden z licznych przykładów, które nam dawała, uwzględniania warunków i faktów.

Fakty... Przed wstąpieniem na Studium słuchałam serii wykładów znakomitego logisty, prof. Jana Łukasiewicza. Na jednym z nich mówił nam o względności aksjomatów — tych pewników, które przyjmuje się bez dowodu, aby wywieść z nich dalsze twierdzenia. Nawet aksjomat „*a* lub nie-*a*” („albo przedmiot jest biały albo nie-biały”) może być podany w wątpliwość, bo jak twierdzą niektórzy, wydarzenia przyszłe nie należą jeszcze do żadnej z tych kategorii.

Po tych jego słowach nastąpił moment ciszy nie wolny od zaskoczenia i nagle ktoś zapytał: „Na czym-że więc się oprzeć?” — „Na faktach” — odpowiedział profesor.

Tego właśnie uczyliśmy się na Studium. Opierania się nie na przyjętych pewnikach, nie na „prawdach” uznanych i głoszonych powszechnie, ale na faktach wydartych życiu w bezinteresownym, badawczym trudzie.

Ona sama była rozmiłowana w faktach i w ukazywaniu ich sprzężeń, co nieraz podkreślała w swych pismach. Wystrzega się zbyt szerokich uogólnień, aby nie zatracić czegoś z wymowy faktów. Kiedy, jako osoba już dwudziestoosmioletnia, wstępuje na Uniwersytet Jagielloński, aby studiować historię, decyduje się specjalizować w średniowieczu (choć wie, że nigdy później nie będzie nad nim pracować), aby pod okiem prof. Krzyżanowskiego

opanować metodę badania naukowego — nauczyć się wydzierać prawdę niekompletnym, pozołkłym drukiem.

Często ujawnienie faktów — twierdziła nasza nauczycielka — prowadzi samo przez się do reform zapobiegających złu. Wykazanie, że prawo o powszechnym nauczaniu ponosi klęskę wskutek tego, że warunki ekonomiczne, w jakich znajduje się wielki procent polskich dzieci, uniemożliwia im korzystanie z nauki, prowadzi do zrozumienia przez ogół, że reformy ustroju społecznego są konieczne i tym samym je przybliża.

Sama i z zespołami studentów przeprowadza wiele badań ujawniających fakty. Do najważniejszych z nich należą chyba badania ukazujące wpływ środowiska na rozwój jednostki i badania nad słownictwem i językiem różnych warstw społecznych i dzieci. Współpraca studentów pozwala na rozszerzenie zasięgu własnych możliwości, na pójście z ankietami, kwestionariuszami i indywidualnymi wywiadami do dzieci bezrobotnych na Woli, Ochocie i na Annopolu i na równoczesne śledzenie ich postępów szkolnych. Pod jej kierunkiem powstają monografie kilku powiatów i historii prac społecznych w nich prowadzonych.

Podjęte przez Radlińską i pod jej kierunkiem studia nad językiem ukazują tragedie nieporozumień między poszczególnymi warstwami społecznymi i między dorosłymi i dziećmi. Ujawniają, jak często dzieci wiejskie nie rozumieją języka podręczników, a chłopcy — operujące pojęciami mowy inteligentów. Wymownym tego przykładem jest „Łańcuch górski” z podręcznika geografii, który uczeń wiejskiej szkoły powszechnej komentuje jako „Łańcuch krowi”, którym idący w góry przywiązują się do siebie dla bezpieczeństwa.

Instruktor kółek rolniczych — ilustruje swój wykład prof. Radlińska — mówi na zebraniu „o uzgodnieniu na terenie organizacji spraw dotyczących rejestracji bydła” i nie wie, że wygłasza szereg słów niepojętych dla nikogo z obecnych.

Opracowane przez studentów monografie powiatów wykazują, że tylko tam, gdzie na wsi istnieją pełne, przewidziane ustawą siedmioklasowe szkoły powszechne, młodzież jest zdolna do samokształcenia i do brania czynnego udziału w organizacjach przyczyniających się do podnoszenia kulturalnego wsi. W licznych miejscowościach, gdzie dzieci uczęszczają tylko do przetłoczonych szkół czteroletnich, tzw. „jednoklasówek”, rozwój i postęp jest zahamowany.

Na wykładach ukazywała nam klęskę powrotnego analfabetyzmu, którego przyczyna leżała między innymi w niedocenianiu oświaty pozaszkolnej i jej instytucji. Wskazywała na znikome

nakłady książek, które nawet w przypadku literatury pięknej rzadko przekraczały trzy tysiące egzemplarzy.

„Niski poziom czytelnictwa, podobnie jak i niski poziom prasy, zależy w znacznym stopniu od treści duchowej tych, którzy stojąc przy warsztatach produkcji książki i gazety, kierują ich krążeniem — wedle własnej tylko miary wartości i własnych upodobań” (H. Radlińska, *Książka wśród ludzi*).

Zainicjowała wraz ze słuchaczami badania, które wskazywały na wielki głód książki wśród mas ludowych, wskutek braku właściwej polityki bibliotecznej i wydawniczej zaspokajany przez senniki egipskie i masowo sprzedawane w pokątnym handlu opowieści o bandytach i hrabinach.

„Istnieje nieodparta potrzeba wyjścia z szarżyny nędzy, z beznadziejności monotonnego trudu fizycznego. Gdy nie jest zaspokojona przez książkę dobrą, szuka jakiegokolwiek. Zwrócono już przed wojną [pierwszą światową] uwagę na to, że powieści o szpiegach uczą odwetu za upokorzenie, którego doznaje w społeczeństwie 'szary człowiek', hodoją 'piąte kolumny' i donosiciele, — podobnie jak w początkach ostrej walki klasowej romanse detektywistyczne, idealizujące — za pieniądze kapitalistów amerykańskich — prowokatorów i łamistraków” — pisze Radlińska w *Książce wśród ludzi*.

Ponieważ u Radlińskiej badanie rzeczywistości i wykrywanie faktów pociągało za sobą zawsze próby walki ze złem, i w tym przypadku studiowcy rozpoczęli doświadczenia w świetlicach, bibliotekach, na kursach dla młodocianych i dorosłych celem wykrycia, jak zwalczać powieść brukową i jakie książki mają szansę trafienia do jej czytelników. Eksperymenty te opisała w swej pracy dyplomowej F. Bursowa.

„Działacz społeczny, bibliotekarz, wychowawca nie mogą zbyt wyłącznie ulegać urokowi nauki o literaturze... Muszą wyzwolić się spod wpływu myśli normatywnej, zwróconej ku temu, co być powinno, posiadać odwagę poznawania rzeczywistości”. (*Zagadnienia bibliotekarstwa i czytelnictwa*).

Ona sama była człowiekiem niezwyklej odwagi i siły. Ci, którzy widzieli ją na froncie w czasie pierwszej wojny światowej czy podczas bombardowań Warszawy — w drugiej, podkreślają jej odwagę żołnierską, jej niewzruszony spokój i pogardę śmierci. Bardziej jeszcze imponująca i radsza była jej odwaga cywilna — odwaga własnego zdania, chociażby przeciw wszystkim i wszystkiemu i odwaga patrzenia „prawdzie w oczy”. Będąc urodzoną optymistką, pragnąc ze wszystkich sił widzieć świat dobrym i szlachetnym, optymizm swój umieszczała w przyszłości, a na rzeczywistość patrzyła trzeźwo, nie bojąc się widzieć nagiej prawdy życia, na którą tyłu zamyka oczy dla spokoju sumienia. Bo czyż nie jest odwagą odkrywać, że w wyśnionej i wywalczonej ojczyźnie — tak wiele dzieci wyrasta z dzieciństwa wcale

go nie zaznawszy? Czyż nie jest odwagą ujawniać, że wśród bezrobotnych na Woli przeciętna ilość osób na izbę mieszkalną wynosi 7,9, albo dowiadywać się z ankiet takich faktów, których przykładem może być wypracowanie małej Heni, będące odpowiedzią na polecenie: „Napisz wszystko o tym, jak śpisz”: „Śpię niedobrze. Bo Janka kopie się z Wackiem i ściąga pierzynę. I ciasno jest. Pluskwy wciąż gryzą, czasem nie można spać, bo za ścianą się kłóczą, to się do dnia czasem kłóczą”.

Choć krytyka nie leży w jej obyczajach, choć woli usprawiedliwiać niż oskarżać, a w jej *Listach o nauczaniu i pracy badawczej* trzeba umieć czytać między wierszami, aby zrozumieć, ile przykrości i niezrozumienia doznała w budującej się po odzyskaniu niepodległości ojczyźnie, zanim znalazła trwałe zadania i wdzięcznych słuchaczy wśród młodych, czasami wyrrywają się jej słowa gorzkie, jak te oto:

„Inteligencja, chlubiąca się swą rolą w przeszłości, nie doceniła potrzeb ludu, nie chciała dzielić jego warunków bytowania, nie stawiała dość licznie do współpracy nad ich przemianą. (*Zagadnienia bibliotekarstwa i czytelnictwa*).

W przedsięwziętych ze swymi uczniami badaniach Radlińska wyprzedzała swój czas. Jeżeli śledzić obecne prace młodych pedagogów angielskich, uderza zbieżność z jej pracami zarówno tematów jak wniosków.

Dla podkreślenia niezależności i trafności jej sądów warto przypomnieć, jakie nadzieje łączył świat pedagogiczny okresu międzywojennego z kierunkiem, omówionym u nas przez B. Nawroczyńskiego w książce pt. „Uczeń i klasa” — selekcjonowania dzieci według uzdolnień. W Anglii kierunek ten został zastosowany w praktyce i przeobraził stopniowo szkolnictwo początkowe i średnie.

Radlińska, wbrew ogólnemu entuzjazmowi, ustosunkowała się do tej idei krytycznie:

„Hasła psychologów dostosowania szkoły do miary dziecka, w zasadzie bardzo słuszne, budzą niepokojące pytanie: do jakiej miary? — Do miary dziecka pielęgowanego, wprowadzonego przez wszystkie wpływy swego środowiska w krąg zdobyczy kulturalnych, czy też do miary dziecka rosnącego jak dziczka, poza zasięgiem dóbr cywilizacji?” (*Stosunek wychowawcy do środowiska społecznego*, 1935).

Przecież w szkołach powszechnych, w których jej uczniowie przeprowadzali badania, żadne z dzieci nędzarzy, pracowników najniższej kategorii ani też dzieci nieślubnych nie doszło do najwyższej klasy szkoły powszechnej wskutek powtarzania jednego

roku po kilka razy, podczas gdy były w niej dzieci o inteligencji znacznie poniżej normy, ale znajdujące się w lepszej pozycji społecznej.

Przeciwstawia się też nasza pani profesor jak najbardziej energicznie pomysłowi specjalnego kształcenia przywódców:

„Wybieranie z góry młodzieńców najwybitniejszej umysłowości i duchowości i kształcenia ich w wyjątkowych warunkach nie jest bynajmniej głównym celem wychowania... Przodownicy wyrobiają się bez specjalnych organizacji wychowawczych — nie wiadomo gdzie wyrastają, z czym się łączą; stwarzanie dla całej młodzieży pomysłnych warunków rozwoju, opieka szczególna nad każdą zdolnością wyda pewniejsze rezultaty”. (*Wychowanie narodowe*, 1910).

I oto w ostatnich latach odzywają się coraz liczniejsze głosy przeciw selekcji według uzdolnień i można wskazać w Wielkiej Brytanii szkoły, które już od niej odstępły. Młody pedagog Brian Jackson w swej książce „Streaming, an education system in miniature”, 1964, dowodzi, że w praktyce selekcjonowanie zagradza drogę do wyższego wykształcenia gorzej przysposobionym do nauki w wieku przedszkolnym dzieciom proletariatu, że podział na klasy a, b, c, d w szkołach angielskich niedaleko odbiega od podziału według pozycji społecznej rodziców.

Książkę Jacksona uzupełnia praca Liam Hudsona „Contrary imaginations”, 1966, której autor, po wieloletnich badaniach psychologicznych nad młodzieżą szkolną, podważa tezę, że zdolność do twórczości jest ściśle związana z wysoką inteligencją, i twierdzi, że wybitnie twórcza może być jednostka, która przy testach wykazuje inteligencję zaledwie przeciętną.

Na wiele z tych faktów wskazywały badania prowadzone w seminarium prof. Radlińskiej przed trzydziestu i więcej laty.



Widywałam Helenę Radlińską podczas wojny, w czasie kiedy byle donos, byle przypadek mógł wtrącić ją do getta i zakończyć jej życie. Cokolwiek czuła, pokazywała wszystkim twarz spokojną i zapominało się wprost przy niej, że znajduje się w niebezpieczeństwie większym od innych. Pamiętam jednak okres — pierwszy rok mego pobytu na Studium — kiedy chwilami nie potrafiła panować nad rozdrażnieniem, kiedy bywała nierówna i wybuchowa. Tłumaczyliśmy to sobie jej przeżyciami osobistymi: jej mąż opuszczał ją wówczas dla innej.

Niedawno dopiero zrozumiałam, że powodów do zdenerwowania miała więcej.

Jeśli uświadomić sobie jej przekonania, wagę, jaką przywiązy-

wała do współdziałania społecznego, do pracy „od dołu” i budowania życia własnymi siłami społeczeństwa, to łatwo pojąć, jakim niepokojem napełniały ją zachodzące w życiu polskim zmiany. Z goryczą musiała wspominać, że dwa razy wystąpiła z projektem, który mógł przyczynić się do wychowania obywatelskiego ogółu, a kandydatów na posłów w szczególności i że za każdym razem przygotowania zostały zniszczone przez brak zrozumienia. Raz było to w roku 1918, kiedy jako współpracownica ministra oświaty Ksawerego Praussa została powołana, przed wyborami do Sejmu Ustawodawczego, do zorganizowania powszechnego nauczania o Polsce, państwie i prawie przez „pospolite ruszenie” nauczycieli, oświatowców i przez organizacje młodzieży. Nie wiedziała wówczas, że podobna akcja w Czechosłowacji doszła do skutku. Drugi raz — bezpośrednio po wyborach w 1919 roku, kiedy podjęta próba przeszkolenia posłów PSL „Wyzwolenia” w tym, co było niezbędne dla zrozumienia obrad i brania w nich świadomego udziału. Nie pochwałała teraz z pewnością metod Piłsudskiego, ale widziała także niedojrzałość posłów — nie z ich winy.

W roku 1930 kierunek zwalczający „regionalizm” w imię jedności i potęgi państwa zwyciężył.

Nie doszło to wtedy do mnie jak to przeżyła i jakie konsekwencje wynikły ze zmian politycznych dla naszej uczelni. Utkwiło mi tylko w pamięci, że mówiła na wykładzie o dziwnych sprzężeniach faktów, o tym, że postępową polską ustawą wyborczą, przyznającą pełne prawa głosu kobietom, w skutkach swych przyczyniała się do zwycięstw elementów zachowawczych, bo kompletnie niewyrobione obywatelsko kobiety proletariackie masowo głosowały pod dyktando księży.

Dopiero po przeczytaniu pisanych przez Radlińską w ostatnich latach życia *Listów o nauczaniu i pracy badawczej* dowiedziałam się, jak wypadki polityczne 1930 roku odbiły się na Studium, tak mocno związanym z ruchem samorządowym. Ministerstwo rozpoczęło szkolenie powiatowych podinspektorów oświaty pozaszkolnej. Do kierownictwa Studium zwróciło się z propozycją utworzenia katedry wychowania państwowego. Radlińska przeciwstawiła się temu stanowczo, czego wynikiem były, jak pisze, „daleko idące konsekwencje, między innymi — trudności finansowe”. Znamienne jest, — zaznacza — że wzmoгло się w tym okresie zainteresowanie studentów organizacją życia społecznego.

„Wprowadzenie najwyższych wartości wymaga przyjęcia walki jako jednej z codziennych spraw życia zarówno z własną słabością jak i z przeciwnościami zewnętrznymi” — czytamy w jej pismach (*Stosunek wychowawcy do środowiska społecznego, Warszawa, 1935*).

Prof. Radlińska wierzy, że kształcąc i wychowując przodowników społecznych i oświatowych, budzi nowe siły i przybliża czas przemian.

„Siłami człowieka w imię ideału przekształcana jest rzeczywistość społeczna. Każda przyszłość pojawia się nasamprzód w koncepcji myślowej, zstępuje w życie przez twórczość jednostek i zespołów ludzkich, toruje sobie drogi przez zjednywanie zwolenników”. (*Oświata dorosłych*, 1947).

W ostatnim dziesiątku lat przedwojennych absolwenci „Studium” zajmują już setki posad, na kursach dla dorosłych i w świetlicach miejskich, jako inspektorzy pracy młodocianych i kobiet, w ośrodkach zdrowia i opieki społecznej, w poradnictwie zawodowym, w zakładach wychowawczych. Organizują życie społeczne w osiedlach mieszkaniowych, biorą udział w reformie Domu (dla sierot) Boduena, w próbach reorganizacji zapisów szkolnych, w umieszczaniu dzieci samotnych w rodzinach. Bibliotekarze-studiowcy inicjują nowy typ bibliotek dla dzieci i młodzieży, reorganizują kartoteki w bibliotekach dla dorosłych.

Pewne pomniejsze prace są podejmowane nieraz przez studentów podczas obowiązujących praktyk; nasz profesor jest zdania, że każdy powinien się wywdzięczyc instytucji czymś pożytecznym za możliwość odbycia praktyki. „Gińmy w pożytku” jest jej hasło.



Nie ulega wątpliwości, że od lat młodych Helena Radlińska miała poczucie misji do spełnienia. Napomyka o tym parokrotnie w swych pismach, a w „Posiewie wolności”, będącym dość przeryzonym pamiętnikiem własnym, bohaterka, Joasia, marzy, „żeby ze swego życia uczynić jakąś wielką służbę”. Możliwe, że w roku 1899, po przeżywanej boleśnie śmierci ukochanego wuja, Bolesława Hirszfelda, który wciągnął ją do prac społecznych, złożyła sobie jakieś uroczyste śluby. Było to wkrótce po tym, kiedy prawda świeżo wydanych „Ludzi bezdomnych” wstrząsnęła nią głęboko. Faktem jest, że wszystko co robi i czemu się poświęca jest wyteżoną pracą nad przebudową życia. Służy temu jej czas pracy i jej wakacje, które w okresie krakowskim i w czasie niepodległości, aż do choroby serca, spędza za granicą na zwiedzaniu uniwersytetów ludowych, szkół dla pracowników społecznych lub bierze udział w kongresach, gdzie, jak nieraz podkreśla, rozmowy z ludźmi kształcą ją najwięcej. W kąć idą inne zainteresowania i osobiste ambicje, a znaczna część zarabianych przez nią pieniędzy wspiera projektowane przez nią prace społeczne i badania.

Po roku 1930, kiedy Studium znajduje się w trudnościach finansowych wskutek tego, że Radlińska odmówiła utworzenia na

nim katedry wychowania państwowego, sama finansuje honorariumi z artykułów i wykładów przedsięwzięte prace badawcze.

„W imię ideału... (ideału owego lepszego jutra, które żyje również w teraźniejszości, lecz nie dość silnie, nie dość jeszcze dorosłe) wychowanie siłami człowieka przetwarza dzień dzisiejszy... tworzy w każdym dniu bieżącym „nowe osady narodów”. (*Stosunek wychowawcy do środowiska społecznego*, Warszawa, 1935).

„Wedle ideologii służby społecznej, kształtującej się wraz z rozwojem demokratycznych form życia... tysiące przodowników mają działać na wszystkich polach. Zgodnie z celem, któremu służą, nie mogą kroczyć przed gromadą. Przodownik współczesny idzie w gromadzie jako towarzysz i współpracownik. Wartość jego pracy mierzy się nie tym, co uczyni sam, lecz tym, co potrafi wydobyć z gromady, wśród której i z którą pracuje”. (*tamże*).



Specjalne miejsce na Studium zajmuje zbieranie wzorów. Szuka się ich w przeszłości i w czasie teraźniejszym, opracowując życiorysy oświatowców, pedagogów i tych, którzy wprowadzali w życie nowe idee. Jeszcze dziś potrafiłabym opowiedzieć niejedno o reformach społecznych socjalistycznej Austrii, o obserwacjach związanych z wprowadzeniem ustawy bibliotecznej w Czechosłowacji. Niejednego wzoru dostarczają wycieczki, starannie przygotowywane i omawiane potem szczegółowo.

„Rozległość istotnych przemian w razie przewrotu” — *pisze Radlińska na podstawie swych przemyśleń* — „zależy przede wszystkim od tego, ile urządzeń 'jutrzszych' zbudowano w dniu minionym, ile wzorów nowego życia dało podstawę twórczości porewolucyjnej”. (*Stosunek wychowawcy do środowiska społecznego*, 1935).

Prof. Radlińska inspiruje referaty, opracowania, artykuły dostarczające wzorów nowych metod, idei, poczynañ. Biblioteka studium dostarcza wielu bodźców i jest źródłem materiałów.

Biblioteka ta jest okiem w głowie naszego profesora, a i nas napełnia nieraz usprawiedliwioną dumą. Prof. Radlińska wyłuskuje ze spisów bibliograficznych najciekawsze i najwartościowsze książki z wprawą detektywa. Czyta ogromnie szybko. Badania do mej pracy dyplomowej wykazały, że jej tempo czytania jest niemal czterokrotnie większe niż przeciętna studentów, — a posiada również umiejętność błyskawicznego przeglądania. Tak modne w chwili obecnej w Stanach Zjednoczonych kursy poprawiające szybkość czytania dorosłych nie byłyby jej potrzebne. Na świetność naszej biblioteki wpływają również jej kontakty na świecie, jej rozliczne przyjaźni, jej wyjazdy na zjazdy i kongresy, z których nie wraca nigdy bez książek.

W drugim roku studiowym świeżo sprowadzona książka i mnie wciągnęła do pracy nad dostarczaniem wzorów: znalazłam

się w zespole, którego zadaniem było przyswojenie światowych zdobyczy teorii czytelnictwa. Podjęłam się przetłumaczenia pracy o psychologicznych i pedagogicznych aspektach czytania. (Gladys L. Anderson, „Ciche czytanie”, Warszawa, 1932).

Ileż to kosztowało trudu i mnie, i profesora. Godziny a godziny spędzałyśmy na uzgodnianiu, dyskutowaniu, ustalaniu terminów. Największa trudność przy tłumaczeniu tej książki polegała na tym, że był to temat nigdy nie poruszany przedtem w polskim języku, że brak było odpowiednich wyrażań. Kontrola była najdrobiazgowsza i żadnego pobjażania. Terminy, któreśmy wówczas ukuły, przyjęły się i pozostają dotychczas w użyciu. Mnie osobiście praca ta popchnęła do kontynuowania badań w tymże kierunku, w Polsce przed wojną i po wojnie w Anglii.

Nad tłumaczeniem tym pracowałyśmy w drugiej połowie roku akademickiego, przy wykładach, które prof. Radlińska prowadziła z kilku przedmiotów, przy organizowaniu przez nią zwiedzań, kierowaniu całością uczelni i czuwaniu — w sposób podobny — nad pracami indywidualnymi kilku innych studentów.

„Wodzenie po niewytyczonych szlakach nakładało obowiązki. Sprawdziałam niezmiernie szczegółowo wartość roboty, poprawność wniosków, omawiałam lekturę. Nawet w okresie największego nasilenia ćwiczeń seminaryjnych odbywałam wiele rozmów w cztery oczy”. (*Listy o nauczaniu i pracy badawczej*).



Tempo jej pracy to była jedna z najbardziej fenomenalnych cech jej osobowości. Ona, umiejąca wykonywać dwie i trzy różne czynności naraz, pracująca niemal-że z szybkością komputera, ileż musiała wkładać w to wysiłku, aby przystosować się do takich ślimaków jak my wszyscy. Jeśli okazała zniecierpliwienie, to potem objawiała skruchę. Zachęcała nas też do pracy nad sobą. Prowadziła dla wszystkich grup wykłady techniki pracy umysłowej i wskazywała, jak zaoszczędzać czas przez systematyczność, porządek, zmechanizowanie czynności codziennych, odpowiednią organizację warsztatu pracy, a nawet ustawienie mebli, mówiła jak kształcić pamięć, podzielność uwagi i wyobraźnię. Wykłady psychologii, obowiązujące dla wszystkich, dopomagały jej uczyć, jak „wchodzić w cudzą skórę”, jak to określała, i oglądać rzeczy z cudzego punktu widzenia.

Ona sama była wzorem nie do doścignięcia. Jej warsztat pracy — skutek tragizmu życia polskiego parokrotnie doszczętnie niszczone i zakładany na nowo — był przykładem pomysłowości, systematyczności wprost niewiarygodnej, wzorowego gospodarstwa zaoszczędzającego czas i siły. Całe zresztą jej życie było poddane dyscyplinie niemal zakonnej, godziny i minuty wymie-

rzony, czynności celowe, surowość względem własnych słabości. Rzecz szczególna, że nie odbijało się to na atmosferze, że znajdowała zawsze czas dla kogoś, kto jej potrzebował, a praca z nią odbywała się bez nerwowego napięcia.

„Przewodzenie duchowe wymaga wielkiego wysiłku myśli i uczucia, wyrabiania w sobie charakteru, świadczenia własnym życiem o wartości głoszonych haseł” (*Oświata dorosłych*).

Była w pewnym sensie fenomenem natury, niepojętym dla lekarzy. Tak wątpliwa, tak delikatna, zapadająca na coraz to nowe groźne choroby, wśród których gruźlica kręgow szyi nie należała do najcięższych, przechodząca w ciągu życia wiele poważnych operacji, i jednocześnie tak silna i zawsze zdolna do odradzania się na nowo. Jej mąż, wybitny chirurg, zwykł do niej mawiać, jak mi to powtórzyła: „Dla kogo innego byłoby to beznadziejne, ale ty z tego wyjdiesz”.

Co ją podtrzymywało, co było motorem jej życia? — „Wiara, nadzieja i miłość” — odpowiada w swych *Listach* dziewiętnastowiecznym stylem, który w naszych zblazowanych czasach stracił wiele ze swego pierwotnego patosu. Wolę więc jeszcze powiedzieć swymi własnymi słowami o jej niewyczerpanych zasobach dobroci, o jej współczuciu dla „mas przytłoczonych nędzą, troską i ciemnotą”, które przeradza się u niej w tak mocną wolę czynu. „Święta masonka” — powiedział o niej kiedyś żartobliwie jeden z jej przyjaciół profesorów. Jakże trafna to nazwa. Stale z kielnią, zawsze w trudzie, „Siłaczka” Żeromskiego, która prześcignęła opisywany pierwowzór, i jego Joasia, która wyszła za doktora Judyma i przewyższyła go hartem. Przygotowywała przemiany społeczne mające stworzyć gdzieś w przyszłości dla wszystkich ludzkie życie i uczyła, jak się pisze historię życiem własnym.

Anna BOGUSŁAWSKA

Zofia GULIŃSKA-MODSCHEIN

WSPOMNIENIA

Kim była pani Helena Radlińska dla nas, to znaczy dla tej młodzieży, nie zawsze młodej wiekiem, która w roku 1925 trafiła

Zofia Gulińska jest autorką pracy: „Grundtwig, wychowawca narodu duńskiego”, drukowanej w „Oświacie Pozaszkolnej”, 1927.

na Studium Pracy Społeczno-Oświatowej, nie wiedząc nic albo bardzo mało o niej i o jej przeszłości politycznej w obozie niepodległościowym Józefa Piłsudskiego? To nie było ważne, te reminiscencje nie grały roli. Ja sama, będąc tej samej orientacji i należąc do tego samego środowiska społeczno-politycznego, nie interesowałam się zupełnie tą okolicznością, gdy jako jedna z pierwszych studentek Studium zostałam mianowana jej asystentką i zamieszkałam u niej przy ulicy Brzozowej 12, w domu profesorów uniwersytetu.

Studium było wkroczeniem na drogę innego rodzaju walki o Polskę, walki o jej wewnętrzny byt. To miało być wejrzenie w zagadnienia braków, bolączek i ran warstw upośledzonych, zacofanych, by znaleźć sposoby wydzwignięcia ich na słońce kultury ludzkiej i narodowej.

I zaczęło się nie od czego innego jak od stosunku do człowieka. Pani Radlińska była naszą wielką wychowawczynią i uczyła nas, przyszłych działaczy społecznych, przede wszystkim ładu wszelkiego i zrozumienia człowieka. Na tym tle dam kilka osobistych wspomnień o niej.

Gdy mnie wprowadzała w obowiązki asystentki, opowiedziała mi przede wszystkim o nieznanym mi jeszcze słuchaczach Studium. Charakteryzowała ich na tle ich pochodzenia socjalnego czy dzielnicowego (młodzież męska np. rekrutowała się w dużej mierze ze wsi, byli wśród niej Poznaniacy, kresowiaczy), definiowała ich los. Gdy chodziło o kogoś starszego spośród zapisanych, dzieliła się ze mną spostrzeżeniami o rysach charakteru, fizjonomii, odrębnościach, przewidywała pewne trudności z niektórymi, podkreślała uzdolnienia i talenty. Po takim *exposé* uczyła mnie, jak mam postępować z tymi różnymi indywidualnościami, aby stworzyć dobry nastrój współpracy, radziła delikatnie odnosić się do urazów, kompleksów i dziwactw, starać się dać rekompensatę za klęski życiowe przez szczególną troskliwość w traktowaniu. Może nawet wykazywała pewien sentymentalizm, jak się to mnie, młodej, wydawało, i może chciała w ludziach widzieć przede wszystkim te strony, które dawały największą rekojmie rozwoju ich jako pracowników społecznych. Dość rychło też słuchacze, a zwłaszcza mężczyźni, zaczęli nazywać ją „babcią”.

W domu jej panował dziwnie miły, nikogo nie krępujący porządek. Samym swoim przykładem, od niechęcenia, celowym rozmieszczaniem przedmiotów, kładzeniem wszystkiego na swoje miejsce dawała przykład domownikom i gościom. Gdy układałam kiedyś dla niej zeszyty, trochę niedbale, muszę się do tego przyznać, podeszła do mnie blisko, wyciągnęła ręce i powiedziała żywo: „Pani nie ma porządku w rękach!” Nie mogłam na to, choćby tylko wewnętrznie, zareagować obrażoną dumą, bo rzeczywiście stos zeszytów nie był bynajmniej pionowy, toteż czym prędzej go poprawiłam, a naukę tę z pożytkiem dla siebie zapamiętałam na całe życie. Uczyła wszystkich estetyki porządku.

Umiała wyzyskać każdą chwilę, każdą najmniejszą okazję, by

czynić ciągły ład. Umiała robić dwie, a nawet więcej rzeczy na raz. Obiad jadało się u niej w kuchni, która była na tyle, na ile to było możliwe w starym domu, uszlachetniona białością ścian i obrazami, kwiatami w oknie. Obiad przynoszono w menażkach. Zawsze był jakiś gość czy goście, i ustalił się zwyczaj, że każdy odstawiał swój talerz na bok, spłukawszy go z lekka pod kranem, by nie zostawiać przykrego widoku dla posługaczki, która na drugi dzień przychodziła sprzątać i zmywać naczynia. Po zjedzeniu obiadu czy kolacji często się jeszcze przy stole gawędziło, przy czym pani Helena zawsze miała w ręku jakąś robotkę, naprawkę. Jeśli zadzwonił telefon, podchodziła z nią do aparatu, zdejmowała słuchawkę, przypierała ją ramieniem do ucha, by ręka była wolna, i dalej dziergała jakąś frendzlę do obrusa lub pruć ścieg, wzrok mając spuszczone na robotę, w twarzy czujność słuchania, żywy odruch odpowiedzi.

Zwiedzaliśmy z nią pewną szkołę rolniczą na wsi — nie pomnę już jej nazwy, — gdzie uczniowie i personel nauczycielski odnosili się do kierowniczkii Studium z wielką czcią. Jedliśmy obiad na prostych, drewnianych stołach. Gdy się bractwo rozeszło, pani profesor poprosiła o miskę gorącej wody, szcztokę i ścierekę i zaczęła najnaturalniej w świecie i słowa nie mówiąc szorować jeden ze stołów, który rzeczywiście nosił wybitne ślady gospodarki czysto męskiej. Konsternacja była wielka, a pani Helena śmiała się tym swoim wesołym, prawie dziecięcym śmiechem i nie formułowała żadnych zarzutów ani wniosków. Wzbudziła jedynie świadomość rzeczy, co jest, jak wiadomo, pierwszym krokiem do poprawy, toteż poprawa nastąpiła. Ten zmysł czystości, porządku, który starała się w nas rozwinąć, kazał jej w programie Studium kłaść nacisk na technikę pracy umysłowej. Uczyliśmy się przemyślać zagadnienia, układać plany prac, sporządzać ankiety, katalogi bibliotekarskie i czytelniane, indeksy książek, spisy rzeczy. Było to ogromnie wychowawcze dla umysłu.

Problem przygotowania się do pracy na kursach dokształcających i uniwersytetach ludowych, na których znajdowali się często analfabeci i pół-analfabeci, miał nie tylko stronę rzeczową, treściową, ale dotyczył w pierwszej linii człowieka. Nie wystarczyło iść z tak zwanym „kagańcem oświaty” w lud, trzeba było ten „lud”, to znaczy jednostki z rozmaitych środowisk społecznych, poznać i przez stykanie się z nimi nauczyć się, jak dany człowiek podaną mu wiedzę rozumie, jak się ona w jego mózgu odbije. Uczyla nas nasza „Babcia” wychodzić nie z własnego punktu widzenia, ale odkrywać przyzwyczajenia myślowe innych ludzi, stawiać się na ich miejscu. Niedościęgnionym przykładem właściwej popularyzacji były dla nas wiedeńskie uniwersytety robotnicze, powstałe jeszcze przed pierwszą wojną światową, na których profesorowie uniwersytecy wykładali dla słuchaczy-robotników tak trudne przedmioty jak matematyka, fizyka, filozofia, chwając sobie, że ich to zmuszało do lepszego przemyślenia i do jaśniejszego, prostszego sformułowania.

Nie wystarczało narzucić ludziom przepisów czystości, dla których zastosowania niejedna kobieta „z ludu” musiała przezwyciężyć pewien wstyd lub kompleks. Tu trzeba było najpierw znaleźć odpowiedni stosunek do człowieka, wzbudzić zaufanie przez poznanie go i okazanie zrozumienia. W ogóle uczynić wiedzę częścią życia człowieka nie jest łatwo. Uczył się na przykład pewien młody gospodarz wiejski na kursach rolniczych o układzie kosmicznym i doskonale wszystko rozumiał. Gdy jednak wieczorem, na wspólnym spacerze pani Radlińska, wskazując na świecący księżyc, zapytała gospodarza, czy może go umieścić w systemie kosmicznym, który właśnie poznał, był ogromnie zdziwiony, że to, co mu pokazano w klasie na przyrządach szkolnych, i to, co widział na niebie, jest tym samym. Teorię wziął za jakąś inną rzeczywistość, a nie za wy tłumaczenie rzeczywistości mu znanej.

Dlatego też przy wchodzącym w program naszych studiów zwiedzaniu wsi, kółek rolniczych, osiedli, fabryk, związków robotniczych i zakładów przyglądaliśmy się za przykładem naszej kierowniczkii przede wszystkim ludziom. W papierni czy łódzkiej fabryce chemicznej mniej nas interesował ciekawy sam w sobie proces produkcji, natomiast staraliśmy się zrozumieć, jak inny od nas musi być człowiek, przebywający w takich piekłach połowę swego życia. Obserwowaliśmy twarze robotników i pytaliśmy o ich płace, warunki bytu, mieszkania, życie rodzinne, bóle, pragnienia, aby zrozumieć co i w jaki sposób może dla nich zrobić inspektor pracy, opiekun społeczny lub działacz oświatowy. W zakładach poprawczych mniej nas obchodziła organizacja i rozkład zajęć, natomiast zastanawiały podbite oczy i sina cera chłopców, spojrzenia uciekające. W sierocińcach byliśmy pod wrażeniem zgaszonych, smutnych twarzączek sierotek, które się łąsiły do nas po nieznaną pieśczoć i obojętnie patrzyły na wysoko umieszczoną, śliczną jedyną lalkę, niedostępną dla nich.

Pani Radlińska jednak nikogo nie oskarżała, nie sądziła. Prawie nigdy się na nic nie oburzała, myślę, że nawet na kata spozrzała by jak na człowieka, któremu trzeba pomóc moralnie. Szukała przyczyn zła, które poznawaliśmy, ukazywała możliwe reformy i rozwiązania, czerpane czy to z doświadczeń obcych, czy własnych, polskich.

Tak samo, gdy chodziło o przewinienia, o przestępstwo — nigdy nie potępiała. Charakterystyczne jest tu jej postępowanie z pewną dziobatą po ospie, suchą i żółtą „żołnierską”, wdową po Polaku w wojsku rosyjskim, która przychodziła do niej aż z proletariackiej Woli na codzienne sprzątanie mieszkania. Po pewnym czasie prof. Radlińska zauważyła, że giną jej pieniądze, a trzeba wiedzieć, że wszystko trzymała otwarte. Nie zrobiła żołnierce sceny, nie wyrzuciła jej, ale rozmówiła się z nią, chcąc się dowiedzieć, jakie są warunki bytu posługującej. Okazało się, że maleńka pensyjka i zapłata za sprzątanie, otrzymywane raz na miesiąc, rozchodzą się przed końcem miesiąca i nie wystarczają.

Pokusa leżących otworem pieniędzy była zbyt silna. Pani Radlińska zaproponowała więc wypłaty co tydzień, żeby było łatwiej związać koniec z końcem, wystarała się dla dzieci o stypendia szkolne, znalazła dodatkową pracę dla matki i podniósłszy swoją pomocnicę domową w jej godności ludzkiej, uzyskała w niej najwierniejszą, najbardziej oddaną przyjaciółkę.

Nigdy nie zapominała o wrażliwości, o odrębności człowieka, o jego psychice środowiskowej. Dążyła też zawsze do wspólnego mianownika ludzkiego, do równości, do równowagi wśród ludzi.

Zofia GULIŃSKA-MONDSCHHEIN

Jadwiga ROZANKOWSKA

GOSPODARSTWO BABCI

Używam za A. Pragierem powiedzenia „Gospodarstwo Babci”, nie można bowiem trafniej określić Studium, którego była ona sercem i mózgiem.

Gdzieś z początkiem 1947 roku poznałam Helenę Radlińską. Gdy weszłam do jej mieszkania, które równocześnie było sekretariatem i pracownią Wydziału Pedagogiki Społecznej na Uniwersytecie Łódzkim — uderzyła mnie przede wszystkim atmosfera pracy, ciszy, spokoju i niezwyklej harmonii ludzi i sprzętów. W pracowni — przy dużym stole — ponad dziesięć osób. Książki w oszklonych szafach wzdłuż wszystkich ścian. Z sąsiedniego pokoju dolatywał stukot maszyny do pisania. To sekretariat.

Na odgłos dzwonka podnosiła się dyżurna i po chwili zjawiał się ktoś nowy. Zajmował miejsce, pogrążał się w pracy. Rozmawiano głosem przyciszonym, bezszelestnie wyjmowano książki, zasuwano szafy, odsuwano krzesła. Wszyscy tu byli czymś zajęci.

Owego dnia pani Helena Radlińska z polecenia lekarza pozostała miała w łóżku. Od wielu lat ciężko chora na serce, spędzała dni i tygodnie w pozycji półleżącej, nie przerywając pracy. Specjalny mały pulpit ułatwiał jej pisanie. Bywało, że wykładała nie opuszczając łóżka. Bez szemrania poddawała się wszystkim tyranom lekarza, ale raz złamała „żelazny regulamin” i wśród pełnej zimy wyjechała do Warszawy na konferencję rektorów i dziekanów. Było to w okresie przygotowywania przez reżym zamachu na autonomię szkół akademickich. Uważała, że w tej walce nie może zabraknąć jej głosu.

W półmroku pokoju łagodny, dodający odwagi uśmiech i głębokie, uważne spojrzenie. Pomyślałam bez związku, że kiedyś

musiała być bardzo piękna. Przyciszonym głosem mówiła słów kilka o konieczności szkolenia kadr wychowawców, przyszłych pracowników w sierocińcach, ochronkach, domach dziecka i domach młodzieży. Zdziwiło mnie niepomiernie, że tak od razu domyśliła się z czym przyszłam i bez wielu słów wskazała właściwy kierunek studiów. Musiała chyba czytać w ludzkich myślach.

W owych powojennych latach zagadnienie opieki nad sierotami dominowało nad wszystkimi poczynaniami Heleny Radlińskiej. Los tysięcznych rzesz sierot wojennych jakby zdwajał jej energię w dążeniu do ulżenia ich doli. Na pierwsze miejsce wysuwa się sprawa żmudnych poszukiwań dzieci polskich zabranych z terenów polskich przyłączonych do Rzeszy i oddanych do niemieckich sierocińców i do niemieckich rodzin. Inicjatorką i organizatorką ekipy poszukujących była „Babcia”.

W maju 1947 roku Helena Radlińska obchodziła jubileusz pięćdziesięciolecia swojej pracy społecznej, zorganizowany przez słuchaczy Wolnej Wszechnicy Polskiej i studentów Pedagogiki Społecznej Uniwersytetu Łódzkiego. W auli przybranej kwiatami przed oczami nas, młodych, przesunął się jakby barwny film — będący historią jej życia.

Ówczesny minister Oświecenia, Skrzyszewski, w swoim gładkim przemówieniu, pełnym uznania dla pracy jubilatki, powiedział dosłownie: „Dziś pedagogika społeczna zyskuje sobie nie zwolenników, ale wyznawców”. Ten płaski chwyt odparowała Radlińska mówiąc, że co do tego nigdy nie miała wątpliwości, ale niepokoją ją „nowe kierunki narzucane odgórnie, które w starciu z wypracowanymi w przeszłości metodami mogą okazać się silniejsze, niestety tylko na zasadach przemocy”.

Ilustracją do tego incydentu były toczące się wówczas dyskusje na temat domów dziecka i domów młodzieży. Zagadnienie sprowadzało się do kwestii, czy dla tysięcznych rzesz sierot wojennych tworzyć kilkusetosobowe domy-giganty, czy możliwe najmniejsze liczebnie skupiska, najbardziej zbliżone do atmosfery domu rodzinnego. Radlińska broniła tezy „domów rodzinnych”. Nie zmieniła swego stanowiska nawet wtedy, kiedy „teoretycy” reżymowi zamknęli ostatecznie kwestię stwierdzeniem, że „ze względów finansowych” koncepcja nestora polskiej pedagogiki społecznej jest nie do przyjęcia. Chodziło, rzecz prosta, nie o względy finansowe, ale o koszarowe zasady wychowania, o jak najmniejsze możliwości indywidualnego rozwoju jednostki ludzkiej¹.

Przytoczyłam ten fragment, choć był on zgrzytem w pięknych uroczystościach jubileuszowych. Dorzucę drobiazg, który

1. W związku z niesłabnącymi zainteresowaniami H. Radlińskiej losem sierot warto zacytować wyjątek z jej listu z 13 lutego 1952 do uczennicy w Londynie: „Marzę o jednej książce antykwarycznej, której drogami zamówień nie mogłam dostać; dokładny tytuł należałoby uzyskać w którejś wielkiej bibliotece (może przez najnowsze wydanie Encyklopedii Brytyjskiej — źródłowy życiorys dr. Barnardo i ew. jego pamiętnik”.

choć niepozorny, da odczuć tę niezrównaną atmosferę ciepła, która zawsze otaczała osobę „Babci”. Wśród wielu wiązanek kwiatów zdobiących salę, zwracał uwagę kosz wiklinowy z kwiatami. Kosz upleciony był dość niezdarnie, a kwiatki były polne. Ten upominek przesłały dzieci z sierocińca łódzkiego, który czasem odwiedzała „dla wypoczynku”. Same uplotły kosz, same na łąkach wybierały poszczególne roślinki wraz z korzonkami i ziemią, by pamiątka była „jak najdłuższa”, jak pisały.

Inna sprawa, której „Babcia” poświęcała wiele czasu, był los pewnej wsi w okolicy Łodzi, doszczętnie zniszczonej w czasie działań wojennych w roku 1944, przy czym wszystkich mężczyzn (od 14 lat!) zabrali ze sobą wycofujący się Niemcy; nikt z nich do domu nie wrócił. W roku 1947 wieś ta przedstawiała obraz całkowitej ruiny. Kobiety z dziećmi mieszkaly w norach wykopanych w ziemi; doświadczonym tak boleśnie brakło energii do podjęcia próby rozpoczęcia życia na nowo.

Wsią zainteresowała się jedna z grup kwaków². Osiedli na pogorzelskich i rozpoczęli od tego, że chcieli mieszkańcom ruin przywrócić odrobinę wiary w wartość życia. Tu jednak rozpoczęły się nieprzewidziane trudności. Kwakrzy nie mogli zrozumieć, dlaczego żywność wydawana matkom dla ich dzieci wędrowała drogą handlu wymiennego do innych wsi. Dlaczego matki niedożywionych dzieci, zamiast je odkarmiać, sprzedawały na najbliższym targu tych kilka jajek, które przynosiła im ich „gospodarka”. Dlaczego na pytanie, od czego zacząć odbudowę wsi, odpowiadały, że od kościoła.

Grupa kwaków, zniechęcona nieporozumieniami, pewno opuściłaby wieś, gdyby nie pomoc „Babci”. To ona przekonała ich do swego projektu odbudowy wsi przez grupę studentów pod kierownictwem kwaków. W kilka tygodni potem w jednym z dzienników łódzkich ukazał się artykuł o wsi, „do której uśmiechnęło się słońce”. Tak, to prawda, ale przedtem zajęto się tą wsią serce „Babci”.

Równocześnie przygotowywała „Babcia” zakrojone na szeroką skalę badania dzieci zapisywanych do pierwszej klasy szkoły powszechnej. Już wstępne obliczenia wykazywały zastraszający procent chorych na gruźlicę i krzywicę. Zanim jeszcze obliczenia

2. W 1946 r. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej skierowało do H. Radlińskiej grupę kwaków, którzy przyjechali do Polski, aby dopomóc najbardziej poszkodowanym. Między kwakami a Radlińską zawiązała się żywa i dwustronna współpraca. Ona organizowała grupy studentów, którzy wyruszyli z kwakami w teren, i służyła swym doświadczeniem w sprawach porozumienia się z miejscową ludnością. Studenci obserwowali metody pracy kwaków i wiele się od nich uczyli.

Obozy robocze kwaków wyruszały (z lekarstwami, ubraniami i żywnością) na ziemię najbardziej zniszczone (Mazury, Kielecczyzna, przyczółek wiślany w Sandomierskim). Był wśród nich Amerykanin pochodzenia polskiego i Angielka, która się nauczyła po polsku. Ci dwoje stale kontaktowali się z Radlińską.

zakończono, „Babcia” pomyślała o systematycznym dożywianiu dzieci. Przeprowadziła z kim należało rozmowy i z radością powiedziała nam, że dla jednej szkoły zapewnili kuchnię kwakrzy.

W tym samym czasie, jeszcze przed zakończeniem roku akademickiego, opracowała rozległy plan praktyk wakacyjnych dla wszystkich słuchaczy każdego roku.

Jadwiga RÓŻANKOWSKA

Nie żyjąca już dziś Jadwiga Różankowska, z domu Rysiewiczówna, była w czasie wojny w podziemnym PPS. Była siostrą Adama Rysiewicza, który zginął przy uwalnianiu więźniów uciekających z Oświęcimia.

Tekst powyższy jest zestawieniem wyjątków z artykułu Różankowskiej drukowanego w *Wiadomościach* w Londynie w 1955 roku (prawdopodobnie zimą) i pogadanki radiowej, wygłoszonej w Radio Free Europe dnia 22 października 1955.

JEST JESZCZE DO NABYCIA PEWNA ILOŚĆ
KOMPLETÓW

ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH

Z WYJĄTKIEM „ZESZYTU” 2-go, KTÓRY JEST
CAŁKOWICIE WYCZERPANY

**Zamawiać komplety można w
INSTYTUCIE LITERACKIM
91, Avenue de Poissy, 78-MAISONS-LAFFITTE,
France.**

Cena poprzednich roczników nie została podwyższona. Dla osób które prenumerowały „Kulturę” w ubiegłych latach bez ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH będzie zastosowana zniżka ceny jeżeli zaprenumerują Zeszyty w roku bieżącym.

POLEMIKI

Leon MITKIEWICZ

NAPASTLIWE KOMENTARZE

Po upływie bez mała trzech lat od wydania drukiem mej książki „Z generałem Sikorskim na obczyźnie” ukazała się ostatnio w dziale polemicznym *Zeszytów Historycznych* rozprawa płka dypl. Włodzimierza Onacewicza pt. „Komentarze do książki Leona Mitkiewicza „Z gen. Sikorskim na obczyźnie”.

Nie bardzo lubię polemizować, ale ponieważ autor (czy autorzy?) niedwuznacznie zarzucają mi nieomal kłamstwa, a treść komentarzy zakrawa wyraźnie... na paszkwil, muszę odpowiedzieć.

Generał Władysław Sikorski

W moim pamiętniku zapisywałem obiektywnie, prawie dzień po dniu, moje własne wrażenia i spostrzeżenia z ogólnej sytuacji. Tak samo pisałem i o śp. generale Sikorskim.

Nie pisałem bynajmniej panegiryku o śp. generale Sikorskim, chociaż byłem do niego szczerze przywiązany i wiernie mu oddany, jako jego podkomendny. Pisałem o nim, jako o człowieku wielkiej miary, aczkolwiek z ludzkimi wadami.

Generał Sikorski posiadał genialny dar przewidywania przyszłości Polski, wbrew temu, co pisze płk Onacewicz. Dowody? — Proszę: obecne położenie Polski... W związku właśnie z przewidywaniem tego stanu rzeczy, w chwili wielkiego podniecenia Generał wypowiedział do mnie w Waszyngtonie 23 marca 1942 roku słowa, które kwestionuje płk Onacewicz, a są one podane w mojej książce.

Generał Sikorski był wielkim realistą-politykiem — nie pisałem o tej zalecie Generała w mej książce — wyczuwał znakomicie, jaka przyszłość oczekuje Polskę bezpośrednio po II wojnie światowej... I nie jestem pewien, czy wybrałby on „gościńcę” nawet JKMości. Generał Anders... Owszem, generał Sikorski znał, ale pobieżnie, gen. Andersa, dobrze wiedział o jego udziale w maju 1926 r. po stronie Rządu. To zdaniem moim najbardziej wpłynęło, a może i przesądziło, na wyznaczenie go na dowódcę armii polskiej w Rosji. Lecz później? Wolę nie podawać bliższych szczegółów o głębokim zatargu, jaki miał miejsce pomiędzy ówczesnym Naczelnym Wodzem, a jego podwładnym — dowódcą armii na Wschodzie.

Ale nie w tym rzecz. Płk Onacewicz niewątpliwie przypomina sobie dobrze pamiętny dla niego, wielce burzliwy raport, na wiosnę 1942 roku, u Naczelnego Wodza generała Sikorskiego w Waszyngtonie?

Może przypomnienie mu tego raportu (na razie przemilczam szczegóły) — który miał miejsce przy świadkach jeszcze żyjących — zmieni zdanie płka Onacewicza w pewnych zagadnieniach.

Działalność płka Mitkiewicza w Londynie w pierwszej połowie 1940 roku

Mniejsza o nazwę Allied Military Committee. Powtarzam, że zapisywałem wydarzenia z dnia na dzień. Faktem bezspornym jest to, że dyplomatyczny paszport dla mnie wystawiło nasze MSZ w Paryżu, jako dla członka „Międzypolitycznej Najwyższej Rady Wojennej” i zanim dotarłem do Londynu, i w samym Londynie, straciłem dużo czasu, aby wybadać, do jakiego ciała wysłał mnie generał Sikorski.

Wyjaśnienia ówczesnego porucznika Stefana Zamoyskiego są w tym względzie całkowicie zbyteczne — opisałem w mojej książce dość wyraźnie przebieg mojej „pracy” w tym Komitecie.

A w ogóle uwagi płka Onacewicza i płka Zamoyskiego różąco nie zgadzają się z treścią mej książki. W szczególności zdanie: „... i widocznie jeszcze uważa, czym był Allied Military Committee”. Nie porównywałem Allied Military Committee do Kwatery Głównej Marszałka Ferdynanda Focha — nie istniała ona w II wojnie światowej (na jej początku), a w zamian zbierała się NRW w Anglii i — częściej — we Francji, na posiedzenia której (Najwyższej Rady Wojennej) zapraszany był generał Sikorski, jako Naczelnny Wódz PSZ.

Bardzo jestem zobowiązany autorowi, za umieszczenie unie-

winniającego mnie łaskawie wyjaśnienia płka Stefana Zamoy-
skiego, że powodem nieporozumienia była moja absolutna niezna-
jomość obcych języków.

W rzeczywistości znałem zupełnie dostatecznie język fran-
cuski aby porozumiewać się nim swobodnie w rozmowach z człon-
kami komitetu; angielskiego uczyłem się dopiero w Londynie, ale
byłem już na tyle zaawansowany (w 1940 r.), że byłem już
w stanie powiedzieć kilka koniecznych, zdawkowych zdań Angli-
kom.

Pragnę zaznaczyć autorom, że nie z własnej woli, ani dzięki
własnym staraniom o lukratywną posadę, wyznaczony zostałem
przez generała Sikorskiego na to stanowisko.

Generał Sikorski słusznie sądził, że Polska, jako naj-
wierniejszy Aliant, ma najpełniejsze prawo być reprezentowana
w Najwyższej Międzyalianckiej Radzie Wojennej, której Komitet
stanowił komórkę.

W książce mojej opisałem wyraźnie moje losy w tym komi-
tecie.

Prawda, generał Sikorski dla celów podniesienia wagi Wojska
Polskiego we Francji, a również i dla całej sprawy Polski, dele-
gował mnie w roku 1940 do Londynu, a mówiąc jaśniej, wysłał
mnie na niezbadaną głęboką wodę, wierząc, że dam sobie radę.

Sprawa Brygady Podhalańskiej

Tę sprawę znam dokładnie z przesłanego mi uprzejmie przez
J. Giedroycia wycinka z *Dziennika Polskiego* w Londynie z wy-
soce napastliwym artykułem gen. Zygmunta Szyszko-Bohusza. Nie
zamierzałem zupełnie odpowiadać na ten artykuł, ale ponieważ
ukazał się on w elaboracie płka Onacewicza — odpowiem.

Sądzę, że wyjaśnienia gen. Bohusza są bez wartości. Płk Iliń-
ski — jeśli został istotnie wysłany ze statku aby telefonować do
Londynu (niekoniecznie do mnie!) o północy — to nie znajduję
żadnych powodów, dlaczego to mu się nie udało? Przecież w tym
czasie — połowa 1940 r. — łączność telefoniczna w całej Anglii
działała bez zarzutu — również w nocy.

Ale załóżmy, że płk. Ilińskiemu nie udało się dodzwonić do
Londynu. Generał Szyszko-Bohusz, jako dowódca polskiej samo-
dzielnej brygady, generał posiadający wyższe wykształcenie woj-
skowe, znający — na pewno — beznadziejną sytuację w całej
Francji, zalanej przez wojska niemieckie, mógł przecież s a m
— własną decyzją — zadecydować wyładowanie swej Brygady
w Greenock.

Dlaczego tego nie uczynił?

Odpowiedź na to pytanie dostarcza książka płka Władysława Deca pt. „Narwik - Falaise”. Pisze on, że przed dopłynięciem okrętów do brzegów Francji, kapitan polskiego okrętu, na który był załadowany i sztab brygady z gen. Szyszko na czele, zwrócił się ze słowami: „Po co Pan Generał jedzie do pobitej Francji? Ja wyładuję Pańską brygadę z powrotem w Greenock?”.

Według płka Deca generał Szyszko wyładował jednak całą brygadę na brzegu francuskim — i rzucił ją do walki.

A wielka szkoda, że się tak właśnie stało. Brygada Podhalańska stanowiła jednostkę piechoty, której brakło Naczelnemu Wodzowi przez cały czas naszej... wegetacji (do jesieni 1941!) w Anglii.

Ewakuacja Wojska Polskiego z Francji do Anglii

Płk Onacewicz oparł się wyłącznie na PSZ, pisanych w Londynie przez komisję historyczną, bez udziału zainteresowanych osób. Oświadczam, że moje zapiski zawarte w mojej książce są absolutnie prawdziwe. Dr Retinger pozostawał ze mną zawsze i wszędzie w stałym i ścisłym kontakcie, a więc i w tym krytycznym okresie również. Mój opis jego wyprawy do Bordeaux jest najbardziej autentyczny. Mieliśmy lecieć albo płk Kwieciński, albo ja — decyzja padła na dra Józefa Retingera.

Zwykłą nieprawdą jest przypisywanie mi słów: „... że ministerstwo (brytyjskie) wojny nie chce i zapewne nie będzie mogło przyjąć naszego wojska z powodu braku pomieszczeń”. Przeciwnie — major Bryson zapytywał się mnie, czy wojsko nasze może być — na razie ulokowane w obozach. Odpowiedziałem mu, że namioty nie są obce żołnierzowi polskiemu.

Generał Kukiel miał sobie powierzoną ewakuację z Francji. O tym wiedziałem. Lecz wysyłanie okrętów z Anglii — wspólnie z admirałem Świrskim — i odbiór naszych wojsk przybywających okrętami z Francji generał Sikorski powierzył mnie.

„Mała figura”? — a któż był „wielką figurą” w Londynie w tym czasie (czerwiec 1940)? — Pomimo mej „małej figury” rozmawiałem tego ranka z wieloma generałami angielskimi, nawet z generałem Ismay — choć, jak stwierdza płk Zamoyski, nie mówiłem ani me, ani be po angielsku.

Przesilenie Rządowe 18 lipca 1940 roku

Uwagi w mojej książce pisałem na podstawie słów śp. generała Tadeusza Klimeckiego.

Rolę śp. generała Kazimierza Sosnkowskiego uwidocznilem na podstawie wyników kontr-wywiadu — być może mylnie. Jednakowoż są dowody — jeśli akta kontr-wywiadu nie zaginęły! — o działalności generała Sosnkowskiego przeciw generałowi Sikorskiemu.

Mitkiewicz i Klimecki

Płk. Onacewiczowi składam wyrazy uznania za wyróżniającą opinię o śp. generale Tadeuszu Klimeckim, należy mu się takowa i ja do niej w zasadzie się przychylam, ale mam własną, obiektywną opinię o gen. Klimeckim, którego dobrze znałem jako kolegę — wykładowcę w Wyższej Szkole Wojennej, w latach 1930-1932.

Dobra wola płka Onacewicza wierzyć, czy też nie wierzyć, w podaną przeze mnie sprawę awansu generalskiego płka Klimeckiego. Główni świadkowie tej sprawy przeniesli się już dawno do wieczności: generał Sikorski, dr Retinger i Klimecki — pozostałem z jeszcze żyjących jedynie jeden — ja...

Płk Onacewicz — a być może płk Zamoyski — pisze bezpodstawnie, że jakoby przeceniałem swój osobiście bliski stosunek do Naczelnego Wodza generała Sikorskiego. Przystudiowałem po raz już nie wiem który moją książkę — i nic w niej nie znalazłem o jakimkolwiek „bliskim stosunku” moim do gen. Sikorskiego. Piszę tylko, że byłem jego bliskim podkomendnym i współpracownikiem. Pragnę upewnić płka Onacewicza, że należałem do oficerów, którzy zawsze rygorystycznie zachowywali się bezwzględnie *correct* w stosunku do oficerów starszych od siebie.

Więc skądże „bliski osobisty stosunek”? i „doradca”?

Płk Onacewicz, a raczej płk Zamoyski, pisze, że: „nie był on nigdy doradcą Generała”. Skąd to wzięli obaj ci panowie, że uważałem siebie za „doradcę” Generała? Przewertowałem jeszcze raz moją książkę, aby sprawdzić, czy czegoś podobnego w niej nie ma. Ale nie.

Jeśli chodzi o stan faktyczny — według mego zdania — to do liczby tzw. „doradców” generała Sikorskiego (w zasadzie całość ważnych decyzji politycznych i wojskowych pobierał on zupełnie samodzielnie) należy zaliczyć: prof. Stanisława Kota, generała Mariana Kukiela, ambasadora Edwarda Raczyńskiego, prof. Stanisława Strońskiego, ambasadora Józefa Lipskiego, a na ostatku... dra Józefa Retingera; i może jeszcze Stanisława Mikołajczyka, ale tylko w sprawach Kraju.

Sztab N.W. na czele z gen. Klimeckim pełnił normalną rolę

organu dostarczającego Naczelnemu Wodzowi elementów do jego własnych decyzji. Płk Zamoyski napisał o stosunkach moich z gen. Sikorskim same (wyrażając się bardzo oględnie) — nieścisłości. Co prawda mało zauważałem w owych czasach (1940-1941) ówczesnego porucznika Zamoyskiego w Londynie w Rubensie, i mało pamiętam jego „częste” wizyty w moim biurze. Dla mnie najbardziej miarodajną oceną stosunku generała Sikorskiego do mnie były dwa pochwalne i pochlebne rozkazy — umieszczone w mojej książce — dwukrotne mianowania mnie na... niebylejakie pod względem taktu i obycia, niezwykle trudne stanowiska oraz podarunek: papierośnica z odręcznym autografem Generała i zwłaszcza słowa jego nieomal przy każdorazowym powitaniu: „Jak się masz... Kmicicu (czy: Bohunie)?” z ujmującym uściskiem dłoni i uśmiechem, zawsze życzliwym.

Płk Zamoyski pisze: „stosunek Generała do płka Mitkiewicza był poprawny, ale nie zażyły”. Ejże? słuszniej i bardziej sprawiedliwie byłoby gdyby płk Zamoyski napisał: życzliwy, bo tak w istocie było. O zażyłości mojej z Generałem, w dodatku Naczelnym Wodzem, nie może być nawet mowy. Nie pozwoliłbym sam sobie na taki stosunek względem Naczelnego Wodza, a w dodatku znacznie starszego ode mnie generała.

Płk Onacewicz cierpi widocznie na zanik pamięci. Ja nie mam — jak dotąd — zwężonej pamięci (pomimo przebytej przed laty ciężkiej choroby!), stąd pamiętam zbyt dobrze wizyty płka Onacewicza właśnie u mnie, jako szefa Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza, w sprawie bardzo pożądanego przydziału płka Onacewicza na attaché wojskowego do Waszyngtonu.

O niedoszłym awansie moim na generała nie będę zabierać głosu.

Ostatnia podróż gen. Sikorskiego do Stanów Zjednoczonych

Podałem w mojej książce relację płka dypl. Andrzeja Mareckiego z wizyty gen. Sikorskiego i jego w Waszyngtonie.

Mam pełne prawo tej relacji wierzyć, bo generał amerykański Wedemeyer wyrażał się o płku Mareckim z najwyższym uznaniem, mówiąc że jest to wybitny oficer polskiego Sztabu Generalnego, że posiada wielki talent operacyjny — słowem: same pochwały.

Płk Marecki wygłosił odczyt — na którym (wnioskując ze słów gen. Wedemeyera i płka Mareckiego), był również gen. Wedemeyer. Płk Onacewicz — „wytrawny znawca” języka angielskiego — z dużym przekąsem wspomina sposób wystawiania się

w tym języku płka Mareckiego. Słyszałem nieraz i ja — marny Anglik! — płka Mareckiego mówiącego po angielsku, np. na obiedzie w jednym z klubów wojskowych dla starszych oficerów brytyjskich, wydanym dla grona oficerów sztabu polskiego. Marecki mówił zupełnie dobrze — naturalnie z wyraźnym akcentem... nadwiślańskim! Nie każdy z nas jest... Zamoyskim! Również nie myślę, aby było „kompletne fiasko — flop” z opracowanym przez płka Mareckiego planem „bałkańskim”.

Oficer łącznikowy do Combined Chiefs of Staff

Nie znane mi były wstępne zarządzenia generała Sikorskiego podczas jego pobytu w Waszyngtonie, co do mianowań oficerów łącznikowych do CCS.

Nie wiem również, dlaczego Sztab N.W. w Londynie nie zawiadomił Waszyngtonu na czas o terminie i o celu mego przyjazdu.

Przyjęcie przeze mnie nowej misji do Combined Chiefs of Staff przyszło mi z wielkim trudem.

Czułem się znakomicie w 1-ej dywizji pancерnej, jako z-ca dowódcy tej dywizji. Atmosfera we wszystkich pułkach dywizji była doskonała. Świetni koledzy-oficerowie. Znakomici żołnierze.

Obecnie mocno żałuję, że nie stało się tak, jak mówił mi gen. Klimecki, że do Combined Chiefs of Staff gen. Sikorski ma wyznaczyć generała-broni, Kazimierza Sosnkowskiego. Z pewnością byłoby mniej nieprzyjemnych i godnych pożalowania wypadków, zaś płk Onacewicz razem z płk. Zamoyskim na pewno nie podnosiliby głosu przeciwko generałowi broni...

Miał pełną rację p. Nowacki, pisząc w *Zeszytach Historycznych*, że było dużą wadą wyznaczenie do CCS oficera w randze tylko pułkownika.

Ale *ad rem*.

Nigdy nie byłem mianowany „oficerem łącznikowym do CCS”, jak to twierdzi płk Onacewicz, który *nota-bene* uważał mnie zawsze, przez czas sprawowania mej funkcji w Waszyngtonie, za „oficera łącznikowego do CCS”.

Świadczy inaczej o tym rozkaz-instrukcja dla mnie z datą 11 lutego 1943 r.:

„Naczelnny Wódz
L. dz. 125/Op. tj.

Londyn, 11 lutego 1943.

Instrukcja dla płk. dypl. Mitkiewicza.

I. Zadanie.

Płk dypl. Mitkiewicz jest delegatem Naczelnego Wodza i zastępcą Szefa Sztabu N.W. do współpracy ze Sztabem USA i Combined Chiefs of Staff.

W celu wykonania tego zadania koordynuje prace Attachés Wojskowych (Wojska, Lotnictwa i Marynarki) oraz wykorzystuje oddany mu personel ze składu b. Ekspozytury St. Z. Oddziału Wywiadowczego. Do zakresu jego czynności należą:

- a) Wymiana wiadomości o nieprzyjacielu.
- b) Zagadnienia operacyjne, szczególnie dotyczące Kraju, w myśl wytycznych Naczelnego Wodza. Wymiana na ten temat poglądów i przewidywań.
- c) Zagadnienia związane z planowaniem warunków kapitulacji nieprzyjaciela i przyszłej organizacji bezpieczeństwa. W zakresie tym referowanie naszych postulatów i informowanie Sztabu N.W.
- d) Zagadnienia celów wojny — informowanie właściwych organów planowania Sztabu Generalnego USA w porozumieniu i przy współpracy Ambasadora R.P.
- e) Sprawy związane z materiałowymi potrzebami Kraju i ich realizacja na terenie Stanów Zjednoczonych.
- f) Zagadnienia związane z materiałowymi potrzebami Armii na Wschodzie i ich realizacja.

II. Współpraca ze Sztabem N.W.:

Płk dypl. Mitkiewicz podlega Szefowi Sztabu N.W. Od niego otrzymuje zadanie i wszelkie materiały, potrzebne do wykonania pracy. Ramy współpracy z poszczególnymi Oddziałami Sztabu obejmują:

- Oddział Op.: Zagadnienia operacyjne ogólne i Kraju.
Zagadnienia celów wojny.
Zagadnienia warunków kapitulacji.
 - Oddział Wyw.: Zagadnienia informacji o nieprzyjacielu.
 - Oddział Plan.: Problem przyszłego bezpieczeństwa i potrzeb materiałowych dla przyszłej organizacji Sił Zbrojnych.
 - Oddział Spec.: Sprawy sprzętu dla Kraju.
 - Oddział Org.: Zagadnienia zaopatrywania materiałowego dla Armii na Wschodzie.
- Ekspedycję korespondencji pisemnej załatwia Oddział Wywiadowczy.

Naczelnny Wódz
(—) Sikorski
Generał Broni”.

Przybyłem do Waszyngtonu w końcu marca 1943 r. Pierwsze moje kroki i spotkania z ambasadorem i z attaché wojskowym w Waszyngtonie przekonały mnie dobitnie, że wchodzę do ich zespołu, jako mocno niepożądany przybysz. (nie podałem tego w mojej książce).

Płk Onacewicz pisze, że nie znał instrukcji gen. Sikorskiego dla mnie, jako delegata N.W. i Zastępcy Szefa Sztabu N.W. w Waszyngtonie. Znowuż... zanik pamięci! albo... Następnego dnia po moim przybyciu do Waszyngtonu zwołałem odprawę wszystkich attachés i oficerów mego przyszłego biura. Na odprawie tej podałem wszystkim do wiadomości moje zadania, wyni-

kające z tej instrukcji — tj. zaznajomiłem zebranych z treścią mej instrukcji. Oczywiście, natychmiast usłużnie poinformowano mnie o wymianie depesz między płk. Onacewiczem i gen. Sikorskim oraz gen. Klimeckim. Krótko mówiąc, gen. Sikorski wówczas postawił sprawę w ten sposób, że płk Onacewicz natychmiast będzie odwołany ze swego stanowiska, jeżeli nie okaże mnie wszelkiej pomocy.

Doniosłem do Sztabu N.W. natychmiast o istniejącej sytuacji w CCS. O tym, że zostali już wyznaczeni poprzednio oficerowie łącznikowi do CCS w osobach płka Onacewicza i rtm. Zamoyskiego i że położenie moje jest bardzo trudne i wskutek tego przyjąłem dla siebie — na razie — tytuł „oficera łącznikowego do CCS”.

List mój — z wyrzutami! — jest dołączony do mojej książki.



„Oczywiście nigdy nie miał sposobności prowadzić żadnych decydujących rozmów z przedstawicielami CCS. Wyolbrzymia on także znaczenie swojej rozmowy (3 czerwca 1943 r.) z gen. Wedemayerem...” — pisze płk Onacewicz.

Podaję poniżej odpis notatki z tej rozmowy, a protokołował ją rtm. Zamoyski.

„Notatka.

Ścisłe tajne.

Rozmowa płk. L. Mitkiewicza, Z-cy Szefa Sztabu N.W. z Brig. General A. C. Wedemeyer, General Staff. Operation Division w Waszyngtonie, 3 czerwca 1943.

Obecni — Colonel F. N. Roberts

Colonel W. E. Todd

Rtm. dr Stefan Zamoyski.

Po bezpośrednim i ujmującym przywitaniu, generał Wedemeyer zapytał pułkownika Mitkiewicza jak mu układają się warunki pracy i czy jest z nich zadowolony.

Płk Mitkiewicz oświadcza, że niektóre poruczone mu sprawy, jak na przykład współpraca z Oddziałem G-2 Sztabu Generalnego USA, rozwijają się bardzo pomyślnie. Natomiast, jeżeli chodzi o istotny zakres jego Misji, mianowicie o łączność z Combined Chiefs of Staff — w związku z czym generał Wedemeyer poprzednio wyraził życzenie zaznajomienia się z instrukcją, określającą stanowisko i zadanie przedstawiciela Naczelnego Wodza do Combined Chiefs of Staff — płk Mitkiewicz, po przedłożeniu tej instrukcji, oczekiwał wypowiedzi generała Wedmeyera i korzystając z obecnej sposobności prosi go o wyrażenie w związku z tym jego opinii.

Generał Wedemeyer odrzekł, że rozmawiał w tej sprawie z generałem Marshall'em, a następnie z Admirałem Leahy. Jeżeli chodzi o określenie stanowiska płk. Mitkiewicza, admirał Leahy stwierdził, że należy uznać je jako analogiczne ze stanowiskiem innych reprezentantów wojskowych Państw

Sprzymierzonych, powołanych do przedstawiania swoich Naczelnych Wodzów na żądanie Combined Chiefs of Staff odnośnie postulatów własnych sił zbrojnych, w miarę jak te sprawy będą poruszane względnie aktualne. Generał Wedemeyer zapewnia przy tym płk. Mitkiewicza, że do czasu jego przybycia do Waszyngtonu sprawy polskie nie były dotychczas ani razu na porządku obrad Combined Chiefs of Staff i dlatego nie zaszła okoliczność zaproszenia go na posiedzenia Combined Chiefs of Staff. Generał Wedemeyer wyraża zdanie, że może nadejść chwila, kiedy w związku z załamaniem się Niemiec, Polskie Tajne Organizacje Krajowe będą mogły odegrać rolę dywersyjną, zwłaszcza na komunikacje między niemieckim frontem wschodnim a Rzeszą. Obecnie jednak nie wydaje się by istniały widoki *collapse'u* Niemiec w roku bieżącym. Mogą powstać sprzyjające warunki dla pewnej penetracji Aliantów na kontynent lub wyspy na Morzu Śródziemnym, lub też załamanie się Włoch, lecz Niemcy mimo pewnego osłabienia i wzmózonej akcji powietrznej Aliantów nie wykazują oznak rozkładu i są jeszcze militarnie zwarte.

Płk Mitkiewicz przychyła się do analizy sytuacji wygłoszonej przez generała Wedemeyera i stwierdza, że przewidywania Sztabu N.W. idą w tej samej linii. Polska Armia Krajowa — tak się nazywa Polska Tajna Organizacja Wojskowa — w Kraju, która jest zasadniczą i najpoważniejszą częścią składową Sił Zbrojnych, dowodzonych przez Polskiego Naczelnego Wodza Generała Sikorskiego w Londynie, zdolna jest do wystawienia w pierwszych dniach akcji około 6 dywizji piechoty (50 batalionów). Kadry oficerskie i podoficerskie w Polsce są więcej niż wystarczające. Zapas broni w Polsce jest jednak znikomy. Zasadniczą sprawą jest zatem kwestia uzbrojenia Armii Krajowej w odpowiedniej chwili. Chociaż plan Sztabu Naczelnego Wodza przewidyuje przejściowy okres wzmózonej dywersji w Polsce, to jednak zasadniczym celem jest akcja zbrojna Polskiej Armii Krajowej przeciw Niemcom. Ponieważ trudno przewidzieć dokładnie termin w jakim zająć mogą okoliczności sprzyjające akcji zbrojnej, należy zawczasu się przygotować. Przygotowanie to polegać powinno na skoordynowaniu zamierzonego wysiłku zbrojnego Polski z ogólną akcją Zachodnich Aliantów, co pociąga za sobą konieczność przewidywań i zapewnienia potrzeb, jeżeli zwłaszcza chodzi o uzbrojenie, bezwzględnie przed inwazją kontynentu Europejskiego, jak najmniej załamaniem się Niemiec. Płk Mitkiewicz stwierdza przy tym, że zagadnienie przygotowania uzbrojenia Armii Krajowej w Polsce zostało rozpatrzone wspólnie ze Sztabem Brytyjskim w Londynie przez Sztab N.W. i że Sztab Brytyjski uznał to za słuszne i w pewnej mierze pomoc zapewnił. Najważniejszym problemem pozostaje sprawa transportu powietrznego w odpowiednich terminach, zarówno Polskiej Brygady Spadochronowej i Lotnictwa, jak uzbrojenia z Wielkiej Brytanii do Polski. Sztab Brytyjski zapewnił nas, że we wstępnej fazie dywersyjnej, to jest począwszy od września 1943 r., wykona do Polski 300 lotów z materiałem dywersyjnym i bronią. Całość zadania wymagać będzie około 500 lotów. W tym wypadku, jak i w następnych projektowanych fazach operacyjnych, pragniemy otrzymać pomoc, jak i współpracę, Sztabu Generalnego Stanów Zjednoczonych. Płk Mitkiewicz pragnąłby przy najbliższej sposobności przedłożyć Combined Chiefs of Staff przewidywania i oparty na nich plan Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych w związku z użyciem i potrzebami Polskich Sił Zbrojnych, przede wszystkim zaś Armii Krajowej w Polsce celem umożliwienia Combined Chiefs of Staff skoordynowania tego planu z ogólnym planowaniem w Europie oraz uzyskania potrzeb niezbędnych w dziedzinie transportu powietrznego i uzbrojenia.

Generał Wedemeyer — po wysłuchaniu dłuższego wywodu — zwraca uwagę na niebezpieczeństwo przerzucenia wielkich ilości uzbrojenia do Polski ze względu na możliwość użycia go przez Niemców.

Płk Mitkiewicz wyjaśnia, że chodzić będzie, zwłaszcza w okresach kiedy przerzut będzie jedynie możliwy powietrzem, o uzbrojenie lekkie. Dotychczasowa praktyka dowiodła, że przerzucane niewielkie ilości broni ukrywane są bez większego ryzyka. Oczywiście, niebezpieczeństwo związane z większym przerzutem broni byłoby poważne. Dlatego też, dostarczenie broni byłoby przewidziane w maksymalnych ilościach dopiero z chwilą decyzji powstania. Należy jednakowoż jak najdokładniej powyższe operacje przygotować, aby mogły nastąpić, gdy nadejdzie odpowiednia chwila, niezwłocznie.

Generał Wedemeyer przychyła się do powyższego rozumowania i proponuje pułkownikowi Mitkiewiczowi, aby przygotował dla Combined Chiefs of Staff memoriał¹ w tej sprawie. Generał Wedemeyer doradza, aby memoriał ten był oparty na pewnych założeniach, odpowiadających ogólnemu położeniu. Generał Wedemeyer wymienia następujące przypuszczenia:

- że Rosja zdolna będzie bronić się skutecznie przez dłuższy okres czasu,
- że wzmocniona i wzrastająca akcja powietrzna Zachodnich Aliantów na kontynencie Europy będzie skutecznie osłabiać wysiłek wojenny i morale Rzeszy Niemieckiej,
- że w roku bieżącym nie zachodzi prawdopodobieństwo załamania się Niemiec i że Niemcy potrafią przeciwstawić się skutecznie Rosji Sowieckiej,
- że w roku bieżącym mogą zaistnieć warunki większej penetracji Zachodnich Aliantów do Europy, może nawet załamanie się Włoch. Generał Wedemeyer doradza przy tym, aby zawarte w memoriale zapotrzebowania nie były wygórowane, również by memoriał obejmował całość Polskich Sił Zbrojnych, ich stan wyszkolenia, uzbrojenia i cele użycia, by wyszczególniał ściśle nie tylko braki, ale również podział zapotrzebowań zgłoszonych w Wielkiej Brytanii oraz w Stanach Zjednoczonych, zarówno w War Department czy też za pośrednictwem Brytyjskim lub Office S.S. oraz już dokonanych dostaw. Generał Wedemeyer przestrzega i doradza gorąco, aby dane były ściśle, aby nie było dwoistości lub utajenia. Generał Wedemeyer z pełną życzliwością proponuje, aby płk Mitkiewicz po przygotowaniu projektu memoriału, przybył do niego i wspólnie projekt ten przedyskutował, ofiarując nie tylko pomoc, ale dostosowanie jego układu w ten sposób, aby był jak najżywczej przyjęty².

Generał Wedemeyer zapytuje płk. Mitkiewicza jaki przewiduje (on) rozwój sytuacji wojennej w Rosji.

Płk Mitkiewicz nie przewiduje ani możliwości, ani zwłaszcza celowości ofensywy niemieckiej na wielką skalę. Niemcy są osłabione, a działania Aliantów na Zachodzie, ofensywa powietrzna i likwidacja kampanii afrykańskiej wpłynęły poważnie na ich swobodę działania. Rosja z drugiej strony posiada niemal podwójną przewagę liczebną, co prawda znacznie niższej klasy wojsk i dowództwa, jednak ani wzięcie Moskwy, które wydaje się co najmniej wątpliwe, ani ofensywa na południu nie dałyby nawet tych wyników, jakie wykazały poprzednie ofensywy w latach 1941 i 1942. Niemców nie stać obecnie na wielkie ofensywy. Jest więc prawdopodobne, że Niemcy pozostaną w strategicznej defensywie na obu frontach i przygotowują przeciwuderzenia w razie aktywności sowieckiej. Będzie to mniej Niemców kosztowało, a może i bardziej (będzie) skuteczne. Za tą hipotezą przemawiają informacje Sztabu N.W. z terenu Polski i Europy.

Generał Wedemeyer nadmienia, że Niemcy nie są zdolne do działań ofensywnych (i) na innych teatrach wojny i zapytuje, czy nie będą zmuszone przecieć gdzieś uderzyć.

Płk Mitkiewicz nawiązuje w tym miejscu do poprzednich wywodów

1. Memoriał — to znaczy: plan użycia Armii Krajowej w Polsce.
2. Przez Combined Chiefs of Staff.

generała Wedemeyera i stwierdza, że Niemcy mogą przerzucić ofensywę w kierunku akcji politycznej, a operacje wojenne poprowadzić na przetrzymanie.

Generał Wedemeyer następnie zwraca się do płk. Roberts'a i płk. Todd'a proponując im postawienie ewentualnych pytań. Płk Roberts powraca do sprawy transportu powietrznego do Polski i zapytuje, czy sprzęt itp. byłby zrzucały na spadochronach. Płk Mitkiewicz odpowiada twierdząco. Na pytanie skąd sprzęt byłby wysyłany, płk Mitkiewicz stwierdza, że dotychczas z Wielkiej Brytanii, lecz istniałaby możliwość przelotów z Cairo względnie z Afryki Północnej. Generał Wedemeyer każe podać mapę i orientując się w odległościach mierzy linijką odległość z Polski Środkowej do Wielkiej Brytanii oraz do Afryki Północnej, następnie odmierzy on odległość z Polski do Sycylii.

Na zakończenie generał Wedemeyer powtarza propozycje wspólnego przygotowania memorandum dla Combined Chiefs of Staff³.

Pułkownik Mitkiewicz szczerze dziękuje za propozycje, z której chętnie skorzysta i oświadcza w ciągu około 2 tygodni będzie gotowy przybyć na wspólną konferencję z projektem memoriału.

Na pożegnanie płk Mitkiewicz gorąco dziękuje generałowi Wedemeyer za tak szczerze odniesienie się i życzliwe zrozumienie spraw Polski.

Rozmowa trwała 80 minut.

Protokołował: Rtm. dr Zamoyski. (—)".

Sądzę, że „notatka” ówczesnego rtm. Zamoyskiego — raczej długi protokół — daje dostateczny dowód, że rozmowa moja z gen. Wedemeyerem była decydująca w sprawie Armii Krajowej, co uważałem zawsze za główne moje zadanie.

Przebieg dalszego ciągu mojej służby jako delegata N.W. do CCS i Z-cy Szefa Sztabu N.W. w Waszyngtonie zawiera moja książka pt. „W Najwyższym Sztabie Zachodnich Aliantów”, która prawdopodobnie ukaże się z początkiem 1971.

Generał Sikorski decydując się na wysłanie mnie — zamiast generała Sosnkowskiego — do Combined Chiefs of Staff — postawił mnie w niewymownie trudnej, powiem nawet ciężkiej sytuacji.

Zresztą położenie polityczne Polski — na wygnaniu — bez terytorium własnego, bez większych sił zbrojnych, bez środków materialnych było w rozumieniu wszystkich Zachodnich Aliantów co najmniej podrzędne... i odpowiednio nas traktowano, i w Londynie i w Waszyngtonie. Ale — tym niemniej — wykonałem, o ile to było w mojej możliwości, postawione mi zadanie przez gen. Sikorskiego.

A *propos*. Płk Onacewicz zapomina, że jako „oficer łącznikowy” do CCS funkcjonowałem niedługo. Już w końcu 1943 roku sam Combined Chiefs of Staff zmienił mój tytuł na: „Polish representative with the Combined Chiefs of Staff” — uzyskałem zatem to, co było w instrukcji gen. Sikorskiego dla mnie.

3. Podkreślenia moje. — L. M.

W dalszym ciągu władze CCS ustaliły nazwę mego biura, jako „Polish Military Mission” — co było przyjęte nawet przez Sztab N.W. w Londynie.

Płk Onacewicz nie wspomina nic o tym. Nazywa mnie ustawicznie: „oficerem łącznikowym do Combined Chiefs of Staff” i zaprzecza wszelkiego mego kontaktu z Combined Chiefs of Staff.

Sprawa kierowania pracami Attachés Wojskowego, Lotniczego i Morskiego

Płk Onacewicz zarzuca mi pisanie nieprawdy w mojej książce. Powołując się na instrukcję Naczelnego Wodza z dnia 11 lutego 1943 r. (później, po tragicznej śmierci gen. Sikorskiego nowa instrukcja gen. Sosnkowskiego, znacznie poszerzająca pierwotną instrukcję, uznająca moje prawo do tego, aby wszelkie raporty i pisma attachatów przechodziły przez moje ręce) miałem dość władzy, aby istotnie kierować pracami attachatów.

Zdawałem sobie z tego sprawę jako były attaché wojskowy w Litwie, że podobny sposób musi wywołać poważne zadrażnienia.

Zdecydowałem się uniknąć zbytniego krępowania działalności i pracy wszystkich attachés wojskowych. Toteż nie wymagałem, aby przedkładali mi pisma — z wyjątkiem odpisów raportów miesięcznych. Natomiast zarządziłem wspólne konferencje, co miesiąc, na których wzajemnie podawaliśmy sobie wiadomości wojskowe i polityczne.

Płk Onacewicz znowu jakoś jakby zapomniał i o tych konferencjach. Jeszcze jedno: na zarzuty, że pozostałem za długo w Stanach Zjednoczonych w czerwcu 1941 r., oświadczam, że prowadząc tam zlecone mi przez Naczelnego Wodza, gen. Sikorskiego zadania, mogłem wracać do Londynu jedynie po wykonaniu zadania i na rozkaz Naczelnego Wodza. Tak też i stało się.



Protestuję najkategoryczniej przeciwko twierdzeniu płka Onacewicza, że utworzenie przedstawicielstwa do Combined Chiefs of Staff było błędem dyplomatycznym gen. Sikorskiego. — Tu całkowicie pomijam moją osobę. — Rzecz jasna, że dużo słuszniej byłoby, gdyby przybył do Waszyngtonu, do Combined Chiefs

of Staff, np. gen. Sosnkowski. Polska na wygnaniu w Londynie była jednak aliantem Zachodu i miała najpełniejsze prawo do zajęcia miejsca w Najwyższym Sztabie Zachodnich Aliantów, chociażby z racji posiadania w Kraju stosunkowo wielkiej Armii Krajowej.

O to właśnie walczył skutecznie śp. gen. Sikorski — o należne imię Polski i wojska polskiego w tym ciężkim czasie. Mimo wszystko dopiął swego celu.

Na zakończenie swych „komentarzy” płk Onacewicz — co prawda ni przypiął, ni przyłatał, gdyż nie ma to żadnego związku z okresem 1939-1943 — zaatakował mnie. Odsyłam czytelników przede wszystkim do Nr. 17 *Zeszytów Historycznych*, do mojego artykułu „Placówka Star”. W tym artykule podałem część sprawy likwidacji Polskiej Misji Wojskowej w Waszyngtonie.

Niewątpliwie prawdą jest, że „niesławny” koniec polskiej misji wojskowej był z winy gen. Stanisława Kopańskiego — na podstawie mylnych meldunków mjra dypl. Stefana Jędrzejewskiego. Mija się zupełnie z prawdą twierdzenie płka Onacewicza, że w s z y s c y oficerowie misji odmówili wykonywanie rozkazów swego szefa.

Ze składu wojskowego i cywilnego misji tylko dwaj oficerowie, głównie mjr dypl. Jędrzejewski, który zachował się niewojakowo, naruszając ponadto przepisy obowiązujące wówczas Wojsko Polskie, przez niewykonanie rozkazów gen. Kopańskiego i moich.

Płk Onacewicz pisze dalej, że z racji „mego zachowania się” w Waszyngtonie nastąpił „niesławny” koniec polskiej misji wojskowej.

Cóż na to mogę odpowiedzieć!

Powiem tylko to, co oświadczyłem gen. Kopańskiemu, gdy byłem przez niego wezwany do Londynu w lipcu 1945 r.

Gen. Kopański powiedział mi wtedy, że mjr Jędrzejewski oskarża mnie, że szykuję się do „wołty na Warszawę”.

Zaprotestowałem przeciw temu bardzo ostro. Natomiast oświadczyłem gen. Kopańskiemu, że pragnieniem moim jest powrót do Polski, w charakterze osoby prywatnej, ale nie wcześniej, jak po wolnych, uczciwych wyborach w Polsce, które mają nastąpić pod nadzorem Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Tego mojego stanowiska, nie ukrywałem zupełnie wobec społeczeństwa polskiego w Waszyngtonie.

Całość sprawy likwidacji polskiej misji wojskowej w Stanach Zjednoczonych w drugiej połowie 1945 r. ogłoszę drukiem w odpowiedniej chwili.

Leon MITKIEWICZ

(Na tym zamykamy dyskusję w *Zeszytach Historycznych*. — *Redakcja*)

Witold BABIŃSKI

AMBASADA W MOSKWIE

Niedawno wydana książka gen. dra Mariana Kukieła: „Generał Sikorski” (Instytut Polski, Londyn 1970) jest pracą motywującą najważniejsze decyzje gen. Sikorskiego w jego tak intensywnej pracy państwowej. Jest to rzeczą najzupełniej zrozumiałą i zasługuje na szacunek. Wszak gen. Kukiel był prawdziwym i wiernym przyjacielem gen. Sikorskiego: na dobrą i na złą dołę.

Z samego więc założenia książki wynika, że musiała ona poruszyć szereg tematów kontrowersyjnych. Tak na przykład, wiele miejsca poświęcił autor obronie układu polsko-sowieckiego z dnia 30 lipca 1941 roku w formie w jakiej został zawarty. Łącznie z klauzulą o amnestii. Sprawa ta była przedmiotem wielu polemik (ostatnio: dr Karol Poznański, *Tydzień Polski*, 13, 20, 27 lipiec, 7 wrzesień i 4 październik 1968 r.). Wyjaśniono chyba, że nie zachodzi tu analogia z poprzednio zawartymi traktatami. Że amnestia jest to termin prawa karnego i za taki jest uważany także w prawodawstwie sowieckim. W polemikach zbyt mało może podkreślano najistotniejszy moment, mianowicie że w roku 1941 nasze ziemie były nie tylko okupowane, ale i bezprawnie anektowane przed 8 miesiącami. I że tych zaborów nie zrzekły się Sowiety nawet w chwilach swoich największych niepowodzeń. Jaką interpretację nadawały Sowiety terminologii Układu, dotyczącej „amnestii” przekonać się mogli wkrótce wszyscy ci, którzy udawali że tej interpretacji nie zauważyli: wyłożył tę interpretację dobitnie szereg not sowieckich poczynając od głośnej noty z 1 grudnia 1941 roku.

Los głodzonych więźniów i deportowanych był na pewno równie bliski przeciwnikom jak i zwolennikom układu lipcowego. Nie sądzę, aby ten argument uczuciowy miał zaciemniać analizę postanowień traktatowych, choć jest to piosenka sercu polskiemu tak miła...

Konieczność szukania porozumienia z ZSSR była wtedy uznawana powszechnie. Zaś układ lipcowy spotkał się z krytyką z motywów następujących: otwierał on sprawę naszej granicy wschodniej i tak był rozumiany przez wszystkich (z wyjątkiem ówczesnego rządu polskiego); był początkiem zwalniania rządu brytyjskiego z ciężących na nim zobowiązań wobec Polski. Nadto — zawarty został z pominięciem konstytucyjnych prerogatyw Prezydenta R.P.

Wśród licznych szczegółów tego okresu, czytam ze zdumieniem na str. 180, gdzie mowa o wymianie ambasadorów w związku z układem z ZSSR:

„... min. Kot przed kilku dniami nakłaniał Sosnkowskiego. Zna język, kraj i Rosjan, jest politykiem i dowódcą. Byłby w jednej osobie i ambasadorem i zwierzchnikiem wojska polskiego, którego linię narodową najlepiej by gwarantował. Czyż może być dziś dla polityka polskiego bardziej chlubne zadanie, jak dopomożenie do uratowania miliona naszych obywateli? Sosnkowski — było to jeszcze przed usunięciem się rządu — wyznał, że nie widzi potrzeby rozmawiania o układzie z Rosjanami, bo Niemcy niedługo zajmą Moskwę, zapewne za jakieś trzy tygodnie”.

Czytam i oczom nie wierzę. Minister Kot był wtedy w Londynie, zaś gen. Sosnkowski w szpitalu polskim w północnej Szkocji, od 14 maja do 21 lipca 1941 r. — operowany po poczwórnym zranieniu odłamkami bomby w czasie nalotu na Londyn.

Będąc w szpitalu utrzymywał stałą łączność z Prezydentem i z Premierem. Są przecież z tych dni dokumenty, dostępne bez większych trudności. Cóż one mówią w tej sprawie? Oto już w dniu 22 czerwca 1941 r. na wieść o wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej pisze gen. Sosnkowski w jednobrzmiących pismach do Prezydenta i do gen. Sikorskiego¹:

1) Wojna niemiecko-sowiecka jest zdarzeniem wysoce korzystnym dla Polski i jej sprawy pod warunkiem jednak, że Rosja nie zostanie szybko i całkowicie pobita przez armie niemieckie.

Szybkie i całkowite zwycięstwo niemieckie, poza czysto wojskowymi skutkami dla frontu zachodniego, może mieć skutki polityczne w postaci odtworzenia proniemieckiej Litwy z oddaniem jej północnych ziem polskich, stworzenia niepodległej Ukrainy z oddaniem jej Lwowa, Małopolski Wschodniej i Wołynia, oraz odtworzenia reakcyjnej proniemieckiej Rosji z oddaniem jej Polski aż po granice terytoriów wcielonych do Rzeszy.

2) Przyjmując hipotezę, być może najbardziej prawdopodobną, że Rosja Sowiecka grając liczbą, obfitym stosunkowo sprzętem, wreszcie przestrzenią, nie da się szybko rozbić, że wojna niemiecko-sowiecka przeciągnie się i utrwali w czasie, liczyć się należy z potrzebą powzięcia zasadniczych decyzji przez nas, tym bardziej że w tym kierunku niechybnie wywierac będzie nacisk Rząd Brytyjski.

1. Patrz: Witold Babiński, „Przyczynki historyczne do okresu 1939-1945”, B. Świdorski, Londyn 1967.

3) Moim zdaniem czynne współdziałanie z Sowietami w wojnie przeciw Niemcom jest możliwe, a nawet wskazane, jednak z zastrzeżeniem dopełnienia następujących warunków:

a) Rząd sowiecki winien w drodze formalnej umowy zobowiązać się do przywrócenia i uznania granic Polski z roku 1939 przy czym celem utrwalenia ich po wsze czasy, układ polityczny winien przewidywać wymianę ludności pomiędzy Polską a Rosją, celem stworzenia możliwie największej jednolitości etnograficznej.

b) Układ powyższy powinien być zagwarantowany przez Wielką Brytanię oraz Stany Zjednoczone Ameryki Północnej po przystąpieniu ich do wojny (na co prawdopodobnie długo czekać nie będziemy).

c) Rząd sowiecki zawrze niezwłoczny układ regulujący w sposób całkowity sytuację ludności polskiej deportowanej z ziem okupowanych w głąb Rosji.

4) Współdziałanie Polski z Sowietami w wojnie przeciwko Niemcom powinno się wyrazić przede wszystkim w stworzeniu z jeńców polskich oraz ludności polskiej, powołanej pod broń, oddziałów wojskowych, jako samodzielnej armii polskiej, sprzymierzonej i suwerennej, podległej Rządowi Polskiemu i Naczelnemu Wodzowi.

5) Współdziałanie wojenne z Rosją Sowiecką może mieć kierunek ze Wschodu na Zachód, nigdy zaś odwrotny, przynajmniej jeżeli chodzi o terytorium Kraju.

Działanie na tyłach armii niemieckich z terytorium Kraju należy bezwzględnie wykluczyć, gdyż przy niewielkich stosunkowo korzyściach mogłoby ono dać w wyniku całkowite zniszczenie żywych sił Kraju i Narodu tak potrzebnych Polsce w końcowej fazie dziejowej rozprawy z Niemcami.

(—) Sosnkowski, generał broni”.

Nastąpiła dalsza wymiana zdań między generałami, bądź piśmenna, bądź telefoniczna. Generał Sikorski informował o przebiegu wszczętych rokowań, gen. Sosnkowski zgłaszał swoje uwagi i poprawki.

Wreszcie w dniu 20 lipca 1941 roku następuje owa propozycja objęcia ambasady w Moskwie. Miała ona formę następującą:

„Salcombe, The Moulton House, Niedziela, 20 lipca 1941. Telefonogram do generała broni Kazimierza Sosnkowskiego od premiera i naczelnego wodza generała Władysława Sikorskiego, przekazany przez dra Retingera o godzinie 1 w południe. W razie podpisania traktatu z Rosją Sowiecką, co jest jeszcze rzeczą wątpliwą, pragnąłbym widzieć Pana Generała na stanowisku ambasadora w Rosji, jak również na stanowisku przewodniczącego komisji wojskowej, a to ze względu na wielką doniosłość tej sprawy oraz ze względu na wielkie trudności, które staną przed naszym reprezentantem w Rosji, a wreszcie ze względu na to, że układ z Rosją zawiera jedynie uznanie suwerenności armii polskiej, natomiast kwestie: dowodzenia organizacją, sposobu użycia, będą rozstrzygnięte w dalszych rokowaniach. Telefonogram ten został osobiście odebrany przez telefon przez generała broni Kazimierza Sosnkowskiego dnia 20 lipca 1941”.

Odpowiedź nadana została tegoż dnia:

Telefonogram do generała broni Kazimierza Sosnkowskiego od premiera i naczelnego wodza, Niedziela 20 lipca 1941. Potwierdzając odbiór

telefonogramu z propozycją ewentualnego objęcia tak niezmiernie trudnego posterunku, jak spodziewana ambasada w Moskwie, przede wszystkim pragnę podziękować za dobre mniemanie o mnie, wyrażone w tej propozycji. Gorąco pragnę służyć Ojczyźnie na najtrudniejszym choćby posterunku, nie mogę nie podkreślić, że przyszły ambasador na pewno nie będzie w stanie wyręczyć Rządu w niektórych podstawowych punktach: A więc w sprawie niedwuznacznego uznania przez Sowiety granic Polski sprzed września 1939, a co za tym idzie i w sprawie definicji, kogo uważać należy w stosunkach wzajemnych za obywatela Państwa polskiego. Bez rozstrzygnięcia tych spraw w umowie polsko-sowieckiej, kreowanie ambasad jest przedwczesne, a sytuacja każdego obywatela Polski w Moskwie będzie nijaką. Brak tych punktów w umowie pozostawia sprawę granic otwartą, a nawet więcej, stanowi z góry wyrażoną zgodę Rządu polskiego na dyskutowanie z Sowieciami w przyszłości tego terytorialnego *status quo* na wschodzie, z jakim Polska weszła do wojny. Pozostałoby to w sprzeczności z dotychczasowym stanowiskiem Rządu, z którego zejść nie umiałbym.

Przebieg rozmowy naszej z dnia 15 lipca, brzmienie mowy Pana Generała z dnia 16 lipca, utwierdzają mnie w przekonaniu, że wątpliwości wyrażone na wstępie telefonogramu Pana Generała pozostają w związku właśnie z powyższą sprawą zasadniczą”.

Oto początek i koniec propozycji ambasady w Moskwie. Data: 20 lipiec 1941. Nie widzę w jej przebiegu miejsca na „namawianie” przez min. Kota. Nawiasem mówiąc gdyby takie namawianie ze strony p. Kota miało miejsce, to skutek byłby wręcz odwrotny. Sprawa ambasady wiązała się wtedy ściśle z przebiegiem rokowań o układ z Sowieciami.

21 lipca gen. Sosnkowski wrócił do Londynu. Wziął udział w posiedzeniu Rady Ministrów 22 lipca. Czynił nieustanne wysiłki o zmianę postanowień projektowanej umowy, w ciągłym kontakcie z Prezydentem i Premierem. Następuje krytyczne posiedzenie Rady Ministrów 25 lipca, po którym trzech ministrów podali się do dymisji. Przed posiedzeniem Premier poinformował poufnie ministrów, że kto będzie głosował przeciw tekstowi umowy, ten nie może dalej „kontynuować wspólnego marszu”. Skądże w takim razie wziąć się mogła wersja o spodziewanym szybkim zdobyciu Moskwy? Myślę, że źródłem jej był min. Stroński. To on, wkrótce po wojnie, powoływał się na rozmowę (zapewne szepciem) na posiedzeniu Rady ministrów z siedzącym obok generałem Sosnkowskim. Wiadomo, że prof. Stroński był przemiłym sąsiadem na wszelkich posiedzeniach, a jego dowcipne uwagi lub wykrzykniki mogły ożywić najnudniejsze obrady.

W owym czasie wszyscy chyba, łącznie z Churchilllem (wypowiedź w Ambasadzie polskiej 15 sierpnia 1941), brali pod uwagę możliwość zwycięstwa Niemiec nad Rosją. Z wyjątkiem generała Januszajtisa. Możliwość tę brał także pod uwagę gen. Sosnkowski, zawsze jednak zwracał uwagę, że przestrzeń i masa ludzka będą czynnikami, zapewniającymi długi opór Rosji. Bardzo kry-

tycznie oceniał także koncepcję strategiczną Hitlera: jednoczesna ofensywa w trzech kierunkach: Leningrad, Moskwa i Kijów przy tak kolosalnej długości frontu, to był cel zbyt ambitny nawet dla potężnej maszyny wojennej niemieckiej. Generał wyrażał często zdziwienie, dlaczego Hitler nie kieruje głównego wysiłku na południe. Powyższe oceny wypowiadał wielokrotnie wobec szeregu osób.

Ale wróćmy do książki generała Kukiela. Na stronie 178 czytamy:

„On (Sosnkowski) uchylał już odąd wszystkie czynione mu propozycje, stanowiska czy misje, które zmierzały — jak podejrzewał — do tego, by go oddalić od centrum rządzenia i działania...”.

Jak to było naprawdę? Za przeciwstawienie się formie w jakiej układ z ZSSR został zawarty i ustąpienie z rządu gen. Sosnkowski został pozbawiony wszelkich funkcji także w wojsku. Był „w dyspozycji” Naczelnego Wodza. To odsunięcie od pracy bolało go głęboko. W otoczeniu zaś gen. Sikorskiego ścierały się dwie tendencje: „wyrównania stosunków”, mająca swe źródło zwłaszcza w kołach wojskowych oraz walki z Sosnkowskim za każdą cenę i każdymi środkami. Tę drugą tendencję reprezentowali tzw. politycy, ludzie zasiadający w rządzie z ramienia paru stronnictw. Prawdziwych lub fikcyjnych. Prezydent starał się wpłynąć w kierunku „wyrównania”. Wypadkowa tych 2 tendencji nie wyglądała zbyt fortunnie.

Istotnie nastąpił szereg luźnych propozycji: powrót do rządu lub ambasada w Waszyngtonie, misja w Kanadzie lub na Bliskim Wschodzie, (rozmowy 15 i 16 sierpnia 1941 r.), ambasada w Ankarze (rozmowa 29 października 1941). Tak, ale za jaką cenę? Za cenę deklaracji jaką miałyby złożyć Sosnkowski „że umowa polsko-rosyjska zaspakaja nasze zasadnicze i uzasadnione żądania oraz zdaje na terenie Rosji próbę życiową”. Tylko tyle...

W okresie luty-maj 1942, także za cenę deklaracji, sypią się propozycje: niektóre egzotyczne, jak ambasada w Czung King, poprzez Rio de Janeiro, aż do *retraite honoraire* w postaci stanowiska w wojsku bez istotnych kompetencji. Korespondencja w tych sprawach jest obfita. W czerwcu i lipcu 1942, za pośrednictwem szefa sztabu gen. Klimeckiego, nastąpiła nęcąca propozycja konkretnej roboty w charakterze Inspektora wojsk (propozycja powróciła jeszcze pośrednio we wrześniu 1942). Ale cena nie uległa zmianie. Warunkiem uzyskania tej pracy miało być złożenie przez generała Sosnkowskiego następującej deklaracji: „Obserwując rozwój polityki polsko-sowieckiej solidaryzuję się całkowicie z linią polityczną przyjętą przez Rząd R.P.” (ten tekst

wręczył mi gen. Klimecki w jednej z poufnych rozmów, jakie wówczas ze mną prowadził).

Generał Sosnkowski nie uważał za możliwe, aby kupować stanowisko w wojsku za cenę kompromisu z sumieniem. Nigdy nie był zasadniczym przeciwnikiem umowy z Rosją, przeciwnie, chciał natomiast takiego układu, ujmującego w sposób niewątpliwy sprawę naszych granic wschodnich. Rozwój stosunków polsko-sowieckich po zawarciu umowy raczej pogłębił jego obawy, jakie żywił, głosując 25 lipca 1941 r. zgodnie ze swym sumieniem. Obecnie, stojąc na gruncie faktów dokonanych gotów był pracować nad wydobyciem z umowy możliwych korzyści i bronić naszych praw. Jak najgoręcej pragnął służyć Krajowi jako żołnierz.

Widzimy więc, że sprawa rozbijała się zawsze o żądaną deklarację. A gen. Sosnkowski nie chciał uznać swoich „błędów i wypaczeń w okresie minionym”.

Sprawy te znam chyba dokładnie. Byłem jednym z 2 oficerów, pozostawionych przy gen. Sosnkowskim w okresie pozbawienia go wszelkich funkcji. Ten gest generała Sikorskiego zachowuję do dziś we wdzięcznej pamięci.

Witold BABIŃSKI

Montreal, sierpień 1970

Adam CIOŁKOSZ

HISTORIOZOFIA — CZY MITOMANIA?

Zasadniczą tezę historiozofii Jędrzeja Giertycha („Kulisy powstania styczniowego”, Kurytyba 1965) jest teza, iż Polska była stale i z całą zawziętością zwalczana przez zachodnioeuropejskie podziemie antykatolickie: wolnomularskie, jakobińskie, węglarskie i socjalistyczne (marksowskie), „bo jest ona narodem katolickim, a oni chcą narody katolickie zniszczyć” (str. 406). Teza ta kłóci się z ustalonymi i nie podlegającymi dla historyków żadnej wątpliwości faktami, które mówią, że nigdy nie było jednolitego, jedną wolą i jedną ręką kierowanego podziemia w Europie: różne odłamy wolnomularstwa zwalczały się wzajemnie, węglarstwo zwalczało wolnomularzy, „Młoda Europa” zwalczała węglarzy, socjaliści zwalczali „Młodą Europę”; Mazzini zwalczał Marksa, a Marks zwalczał Proudhona; drogi Mazziniego, Garibaldiego i Cavoura czasem się rozchodziły a czasem zbiegały. Przypisywa-

ny podziemiu europejskiemu zamiar zniszczenia narodu polskiego z powodu jego katolickiego charakteru kłóci się też z bezsporną życzliwością i poparciem wszystkich odłamów tego podziemia dla dążeń narodu włoskiego do zjednoczenia państwowego, mimo że naród włoski ma charakter znacznie bardziej katolicki niż naród polski.

Wedle Giertycha, wszystkie powstania polskie, poczynając od kościuszkowskiego, leżały w interesie wrogów Polski (str. 202); powstanie styczniowe było dziełem podziemia rewolucyjnego, powiązanego z ruchem rewolucyjnym międzynarodowym; wyłoniło się z podziemnego ruchu organizacyjnego, który miał pochodzenie węglarskie, a w szczególności organizacja „czerwonych” wywodziła się z węglarstwa lub była z nim powiązana (str. 7, 34, 276, 277). Stąd też określa on obóz „czerwonych” po prostu jako obóz karbonariuszy (str. 57), zaś powstanie styczniowe — w każdym razie aż do dyktatury Traugutta — jako „węglarską ruchawkę” (str. 199). Wedle Giertycha, powstanie „było wywołane przez koła węglarskie, z zasady wrogie religii katolickiej” (str. 148), a dalej: „rola węglarzy zagranicznych, różnych Mazzinich i Garibaldiach, nie mówiąc już o Potiebnjach, Ogariowach i Herzenach, w fermentie politycznym z którego się powstanie wyłoniło, nie ulega wątpliwości” (str. 405). Istotnym sprawcą powstania miał być przy tym Bismarck: „że powstanie — pisze Giertych — wywołał Bismarck w interesie pruskim, jest tylko hipotezą; ale jest faktem niewątpliwym, że powstanie wywołać był on w stanie, bo miał w podziemiu konspiracyjnym dostateczne stosunki, oraz że był w wywołaniu powstania zainteresowany, gdyż odniósł z faktu powstania olbrzymią polityczną korzyść” (str. 405). Kontakty polskiego podziemia powstańczego w XIX wieku z Berlinem uznaje Giertych „za udowodnione” (str. 302) i buduje na tym tezę, że rząd pruski miał wpływ na politykę polskich organizacji powstańczych (str. 303), co więcej, że Bismarck „spowodował wybuch powstania styczniowego przez podsuniecie myśli zrobienia w tej właśnie chwili powstania polskim węglarzom” (str. 343). „Początkiem dowodu” jest dla Giertycha potajemne spotkanie Mazziniego z posłem pruskim we Florencji w roku 1870, chociaż skądinąd wiadomo, że spotkanie to nie dało żadnego rezultatu, Mazzini nie chciał współpracy z Bismarckiem, a co najważniejsze — spotkanie miało miejsce w siedem lat po powstaniu styczniowym. Metoda operowania hipotezami bez troski o ich sprawdzenie a przynajmniej uprawdopodobnienie prowadzi Giertycha do rozumowań karkołomnych, w których przesłanki są błędne, a więc i wniosek musi być błędny, jak np.: „Jeżeli organizacja węglarska polska miała udowodnione stosunki z rządem pruskim w latach 1833-1839, a Mazzini i węglarze włoscy w latach co najmniej 1867-1870, nic nie stoi na przeszkodzie przypuszczeniu, że mogli takie stosunki mieć także i wywodzący się z węglarzy polscy 'czerwoni' w latach 1862-1863” (str. 278), albo: „Jeśli Bismarck miał w zanadru posunięcie w postaci poszukania kontaktu z Polakami,

porozmawiania z nimi osobiście i namówienia ich na coś — to należy przypuszczać, że posunięcia tego użył nie raz tylko jeden. Jeśli mógł rozmawiać z Kłobukowskim, jeśli mógł szukać go tak natarczywie i odbyć z nim tak poufale konferencje — to możemy przyjąć, że zapewne rozmawiał i z innymi... Kłobukowski, Czartoryski i towarzysze, to byli 'biali'. A jeśli Bismarck miał kontakt także i z 'czerwonymi'? Może 'czerwoni' byli jeszcze dyskretniejsi? W takim razie nie mamy się co dziwić, że sekrety takiego kontaktu nie stały się nam wiadome także i po upływie lat stu" (str. 324-325). Na takiej kanwie można wyszywać najbardziej fantastyczne wzory, czego tylko dusza zapagnie.

Powróćmy jednak do Mazziniego. Giertych utrzymuje, że jeszcze w roku 1870 był on „wodzem węglarskiego podziemia” (str. 274). W rzeczywistości wodzem węglarskiego podziemia (charbonerie démocratique universelle) był Filip Buonarroti; z chwilą jego zgonu w roku 1837 węglarstwo wygasło. Mazzini rozstał się z węglarstwem jeszcze w roku 1833, po czym w roku 1834 założył stowarzyszenie Młodej Europy, które przetrąciło węglarstwu stos pacierzowy. Polskie węglarstwo przestało istnieć w roku 1835. Wedle Giertycha, ludźmi Mazziniego wśród Polaków mieli być Ludwik Mierosławski, Stefan Bobrowski, Zygmunt Padlewski. W rzeczywistości bliscy Mazziniemu byli wśród Polaków niejpierw Stanisław Worcell, potem — Ludwik Bulewski. Niesłusznie tedy dziwi się Giertych (str. 280), że nie znajduje nazwisk Mierosławskiego, Zaliwskiego, Lelewela ani większości innych Polaków w literaturze angielskiej, włoskiej i francuskiej, poświęconej Mazziniemu i węglarstwu. Zdumiewać też musi u Giertycha postawienie obok siebie nazwisk Mierosławskiego, Bobrowskiego i Padlewskiego, tak bowiem Bobrowski jak i Padlewski odnosili się nad wyraz krytycznie do Mierosławskiego, którego poznali w Paryżu. O Mierosławskim pisze Giertych: „był to człowiek ponad wszelką wątpliwość związany z ruchem węglarskim” (str. 277), był też „bliskim przyjacielem i stronnikiem” Mazziniego (str. 278). W rzeczywistości Mierosławski był węglarzem za młodu; w latach 1834-1836 był Mazziniemu pomocny w rozbijaniu węglarstwa na terenie francuskim i zakładaniu w to miejsce Młodej Francji; później jednak był skłócony z Mazzinim i jego przyjaciółmi z Centralnego Komitetu Demokracji Europejskiej, który miał oblicze antybonapartystowskie, podczas gdy Mierosławski był bonapartystą; zbliżył się ponownie do Mazziniego w czasie wojny krymskiej w roku 1855; w okresie powstania styczniowego, ale już po jego wybuchu, gdy został mianowany organizatorem generalnym wojska polskiego poza granicami zaboru moskiewskiego, usiłował uzyskać pomoc Mazziniego w bardzo ograniczonym zakresie technicznym, lecz gdy Mazzini chciał go zjednać sobie dla swej strategii politycznej, tym razem Mierosławski nie chciał porozumienia. Sam zresztą Mierosławski w swej pracy „Dyktatura Ludwika Mierosławskiego” wyraża się o węglarstwie pejoratywnie, drwiąco, niemal obelżywie, gdyż nazywa Komitet

Centralny Narodowy „samozwańczą karbonarią” (Pamiętnik Mirosławskiego, Warszawa 1924, str. 190), nie mógł więc być — jak twierdzi Giertych — „ponad wszelką wątpliwość związanym z ruchem węglarskim”. O Bobrowskim utrzymuje Giertych, że podróżował w sześciokacie Paryż - Londyn - Włochy - Wołoszczyzna - Kijów - Warszawa i zapytuje: „Z kim się widział? Czy tylko z Mazzinim, Garibaldim, Kossuthem, oraz działaczami polskimi?” (str. 267, 274). Jak się zdaje, Giertych daje do poznania, że Bobrowski spotkał się albo z samym Palmerstonem albo z jego agentami. W rzeczywistości Bobrowski nie podróżował ani do Włoch ani do Londynu i nie widział się ani z Mazzinim ani z Garibaldim ani z Kossuthem, ani też z agentami Foreign Office’u. Podobnie tajemniczo pisze Giertych o Padlewskim: „Kto mógł za nim stać? Stały za nim międzynarodowe organizacje rewolucyjne... fama głosi, że powstanie wywołał Mazzini. Może to on stał za Padlewskim. Mazzini był genueńczykiem, mieszkał w Szwajcarii, a często bywał i w Londynie. Może się Padlewski z nim widział? Ale jeśli tak, to w czym interesie Mazzini działał?” (str. 267). Wszystkie zapytania — zbyteczne, gdyż dotyczą spraw od dawna wyswietlonych. Mazzini działał w interesie zjednoczenia narodu włoskiego w jednolitej republice włoskiej z Rzymem jako stolicą i w interesie powszechnej republikańskiej rewolucji europejskiej, w której nadejście wierzył i nad którą pracował: mieszkał w Londynie, skąd czasami i na krótko wyjeżdżał do Szwajcarii lub do Włoch; Padlewski widział się z nim w Londynie i usłyszał od niego, że uważa powstanie za przedwczesne i że należy jego wybuch odroczyć. Także Marian Langiewicz — wedle Giertycha — „był to niewątpliwie członek międzynarodowego ruchu rewolucyjnego, prawdopodobnie węglarz” (str. 348). Tu może Giertych najbliższy jest prawdy: w roku 1865 Langiewicz zetknął się w Londynie z Mazzinim, w roku 1867 przystąpił do Ogniska Rewolucyjnego Polskiego, było to jednak już po upadku powstania styczniowego; węglarzem nigdy nie był. Szczególnego posmaku nadaje wywodom Giertycha twierdzenie, że przekształcenie węglarskiej ruchawki „w wojnę cywilizowaną, prowadzoną po europejsku i chrześcijańsku” jest zasługą Traugutta i że stąd Traugutt należy „do naszych dziejów bohaterskich i chrześcijańskich” (str. 199). W rzeczywistości Traugutt nadał powstaniu nową orientację międzynarodową i zawarł umowy z kołami węgierskimi i włoskimi, które Giertych z reguły określa jako węglarskie.

Giertychowi chodzi wszakże nietyle o Mazziniego i o węglarstwo, ile o uprawdopodobnienie związków, łączących rzekomo „czerwonych” z Bismarckiem. Pisze więc: „W sposób najnaturalniejszy narzuca się myśl, że — pośrednio albo bezpośrednio — mógł na Padlewskiego wywrzeć wpływ rząd pruski” (str. 267), a w szczególności Bismarck, który w okresie od maja do września 1862 roku był posłem pruskim w Paryżu. Niezależnie od poszlak, prowadzących jakoby do Padlewskiego, Bobrowskiego i Langiewicza, nawiązuje Giertych do rozmowy hr. Ksawerego Branickiego

i ks. Marcelego Lubomirskiego z Bismarckiem w Paryżu w roku 1862, zalicza ich obu do węglarzy i na tej podstawie uznaje za stwierdzony fakt, że Bismarck rozmawiał z delegatami polskich węglarzy. Dalej zaś: „I nic nie stoi na przeszkodzie hipotezie, że coś z tej rozmowy wyniknęło. I że 'coś' miało związek z powstaniem styczniowym, które wybuchło około pół roku później” (str. 311-312). W rzeczywistości i Branicki i Lubomirski byli bonapartystami, związanymi z masonerią a nie z nieistniejącym już od dawna węglarstwem; nie byli też stronnikami „czerwonych”; co najważniejsze, ich rozmowa z Bismarckiem jest domysłem, nie znajdującym nigdzie potwierdzenia. W oparciu o tak kruche podstawy formułuje Giertych swą tezę, że Bismarck namówił „czerwonych” na powstanie (str. 327). Dodatkowym dowodem ma być prowokacja von Baerensprunga z roku 1858 i wyjazd Henryka Abichta z ramienia Gromady Rewolucyjnej Londyn do Paryża, a potem do pracy konspiracyjnej w Warszawie (Abicht zginął na szubienicy 12 czerwca 1863 roku). „I oto — pisze Giertych — wiemy, że w roku 1858 człowiek ten był w kontakcie z agentami pruskimi i dał się im użyć za narzędzie prowokacji. Jakżé mamy dowód, że w ciągu pięciu lat dojrzał, że lepiej rolę Prus zrozumiał i przestał się z Prusakami zadawać?” Sprawa Abichta — wciąż wedle Giertycha — potwierdza „tezę, że polska organizacja węglarska w XIX wieku, z której się wyłoniło stronnictwo 'czerwonych' ery powstania styczniowego, była w stosunkach z władzami pruskimi” (str. 287). W rzeczywistości „czerwoni” nie wywodzili się ani z węglarstwa ani z Gromady Rewolucyjnej Londyn, byli zupełnie nowym tworem, uformowanym na polskiej ziemi, zaś Abicht nie zadawał się z Prusakami, lecz z rzekomym Głównym Komitetem Rewolucyjnym w Poznaniu, nieświadomy tego, że komitet ten jest fikcją i tworem pruskiej policji; celem prowokacji nie było zresztą wywołanie powstania w Polsce pod zaborem rosyjskim, lecz przedstawienie rządowi i regentowi pruskiemu Wielkiego Księstwa Poznańskiego jako gniazda rewolucyjnych dążeń i skłonienie ich do zachowania w Księstwie systemu biurokratycznego absolutyzmu; dodajmy też, że rola Abichta w ruchu „czerwonych” była zgoła podrzędna. Co do dwóch rozmów Kłobukowskiego z Bismarckiem w roku 1863, sprawę tę ostatecznie wyjaśnił Józef Feldman w swej pracy „Negocjacja Aleksandra Kłobukowskiego w Berlinie w latach 1863/4”, „Kwartalnik Historyczny”, rocznik XLVII, tom I, zeszyt 2, Lwów 1933, str. 183-211. Dokumentacja, ogłoszona w II tomie wielkiej pracy Adama Lewaka „Polska działalność dyplomatyczna 1863-1864”, Warszawa 1963, potwierdza w całej rozciągłości interpretację Feldmana. Należy przy tym zaznaczyć, że Kłobukowski był powiązany z „białymi” i że negocjacja miała miejsce grubo po wybuchu powstania, nie mogła więc do niego prowadzić. Wreszcie, Giertych uważa zamach Berezowskiego na cara Aleksandra II w Paryżu w roku 1867 za „potężny argument, potwierdzający hipotezę, że także i powstanie styczniowe, tak do sprawy

Berezowskiego istotą swoją podobne, było dziełem inspiracji Bismarcka" (str. 342). W rzeczywistości zamach Berezowskiego nie był w niczym podobny do powstania styczniowego, nie był też dziełem inspiracji Bismarcka, prawdą jest jedynie, że o zamierzonym zamachu wiedziała policja pruska, a od niej Bismarck.

Mylne są końcowe wnioski książki Giertycha, jakoby powstanie styczniowe było wielkim błędem i nie należało go robić oraz jakoby solidarność zaborców utrwaliła się przez powstanie na pół wieku, zaś odbudowa Polski zjednoczonej i niepodległej została odroczone o wiele lat — być może o pół wieku (str. 405). W rzeczywistości, odpowiedzialność za powstanie styczniowe obciąża carat, zaś solidarność zaborców rozpadła się ostatecznie w roku 1890 i to bynajmniej nie przez Polskę i o Polskę. Bezpodstawne jest też twierdzenie Giertycha: „Gdyby nie powstanie styczniowe, które ewolucję wydarzeń zwichnęło, wojna dwudziestego wieku, która dała Polsce niepodległość, wojna, w której po jednej stronie stały mocarstwa niemieckie, a po drugiej Francja, Rosja i Włochy byłaby wybuchła prawie o pół wieku wcześniej, z podobnymi rezultatami dla Polski, a z o wiele mniej klęskowymi konsekwencjami dla Europy i świata" (str. 41). „Ogólne dzieje Europy — utrzymuje Giertych — potoczyły się w wyniku tego powstania w złym kierunku" (str. 52). W wyniku tego powstania, czy też w wyniku rozbiorów Polski?

Wedle Giertycha, ostatecznym wynikiem powstania styczniowego było „zwięstwo rosyjskie w Królestwie, wylane morze polskiej krwi, unicestwienie sprawy polskiej, przyjaźń prusko-rosyjska, klęska polityki francuskiej, osamotnienie Austrii, wojny 1864, 1866, 1870/71 roku i utworzenie cesarstwa niemieckiego pod egidą pruską" (str. 322). Da się o tym wszystkim powiedzieć: *post hoc, ergo propter hoc*, po tym, a więc wskutek tego — lecz rozumowanie Giertycha, wedle którego wcześniejsze wydarzenie historyczne jest konieczną przyczyną wydarzenia późniejszego, jest błędne. Pod jednym tylko względem można mu przyznać rację, a mianowicie gdy zalicza do pośrednich skutków powstania styczniowego także i klęskę Rosji (str. 50, 145). Ale i tutaj należałoby raczej mówić o pośrednich następstwach rozbiorów. Wina była caratu i ostateczna klęska była caratu. Nie mamy nad czym ubolewać.

Adam CIOŁKOSZ

Piotr WANDYCZ

PSEUDO-HISTORIA

Pokój Ryski nie doczekał się jeszcze naukowego opracowania. Poza fascynującą książką-pamiętnikiem Jana Dąbskiego nie mamy dotąd źródłowej monografii w żadnym języku. Oczywiście zagadnienia związane z pokojem ryskim i wojną polsko-sowiecką były przedmiotem szeregu rozpraw. O ile mi wiadomo istnieją dwie prace doktorskie poświęcone traktatowi i konferencji ryskiej, jedna pióra Stanisława Dąbrowskiego w Ameryce, druga Jerzego Kumanieckiego w Polsce. Nie wiadomo jednak czy i kiedy ukażą się one drukiem. Tym większe więc zainteresowanie musi budzić wydanie w 1969 roku w Moskwie pracy pod tytułem *Riżskij Mir: Iz istorii borby sowetskogo pravitelstwa za ustanowlenie mirnych odnoszenij s Polszej* (koniec 1918 - mart 1921 g.). Autorem tej rozprawy jest Prochor N. Olszanski, a wydawcą Instytut Słowianowedenija i Bałkanistiki Akademii Nauk SSSR.

Nazwisko autora niewiele mi mówi. Figuruje on jako zastępca redaktora sowieckiego wielotomowego wydawnictwa *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich* i według opinii osób lepiej ode mnie zorientowanych w *dramatis personae* jego dotychczasowe osiągnięcia były raczej na szczeblach aparatu partyjnego niż na polu naukowym. Jedyne jego artykuły, jaki czytałem to praca „Od Preliminarjów pokojowych do Traktatu Pokojowego” (12 październik 1920 - 18 marca 1921) w *Z Dziejów Stosunków Polsko-Radzieckich*, tom III (1968), str. 97-117. Artykuł ten, który stanowił zapewne pewnego rodzaju prolog do książki a być może i kartę wizytową dla czytelnika polskiego, nie odbiegał od szablonowych i dość tendencyjnych ujęć z jakimi

można się spotykać w historiografii sowieckiej. Rewelacji żadnych nie przyniósł. Mimo to dwustustronicowa książka wydana w Moskwie mogła oczywiście przynieść więcej materiału, zwłaszcza archiwalnego i rzucić pewne światło na kulisy polityki sowieckiej wobec Polski. Archiwalia rosyjskie dotyczące lat 1918-1921 zawierają niewątpliwie dokumenty, które pozwoliłyby nam zrozumieć lepiej wiele posunięć dyplomatycznych i wojskowych Moskwy. Wielotomowe *Dokumenty i Materiały do Historii Stosunków Polsko-Radzieckich* dały trochę nowych rosyjskich dokumentów. Piąte wydanie *Dzieł Lenina* zawiera pewną ilość niepublikowanych wcześniej materiałów. Fascynującą wymianę telegramów między Leninem a Unszlichtem w sprawie wejścia Armii Czerwonej na terytorium „etnicznej Polski” podał Artur Leinwand w swej pracy o PPS i wojnie polsko-sowieckiej.

Wszystko to są jednak tylko fragmenty. Wiadomo, że istnieje diariusz Marchlewskiego. Ponoć kopia jego jest w archiwum Zakładu Historii Partii. Z zachowanych w archiwum Trockiego dokumentów (w Harvardzie) widać jak szczegółowo omawiano zagadnienia Polski w politbiurze i WCIKu. Trudno przypuścić, aby nie zachowały się raporty Joffego z Rygi lub rosyjskie protokoły zebrań. Z tych wszystkich względów można się było spodziewać, że niezależnie od interpretacji, Olszanskij przedstawi nam choćby ułamkową część archiwaliów sowieckich. Niestety czytelnika spotyka zupełne rozczarowanie. Autor wykorzystał pewną ilość archiwów polskich (choć nie cytuje nigdzie diariusza Kossakowskiego i wspomnień Osmałowskiego), ale nie wprowadził prawie zupełnie bazy źródłowej sowieckiej (z diariuszem Marchlewskiego włącznie). W całym tomie mamy 7 czy 8 odsyłaczy powołujących się na archiwa sowieckie. W większości wypadków dotyczą one drugorzędnych spraw lub szczegółików, które w najlepszym razie mogą wypełnić mało ważne luki. Podobnie rzecz się ma z literaturą przedmiotu, którą autor omawia we wstępie. Widzimy od razu, że Olszanskij ignoruje szereg istotnych pozycji polskich lub zagranicznych a także wczesne opracowania sowieckie, które odznaczały się dużo większą rzetelnością niż późniejsze prace pisane na zamówienie partyjne.

W tych warunkach jest oczywiste, iż praca Olszańskiego nie może pretendować do pozycji poważnej naukowej monografii o pokoju ryskim. Czy wobec tego zasługuje ona w ogóle na omówienie? Wydaje mi się, że tak, a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze, czytelnik polski będzie niewątpliwie zainteresowany w jaki sposób historyk sowiecki przedstawia stosunki polsko-rosyjskie w kluczowych latach 1918-1921, nawet jeśli przyjmiemy, że Olszanskij nie jest typowym przedstawicielem sowieckiej nauki

i stoi na dość niskim poziomie intelektualnym. Po drugie, książka ta będzie niewątpliwie ciekawą lekturą dla tak zwanych „sowie-tologów” gdyż daje pewien obraz istniejących kanonów w so-wieckiej historiografii Anno Domini 1969, choćby nawet w inter-pretacji partyjnego aparaczyka. Widziana pod tym kątem, praca Olszanskiego zasługuje na to, aby ją uważnie przeczytać.

Całość składa się z czterech rozdziałów: 1) sowiecko-polskie stosunki 1918-1919; 2) wojna burżuazyjnej Polski przeciw so-wieckim republikom w 1920 r.; 3) rokowania pokojowe i podpi-sanie preliminarzów pokojowych; 4) walka rządu sowieckiego, partii komunistycznej i ludu o zawarcie ostatecznego pokoju z Polską. Pierwsze dwa rozdziały stanowią trochę mniej niż połowę tomu — za dużo jak na tło, za mało jak na wyczerpującą analizę tego okresu. Teza całego tomu jest jeszcze jednym powtó-rzeniem obowiązującej interpretacji, a mianowicie okres ten, to walka klasowa pomiędzy światem imperializmu i „pierwszym w świecie państwem robotników i chłopów”. Polska jest narzędziem Ententy, z tym, że Olszanskij idąc śladem historyków sowieckich okresu Zimnej Wojny, podkreśla ważną rolę USA w antysowiec-kiej interwencji.

W obrazie Polski przed listopadem 1918 roku czołowe miejsca zajmują oczywiście SDKPiL i PPS-Lewica. Autor prześlizguje się nad zagadnieniem trzech polskich korpusów w Rosji i upraszcza sprawę stosunków Moskwy z reprezentacją Rady Regencyjnej. Według autora Piłsudski powraca do Polski z początkiem paź-dziernika (sic! str. 14). Jest on zagorzałym zwolennikiem syste-mu kapitalistyczno-obszarniczego a Piłsudzczy to wcielenie reak-cji i imperializmu. Polska jest „wrotami na wschód” — autor nie wspomina, że dla bolszewików była wówczas głównie wrotami na zachód — i Ententa stara się ją wciągać do swych planów interwencyjnych, między innymi za pośrednictwem wojennej mi-sji gen. Niessela. Jak wiadomo misja taka w ogóle nie istniała, a gen. Niessel był członkiem misji sojuszniczej Noulensa. W prze-ciwieństwie do Polski, Rosja sowiecka jest jedynie zainteresowa-na dobrymi stosunkami z Polską, współpracą gospodarczą i odda-niem Polsce dzieł sztuki, wywiezionych przez rząd carski. O aresztowaniu polskiej misji dyplomatycznej w Rosji, zajęciu jej budynków i całym konflikcie, który powstał dookoła tej sprawy, Olszanskij milczy.

Z opisu zajęcia Wilna przez Czerwoną Armię w 1919 roku dowiadujemy się, że polskie oddziały samoobrony zostały usu-nięte przez powstanie ludu litewskiego przy poparciu nadbiegłej na pomoc Armii Czerwonej. Czytelnik na próżno szukałby infor-macji o działalności komunistów polskich na Litwie, ich ambit-

nych planach, związanych z zachodnią dywizją, lub o istotnych powodach powstania tzw. Litbel (sowiecka republika litewsko-białoruska) o której można się wiele dowiedzieć właśnie ze źródłowych opracowań sowieckich historyków. Rokowania w Białowieży i Mikaszewiczach zostały solidnie przepracowane przez historyków polskich w kraju i na emigracji, ale czytelnik „Ryskiego Pokoju” będzie miał duże trudności, aby się domyślić, że sprawa Denikina zajmowała chyba główne miejsce w ówczesnym, krótkotrwałym zbliżeniu polsko-sowieckim. Podobnie według książki Olszanskiego nie było wspólnej polsko-łotewskiej akcji zbrojnej ukoronowanej zdobyciem Dźwińska (Dynaburga). Autor zaawansował Bułak-Bałachowicza na carskiego generała, którym nigdy nie był, ale to jeszcze najmniejsze z jego licznych poślizgnięć. Dużo istotniejsze jest zagadnienie czy na przełomie 1919-1920 Rosja sowiecka rzeczywiście przygotowywała się do konferencji pokojowej z Polską? Zdania są podzielone i argumentem za pokojową polityką Kremla byłoby wskazanie na przygotowane warunki pokojowych, wyznaczenie delegacji do rozmów itp. Polska, której zarzuca się i częściowo słusznie, że traktowała konferencję borysowską z dużym sceptycyzmem, mimo wszystko przygotowała i delegację i warunki pokojowe. Chyba Olszanskij zdał sobie sprawę z tego, że powołanie się na niepublikowane dokumenty sowieckie świadczące o realnych przygotowaniach pokojowych znacznie wzmocniłyby jego interpretację. Jednakże, albo takich dokumentów nie ma, albo są one zbyt kompromitujące dla Rosji aby można się na nie powoływać. Pozostają więc jedynie gołosłowne zapewnienia o szczerości intencji Lenina i Czi-czerina.

Przedstawiając początek kampanii kijowskiej autor nie wspomina ani słowem o fascynującej dyskusji, która toczyła się na łamach sowieckiej prasy na temat czy wojna ta jest klasową czy narodową. Ta druga interpretacja miała poważnych zwolenników i fala nacjonalizmu, na której wypłynął gen. Brusilow (oczywiście nazwisko jego nie jest wspomniane w książce) była realnym czynnikiem, który niepokoił Lenina i Trockiego. W tej części książki autor doprowadza swe tendencyjne interpretacje do szczytu absurdu. Dezercja w wojsku sowieckim nie istniała — choć były wydawane rozkazy wojskowe i partyjne i pisała o niej prasa — ale oczywiście przyjmowała ogromne rozmiary w wojsku polskim i to rzecz jasna pod wpływem polskich komunistów, którzy wydają się w tej książce tak wszechwładni, że aż trudno zrozumieć, że nie przeprowadzili rewolucji na własną rękę. Olszanskij żongluje nazwiskami i cytatami, jak na przykład w wypadku Żeromskiego, insynuując, że podpisał on protest przeciw wojnie

z Rosją i popierał inwazję armii czerwonej. Ponieważ autor wspomina zbiór *Inter Arma* byłoby wskazane, aby czytelnik przeczytał z tegoż właśnie zbioru „Na plebanii w Wyszkowie” (*Zeszyty Historyczne*, 1969) aby się zorientować jakie było wówczas stanowisko Żeromskiego.

Autor pomija dyskretnie sprawę „oswobodzenia” Białorusi w 1920 roku, gdyż musiałby pisać trochę więcej o warunkach w jakich się ono odbywało i w jak bezceremonialny sposób bolszewicy traktowali Białoruś. I znów mamy trochę pośliznięć faktograficznych. Patek nie był już ministrem spraw zagranicznych, kiedy przewodniczył polskiej delegacji w Spa (str. 66), a rząd Grabskiego powstał 23 czerwca a nie 23 lipca (str. 64). Być może, że ten ostatni błąd jest typu drukarskiego. Ponieważ Olszanskij robi w swej książce wszystko, aby nie przyznać, że inwazja „etnicznej Polski” była błędem, co przyznali Lenin, Trocki, Dzierżyński i inni, musi więc konstruować logiczną (na pozór) argumentację przemawiającą za koniecznością inwazji. A więc chodziło: 1) o zmuszenie burżuazyjno-obszarniczego rządu polskiego do podpisania pokoju (tezę tę sformułował chyba pierwszy Marchlewski po klęsce pod Warszawą), 2) o względy strategiczne, 3) o poparcie ruchu rewolucyjnego w Polsce (który w opisach Olszanskiego wypadł rzeczywiście imponująco), 4) danie pomocy rewolucji niemieckiej. Trudno w krótkiej recenzji przeprowadzać analizę tych wszystkich punktów, ale można stwierdzić na podstawie ówczesnych rozkazów, decyzji i proklamacji sowieckich, że Olszanskij częściowo tworzy tłumaczenie *ex post*. Nie jest też chyba przypadkiem, że w jego książce nie znajdziemy żadnego z „bojowych” rozkazów Trockiego czy Tuchaczewskiego, a słynny slogan Armii Czerwonej „dajosz Warszawu” nie jest nigdzie wspomniany.

A jak pogodzić zapewnienia Olszanskiego o dobrej woli Sowietów i chęci zawarcia pokoju w lipcu 1920 roku z dyrektywami partii z 21 lipca, które stwierdzały, że nie jest wskazane otwarcie mówić o tym, że pokój jest możliwy jedynie z sowiecką Polską? (podaje to sowiecki historyk Susłow). Jedyne wyjście to przemilczeć to co nie zgadza się z tezami autora i tu trzeba przyznać, że Olszanskij robi co może, choć nie zawsze zręcznie i przekonywująco. Zbyt dużo na przykład było mowy, wówczas i później o sowiecko-niemieckich intrygach w lecie 1920 roku (publicznie mówił o nich nawet Martow), żeby kompletne zignorowanie ich przez autora mogło wzbudzać zaufanie do jego rzetelności jako historyka. Na ogół jednak Olszanskij operuje półprawdami. Pisząc o przeciąganiu pierwszych rozmów związanych z zawieszeniem broni, podaje datę 30 lipca proponowaną rzekomo

przez gen. Rozwadowskiego, chociaż nawet *Dokumenty i materiały do stosunków polsko-radzieckich* podają oryginalny tekst radiotelegramu, który zawiera datę 25-go. Ponoć radio moskiewskie odbierając cały tekst prawidłowo pomyliło się tylko co do daty zmieniając ją na 30-go. Ponieważ jest to fakt przyjęty oficjalnie przez polskich i sowieckich historyków, Olszanskij dopuszcza się w gruncie rzeczy fałszerstwa ograniczając się do podania jednej, wygodniejszej dla niego daty. Podobnie w swej krytyce strony polskiej, upierającej się aby nie łączyć sprawy zawieszenia broni z traktatem pokojowym, autor pomija fakt, że nie kto inny jak Kamieniew zapewniał wówczas Lloyd George'a, że Rosja nie zamierza łączyć tych dwóch spraw. Insynuując jakoby przyjęcie przez Lloyd George'a propozycji Kamieniewa skłoniło rząd polski do nawiązania kontaktu z Moskwą, Olszanskij musi żonglować datami, gdyż radiogram nadano 5 sierpnia a Lloyd George aprobował propozycje rosyjskie pięć dni później.

W swych dwóch ostatnich rozdziałach, autor przechodzi do rokowań pokojowych, które sądząc z tytułu powinny być głównym jego wkładem do historiografii okresu. W tej części jednak również roi się od niedomówień, opuszczeń i dość swoistych interpretacji. Ponieważ autor wybiera ze wspomnień Dąbskiego to co mu jest potrzebne a nie wnosi nowych elementów w oparciu o bazę źródłową rosyjską, trudno się dziwić, że wśród jego źródeł poczesne miejsce zajmują... *Prawda* i *Izwiestia*. Podpisanie umowy przez polskich i sowieckich przedstawicieli w nocy 11 sierpnia w sprawie spotkania w Mińsku 14-go, w ogóle nie figuruje w książce. Olszanskij sugeruje, że data wyjazdu polskiej delegacji była synchronizowana z planem bitwy warszawskiej, ale zapomina dodać, że plan sowiecki przewidywał zajęcie Warszawy 16 sierpnia. Jakie konkretne instrukcje dawał Lenin sowieckiemu delegatowi w Mińsku, Daniszewskiemu? Co mówiono na ten temat w Politbiurze? Autor „Pokoju ryskiego” nie ma na ten temat nic do powiedzenia, a co więcej nie cytuje publikowanych depeš Lenina do Daniszewskiego, Cziczerina i Stalina.

Opis bitwy pod Warszawą bije rekordy swym eufemizmem. Bitwa, którą Lenin nazwał w parę miesięcy później „bardzo ciężką klęską”, a Krestinskij określił jako *razgrom*, wychodzi u Olszanskiego tak blado, że nie jest od razu jasne kto ją wygrał a kto przegrał. Ale mamy tu i inne nie pozbawione pikanterii momenty, na przykład, kiedy autor wskazuje na winowajcę porażki. W klasycznych sowieckich opisach (od zlikwidowania Tuchaczewskiego aż do jego rehabilitacji przed kilkoma laty) nie było żadnych wątpliwości: Tuchaczewskij był autorem klęski. Przez krótki czas, kiedy ujawniono oficjalnie fakt, że Stalin sprze-

ciwił się użyciu armii Budiennego pod Warszawą i zignorował rozkaz Tuchaczewskiego i Gławkomu, wina Stalina zdawała się oczywista. Według książki Olszanskiego — uwaga „sowieciolodzy” — winę za klęskę pod Warszawą ponosi Wrangel, który przez zaktywizowanie swego frontu odciągnął siły sowieckie z zachodu. O Stalinie u Olszanskiego głucho.

Konferencja pokojowa w Mińsku przedstawiona jest niekompletnie i w wielu wypadkach nieściśle. Autor prześlizguje się po sprawie braku pełnomocnictw polskich do rokowań z Ukrainą sowiecką, a szkoda. Jak Zatonskij przyznał w 1921 r. stosunek prawny między Rosją a Ukrainą nie był wówczas jasny nawet dla czołowych działaczy komunistycznych Ukrainy. Podając słynne sowieckie warunki pokojowe z sierpnia 1920 roku, autor pisze, że strefa neutralna znaleźć się miała pod polskim zarządem. W rzeczywistości miały funkcjonować tam polskie władze cywilne, komisja mieszana i komisja związków zawodowych. O żądaniu sowieckim uzyskania kontroli nad linią kolejową Wołkowysk-Białystok-Grajewo autor dyskretnie milczy. Wspomina o tym dopiero później, mimochodem, starając się tę sprawę zbagatelizować. Pomimo późniejszych oskarżeń pod adresem Polski w Rydze, że spowodowała iż rozejm wszedł w życie dopiero po podpisaniu preliminarium, Olszanskij zdaje się uważać za rzecz normalną, iż Sowiety żądały w Mińsku, aby operacje wojskowe zakończyły się w 72 godziny (a więc trzy dni!) po podpisaniu zawieszenia broni. Stosowanie podwójnego kryterium w stosunku do Rosji sowieckiej i Polski jest typowe dla całej książki.

Olszanskij pisze o rozkazie Tuchaczewskiego i Smilgi, który oskarżał polską delegację pokojową o szpiegostwo, starając się go jak gdyby usprawiedliwić. Na wszelki jednak wypadek nie podaje pełnego tekstu rozkazu, gdyż to skomplikowałoby mu znacznie jego obronę. O spotkaniu w Mińsku pomiędzy Radkiem, Smidowiczem, Barlickim, Perlem, Kiernikiem i Altbergiem, które miało duże znaczenie dla późniejszego rozwoju negocjacji, autor w ogóle nie wspomina. Za to pisze, że Polacy zerwali rokowania w Mińsku, przecząc tym samym oficjalnej ówczesnej tezie p.o. przewodniczącego delegacji sowieckiej Smidowicza, który oświadczył, że przenosiny do Rygi wynikały jedynie ze względów technicznych.

Książka Olszanskiego roi się od propagandowych wypowiedzi, ale chyba występują one najjaskrawiej w rozdziale opisującym sytuację po bitwie warszawskiej. Pisząc o Rosji, autor kreśli obraz jak gdyby żywcem wyjęty z ulotki agitpropu. Mamy więc i bohaterską Armię Czerwoną walczącą o każdą piędź ziemi, wysiłek społeczeństwa sowieckiego pod przewodnictwem partii

i współdziałale polskich rewolucjonistów w Rosji, wołę zwycięstwa itp. Autor sugeruje, że jeńcy polscy w obozach bolszewickich uchwalali na swych wiecach prosowieckie rezolucje (źródłem jest *Izwiestia*) zapomina jednak dodać, co wiemy z innych opracowań sowieckich, że na przeszło 20.000 jeńców w Rosji tylko 123-ech udało się zwerbować do partii komunistycznej.

Przechodząc do konferencji ryskiej Olszanskij stosuje nadal swą metodę opuszczania rzeczy niewygodnych. Nie ma więc żadnych nowych danych o „burzliwych dyskusjach” w łonie WCIKu w trakcie uchwalania rezolucji pokojowej, którą Joffe przedstawił następnie w Rydze. O tle tej rezolucji wiemy znacznie więcej, choćby z rosyjskich źródeł, niż można znaleźć w pracy Olszanskiego. Za to autor uważa za niezbędne poinformować czytelnika szczegółowo o występie na IX Wszecchrosyjskiej Konferencji komunisty polskiego W. Ulmana (Ulianowskiego), który zapewniał zebranych że „z pomocą Rosji Sowieckiej my w Polsce rewolucję zrobimy” (str. 135). Widać jest to ważniejsze niż przedstawienie pierwszej rozmowy w Rydze Dąbskiego z Joffem, którą autor zignorował.

Tajne rokowania przewodniczących obu delegacji, które stanowiły istotny aspekt konferencji są opuszczone. Tej części książki Dąbskiego, zawierającej ciekawe wynurzenia Joffego, Olszanskij postanowił nie tykać. Jest to tym dziwniejsze, iż zachowały się raporty Dąbskiego do Warszawy, a więc wiemy dokładnie z przekazów źródłowych jak rozwijały się pertraktacje. W tych warunkach podpisanie protokołu Dąbski-Joffe 5 października i rokowania, które doprowadziły do podpisania preliminarium są potraktowane tak zdawkowo, że czytelnik nie może sobie zdać sprawy co działo się w Rydze w tych dniach. Preliminaria pokojowe w wersji Olszanskiego nie mówiły nic o Wilnie — *notabene* autor używa stale określenia „korytarz” kiedy pisze o Wileńszczyźnie — a układ o zawieszeniu broni widać nie zasługiwał na szersze omówienie. Anglo-francuski protest złożony w Warszawie 12 października w sprawie traktatu ryskiego i zajęcia Wilna nie został przez autora wspomniany. Natomiast mamy znów trochę wypowiedzi polskich, rosyjskich i zachodnich, dobranych tak, aby wykazać złą wołę Polski i Ententy a wielkoduszność i pokojowość Sowieców. Wszystko to brzmi bardzo niepoważnie.

Ostatnia faza rokowań ryskich znajduje się w podrozdziale zaopatrzonym zmiennym tytułem „Próby kół imperialistycznych zerwania preliminarium pokojowych”. Pomimo starannie wybranych cytatów z wypowiedzi Witosa i kół rządowych, Olszanskiemu nie udaje się wykazać, że ktokolwiek w Polsce dążył do zerwania preliminarium. Rzecz jasna, że preliminaria nie były po-

pularne w obozie belwederskim i wśród części kół rządowych i wojskowych. Ale zerwanie pokoju nie leżało w interesie Polski i wznawianie od czasu do czasu nastrojów wojennych traktowano jako straszak i środek presji na delegację sowiecką w Rydze. Wynika to zresztą jasno z jednego z nielicznych źródłowych przypisów Olszanskiego, a mianowicie raportu Joffego (str. 161). Starając się przeprowadzać swoje tezy, autor pomija interwencję Sapiehy — depesza do Cziczeryna i Rakowskiego żądająca przyspieszenia rokowań — nie wspomina o tajnych rozmowach Joffego z Dąbskim i upraszcza tendencyjnie sprawę wyprawy Sawinkowa-Peremykina-Bułał-Bałałowicza na Białoruś a Petlury na Ukrainę. Ponieważ jednak pokój został utrzymany, Olszanski musi wytłumaczyć dla czego tak się stało, no i dokonuje tego wyolbrzymiając akcję pokojową komunistów i proletariatu w Polsce.

Autor wykazuje zarówno złą wolę jak i ignorancję, gdy pisze o konwencji wojskowej polsko-francuskiej i początkach Małej Ententy. Ponieważ zależy mu na wykazaniu, że ostrze konwencji skierowane było przeciw Rosji sowieckiej zniekształca tekst artykułu drugiego, przez opuszczenie części zdania. Tekst mówi, że w wypadku wojny polsko-sowieckiej *„la France s'engage à agir tant sur terre que sur mer pour contribuer à assurer à la Pologne la sécurité vis-à-vis de l'Allemagne... comme aussi à l'aider dans sa défense contre l'armée des Soviets”*. Chodzi więc wyraźnie o sparaliżowanie ewentualnej akcji niemieckiej przeciw Polsce. Olszanski opuszcza fragment dotyczący Niemiec i wydaje się, że Francja zobowiązała się działać na lądzie i morzu przeciw Sowietom. Mała Entente „tworzona wysiłkami Francji” (według Olszanskiego) jest również ogniwem w systemie kordonu sanitarnego. Zarówno pierwsze jak i drugie twierdzenie jest niezgodne z prawdą.

Wiadomo, że sprawa plebiscytu na Górnym Śląsku była, jak to pisał Dąbski, zmorą dla polskiej delegacji w Rydze. Obawiano się, że przeciągnięcie rokowań pokojowych odbije się fatalnie na wynikach plebiscytowych i Joffe wykorzystywał to jako atut w pertraktacjach. W wersji Olszanskiego Piłsudczycy byli obojętni wobec plebiscytu — autor powołuje się na Arskiego, którego autorytet jako historyka jest więcej niż wątpliwy — i rzecz jasna nie wspomina o nastawieniu komunistów polskich do zagadnienia Górnego Śląska. Olszanski ma niełatwe zadanie, gdy musi pisać o tym, że delegacja sowiecka pomimo wielokrotnie ponawianych zapewnień o zwrocie Polsce zabytków, archiwów i dzieł sztuki, nastawała na to, aby nie oddawać zbiorów, które stanowiły „integralną część” kolekcji rosyjskich. Olszanski stara się

wykazać słuszność rosyjskiego rozumowania, ale nie bardzo mu się to udaje, zwłaszcza jeśli uświadomimy sobie trudności jakie Rosja robiła z oddawaniem na przykład arrasów wawelskich.

Autor powstrzymał się od ogólnej analizy i oceny traktatu ryskiego. Pisząc o podpisaniu tekstu nie wspomina o mowie Joffego, którą warto by tutaj przypomnieć. Joffe powiedział między innymi: (cytuję według polskiego przekładu u Dąbskiego) „pozwolę sobie z pełnym zadowoleniem podkreślić, że, nie bacząc na to, iż w okresie prowadzenia rokowań pokojowych rosyjsko-ukraińsko-polskich, te warunki międzynarodowe parokrotnie się zmieniły, w Rydze panowała niezmiennie atmosfera, sprzyjająca prowadzeniu rokowań i ułatwiająca nam możliwość dojścia do pomyślnego zakończenia”. A następnie; „podpisaliśmy pokój, całkowicie zaspakajający żywotne, sprawiedliwe i niezbędne interesy narodu polskiego”. I wreszcie: „Żaden z Traktatów Pokojowych, jakie były zawarte przez Rosję i Ukrainę, nie dopuszcza przygotowań do nowej wojny, ponieważ żaden z tych pokojów nie pozostawia nierozstrzygniętym żadnego zagadnienia, ani też nie rozstrzyga żadnego zagadnienia na zasadzie prostego stosunku sił, jak się to działo zawsze dawniej ze szkodą dla tych narodów, z którymi pokój był zawierany”.

W swym zakończeniu Olszanskij pisze o stosunkach polsko-sowieckich po podpisaniu traktatu i zbiera wszystkie argumenty, aby udowodnić, że Polska a nie Rosja nie dotrzymywała postanowień traktatowych i nie przestrzegała jego intencji. A więc: z winy polskiej wymiana posłów nastąpiła dopiero w parę miesięcy po podpisaniu pokoju, a „białogwardziści”, jak Sawinkow, zostali wydaleny z Polski jeszcze później. Polska prowokowała starcia graniczne, a jej polityka zgodnie z koncepcją bariery wschodniej była zdecydowanie antysowiecka. Polska robiła intrygi w krajach bałtyckich i wbrew postanowieniom traktatu przesła-dowała Ukraińców i Białorusinów. Ten akt oskarżenia, w którym można by znaleźć pewne ziarna prawdy, jest oczywiście nie na miejscu w pracy naukowej, która chce pretendować do jakiegokolwiek obiektywności. Brak tu bowiem drugiej strony medalu. Starcia graniczne, które zmusiły Polskę do stworzenia KOPu, były wielokrotnie prowokowane przez Rosję. Wobec polityki rosyjskiej na Ukrainie i Białorusi — czystek, głodów, niszczenia „kułaków” — można by się zapytać miarodajnych Ukraińców i Białorusinów czyje rządy przynosiły im większą szkodę. Zapewne polska polityka zagraniczna nacechowana była skrajną nieufnością do ZSSR, ale nie zapominajmy o polityce rosyjskiej, szukającej współpracy z Niemcami przeciw Polsce i jej etapach: współpraca wojskowa z Reichswehrą, Rapallo, sondáže w 1924 r.

zmierzające do wspólnego zepchnięcia Polski do jej „granic etnograficznych”, układ Ribbentrop-Mołotow, 17 września, nie mówiąc już o toaście Stalina na cześć nowego sojusznika Hitlera i zdaniu Mołotowa o likwidacji Polski „bękartu traktatu wersalskiego”. W najlepszym więc razie można przeprowadzać analizę błędów i nienawiści z obu stron, a nie ograniczać się do ataku na przedwojenną Rzeczpospolitą. Oczywiście że stosunki obu państw nie mogły się zbliżyć do ideału, którego życzyłyby sobie Olszanskij. Widać to w ostatnim zdaniu książki, gdzie autor pisze, iż „Wielostronna współpraca sowiecko-polska rozwinęła się w pełni dopiero po wprowadzeniu ustroju ludowo-demokratycznego w Polsce”. Komentarz jest tu chyba zbędny.

Jak wspominałem powyżej, książka Olszanskiego to interesujące studium dla „Sowiecologa”. Wiele sformułowań nie odbiega wprawdzie od obowiązujących prawideł, ale są intrygujące luki. Dotyczy to zwłaszcza ludzi, którzy ze strony sowieckiej odgrywali kluczową rolę w tym okresie. I tak autor wspomina Trockiego raz (oczywiście krytycznie). Radek figuruje tylko w związku z telegramem, który otrzymał od Lenina. Zatoński, przewodniczący rewkomu „Zachodniej Ukrainy” nie występuje w ogóle. A wreszcie — i to stanowi chyba *clou* książki — komisarz dla spraw narodowościowych, członek politbiura, członek wszystkich chyba najważniejszych instytucji sowieckich, a w dużej mierze główny winowajca klęski warszawskiej — Stalin — nie jest wspomniany ani razu i nazwiska jego nie ma nawet w skorowidzu. Fakt ten sam przez się czyni książkę Olszanskiego nieomal rewelacyjną.

Piotr WANDY CZ

LISTY DO REDAKCJI

Londyn, 11 grudnia 1970 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem dra S. W. Wojstomskiego (*Zeszyty Historyczne*, nr 17) proszę o zamieszczenie poniższych uwag¹.

a) Recenzja dra Wojstomskiego z książki doc. Johna Bradleya „Allied Intervention in Russia” nosi tytuł: „Weygand-Rozwadowski — 1920” (*Zeszyty Historyczne*, nr 15, str. 222-24). Rozważa ona w 3/4 objętości treść korespondencji gen. Rozwadowskiego z gen. Weygandem i pod takim godłem występuje w druku; w pozostałej 1/4 części podaje ogólne wnioski z jednego rozdziału studium o stosunku Polski do Rosji Sowieckiej i koalicji. Wśród nich recenzent zamieścił nieznacznie zmieniony cytat z obwoluty omawianej książki, który rzetelnie stwierdza, że autor „wykorzystał po raz pierwszy niedostępne dotąd archiwa i książka jego zawiera bogaty, zupełnie nieznan dotychczas materiał”. Do słów tych recenzent dodał jednak własny zwrot „o jej wielkiej wartości dla polskich pisarzy emigracyjnych”. W ten sposób połączył on niedostępność pewnych archiwów ze znaczeniem omawianej książki dla polskich pisarzy emigracyjnych. Bezpośrednio potem p. Wojstomski przystąpił do obszernych rozważań nad korespondencją gen. Weyganda z gen. Rozwadowskim. O żadnych innych dokumentach poza wymienionym zespołem akt nie ma w recenzji ani słowa, choć na to zasługiwałoby szerokie wyzyskanie źródeł przez doc. Bradleya. Tak więc p. Wojstomski — czy chciał, czy nie chciał — przez wyłączenie omówienia tek gen. Rozwadowskiego na tle odkrycia źródeł nieznanymi historykom a cennych dla pisarzy polskich, zespolił te pojęcia w jedno.

b) W odpowiedzi mojej na tę recenzję (*Zeszyty Historyczne*, nr 16, str. 231-233) stwierdziłem niezgodność odkrycia nowych dokumentów z rzeczywistością „w odniesieniu do korespondencji gen. Weyganda z gen. Rozwadowskim”, ponieważ całość jej z okresu 20. VII. - 12. VIII. 1920 została naukowo opracowana i wydana przed 1939, a następnie kilkakrotnie wyzyskana w studiach historycznych. Dodatkowo wyjaśniłem z przytoczeniem dowodów, że Mr Bradley wykazał wśród wielu wymienionych przeze mnie zalet — jedną wadę: „niejasność określania zagadnień wojskowych, a tymi właśnie zajął się p. Wojstomski powiększając jeszcze mgliste ujęcie pierwowzoru”.

c) Na to p. Wojstomski w *Zeszytach Historycznych*, nr 17 (str. 238) zarzucił mi nieopatrzone przeoczenie, iż uwaga jego o wykorzystaniu nieznanymi dotychczas materiałów nie dotyczyła korespondencji Weygand-Rozwa-

1. Opóźnienie druku obecnego listu nastąpiło wskutek przeszkód w funkcjonowaniu poczty.

dowski, ponieważ „Bradley zapoznał się z nią... w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku, którego archiwa nigdy nie były niedostępne”.

Muszę zauważyć, że taki sylogizm oparty na zrównaniu pojęć źródeł nieznanymi z niedostępnymi jest co najmniej dziwny w świecie historycznym. Do tych wywodów p. Wojstowski dodał pod moim adresem parę niewybrednych zwrotów, które niepochlebnie świadczą o jego kulturze naukowej.

d) W sprawie tłumaczenia tekstów wojskowych z języka angielskiego na polski i to na szczeblu strategicznym pozwałam sobie zauważyć, że dobry przekład wymaga przede wszystkim dokładnej znajomości tematu i jego źródeł oraz co najmniej terminologii wojskowej obu języków. Dr Wojstowski tych wartości w danej dziedzinie zupełnie nie posiada zastępując je wyzywającym słownictwem.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze wyrazy szczerego poważania,

Stanisław BIEGAŃSKI

Na tym dyskusję zamykamy (REDAKCJA)



Londyn, październik 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie zamierzam odpowiadać szczegółowo na rzeczową recenzję i słuszne na ogół zarzuty stawiane mojej książce przez Stanisława Sępa-Szarzyńskiego w jego artykule w *Zeszytach Historycznych* nr 18. Chcę jedynie wyjaśnić sprawy związane z listem do Prezydenta R.P. gdyż nie lubię wyrażenia „nieprawda”, i nigdy świadomie i celowo nie mijam się z prawdą.

Sęp-Szarzyński pisze, że nie było obozów karnych, że czterej oficerowie lotnictwa wysłani na wyspę Bute nie byli ukarani przez gen. Sikorskiego i że kary nałożył dopiero sąd polowy w sierpniu 1943 r., już za urzędowania gen. Sosnkowskiego; ponadto, podaje w wątpliwość moje zdanie, że gen. Ujejski nie wyciągnął żadnych konsekwencji w stosunku do Michowskiego.

Formalnie Sęp-Szarzyński ma słuszość, ale jakby to Anglik określił, bawi się w rozszczepianie włosa (*splitting the hair*).

Wyspa Bute, popularnie zwana „wyspą węzów”, była miejscem zbornym w którym gromadzono generałów i oficerów bez funkcji (bez wojska) oraz wszystkich niepożądanych z różnych względów, jak przekonania czy występy polityczne, brak zdolności, względy zdrowotne (nawet homoseksualizm). Innymi słowy było to miejsce odosobnienia, popularnie zwane obozem karnym. Czterej oficerowie lotnictwa byli wysłani na wyspę jako „niepożądani”, ale nie mógł tego zarządzić gen. Ujejski i zgodnie z umową żądanie było przedstawione z rozkazu Naczelnego Wodza czyli gen. Sikorskiego. I znowu powszechnie rzecz jasna mówiono, że oficerowie zostali „ukarani” i to przez gen. Sikorskiego. Sądzę, że tak w rzeczywistości było, tak to widzieli wszyscy i nawet sami „zesłani”. Bo i jakże inaczej można było komentować zawieszenie w czynnej służbie czterech dobrych oficerów i wysłanie ich na „wyspę węzów”? Formalnie to nie była „kara” twierdzi Sęp-Szarzyński — więc co to było? Żart?

To co napisałem o Michowskim było wiernym oddaniem tego, co słyszałem z jego własnych ust. Gen. Ujejski faktycznie nie wyciągnął konsekwencji w stosunku do niego, Michowski nadal był w dywizjonie, a to że znalazł się na ławie oskarżonych wspólnie z czterema wysłanicami na „wyspę węzów” nie zmienia postaci rzeczy. Czerniawski również był sądownie karany, to inna zupełnie sprawa.

Nie powoływałem się w książce na artykuł Sępa-Szarzyńskiego pt. „Na tropie smętka” (*Kultura*, wrzesień 1959) nie chcąc zbyt szeroko o całej sprawie pisać, a innych relacyj nie mogłem zdobyć pomimo pewnych starań. Skoro jednak autor recenzji powołał się na ten artykuł, chcę dodać kilka słów.

Twierdzenie, że „poproszono kolegów” którzy podpisali list do Prezydenta R.P. aby się nie ujawniali było oczywiście znane, pomimo tego jednak jestem innego zdania. Uważam, że źle się stało, że kierownicy, a więc Poziomek, Bujalski, Kurzempa i Sęp-Szarzyński, popełnili błąd taktyczny. Gdyby zdecydowano, że kto chce, może się ujawnić, na pewno — tak mi się zdaje — wszyscy by się ujawnili. I wtedy dopiero gen. Sikorski byłby się znalazł w kłopotcie! Proszę sobie wyobrazić jakby władze R.A.F. przyjęły wniosek gen. Ujejskiego by na żądanie Naczelnego Wodza zwolniono z linii ze sztabów *stu oficerów*, za przewinienie które wedle angielskich poglądów powinno było być załatwione administracyjnie, przez najniższych przełożonych, a kary nałożone byłyby śmieszne w porównaniu z przewodem sądowym i karami polskimi. Nigdy by się Anglicy nie zgodzili na wniosek, a w każdym razie zażądałyby szerokich wyjaśnień, co oczywiście w wypadku czterech oficerów nie miało miejsca. Wtedy to byłby cios, zadany gen. Sikorskiemu i gen. Ujejskiemu, ich autorytet byłby podważony i byłaby awantura na całego, a tak wszystko rozeszło się po kościach i czterech „bohaterów” jedynie ucierpiało.

Łączę wyrazy poważania,

F. KALINOWSKI



Londyn, 11 września 1970 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Rozprawa moja pt. „Korespondencje” petersburskie J. I. Kraszewskiego” w nrze 17 *Zeszytów Historycznych* wymaga pewnych uzupełnień, gdyż pisząc ją nie znałem listów Kraszewskiego do Adama Miłaszewskiego w Krakowie¹. Z listów tych wynika, że gdy w styczniu 1880 r. umarł Bronisław Zaleski, a więc „korespondencje” Kraszewskiego nie mogły być więcej do niego przesyłane, odbiorcą ich został Ildefons Kosiłowski, nie były one jednak przesyłane wprost do niego z Drezna, lecz drogą przez Kraków za pośrednictwem Miłaszewskiego. W liście z 7. II. 1880 Kraszewski tak pisał do Miłaszewskiego:

„Ja często bardzo odprawiać stąd muszę różne korespondencje do Paryża, a oni tu tego nie lubią. Więc ważniejsze listy chciałbym Ci posyłać ażebyś je rekomendował i natychmiast pod adres sam wyprawił. Na to naturalnie pieniądze przysyłę. Może być takich listów kilka w miesiąc bylebyś je zaraz za rewersem oddał na pocztę, to cała sprawa”.

Kosiłowski był agentem policji francuskiej², jako taki mógł być noto-

1. „Józef Ignacy Kraszewski. Listy do Adama i Joanny Miłaszewskich rodziny Langie Walerego Eliasza-Radzikowskiego”, Wrocław-Warszawa-Kraków, 1966. Opracował Wincenty Danek. Wydawnictwo to zawiera cenne przypisy W. Danka, w szczególności przypis-artykuł na str. 95-99, objaśniający charakter akcji Kraszewskiego.

2. Władysław Mickiewicz, „Pamiętniki”, t. I, str. 274-278.

wany w policji niemieckiej i prawdopodobnie dlatego uznano za niewskazane wysyłanie listów z Niemiec wprost do niego. Kosiłowski był nie tylko nowym adresatem dla „korespondencji” Kraszewskiego, ale z jego ramienia odwiedził Miłaszewskiego w Krakowie³. Tą nową drogą szły „korespondencje” Kraszewskiego do Paryża do końca 1880 r. W czasie, gdy Kosiłowski był w Krakowie, były mu one doręczane osobiście przez Miłaszewskiego. Gdy Miłaszewski posłał Kraszewskiemu ujemną opinię o Kosiłowskim, Kraszewski go tłumaczył i dodawał, że z nim „stosunek mój do pewnego czasu trwać musi”. W liście z 2 października 1880 prosił Miłaszewskiego:

„Kosiłowski, który miał być u mnie, nie dał znaku życia i nie wiem, dokąd mam odsyłać korespondencje dla niego. Proszę Was, dowiedźcie się, gdzie jest, a jeśli jest, zapytajcie go, dokąd mam listy odsyłać. ... Napiszcie rychło, co robić z korespondencjami i gdzie Kosiłowski”.

Zaś 19 października 1880 tak pisał:

„Kosił(owski) był u mnie. Po części co do niego mieliście rację. Siedzi na dwóch stołkach i niewiele mu można zaufać, ale też nasze stosunki z nim się skończą”.

Mimo to „korespondencje” Kraszewskiego szły nadal via Kraków do Paryża do Kosiłowskiego i dopiero w liście z 25. XI. 1880 Kraszewski powiadamiał Miłaszewskiego o ich wstrzymaniu:

„Jeszcze tylko w grudniu będzie parę listów do przesłania, którymi Was utrudzę a potem się to skończy, bo cała ta korespondencja urwie się — niestety. Dużo mnie ona kłopotu kosztowała, ale coś przyniosła. Od N. Roku musi ustać, będąc się łątał inaczej”.

W mej rozprawie wyraziłem przypuszczenie, że „korespondencje” Kraszewskiego ustały z początkiem 1880 r. i że było to w związku ze zmianami personalnymi w 2-gim Oddziale Sztabu Generalnego w Ministerstwie Wojny. Te zmiany niewątpliwie wpłynęły na stosunki z Kraszewskim i w pewnym stopniu przyczyniły się do zakończenia jego akcji dla wywiadu francuskiego, nastąpiło to jednak nie z początkiem, a z końcem 1880 r., a poza tym nie były one wyłącznym powodem wycofania się Kraszewskiego, jak próbuje sugerować raport policji francuskiej, może pod wpływem niechęci do nowych władców republikańskich w wojsku. Były i inne powody. Kraszewski na pewno czuł się bardziej bezpiecznym, gdy posyłał swe „korespondencje” do Zaleskiego, niż gdy tegoż zastąpił Kosiłowski, a innej drogi sam Kraszewski znaleźć przecież nie mógł. Sprawa ta nabierała tym większej wagi, że już wtedy gnębiły Kraszewskiego szantaże Arnima Adlera. Raport policji francuskiej mylnie podaje, że zaczęły się one dopiero po zaprzestaniu akcji korespondencyjnej Kraszewskiego. Faktycznie trwały one już od 1879 roku, gdy Kraszewski przestał korzystać z usług Adlera w swych kontaktach z pruskim kapitanem Hentsch'em. Kraszewski w marcu 1880 r. jeździł w tej sprawie do Wiednia, gdzie Adler przebywał, a i w liście z 26 sierpnia 1880 roku donosił Miłaszewskiemu, że „dla” głupiego interesu z tym łajdakiem denuncjatorem muszę wprost jechać do Wiednia”. Adler był tym, który pierwszy wciągnął Hentsch'a do akcji Kraszewskiego i teraz nie chciał zre-

3. Listy Kraszewskiego do Miłaszewskiego z 29. VIII, 1. IX, 8. IX, 12. IX i 2. X. 1880.

zygnować z tego źródła dochodu. Nie wiemy dlaczego Kraszewski postanowił go z tej akcji wyłączyć, co z kolei spowodowało szantaż Adlera. O tych szantażach Kraszewski niewątpliwie donosił swym paryskim odbiorcom „korespondencji” i dlatego wiadomości o nich trafiły do raportów policji francuskiej. Możliwe, że nowi kierownicy wywiadu francuskiego nie chcieli przysyłać pieniędzy za te same wiadomości i dla Hentsch'a i dla Adlera.

Tak więc zbieg różnych powodów doprowadził z końcem grudnia 1880 r. do zaprzestania przez Kraszewskiego wysyłania „korespondencji” do Paryża. Żal Kraszewskiego, że ta akcja się skończyła i że będzie musiał „łatać się inaczej”, pozwala przypuszczać, że zakończył ją tylko pod przymusem okoliczności. Fakt, że nastąpiło to z końcem roku i było z góry zapowiedziane, może nasuwać przypuszczenie, że pod wpływem narastających trudności czy też niezaspokojonych wymagań strona francuska wstrzymała dalsze kredyty na tę akcję.

Z poważaniem,

Stanisław KIRKOR



Wszynhton, 4 grudnia 1970 r

Drogi Panie Redaktorze,

Skoro p. S. Popkiewicz nadał swemu artykułowi w *Zeszytach Historycznym* Nr 18, tytuł „Łączność radiowa z krajem po Powstaniu Warszawskim”, zatem powinien był objąć nim całość tej łączności. Tymczasem wspomniany artykuł mówi jedynie i wyłącznie o łączności Londynu z radiostacjami Armii Krajowej i nie poświęca żadnej uwagi łączności radiowej Londynu z siecią radiostacji Kierownictwa Walki Cywilnej, obsługującą również Delegaturę Rządu, podziemne Stronnictwo Ludowe oraz inne stronnictwa, a nadto radiostację ŚWIT zakonspirowaną pod Londynem, która dzięki otrzymywanym codziennie z Warszawy depešom mogła nadawać stamtąd audycje, udając z powodzeniem podziemną radiostację krajową. Sieć ta nawiązała łączność z Londynem w dniu 2 sierpnia 1941 i pracowała bez przerwy, również w czasie Powstania Warszawskiego, do lipca 1945, to jest do chwili rozwiązania Delegatury Rządu i podziemnej Rady Jedności Narodowej, nadając i odbierając w tym czasie parę tysięcy depeš. Część ich znajduje się w archiwum Studium Polski Podziemnej w Londynie. Gdy po Powstaniu Warszawskim łączność radiowa AK z Londynem została częściowo przerwana, przez sieć tę nadano szereg depeš generała Okulickiego. Pracę tej sieci radiowej przedstawiłem obszernie w mej książce „W Imieniu Rzeczypospolitej”. Jeśli chodzi o same *Zeszyty Historyczne*, to wspominają w nich o tej sieci: Kazimierz Bagiński w artykule pt. „Proces Szesnastu w Moskwie” w *Zeszytach* 4-tym, Z. S. Siemaszko w artykułach pt. „Łączność radiowa sztabu N.W. w przededniu Powstania Warszawskiego” w *Zeszytach* 6-tym i „Retinger w Polsce w 1944 roku” w *Zeszytach* 12-tym, Janusz Laskowski w artykułach pt. „Radiostacja ŚWIT” w *Zeszytach* 9-tym i 10-tym i Adam Ciołkosz w artykule pt. „Broń dla getta Warszawy” w *Zeszytach* 15-tym.

Łączę mocny uścisk dłoni i wiele serdecznych pozdrowień,

Stefan KORBOŃSKI

Montreal, 7 grudnia 1970 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Gazety doniosły o podpisaniu układu między Polską a Niemcami Zachodnimi, w którym ci ostatni uznają granicę Polski na Odrze i Nissie Łużyckiej.

Nie od rzeczy byłoby poinformować czytelników Pańskiego poczytnego pisma o historii tej granicy.

Pierwszy raz publicznie sprawa granicy na Odrze i Nissie Łużyckiej została poruszona na łamach tajnego pisma *Szaniec*, wychodzącego w Warszawie pod okupacją niemiecką. Numer 49-ty jest datowany 20 grudnia 1940 roku. Załączam odbitkę z kopii tego numeru otrzymanej z Archiwum Polski Podziemnej w Londynie.

Pismo *Szaniec* było organem ruchu zapoczątkowanego przez działaczy przedwojennego Obozu Narodowo Radykalnego (ONR). W czasie gdy ten numer *Szańca* był wydany, ruch ten dysponował organizacją wojskową „Związek Jaszczurczy” zwany w skrócie ZJ i jego odpowiednikiem cywilnym zwanym „Komisariatem Cywilnym ZJ”, później przeorganizowanym w samodzielny „Służbę Cywilną Narodu”, w skrócie SCN.

Wydział zachodni Komisariatu Cywilnego ZJ zdołał zgromadzić szerokie grono ludzi z naszych ziem zachodnich, niezależnie od ich przedwojennej przynależności politycznej. Byli to znawcy problemów zachodniej Polski i ziem do Odry.

Zespół ten, pod osobistym kierownictwem adw. Leszka Neymana, rozpracował zagadnienie polskich granic zachodnich ze wszystkich punktów widzenia: historycznego, geograficznego, etnograficznego, ekonomicznego, politycznego, wojskowego, itd. Wynikiem tego rozpracowania było wysunięcie przez Grupę *Szańca* jako punktu pierwszego polskich celów wojennych, żądania granicy na Odrze i Nissie Łużyckiej i powrotu do Polski całych Prus Wschodnich.

W roku 1941 zespół ten opracował i wydał książkę pod tytułem „Szaniec Bolesławów”, traktującą ten problem na 86 stronach dużego formatu (7"×5") z dwoma mapami. Książka ta była wydrukowana w tajnej drukarni *Szańca* jako dziesiąta pozycja „Biblioteki *Szańca*”. Ze względów konspiracyjnych książka nosiła obwolutę z ochronnym tytułem „Byli i Będą” Marii Rodziewiczówny, datę wydania 1938 przez fikcyjny „Instytut Polski” w Katowicach.

Sprawa granicy Polski na zachodzie była następnie wielokrotnie poruszana na łamach *Szańca* i w innych naszych wydawnictwach książkowych, np. „Dziedzictwo Piastów”.

Leszkowi Neymanowi i całemu gronu jego współpracowników wytoczono procesy polityczne pod zarzutem zdrady i zamordowano ich.

Skatowany Leszek Neyman umierał chyba jednak z poczuciem dobrze spełnionego w stosunku do Polski obowiązku.

Myszę że te moje uwagi stanowią mało znane szczegóły historii Polski okresu drugiej wojny światowej, tak straszliwie fałszowanej przez wszystkich zainteresowanych.

Zachowałem w tym liście pisownię „Nissa”; taką używaliśmy w czasie okupacji.

Łączę wyrazy poważania,

W. M. MARCINKOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze!

Znalazłem wreszcie czas na przeczytanie książki Józefa Mackiewicza: „Nie trzeba głośno mówić”. W obecnych czasach przeczytanie 548 stron, odbitych drobnym drukiem, jest dużym wysiłkiem dla ludzi pracy.

Zabieram głos w sprawie tej książki, bo zdaje mi się, że p. Mackiewicz cytuje wyjątki z mego artykułu: „Partyzantka na Wileńszczyźnie”, który ukazał się w *Zeszytach Historycznych* Nr 7 z 1965 roku. Proszę porównać strony 154-159 z *Zeszytów Historycznych* ze stroną 484 „Nie trzeba głośno mówić”. Niestety cytat p. Mackiewicza jest tendencyjny i zmieniony. Mogę go upewnić, że był taki spis ludności i że moja relacja była prawdziwa. Ludność Wileńszczyzny i nawet innych terenów podawała się za Polaków czy to z patriotyzmu, czy też z obawy, żeby się nie dostać w ręce sowieckie. Dziwi mnie tylko, że p. Mackiewicz, pracując w *Gazecie Codziennej*, wydawanej przez Niemców po polsku, nie wiedział o tym, lub uważał, że wzmianka nie odpowiadała ogólnemu tonowi jego książki.

Drugi cytat odnosi się faktu, że Sztab Polski odsalutował oddziałowi sowieckiemu, gdy usłyszał komendę jego dowódcy po rosyjsku: „baczność, na prawo patrz” i gdy ten oddział partyzancki, choć w łachmanach, uderzył obcasami o bruk na widok polskich oficerów. Naszym warunkiem do przemarszu przez rynek Dziewieniski było złożenie broni na wozach. Poza tym, rynek był obstawiony przez nasze karabiny maszynowe. Więc nie można tu mówić o żadnej współpracy AKowskiej z sowieciarzami, a szaleństwem byłoby atakowanie tego regularnego oddziału, gdy Armie Sowieckie były już na polskich terenach.

Będąc w sytuacji beznadziejnej, chwytałyśmy się każdego promienia nadziei, szczególnie na widok takiej kurtuazji wojskowej. O ile Józef Mackiewicz chce nas oskarżać o tę ludzką słabość kultywowania nadziei tam, gdzie jej nie powinno być, to ma rację, ale nie powinien oskarżać nas o współpracę z tym czy innym wrogiem, bo teź nie było w naszym A.K.

Mam nadzieję, że przyszli historycy nie będą sięgać do książki J. Mackiewicza po fakty „historyczne”, bo takich nie znajdą. Oparta jest ona na półprawdach, lub kłamstwach, a taka wzmianka na stronie 244: „... Granica pomiędzy komuną i AK jest w dużym stopniu zatarta... Pan nie wie gdzie się zaczyna Polak, a kończy komunista...” jest potwarzą rzucaną w twarz tych tysięcy żołnierzy Polski Podziemnej, którzy zostali wytepieni przez sowieciarzy i ich sługusów — włączając w to Komendanta Okręgu Wilka-Krzyżanowskiego, który uratował życie p. Mackiewiczowi przez nieoddanie do wykonania wyroku śmierci na niego.

Czytając o Wilnie w czasie okupacji, w opisie Józefa Mackiewicza, miałem wrażenie, że czytam o jakimś obcym mieście, choć rozpoznawałem ulice wymieniane przez niego, i niektóre tylko osoby, jak Sergiusz Piasecki. Nie jest to Wilno pełne poświęcenia i tak polskie do końca. Radziłbym mu, by przeczytał sobie inne książki o tym mieście i o tych czasach, pisane z umiarem i bez propagandy, choćby książkę napisaną po angielsku, J. Carrera: „Across the Continents in Search of Justice”.

Dużo rzeczy moglibyśmy krytykować, i powinniśmy dla dobra przyszłych pokoleń, lecz nie róbnym tego tendencyjnie i trzymajmy się prawdy tak dalece, jak da się ją ustalić. Nie wszystko było przegrane w tej ogólnej klęsce. Świadczą choćby o tym rezultaty spisu ludności, o którym wspominałem, i włączenie się w odpowiedzialność za Polskę robotników i chłopów, może po raz pierwszy w dziejach polskich tak masowo i całkowicie. Proszę przeczytać sobie na ten temat artykuł: „Rozważania Wileńskie”, który ukazał się w Londynie w *Robotniku* w październiku 1950 roku.

Jaka to szkoda, że Józef Mackiewicz nie używa swego talentu na opisanie tych ogromnych poświęceń Narodu Polskiego w walce o wolność i tych przeogromnych zmian, które do tej pory dają siłę Polakom w Kraju do przetrwania a nawet cywilnej walki, jak o tym świadczą październik 1956 roku i grudzień 1970 roku.

Jan ROLAND

◆

Poniższy list prof. Piotra Wandycza, redakcja Kultury przestała w przekładzie na język francuski do redakcji Paris-Match, z prośbą o zamieszczenie. Paris-Match nie tylko listu nie zamieścić, ale nawet nie uważał za stosowne pokwitować jego otrzymania (Redakcja).

New Haven, Conn., 15 stycznia 1971.

Jakkolwiek polemiki na tematy historyczne z dziennikarzami nie wydają mi się zbyt celowe, nie mogę powstrzymać się od krótkiego komentarza na temat „wynurzeń historycznych” p. Raymond Cartier w *Paris-Match*, 2. I. 1971. W krótkim ustępie swego artykułu pt. „Pologne ce fut atroce”, p. Cartier rozprawia się ze złożonym zagadnieniem stosunków francusko-polskich w okresie między wojnami w sposób, który jest równie prymitywny jak tendencyjny. Nawiązując do ewentualnej współpracy gospodarczej między Polską i Francją w dobie obecnej, p. Cartier uważa, że Francja zdobyła dla Polski *le corridor de Dantzig* oraz obszary litewskie, białoruskie i ukraińskie, *dependée des milliards*, aby uzbroić słabe państwo polskie i rozwinąć przemysł górnośląski, zbudować port w Gdyni etc. Pomimo tego Polska była *une alliée infidèle*, która starała się za wszelką cenę *se rapprocher de l'Allemagne nazie, festoyait Goering* i parę tygodni przed wojną przyjmowała Ribbentropa w Warszawie, dekorując stolicę hitlerowskimi flagami. Z tej mini-historii stosunków polsko-francuskich p. Cartier wyciąga wniosek, że należy powstrzymać się od inwestycji w Polsce i umieszczać *disponible* kapitały francuskie wewnątrz Francji.

Analiza stosunków polsko-francuskich poczynając od pierwszej wojny światowej nie jest możliwa w krótkim liście do redakcji — niżej podpisany poświęcił jej książkę pt. *France and her Eastern Allies 1919-1925* — chciałbym więc ograniczyć się tutaj do paru słów i uwag. Francja nie toczyła pierwszej wojny światowej, aby oswohodzić Polskę. Jak pisał Clemenceau: *Hélas! Il faut avoir le courage de le dire, nous n'étions pas entrés en guerre avec un programme de libérateurs... Nous étions partis en alliés des oppresseurs russes de la Pologne*”. Niewątpliwie Francja podtrzymywała żądania polskie na konferencji pokojowej w Paryżu, za co Polacy są jej wdzięczni, ale jeśli chodzi o obszary „litewskie, białoruskie i ukraińskie” była daleka od popierania Warszawy. Rząd francuski wierzył ciągle w miraż białej Rosji i nie chciał w żadnej mierze angażować się zbyttnio na wschodzie. Traktat ryski podpisany w ostatecznej formie w marcu 1921 został uznany przez Francję (w ramach konferencji ambasadorów) dopiero w 1923 roku. Inwestycje francuskie w Polsce nie były jakąś pierwotną formą „Planu Marshalla”, ale wynikały z polityki penetracji gospodarczej Francji w Europie Wschodniej. Za sojusz z Francją w 1921 roku Polska musiała płacić wygórowanymi koncesjami gospodarczymi, które odwlokły ratyfikację sojuszu polityczno-wojskowego. Jak to określa wielki historyk francuski, Pierre Renouvin: „*le 'protectorat militaire' français à Prague ou à Varsovie ouvre la voie*

à une expansion économique et financière, où les grandes banques parisiennes marchent de pair avec les grandes entreprises métallurgiques”.

A jak przedstawia się w skrócie zagadnienie niewdzięcznej Polski, „*alliée infidèle*”, która „zdradza” Francję dla Niemiec hitlerowskich? W 1925 roku Francja podpisuje układy locarneńskie, które zdaniem dyplomaty francuskiego Barbier’a „*Portent, par voie de conséquence, un coup fatal et décisif à l’alliance franco-polonaise*”. Paul Reynaud określił politykę locarneńską jako „*politique de l’autruche. Ou, plutôt, et ceci est plus grave, il y avait déjà de l’esprit de Munich dans Locarno*”. A Jouvenel dodaje: „*L’accord germano-polonais de 1934 est logiquement inclus dans les accords de Locarno*”.

Tak jest, w 1934 roku Polska podpisała deklarację o nieagresji z Trzecią Rzeszą i następnie prowadziła politykę nie drażnienia Berlina, którą wielu Polaków oceniało krytycznie. Jednakże ta sama Polska wyraziła gotowość wypełnienia obowiązków sojuszniczych wobec Francji w czasie kryzysu wywołanego remilitaryzacją Nadrenii. Francja nie skorzystała z oferty Polski i politykę Daladiera i Bonneta w latach następnych można jedynie określić jako *appeasement* w stosunku do Hitlera. Nie Polska, ale Francja związana formalnym sojuszem z Czechosłowacją poświęciła tę ostatnią na konferencji Monachijskiej. Polska pomimo swej polityki, a raczej właśnie dlatego, że prowadziła politykę w gruncie rzeczy niedopuszczającą do kapitulacji przed Niemcami, znalazła się w stanie wojny z Hitlerem 1 września 1939. Francja wypowiedziała wojnę dopiero 3. IX, po wypowiedzeniu wojny przez Wielką Brytanię. Ostatnia wizyta Ribbentropa w Warszawie „*à quelques semaines de la guerre*” miała miejsce w styczniu 1939 roku, a więc 9 miesięcy przed wybuchem wojny. Ale p. Cartier nie przejmując się zbytnio ścisłością historyczną.

P. Cartier używa w swym artykule określenia „*la même chanson*” i to określenie stosuje się znakomicie do tonu jego artykułu. Jeśli p. Cartier poczuje się urażony moimi uwagami, najlepszą radą dla niego będzie, aby zapuszczając się w historyczne labirynty nie posługiwał się na przyszłość sformułowaniami, które w najlepszym razie stawiają w wątpliwość jego znajomość tematu, a w najgorszym dobrą wolę.

Piotr WANDYCZ

SPIS TREŚCI

POLSKA W OBCYCH OCZACH

Charles de Gaulle: <i>Bitwa o Wisłę</i>	3
Redakcja: „ <i>Revue de Paris</i> ”	17
Jacques Weygand: „ <i>Weygand mój ojciec</i> ” — <i>Bitwa o Warszawę</i> — 1920	19
S. Sztymienko, gen. armii: <i>Na drodze do zwycięstwa</i>	36

DOKUMENTY

Stanisław Kirkor: <i>Listy Stanisława Grabskiego (1941-1949)</i>	64
Zygmunt Jundziłł: <i>List do Prezydenta Raczkiewicza</i>	76
<i>Nota biograficzna Zygmunta Jundziłła</i>	78

WSPOMNIENIA

Rudolf Lessel: <i>Historia jednej gazety</i>	80
Jerzy Ros: <i>Henryk Holand — ostatnia ofiara Berii</i>	89

HELENA RADLIŃSKA

Maria Czapska: <i>Rozmowy</i>	98
Kazimierz Bagiński: <i>Helena Radlińska w ruchu ludowym</i>	128
Wanda Pełczyńska: <i>Lata 1913-1921</i>	132
Józef Piłsudski: <i>Listy do Leona Wasilewskiego</i>	142
Jakub Hoffman: <i>Helena Radlińska jako łączniczka</i>	145
Anna Bogusławska: <i>W czasie drugiej wojny światowej i potem</i>	147
Anna Bogusławska: <i>Szkoła „jutrzejsza” i jej kierowniczka</i>	167
Zofia Gulińska-Mondschein: <i>Wspomnienia</i>	184
Jadwiga Różankowska: <i>Gospodarstwo „Babci”</i>	188

POLEMIKI

Leon Mitkiewicz: <i>Napastliwe komentarze</i>	193
Witold Babiński: <i>Ambasada w Moskwie</i>	207
Adam Ciołkosz: <i>Historiozofia — czy mitomania?</i>	212

K S I A Ż K I

Piotr Wandycz: <i>Pseudohistoria</i>	218
--	-----

LISTY DO REDAKCJI

Stanisław Biegański	229
Franciszek Kalinowski	230
Stanisław Kirkor	231
Stefan Korboński	233
W. M. Marcinkowski	234
Jan Roland	235
Piotr Wandycz	236

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 15 FEVRIER 1971
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1971

**KSIĄŻKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

- Józef Mackiewicz: Kontra (7 F)**
Tadeusz Katelbach: Rok złych wróżb (8 F)
Stanisław Kot: Jerzy Niemirycz (7 F)
Paweł Zaremba: Historia Polski, Tom I (20 F)
**Józef Czapski: Na nieludzkiej ziemi (wydanie drugie)
(wyczerpane)**
Bernard Singer: Od Witosza do Sławka (18 F)
Milovan Djilas: Rozmowy ze Stalinem (wyczerpane)
**Jerzy Mond: 6 Lat temu... (Kulisy polskiego Października)
(wyczerpane)**
**Maria Czapska: Polacy w ZSSR (1939-1942) Antologia
(wyczerpane)**
Witold Jedlicki: Klub Krzywego Koła (10 F)
Stanisław Mackiewicz: Polityka Becka (12 F)
**Wincenty Witos: Moje Wspomnienia, Tomy I/II/III
(87 F)**
Wiktor Sukiennicki: Biała Księga (wyczerpane)
Gustaw Herling-Grudziński: Inny świat (wyczerpane)
Borys Lewickij: Terror i rewolucja (15 F)
January Grzędziński: Maj 1926 (9 F)
**Wacław Lednicki : Rosyjsko-polska entente cordiale
1903-1905 (9 F)**
Wiktor Sukiennicki: Legenda i rzeczywistość (9 F)
**Leon Mitkiewicz: Z gen. Sikorskim na obczyźnie
(23 F)**
**Julian Kulski: Stefan Starzyński w mojej pamięci
(12 F)**
Eugenio Reale: Raporty. Polska 1945-1946. (18,50 F)

18.50 F (dol. 4,-)